

Poezje
L. Kondratowicza
(Wł. Syrokomli)

Tom II.

Mikołów
K. Miarka Sp.



POEZJE
LUDWIKA KONDRATOWICZA

(WŁADYSŁAWA SYROKOMLI).

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM II.



Mikołów 1921.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ K. MIARKI.



97225

1/11

884-1

„Zbiory Śląskie”

Akc K Nr 281 | 72 | 51.

UTWORY EPICKIE.

Kondratowicz T. II.

M A R G I E R.

POEMAT Z DZIEJÓW LITWY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Gdzie ty, święta przeszłości macierzystej ziemi,
Z twojemi bohaterzy, z bogami twojemi,
Z pieśnią dzielnych lirników, synów twego łona?
Przeminęłaś na świecie, jakby snem prześniona.
Któż cię potrafi dzisiaj wyczytywać biegle
Na staroświeckiej książce lub na starej cegle?
Kiedy twoją pamiątkę znajdzie w polu chłopię,
Albo ciekawy rydel w kurhanie odkopie,
Ze szkieletu, z okruchów żelaza lub gliny
Któż zdoła wypowiedzieć los całej krainy?
Kto wyssać świętą prawdę z podaniowych baśni?
Kto w literze zamknięte życie nam objaśni?
Kto mrok zapadłych czasów odświecili choć trocha?
Chyba serce pobożne, co praojców kocha,
Chyba dusza pieśniarska odgadnie, wyśpiewa
Przy harfie wyciosanej z litewskiego drzewa,
Na czas wywoła z grobu cmentarzowe rzesze
I z gruzów rumowiska skrę życia wykrzesze.
O! w jakim cię kurhanie zagrzebali starzy,
Stara a święta harfo litewskich pieśniarzy?
Poważnym, głuchym szmerem zabrzęknij z mogiły,
Aby się nasze piersi w twój takt dostroiły.
Zrodzony w nowych czasach i w innej nauce,
O twoich dawnych bogach oto pieśń zanucę,
Nie świętokradzką ręką, lecz w dobrej otusze
Święty popiół praojców z mogiły poruszę.
Drużyną zakrwawioną, w niedźwiedzie przybraną,
Przed oczyma potomków praojcowie staną,

Dzicy, jak dzikie puszcze, w których Litwa żyje,
Czyści, jak czyste rzeki, z których wodę pije,
Rzewni, jak wiatr jasienny, co huczy po lesie,
Jak piosenka żniwiarska, którą echo niesie.
Lud, co się przeniewierstwem nie shańbi, nie skazi,
A szanuje swych bogów, kapłanów i kniazi;
A bogi, przed którymi na twarze się ściele,
Srodzy, dobrzy i prości, jako ich czciciele;
A książęta, co Litwę trzymają pod władzą,
Za jej zdrowie swój żywot, swoją krew oddadzą,
A podzielią się z ludem i serca połową
I chlebem i zdobyczą i sławą bojową
I śmiercią bohaterską, gdy idzie o życie:
O takim to plemieniu powieść usłyszycie.
A gdy słabemi dłońmi po strunach uderzę,
Czyli zapieję pieśnię o chrobrym Margierze,
Czy z daleka ukażę krwią zalane zgliszcze,
Czy w strunach zagrzmi Perkun, czy wichur zaświszcze,
Czy ziemie Olgerda mój głos upamiętni,
Czy jęknie płacz dziewiczy, lub serce zatętni.
Czy zabrzmi łoskot mieczów i bojowych młotów —
Stara harfo litewska, harfo wajdelotów!
Struny zardzewiałemi od grobowej pleśni
Odezwijsię z pod ziemi, daj hart mojej pieśni.
Przyuczeni od wieków słuchać głos twój święcie,
Wstaną ojce na wnuka lirnicze zakłęcie.

Synowie młodszych czasów, rówieśnicy moi!
Przyjdźcie do nas posłuchać, jak się harfa stroi,
A otoczcie lirnika serdecznie a pięknie,
A wybaczcie, gdy czasem zbyt słabo zakrzęknę,
A przyjmijcie z łaskawym uśmiechem na twarzy,
Gdy wam powieść o wiekach dawniejszych wygwarzy.

II.

Olgerd władał na Litwie, a Kiejstut na Żmudzi.
Litwa słynęła strachem i cześcią u ludzi;
Od Euksynu po ziemię krzyżackich rycerzy,
Od Karpat po Ładogę swe podboje szerzy;
Rozlewa się po ruskiej i po laskiej ziemi.
I utrwała swą władzę księstwem udzielniemi.
Na stolicach, gdzie dojrzeć nie może z oddali,
Książę mieści swych braci i swoich wasali;

Imieniem holdownictwa powierza w ich ręce
I miecz sprawiedliwości, i prawo książęce. —
Prawo żyć i umierać dla dobra narodu.

O dwa dni pieszej drogi od trockiego grodu,
W lesie nad krętym Niemnem, od krzyżackiej ściany,
Wznosił się zamek Pullen, stary a drewniany.
Gdy Kiejstut posiadanie tej strony odbiera,
Swoje prawa książęce przelał na Margiera.
Więc jako holdowniczy książęcej korony,
I mieczem uzbrojony, i prawem wzmocniony,
Margier na zamku Pullen wpośród leśnej dziczy
Nad Litwą od niemeńskich czuwał pograniczy.

III.

Na niwach nadniemeńskich bujne rosły żyta,
Zieleniła się łąka kwiatami pokryta;
Lecz przyszli Niemcy z krzyżem w nieszcześliwej chwili,
Łąki spaśli, a zboża spalili, stłoczyli;
A ich bardysz stalowy, a ich miecz szeroki
Nażarł się ciał litewskich, napił się posoki.
Wyzwano ich na rękę — krwawy bój się sroży,
Litwa chrobrze walczyła cały dzionek Boży,
I kamiennemi młoty uderzając szczerze,
Rozbijała niemieckie piersi i puklerze.
Nie przebić głową skały — cofnęły się wrogi,
Wziąwszy łup, zostawiwszy trupy i pożogi.
Z dymów palonych wiosek, jak się widzieć może,
Krzyżacy szlak swej drogi wzięli na Pomorze.

IV.

A tu na bojowisku, pod Pullen wałami,
Zrozpaczeni Litwini zostali się sami;
Załamane ich ręce, żalosna postawa,
A ze źrenic sokolich lza sączy się krwawa.
Czy wracać do swych wiosek? och! niema już pogo...
Bo te łuny pożarne, co zdala migocą,
Ten dym, co ponad Niemnem, nad lasem się ściśle,
To goniec od ich rodzin: że nieprzyjaciele
Wszystko, czem dusza żyje, co kocha najczulej,
Srodze zamordowali lub więzami skuli
I powiedli w Niemczyznę.

Serce się rozrywa!
Po żalu przyszła rozpacz zajadła i mściwa;

Litwa wydała okrzyk i hurmem się ciska
Rąbać trupy niemieckie wśród pobożowiska,
I z ciał pokaleczonych, odartych do naga,
Ułożyć stos ofiarny, co bogów przebłaga.

V.

Straszny był widok pola: na zdeptanej ścierni
Leżą martwe Litwiny i Niemcy pancerni;
Na jednych lniana odzież i osłony rysie,
Na drugih jasna blacha promieniami lśni się.
Owdzie silne ramiona, zakute żelazem,
Dławiąc wroga, w uścisku zastygły z nim razem;
Na jednej twarzy boleść, na drugiej z pobliska
Szatan swój śmiech szyderczy na wieki wyciska;
Na inszej taka srogość, że zda się widocznie
Bój, przerwany za życia, po śmierci rozpocznie.
A wszystko krwią zbryzgane, a przy każdej twarzy,
Zaglądając w źrenice, już kruk pospodarzy,
Szary wilk nadniemeński z za jodeł się skrada,
Tam się brytan z brytanem o zdobycz ujada,
A tam z piersi, rozbitej ciosami bardyszy,
Jeszcze się jęk boleści lub zgonu posłyszysz,
Albo ostatkiem siły przyczajonej w łonie
Ktoś modlitwę wyszepce, ktoś przeklątwem zionie.

VI.

Litwin, zemstą kipiący, a na jęki głuchy,
Odziera z szyj rycerskich złociste łańcuchy,
Odrywa miecz od boku, szarpie hełm bogaty
I płaszcz z krzyżem Pańskim rozdziera na szmaty;
Albo żylaste ręce, jako sępie szpony,
Zapuszcza w trupią brodę, we włos utrefiony,
I targa, i znieważa ostatki człowieka;
Gdzie słyszy bicie serca, pierś na pół rozsieka.

VII.

Pod jedlinowym cieniem przyczajony z cicha,
Krzyżak, młode pacholę, pełną piersią dycha;
Cios litewskiego młota, co mu zmysły głuszy,
Nie zdołał młodocianej wykołatać duszy.
Młodzieniec czasem stęknie, zawróci oczyma,

Prawicą nieprzytomnie głównię miecza ima,
Woła o kroplę wody... choć w niemieckiej mowie,
Lecz dźwięcznym jego głosem wzruszeni wrogowie
Stanęli, jakby wręci, choć pogańcza zgraja.
Och, bo serce litewskie łąco się rozbraja!
I litewski oprawca najdzikszej postaci
Spojrzał niepewnym wzrokiem do koła spółbraci,
I była jedna chwila w tem sercu ze skały,
Miłosierdzie i zemsta że się zawahały.
Lecz się wnet opamiętał i uśmiechnął zdradnie:
Na Perkuna! to Niemiec — niech marnie przepadnie!
I już podnosił topór, co piersi rozłamię,
Gdy mu silna prawica pochwyciła ramię.

VIII.

Oprawca wstecz się cofnął i obejrzał skoro,
Spuścił topór i oczy ku ziemi z pokorą:
Przed nim stał dzielny Margier. Odgadniesz mu z
Bohaterską latorośl litewskich mocarzy. [twarzy
Krzepkie dęby w Romnowe, gdzie Litwa czci bogi,
Grom w prawicy Perkuna straszny i złowrogi:
Lecz silniejsze od dębu ramiona Margiera,
Straszniejsza od piorunu bojowa sickiera ,
Gdy błysnie w jego ręku. Z wileńskich ołtarzy
Żnicz podsycen oliwą ogniście się żarzy:
Lecz ogniściej wybucha i goręcej płonie
Serce wodza miłością ku rodzinnej stronie.
On tu nad zamkiem Pullen jako książę włada,
Pana i bohatera wielbi w nim gromada:
Bo też kołpak soboli na książęcej głowie
I hełm z pierzastą kitą, co noszą wodzowie,
Co je Margier wysłużył rycerskimi dzieły,
Nigdy na dostojniejszym czole nie spoczęły.
Piękne niebo, gdy jutrznia ozłoci je młoda,
Ale w duszy książęcej piękniejsza pogoda.
Jedna tylko — dla Niemców nienawiść w nim żyje.
Ale to taka straszna, jakby wszystkie żmije,
Jakby wszystkie potwory i piekielne siły
W ogniste jego serce swój jad wysączyły.
Dziś, widząc krwią zbryzgane nadziemnowe pole,
Cierpiał za całą Litwę wszystkimi jej bole,
Jak gdyby w jedno serce, ile tylko zmieści,

Wszystkie miecze krzyżackie wbil po rękojęści;
 Cierpiał za bogów Litwy, za ujmę ich chwały,
 Nie dziw, że mściwe żądze w jego piersiach grały.
 O! jeżeli w tej chwili nad niemiecką głową
 Cofnął rękę siepacza do mordów gotową,
 To snadź, młody Krzyżaku, w niedobrym zamiarze:
 Gwoli straszliwej zemście zachować cię każe.

IX.

Zawołał głosem strasznym, aż drgnęli Litwini
 (Nie był to ryk zwycięski tygrysa w pustyni,
 Ale raczej jęk lwicy po głębokiej knieje,
 Gdy po dziatwie wydartej żałośnie boleje):

— Stój! zabijać bezsilnych to dla nas ohyda!
 Nam na świętszy użytek ten jeniec się przyda:
 Bo na nowiu, za miesiąc od dzisiejszej chwili,
 Wielki dzień Ziemienika będziemy obchodzili.
 Dobry Bóg urodzajów! wielkie jego święto
 Od czasu, gdy na Litwie siać niwę poczęto;
 Bo z łaski Ziemienika i pod jego wodzą
 Miód, mleko i owoce, i kłosy nam rodzą.
 Niegdyś, za naszych ojców, w Litewszczyźnie starej
 Z miodu, z mleka, z owoców brał swoje ofiary.
 Lecz nam dzisiaj nie starczy na chleby i miody,
 Bo krzyżak zdeptał pola, wypłenił ogrody,
 Pozarzywał dobytek i miód wydarł z barci —
 Cóż my Bogu przyniesiem, z ostatka odarci?
 Lecz Bóg nie gardzi sercem ni darem ochoczym:
 Mamy tu krew krzyżacką — a więc krwi utoczym,
 I ołtarz zawieszony tajemną zasłoną,
 Zamiast czerwonych kwieci, zlejem krwią czerwoną.
 Ziemienik, przebłagany w ofiarnym puharze,
 Może niwom obficie rozrodzić się każe,
 I w chlebie pożywianym bez łez i goryczy,
 Nowa siła do piersi wstąpi bojowniczej...
 Weźcie żywego jeńca! okuć go należy;
 Niech czeka dnia ofiary na zamkowej wieży! —

Tak mówił srogo Margier — a głos jego mowy
 Najprzód grzmiący piorunem, a potem grobowy,
 Osłabnął, kiedy księżę rozkazy wydawał,
 A usta były drżące, a powieka łzawa.

X.

Tedy litewscy męże rzucili się żwawie
I podjęli młodzieńca, co leżał na trawie;
A Margier zapalczywie do boku mu sięga,
Oderwał miecz, aż stalna zabrzękła popręga,
I odpiął mu z pod szyi płaszcz rycerski biały,
Krzyż wyszyty na płaszczu poszarpał w kawały
I podeptał.

Na groźne skinienie książęce,
Dwaj Litwini krzyżaka ujęli za ręce.
A młodzian ledwo oddech wydobywa z łona,
Bezwładna jego głowa zwisa na ramiona;
A kiedy mu odarty i hełm i kolczuga,
Po jasnych jego włosach krwi pociekła struga,
Ale jej żadna ręka nie otarła z czoła.
Nienawistne przeklęstwa zawrzały do koła:
— Ho! pieszczone pacholę nie zwykło do zbroi!
Miękka czaszka niemiecka, kto wie, czy się zgoi?
Kto wie czyli dożyje o chlebie i wodzie,
Aż nim nóż ofiarniczy serce mu przebodzie?! —

Tak, niosąc do warowni rannego młodzieńca,
Litwa się jeszcze nad nim urąga i znęca.

— Daj pokój! — mówił drugi — choć to młode
Czart niemiecki umacnia swoje pokolenie; [szczenie,
Choć spłynął krwią nieczystą, choć zawraca oczy,
Trzymaj krzepko pohanca, bo wnet ci wyskoczy.
Jeżeli go bezpiecznie masz trzymać w jasyrze,
To mu z szyi oberwij te blaszki i krzyże,
Którymi pierś obwiesił, bo tam czart się chowa! —

I ręka świętokradzka już była gotowa
Znieważyć mały krzyżyk na niemieckiem łonie,
Co go papież z odpustem święcił w Awinjonie;
Lecz orli wzrok Margiera zabłysnął tak srogo,
Że Litwin aż pobladnął i cofnął się z trwogą.

— Wara! — zawołał książę na zgraję swawolną —
Nad wrogiem rozbrojonym pastwić się nie wolno!

XI.

Otwarto wrota zamku — więźnia w głąb ponieśli.
Twierdza prosta, drewniana; tylko topór cieśli
Ponad Niemnem, na górze, na ubitej ziemi,
Piętrzył dębowe kłody jedne nad drugimi

Wysoko aż pod chmury, a przy ścianach wokół
Pozabijał warowny sosnowy łośrokół;
Tylko rydel kopacza w krąg całej budowy
Ponajeżał wałami wawóz nadniemnowy,
I ryjąc w głębi ziemi w tajemnym zamiarze,
Powydrażał pieczary, sklepił kury tarze,
Co ciągną się do lasów, do wiosek nad wodą;
Bóg tylko wie i Margier, gdzie te lochy wiodą,
Jak gdyby nory lisie, lub kryjówki węże,
Których brytan nie zwietrzy, a człek nie dosięże.
Och! by walczyć na zabój z niemieckimi syny,
Trzeba mieć chytrą lisią i żądło gadziny,
Niedowierzać sojuszom, być zdračnym jak oni,
I we śnie nie upuszczać toporu ze dłoni.
Perkunie! groźny Boże Litewszczyzny starej,
Któremu krew i ogień najmilsze ofiary,
Czemu twoi czciciele tak miękczy, tak prości?
Czemu wiecznie twa srogość w ich piersiach nie gości?
Dzisiaj — rzeź, krwawa uczta dla mieczów i młotów,
A jutro Litwin sercem podzielić się gotów,
I przy czarce alusu ściska swe siepacze,
I nad własną srogością najpierwszy zapłacze.
Przecż Margier, co krzyżowców w nienawiści chowa
I cały kipi groźbą jak chmura gromowa,
Za chwilę łagodniejszym przemawia wyrazem,
Rozbroił czoło z hełmu i z gniewu zarazem,
I westchnieniem ochłodził pałające łono,
I poszedł do więźcy, gdzie więźnia złożono?

XII.

A po ciemnej wieżycy jęć przebiega głuchy.
Leży młodzian krzyżacki, zakuty w łańcuchy;
Krew mu leje się z czoła, mimo szmatę zdartą,
Broczy kamień, na którym głowę mu oparto;
On miota się, jak gdyby chciał odpędzić ręką
Promyk słońca, co na twarz pada przez okienko.
Margier stał nad młodzieńcem, oparty o ścianę,
Wlepił w jego oblicze oko zadumane:
— Ty cierpisz... żal mi ciebie niewierny krzyżacze!
Żal twej matki, co może gdzieś po tobie płacze,
Żal młodości; lecz bogi sprawiedliwe, widzę:
A małoż w waszych twierdzach, w Malborgu i Rydze

Jęczy litewskiej młodzi w łańcuchach niewoli?
A i tutaj są matki, i tych serce boli!
Tam umierają zwolna od swoich dalecy,
Dźwigając głaz i cegłę na mury fortecy;
Tobie przynajmniej tutaj prędko zgon się zdarza,
Legniesz, jak młody kłosek pod sierpem żniwiarza.
Ty cierpisz... żal mi ciebie, o! żal w samej rzeczy!
Lecz odegrzać gadzinę przy piersi człowieczej,
To, jak tylko odzyska siłę utraconą,
Kolnie najpierwszym jadłem w dobroczyńcy łono;
Nie wyrwiesz z niego żądła, chyba strzaskaj głowę.
Niechaj światu nie szkodzi plemiona węzowe! —

Tak Margier, to się płoniąc, to blednąc jak ściana,
Mówił raczej do siebie, niżli do młodziana;
Bo był pewien, że krzyżak, jęczący w boleści,
I nie zna, i nie słyszy słów litewskich treści.
Lecz Niemiec, w nadbałtyckiej urodzony ziemi,
Od dziecka igrał piaskiem z chłopięty pruskiemi,
Nauczył się i dobrze ich mowę pamięta,
Do litewskiej podobną, jak dzieci bliźnięta;
Więc zajęknął w tej mowie: — Zwycięzco Litwinie!
Krew zanadto waleczna w twoich piersiach płynie,
Abyś nie czuł, zarówno jak siepacze prości,
Ile wróg pokonany ma praw do litości.
Mówisz, żeśmy krzyżacy podobni węzowi,
Do piersi dobroczyńcy rzucić się gotowi;
Nie bluźnij nawet gadom — wszak w litewskiej chacie
Widziałem, jako węże święcone chowacie.
Czy liż żmij, gdy go ludzka uprzejmość rozbroi,
Ukaśił kiedy rękę, co go mlekiem poi?
A jam człowiek... jam rycerz!... miałbym działać
[zdradnie!]

Nie wiesz, jaką powinność ten krzyż na nas kładnie!
Nie myślę ci wdzięczności zaprzysięgać podle,
Lub czołgać się w nadziei, że życie wymodłę;
Gdybyś jednak rycersko oszczędził mi zdrowie,
Litwinie! chrześcijanin godnie ci odpowie! —

XIII.

Margier nie dzisiaj walczy z drużyną krzyżaczą,
I słyszał jej przysięgi, i wie co te znaczą;
Uśmiechnął się... podumał... i uwierzył zwolna,

Czy szczerocie młodzieńczej, co kłamać nie zdolna,
Albo słowa litewskie cud zdziałały na nim,
Które w uściech niemieckich brzmiały pojednaniem:
Bo w słowach macierzystych jest urok nie lada,
Wróg zawsze nas rozbroi, gdy niemi zagada,
Zawsze zdoła przygasić niechętnie żarzewie —
Och, i dobrze, że o tem czarodziejstwie nie wie!

Tak wódz podumał w duchu i skinął na strażę,
I krwawe rany więźnia opatrywać każe,
I z baszty murowanej ciemnego sklepiska,
Przenieść w insze komnaty, kędy słońce błyska.
Więc wzięli go na barki silni wojownicy
I zanieśli do długiej, wesołej świetlicy.
Tam w środku stół, z kamiennej wyciosany płyty,
Na nim ałus rozlany i miód niedopity;
Znać, że chrobra drużyna Litwy bohatera
Tutaj się na obrady i na uczty zbiera.
Na ścianach white rogi od żubrów i łosi,
Porozwieszany oręż o zwycięstwach głosi:
Tam przyłbice odarte z połowieckich twarzy,
Orle skrzydła ze zbroi sarmackich husarzy,
I różnych barw turbany — głów tatarskich plony,
I z cerkwi Nowogrodu złociste ikony.
Obaczył tutaj krzyżak, pomiędzy innemi,
Sławne herby Malbarga i Chełmińskiej ziemi:
Orła na białem polu z koroną na szyi;
Obaczył swe proporce z imieniem Maryi,
Obaczył bratnie płaszcze — a myśl jego świeża
Na piaszczyste Bałtyku niosła się wybrzeża.
Przypomniął fale morskie, co bawiły oko,
I domek rodzicielski nad morską zatoką,
I komandorstwa mury z niebielonej cegły,
I jeszcze coś przypomniął, bo mu łyzy pobiegły.

XIV.

Bo duch ludzi rycerskich kształci się za młodu:
Krzyżak już kochał dziewczę swojego narodu,
Zmienne koleje uczuć już grały w młodziźnie,
I szczęście, i cierpienie, i odczarowanie;
To uwielbiał, to szydził, to znów gonił mary,
Czuł miłość jak młodziwiec, rozumiał jak stary.
Mógłby już opowiadać swego serca dzieje,

Bo zakuta pancerzem pierś prędko mężnieje,
Bo w obozie krzyżowców wkłada się znienacka
I szlachetność rycerska, i gminność żołdacka.

Od dziecinnej kolebki, z matczynego łona
Wysysał chrześcijańskich wielkich cnót nasiona;
Siwy ojciec bywało na konia go bierze,
I uczy robić włócznią, i mówić pacierze,
I powieścią turniejów zabawia chłopaka,
Gdzie najpiękniejsza z dziewic, jakby święta jaka.
Z wysokiego krużganku pogląda ku ziemi
I rozdziela nagrody między walczącemi.

Cóż za dziw, że powieściami rozmarzone dziecię
Uczyło się po Bogu dawać cześć kobiecie?
Że, nim w piersiach zagrała namiętności burza,
Wierzył w ziemskie anioły, jak w Anioła Stróża?
Że marzył o dziewicach promiennie i świetnie?
A kiedy serce młode, osiemnastoletnie,
Zadrgało lubym dreszczem, co się zwolna wkłada,
I zapukało silnie ku córce sąsiada —
O! wtedy błogich myśli tak wiele... tak wiele!
A w duszy taka świętość, jak w Pańskim kościele,
A dumki takie piękne, tak czyste, jak złoto!
Czy był wzajem kochany? — ani pytał o to!
Choć lubego spółczucia mógł dopatrzeć trocha,
Lękał się jej znieważyć — nie mówił, że kocha;
Tylko czuje pacholę, że mu coś uroczej,
Gdy patrzy w święte niebo lub jej piękne oczy.

Ale niewinność serca, to jak pył na kwiecie:
Pierwsza burza żywota oberwie i zmiecie.
Ledwie włócznię udźwiga, ledwie pancerz spina,
Poszła na dwór krzyżacki niewinna dziecina;
Tam, starszyzna i młodzież, wśród hucznej swawoli,
Z najdroższej jego wiary odarli powoli;
Tam gdy ucho ciekawe bluźnierstwom otworzy,
Zawahał się w swej wierze i miłości Bożej;
Zakosztował z puharu — przed rumieńcem z wina
Rumieniec wstydlivosti już pierzchać poczyną,
A otwartych zalotów raz zostawszy świadkiem,
Wstydził się świętych westchnień, co ronił ukradkiem:
Wpośród wesółych wdziękiń na dworze i w mieście,
Zapomniał czci rycerskiej, co winien niewieście.

Śladem idąc, gdzie droga skażenia ubita,
Sam kłamliwie przysięga, o prawdę nie pyta,
A za godło rycerskie przybrawszy motyla,
Nowemi uczuciami bawi się co chwila.
Miłość, wiarę, nadzieję, wszystko brał za baśnie;
Choć przypłaci niewiarę, choć serce zadraśnie,
Udawał sam przed sobą, że nie boli rana,
Zdobywał się na uśmiech z przesadą młodziana.
I przyszły namiętności — ugięty ich próbą,
Młodzian począł morderczą walkę z samym sobą.

Bo dusza, gdy się Bożych napije promieni,
Szatan zbawienne ziarno niełacno wypłeni.
Jedno święte westchnienie kiedy pierśmi ściśnie,
Jedna łza uroczysta gdy z oczu wytryśnie,
Już dusza odrodzona, ognista i młoda,
Na długo się, na długo zwątpieniu nie poda;
Jeszcze nieraz w zapasach grot piersi rozłamie,
Lecz do ciosów odbicia hartowniejsze ramię.

XV.

W takiej-to walki ducha uroczystej chwili
Krzyżowcy na Litwinów wojnę ogłosili,
I pod murami Pullen pobici na głowę,
I młodzieniec się dostał w więzy Margierowe,
I zaniesion w komnatę, gdzie łupy i zbroje,
Kędy obaczył płaszcze i chorągwie swoje,
Kędy stare proporce i podarte krzyże
Uniosły na brzeg morski jego myśli chyże
I przypomniały sercu swobodę dziecinna
I chatę rodzicielską i miłość niewinna
I duch jego uniosła tajemnicza władza,
I zapłakał łzą świętą, co duszę odmładza.

XVI.

Dziwna jest kolej czasów, gdy nas serce boli:
Bo lata płyną prędko, ale dni powoli;
Miesiąc przemknie nad głową, jak chimurka niestała,
A godzina, a chwila, to jak wieczność cała;
A gdy dusza znękana orzeźwić się życzy
I wspomnieć całą kolej przebytych goryczy,
To całe ciężkie lata, całe dni boleści,
W jednym tylko wrażeniu, w jednej chwilce zmieści.
Takie życie wiódł krzyżak w niewoli Litwina;

Przeboleł cały miesiąc — i już zapomina,
I cierpienia i myśli przeminęły marnie;
Ale dzień do przebycia — to cięższe męczarnie.
On, niecierpliwą dłonią zasłoniwszy oczy,
Przeklina słońce Boże, że leniwo kroczy,
Na swem łożu boleści targa się i zrywa,
Zabija go bezsenność i drzemka leniwa.
Przebiegł myślą swej całej przeszłości obrazy
Po drugie i po trzecie — może ze sto razy;
Przedumała już wszystko rozmarzona głowa,
Co się w serca tajnikach najzakrytszych chowa,
I już go unużyła, jak najcięższa praca,
Myśl, która bez przestanku kołem się obraca.

Bo dla młodego serca to jeszcze zawcześnie
Przeszłemi wspomnieniami napawać się we śnie;
Przed tym, kto drogę życia ledwie rozpoczyna,
Jest kraina przeszłości, nadziei kraina,
Jak ziemia obiecana piękna i bogata;
Choćbyś marzył dni całe, marzył całe lata,
Jeszcze trafisz co chwila na ścieżkę nieznaną.
Nie zbierzesz wszystkich kwieci, co tam rozsypało,
Nie zliczysz wszystkich skarbów, które tam ukryto.

Ale Krzyżak, w niewoli i z piersią rozbitą,
Wie dobrze, że się jego przyszłość nie promieni,
Bo śmierć nad jego głową, jak miecz na włosieni,
Zawiesił srogi Margier: przez nienawiść starą,
Krzyżak bogów litewskich ma zostać ofiarą;
Każdy dzień, każda chwila powołać go może
Przed ołtarz ofiarniczny, pod kapłańskie noże.
Krzyżak był obdarzony bohaterską duszą:
Nie zadrzałby przed śmiercią, kędy włócznie kruszą,
Ległby mężnie od miecza lub od samopału;
Ale umierać codzień, umierać pomału,
I liczyć ziarnka piasku w żywota klepsydrze,
To piersi obezsili i odwagę wydrze.
Gdy wszedłszy na wieżycę, nad zamkowe wrota,
Uderzy w róg bawoli stary wajdelota,
By dać hasło po Litwie rankiem lub z wieczora,
Że jutrznia na niebiosach, że modlić się pora,
Lub gdy stara wróżbiarka w zamkowej podziemi
Rozpocznie swój rozhovor z bogi piekielnymi,
I śpiewa drżącym głosem, i krzyczy, i płacze,

I echo jej przywórczy, i jękną pułhacze, —
 Krzyżak zrywa się z łoża i oddech przyczaja,
 I mniema, że litewskich ofiarników zgraja
 Pozapalała stosy, wyostrzyła miecze
 I schwyci go za chwilę i na śmierć powlecze.
 Ale wszystko umilka... i młodzian zadrzemie.
 I znów niesfornym wrzaskiem zajękło podziemie,
 I znów go przerażenie ogarnia i mami
 I męstwo z jego piersi wysysa kroplami.
 Gdy fatalna godzina przed jeńcem ukryta,
 Sto razy żegna życie, sto razy je wita.

XVII.

A rany jego ciała już się pogoiły:
 Litwin, siwy jak gołąb zgrzybiały, pochyły,
 Z cudownymi balsamy, i we dnie i w nocy
 Czuwał z woli Margiera w młodziana niemocy.
 Imię starca jest L u t a s (lew w litewskiej mowie),
 Bo siłę i odwagę dali mu bogowie;
 Z jego piersi głos silny gromem się odzywa,
 A długi włos i broda, jak gdyby lwia grzywa,
 Spadały mu poważnie na piersi i plecy.
 I pobliscy Lachowie, i Niemcy dalecy,
 I Ruś, i Tatarszczyzna i dziś jeszcze pomną
 To oblicze wspaniałe, tę postać ogromną,
 I siłę jego ramion, i potęgę młota,
 Gdy się w boju nasroży i karki gruchota;
 Wiedzieli jego głosu potęgę złowroga,
 Która serca umacnia lub napęlnia trwogą,
 Która swoich zapala do bitwy junaczej,
 A na wrogi uderza zwątpieniem rozpaczy.

Mnogie lata przebiegły, przyszła wieku zima.
 Zgarbiły się potężne ramiona olbrzyma,
 A długa czarna broda i włos jego głowy
 Pobielały jak mleko, jakby śnieg grudniowy;
 A głos, co ryczał w boju, jak piorun wśród burzy,
 Dziś tylko do piosenek bohaterskich służy:
 Bo starcom dano przeniesć w pieśni i powieści
 Chwałę starych praojców do potomnej cześci,
 Aby nie zaginęło w najpóźniejszej chwili,
 Co widzieli, słyszeli i czem sami byli,
 Jako świętych kapłanów, co pilnują Żnicza,
 Tak i starców na Litwie władza tajemnicza:

Bo jedni na ołtarzu ogniska bożego,
Drudzy ognia, co w sercach, pilnują i strzegą...

XVIII.

Dzięki lekom, krzyżacka zasklepia się rana;
Tylko srodze pobledniał, bo krew u młodziana
Nadto hojnie płynęła i z piersi i z głowy,
A myśli rozpaczliwe, niepokój grobowy,
Nadto go obezsila, nadto serce bodzie,
Aby więzień orzeźwiał, jako na swobodzie.
Przygodą zaniesione czasem krasne róże
Zakwitną w ciemnym lochu na wilgotnym murze;
Lecz żał się Boże kraski — tak wątła, tak błada,
Jeszcze kwiat nie przekwitnął, a już liść opada;
Wije się ziemny robak około jej łona,
A na bladej purpurze siada pleśń zielona;
Tak młodociany jeniec więdnieje i ginie.
Lutas odgadł cierpienie, i w starym Litwinie
Ozwało się uczucie, co wstręt przezwycięża,
Choć rodu niemieckiego niecierpiał, jak węża.
Bywało ledwie raczy spojrzeć nienawistnie,
Albo żwawo ofuknie, lub przeklątwem ciśnie
Czy mu ranę namaści, czy uwarzy ziela,
Znaczno, że leczy boleść, lecz jej nie podziela.
Szydził z jęków: bo długim zahartowan bojem,
Tyle ran widział w ciele i cudzem i swoim,
Tyle broczył się we krwi przez całe swe życie.
Że go ciała boleścią niełacno zmiekczyć.
Lecz postrzegłszy po jeńcu, że go dusza boli,
Srogie serce Lutasa rozmięкло powoli,
I mordercze spojrzenie złagodził widocznie,
I łagodniejszym głosem pomrukiwać pocznie.
Spytał go o nazwisko — i wspomnienia zbiera,
Że znał dawnemi laty Ransdorfa Warnera,
Co mu bliźnę brzeszczotem wypisał na twarzy.
(Był to ojciec Krzyżaka, wódz toruńskiej straży).
Potem słówko po słówku — tylko patrz na dziada:
Kiedy oko roziskrzy, kiedy się rozgada,
To się tak wspomnieniami rozigra, rozświetni,
Jakby z pleców garb zrzucił sześćdziesięcioletni.
Zda mu się, że odmłodził, że wskrzesnął na sile,
Że wiedzie rówienniki, co już śpią w mogile,

Że mu hełmem bojowym najeża się głowa,
Że rozbija toporem wieżyce Kijowa!

Kiedy się rozpromieni, gdy rozżarzy ducha,
Czasem Margier przychodzi i powieści słucha;
Milczący, zadumany, słowa nie uroni,
Tylko mu krew rycerska uderza do skroni,
Tylko z pod chmurnych rzęsów, na czarnej źrenicy
Błyśnie mu jakiś ogień na kształt błyskawicy,
I oczy ku tej stronie obróci znienacka,
Kędy morze Bałtyckie, gdzie ziemia krzyżacka,
I ściska gniewnie pięści, jakby pocisk mierzy,
Którym złamie potęgę niemieckich rycerzy.

XIX.

Lecz nad młodym Ransdorfem nie pastwi się zgoła,
Ani go na ofiarę przed ołtarz nie woła,
Nie wkłada mu łańcuchów, nie nagli do pracy,
Lubo w boju na Litwie pojmani krzyżacy
Kopią lochy podziemne w robocie zadanej,
Albo znoszą kamienie i murują ściany,
Lub skuci kajdanami, w pocie i mozołe,
Ciosają twarde kłody, albo orzą pole.
Krzyżak od prac swobodny — czy srodzy wrogowie
Szanują jego młodość, czy jego niezdrowie?
Czy może niezachwiana woła Margierowa
Oszczędza niewolnika, bo na męki chowa?
Któż zgadnie? — ale cała litewska starszyna
Przyjmuje krucygiera, jak brata, jak syna,
Jak gościa, co z daleka przybywa w te kraje.
Stary Lutas mu śpiewa i powieści baje;
A nawet srogi Margier przy książęcym stole
Wskazał miszkę i łyżkę, gdzie jada pachole,
I z Niemcem, jakby z dzieckiem swego pokolenia,
Podziela chleb swój żytni i ałus z jęczmienia,
I nigdy przy nim klątwy na Niemców nie miota;
Pozwala mu wychodzić poza twierdzy wrota,
Gdzie po całych wieczorach w zamglonej oddali
Młodzian patrzy k'Niemnowi, i po jego fali,
I po wietrze wilgotnym, co nad rzeką płynie,
Posyła swoje dumki dalekiej rodzinie,
Pozdrowienie rycerstwu i pokłon mistrzowi
I pyta się u wiatru: czy żywi? czy zdrowi?

XX.

Choć marzy o rodzinie i śni pruskie miasta,
Rzecz dziwna, że do Litwy serce mu przyrasta.
On polubił Lutasa pieśni wojownicze,
Lubi patrzeć w rycerskie Margiera oblicze,
Polubił Niemna brzegi i zielone błonie,
Pobratał się z chmurami, co błędzą w tej stronie,
I z powietrzem litewskim — i czuł w samej rzeczy,
Że zimny wiatr niemnowy piersi mu uleczy.
Och! to nie wiatru cuda, nie chmur, ani błoni,
Nie piosnek, które stary burtynikas dzwoni,
Nie powietrzem litewskim, ni chlebem, ni wodą,
Lecz inszem czarodziejstwem jego duszę młodą
Przykowano do Litwy, przykowano zdradnie:
Egle, córka książęca, swój urok nań kładnie.
Widział ją u kądzieli, przez okno z za kraty,
Potem widział na łące, jak zbierała kwiaty;
Uczuł w sercu niepokój, w snach odmianę błoga
Dziwił się, że poganki tak piękne być mogą,
Że z ich oczu Kupido swe postrzały miota,
Że tyle ma powabu ich leśna prostota.
Bo co insza dziewczica lub niewiasta pruska,
Gdy się w strój pozłocisty na ucztę wymuska
I, strzelistym spojrzeniem uderzając śmieie,
Liczne u drobnych stópek hołdowniki ścieie;
Nie taka dziewa Litwy — pokorna, nieśmiała,
Strojna tylko rumieńcem, co w jej licach pała,
Ozdobna jasnym włosom we dwoiste sploty,
Nie powstał na niej atlas lub strój szczerozłoty;
Śnieżysta biała szata jej kibić obwija,
Sznurem krasnych koralu uwodzięcza się szyja,
A na głowie stalowych ogniwek przewłoka
Nie zdoła zgasić blasku błękitnego oka.
Ej! nie darmo na Litwie piosenka rzewliwa
I jagódka, i kwiatkiem dziewczynę nazywa:
Bo łagodne spojrzenie, bo oblicze młode,
Piękniejsze niżli kwiaty, słodsze nad jagodę.

XXI.

Ponad Niemnem, na błoni, szeroka a długa
Ciągnęła się zarośli niedostępnych smuga;
Tam nad gęstemi krzewy rozciągał konary

Dąb przedwieczny, jak gdyby patryarcha stary,
Co błogosławiąc dziatwie w ich życia jutrzence,
Nad młodem i głowami rozpościera ręce.
A czoło dębu suche, nie ubrane w liście,
Bo go piorun przed laty roztrzaskał ogniecie
I popisał mu czoło pręgi szerokiemi;
A wróżbiarka, co mieszka w zamkowej podziemi,
Wyrzekła uroczyscie, że to znak nielada,
Że sam Perkun wśród dębu mieszkanie zakłada.
Odtąd gaj nadniemnowy był świętym dla Litwy,
Miłym uchronem bogów i miejscem modlitwy;
Na gałęziach i w szczerbach, które piorun czyni,
Ustawiono bożyszcza, jakby we świątyni.
Co rano i co wieczór w tej gęstej zaciszy
I Potrymbos i Milda, co miłością dyszy.
I Ziemiennik, co plonem błogosławi jesień.
Odbierali swe hołdy z modlitew i piosen.
A święcone u Litwy jeszczurki i węże,
Czuając, że tu żarłoczny bocian nie dosięże,
Zwijają się po trawie secinami kroci
Pośród wonnych przyłasczek i bujnych paproci.
Kopią nory wśród liści i suchych badyli.
A pobożni Litwini od chwili do chwili
Przychodzą tu się modlić — jak pora nadarzy,
Ofiarnicy, dziewczęta lub mężowie starzy,
I dąbrowa, w południe samotna, milcząca,
Kipi gwarem o wschodzie i zachodzie słońca,
Aż się echo kołysze w lesie i nad wodą,
To cichym starców szmerem, to piosenką młodą.

XXII.

Tam dziewczica książęca, kwiatami przybrana,
Szła na czele rówieśnic modlić się co rana.
Głos ich dźwięcznej piosenki rozplywa się z rosą,
A dziewy konwie mleka albo kwiaty niosą.
Kwiatami opasują dąb święty, pochyły,
A mlekiem poją węże, co tak się zuciły,
Że, byle na rozdrożu zapiał głos dziewczycy,
To z pod każdej jagódki, z każdej trawy syczyć
Tysiące głodnych żądał — i nieraz gadzina
Czołga się aż do ręki, aż do szyi wspina.
I pieści się u łona niewinnej dziewoi,

I czeka aż przemówi a mlekiem napoi.
 Raz krzyżak zaczajony wśród krzaków i ziela,
 Widział Eglę, gadzinom jak pokarm rozdziela,
 I mówił sam do siebie: — O, ślepi Litwini!
 Tutaj nie wąż jest bogiem — tu ona bogini;
 Jedno skinienie oczu — och, skinienie święte! —
 Działa na podłym płazie cuda niepojęte.
 Piękno! to wielkie słowo! potęga nielada!
 Bo najbrzydsze potwory u stóp swoich składa!
 Bóg jest Piękniem i cuda Swoje złożył w Pięknie,
 Przed Niem wdzieczy się niebo, a ludzkość uklęknie,
 A piekło na twarz pada i w prochu się wala! —

Tak rycerz turniejowy, patrząc z oddala
 Hołdował dziecku Litwy, niewinnemu dziecku.
 Raz ją spotkał, raz w oczy spojrzał po zdradziecku,
 Ale córka Margiera, jakby ostrym grotem,
 Skarciła go spojrzeniem, ani wiedząc o tem;
 Ani się domyślała jej dusza dziecięca,
 Że skażone pacholę na nowo poświęca,
 Że to jedno spojrzenie, jakby chrzest uczucia,
 Omywa jego duszę ze skazy zepsucia.
 Krzyżak czuł się odrodzon... O duszo ty młoda!
 Miętkość twoja każdemu wrażeniu się poda;
 Czemuż pieczęć na tobie kładą na przemiany
 Dziś Pańscy Aniołowie, a jutro szatany?

XXIII.

Egle często Ransdorfa spotyka na błoni;
 Czy polubiła Niemca? — O, niech Perkun broni!
 Wszak to wróg zaprzysięgły litewskiej swobody;
 Szkoda tylko, że cierpi... taki jeszcze młody!
 A tutaj go tęsknota zgnębi do ostatka.
 U niego pewnie siostry, u niego jest matka,
 On od swojego Boga musi żyć w oddali.
 A czy dobrze... naprzykład... gdyby nas skazali
 Żyć kędyś w Niemieczech, na krzyżackiej ziemi,
 Nie widzieć nigdy Niemna, nie gadać ze swemi?
 Toby człeka najpewniej zabiło boleśnie!
 Biedny krzyżak! on ze snu zrywa się tak wcześnie,
 Chodzi po wałach, cierpi — zwyczajnie w niewoli...
 Ja muszę z nim pomówić, spytać, co go boli?
 Może zdejmę choć trochę troski z jego głowy! —

Tak, wracając z modlitwy ze świętej dąbrowy,
Mówiła sama w sobie litewska dziewoja.

O, córko Margierowa! biedna główka twoja!
Żałujesz, że w niewoli cierpi krzyżak młody:
Pożałuj twego serca — już nie ma swobody!

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Zamek Pullen uśpiony. Piękna noc na dworze:
Księżyc hula wśród gwiazdek w błękitnym przestwo-
Iskrzy Niemen złocistą miotłą swych promieni, [rzc,
Po dolinach rozrzuca długie pasma cieni,
Ozłaca stare baszty i dalekie knieje,
Których cień na błękicie czarno wybitnieje.
W ruchomem jego świetle, jak gdyby na fali,
Pływają nocne widma i duchowie biali,
A z poza każdej baszty, z za każdego wzgórza
Jak gdyby tajemnicza postać się wynurza;
To tylko mgły z nad Niemna zwisły na krawędzi.
Które wietrzyk po błoni rozbija i pędzi.
Rzewnym oddechem niebios natchnieni ptaszkiowie.
Po zarosłych wiszarach, na każdym ostrowie,
Gwarne pieją przyśpiewki i rozhovor wiodą,
Aż się echo serdecznie rozlega nad wodą.

Zamek Pullen uśpiony — tylko straż na wale.
Czasem brząknie na trąbce sygnał po sygnale:
Bo choć spokojne czasy, trzymaj się na wodzy.
Któż wie, co teraz myślą najeźdźnicy srodzy?

Kogut zapiał... to północ... śpi cała gromada.
Skądże ten blask od ognia, co na bramę pada?
Przedziera się, migoce blask żywy, iskrzaty,
Przez okienko podziemia, z za żelaznej kraty,
To przygaśnie, to buchnie, to znów się zaciemni;
Znać, że ludzie przy ogniu snują się tajemni,
Zebrali się tak późno, tak cicho, gromadnie...
Litwa czary wyrabia?... A któż ją tam zgadnie?

II.

O! zaprawdę to jukieś czary czy ofiary!
W głębi zamkowych sklepisk loch ciągnie się stary;
Tam się nigdy prze: okno słońce nie promieni;

Zapleśniał od wilgoci stary mur z kamieni;
Krwawy blask od ogniska uderza na ścianę;
Poczerwieniały od dymu sklepienia ceglane,
Bo tutaj Bóg Litwinów zamieszkał widomie.
Pała we dnie i w nocy niewygasłe płomie,
To Żnicz, co się z przed wieków uroczyście chowa,
Co go niegdyś do Wilna unieśli z Romnowa,
I co z małej iskierki, zapalonej w Wilnie,
Pielęgnowały ognisko troskliwie a pilnie.
Niejeden żubr, zabity w łowieckiej zdobyczy,
Napoił swoim tłuszczem ten stos ofiarniczy;
Nieraz tutaj niemieckie hanzeatów posły
Pełne stągwie oliwy dla Żnicza przyniosły,
I nicraz plecy jeńca, Lacha lub Germana,
Dźwigały tutaj z lasu jodłowe polana
Na pożarcie Żniczowi. Ale u ołtarza
Wciąż jedna tylko ręka ognisko rozżarza,
Ręka sucha, jak trupia, jakby szkielet z kości.
Opalona od ognia, drżąca ze starości:
Marti, kapłanka Żnicza, jakby mech zgrzybiała,
Od sześćdziesięciu wiosen tutaj zamieszkała.
Było to młode dziewczę, jak róża w rozkwicie,
Tu zakwitło, kraśniało, tu zeszło jej życie,
Tu dźwięczny głos niewieści przybrał dzikie tony,
Tu blask pięknego oka wygryzł dym święcony,
Tutaj wszystkie uczucia, czem dusza bogata,
Wszystkie dumki i wszystkie namiętności świata,
Wszystko, czem żyje głowa, czem się serce żarzy,
Marti oddała bogom, a do ich ołtarzy
Przyrosła jak kolumna.

I cóż więc za dziwa,
Że dziś natchnienie bogów jej piersi rozrywa?
Że widzi na wskroś niebo ciemnymi oczyma?
Że Żnicz w zgrzybiałym łonie swój ogień rozdyma?
Że słyneła wróżbiarką ofiarnica ciemna
Od wybrzeży Połagi aż do źródeł Niemna?

III.

Lecz żadne bóstwo wiosny, miłości, młodości,
Nie bierze od niej ofiar, w jej sercu nie gości;
Tylko Poklus, bóg piekieł, ma hołd u ogniska,
Tylko Perkun straszliwy, co gromami ciska,

Tylko lubi przy Żniczu kłęby dymu ciemne,
Tylko pieści jaszczurki i gady podziemne,
Tylko podziemne bóstwa rada przywoływa;
A każda jej piosenka złowroga, straszliwa,
Jakby wycie pułacza na wioskowej strzesie,
Co zwiastuje nieszczęście, albo śmierć przyniesie.

IV.

Dziś wszyscy wajdeloci i wszyscy kapłani
Tylko strachem i cześcią przejmują się dla niej;
Nawet krywe-krywejte z wileńskiej świątyni
Przysyła posłanniki i ofiary czyni
Bogom, co w zamku Pullen, pod wróżbiarki strażą:
Bo Poklus, bożek piekieł, z zagniewaną twarzą
Staął przed nią widomie — a Litwini dzicy
Przynieśli mu ofiarę z krwi synogarlicy,
I przed jego posągiem padając na lice,
Kadzili pruski bursztyn i wschodnią żywicę,
Mniemając, że krew ptasza, albo wonność droga
Przebłaga zagniewanie straszliwego boga.
Lecz Poklus, niedowolen takową ofiarą,
We trzy dni znowu stanął przed wróżbiarką starą;
Na strasznych jego uściech gniew trzęsie się bladszy,
A ognista żrenica jeszcze srożej patrzy.
Widząc, że tu krwi ludzkiej wymaga bożyszczce,
Lutas przebił swą rękę, — a ze krwi, co świszczce,
Czynił całopalenie, modlitwę, zakłęcie,
A naród zgromadzony już uwierzył święcie,
Że krew, co z ręki mężnej wysączona tryska,
Gdy się spali, niebiosą i piekło pozyska.
Buchnął płomień, podsycon rycereską posoką,
Ucieszyła się Litwa; ale Marti oko,
Co zamknięte dla świata zna tajniki piekła,
Nie zajaśniało blaskiem.

V.

Wróżbiarka wyrzekła:
— Za trzy dni w tem podziemiu zbierzcie się, Litwini;
Poklus ostatnie jeszcze zjawisko uczyni.
Obaczę, czy spokojne, czy wzdyma się łono,
Czy mu oczy litością, czy gniewem zapłoną,
Czy już się ze swej groźby rozbroiły nieba,

Czy jeszcze krwawszych ofiar na ołtarz potrzeba.
Za trzy dni o północy niech się naród zbierze.
I ty, szlachetny książę, rycerski Margierze,
Bądź tutaj ze swem dzieckiem — los się nie odmienia:
Może trzeba krwi twojej lub twego plemienia,
Może trzeba łez czyich — więc bądźcie ochoczy.
Kto może łzy wyleje, albo krew wytoczy,
Niech pomni, że to bogom staje się zadosyć
I że warto dla Litwy ofiarę ponosić.

VI.

Za trzy dni o północy, na kształt bladych cieni,
Zeszli się znów Litwini trwożni, przerażeni,
Bo przed strasznem zjawiskiem nieziemskiego świata
I w najmężniejszem sercu święty strach kołata.
Każdy żegna się z życiem, bo któż zgadnąć zdoła,
Kogo krwawe bożyszcze przed ołtarz powoła?
Czyje piersi rozpląta święcona siekiera?
Więc się każdy z Litwinów jak na śmierć ubiera;
W lnianych szatach, z orężem od srebra i złota,
Co kto miał, co kto lubił ze swego żywota.
W to się wszystko przystroił. Rzędami stanęli
Mężowie jak do boju, a niewiasty w bieli,
A dziewice zielono z wieńcami na głowie,
Kapłani przysli z harfą i z lirą starcowie.
Margier w bobrowym szłyku a w żelaznej zbroi,
Wsparty na dzielnej włóczni, nieruchomie stoi;
Choć mu tajemnych myśli nie wyczytać z twarzy,
Pewno, że nie o sobie, lecz o Litwie marzy;
Chętnie dostojną głowę pod topór położy,
Byle tylko nad Litwą uśmierzyć gniew Boży,
Byle Poklus ujęty, kiedy krwią opłynie,
Wyrwał mordecze żądło krzyżackiej gadzinie.
Zna, że ze swoją twierdzą i z pierśmi mężnemi
Chroni jak mur od Niemna macierzystej ziemi,
Czuje dobrze, że tarcza w jego rękach święta,
Pod nią litewskie strzechy, pod nią niemowlęta,
Pola chlebem zasiane i rodzinne bogi
Spoczywają spokojne, wolne od pożogi.
Więc pyta sam u siebie i wyroki bada:
Kto jego tarcz udźwignie? kto mieczem zawłada?
Kto czujniej będzie pełnił nadniemnowe straże?

A zresztą gotów na śmierć, jeśli Poklus wskaże,
Gotów umrzeć za Litwę lub dać własne dziecię.

VII.

Cóż Egle wobec śmierci? jej serce kobiece
Czyż nie zadrga obawą? — O! to wielkie, serce!
Zdoła umrzeć, jak słuszną dzielnej bohaterce,
Nie shańbi krwi książęcej nikczemną obawą;
Ależ do niej i życie, i młodość ma prawo.
Od niejakiego czasu, gdy oczy otworzy,
Tak coś dobrze na sercu, popiękniał świat Boży!
„Co to za szczęście młodość! — tak się w duszy chwali:“
Jacy dobrzy bogowie, że nam życie dali!“
Bo na powaby życia, na uczucia święte
Przejrzało oko duszy aż dotąd zamknięte,
Otworzyło się serce na radość bez końca,
Jako młody pierwiosnek dla pięknego słońca.
I teraz trzeba umrzeć... na ofiarę zową,
Spojrzeć z pięknej jutrzienki na otchłań grobową!...
Nie dziw, że dreszcz ogarnął bohaterkę śmiałą,
Głowa się zamroczyła, a w oczach ściemniało,
Dreszcz bojaźni po sercu przebiegł mimo chęci:
Zna już wartość dni młodych, które bogom święci.
I głowę przystrojoną w młody wianek z ruty
Zwiesza ku drżącym piersiom, i żalu wyrzuty
Stara się wyższą myślą wyprowadzić z łona,
A na licu jej bladość, w oczach łza tajona.

VIII.

Już północ. Lud w podziemiu zebrał się gromadnie,
Milczy jak wobec śmierci i stos łomów kładnie,
A wróżka je zapala i kropi oliwą.
Krwawe blaski po ścianach odbiły się żywo,
Zaiskrzyły w pancerzach, co noszą mężowie,
Zapłonęły w kolorach na niewieściej głowie,
Zajaśniały na twarzy siwego brodacza,
I czarny cień rozliczne gromady otacza;
A tu cisza, jak w grobie... Ledwie posłyszycie
Huk płomieni, trzask polan i serc trwożne bicie.
Wtedy wróżka obrządek rozpoczyna wieszczcy:
Skinęła na kapłanów — i sto trąb zawrzeszczy;
Płaczą się w jeden rozgwar najsprzeczniesze tony,
I rózek chrapowaty i flet wypieszczony,

A wszystko przeraźliwe, gwarliwe, niestrojne,
Aż od echa zadrgało sklepienie spokojne.

A nad wszystkimi wrzaski, nad wszystkie rozgwary,
Przemaga krzyk natchniony czarodziejki starej;
Na oczach ociemniałych błysnął wyraz wściekły,
Włosy się najeżyły, a usta zapiekły;
Nic nie widzi, nie słyszy, chyba w głębi ducha,
Tylko ostatkiem głosu straszną pieśń wybucha.
Skinęła — ustał rozgwar — znów cisza grobowa.
Stos pali się powoli — już tylko połowa;
Ogień jaśniej i równiej oświeca sklepiska.
Wróżka garściami żywicy do płomieni ciska;
Wybuchnął żwawszy ogień, dym rozwiął się smolny,
I zagrzmiało z daleka... Przestrasz mimowolny
Ogarnął serca Litwy, upadli na twarze.
Marti trąbom na nowo odezwać się każe,
I mierzonymi takty z całej siły krzyczy:

— Poklusie! czarnych piekieł boże tajemniczy!

Ublagany, czy groźny, w płomieniu, czy w gromie,
Wpółśród twojego ludu objaw się widomie.
Powiedz: za co nam pomstę zapowiadasz nieba?
Jakiej dla cię ofiary, czyjej krwi potrzeba?
Wskaż na kogo uderzyć, daj mordercze hasło! —

Umilkła... dopalone ognisko przygaśło;
Więc bierze garście siarki i na węgle rzuca,
A jak gdyby wołanie zerwało jej płuca,
Padła pierśmi na ziemię i w prochu się tarza.
A ze stosu, co płonie, węgla się, rozżarza,
Buchnęły kłęby dymu, buchnął płomyk siny,
I trupi blask uderzył po ciemnej jaskini.
Znowu grom wstrząsnął gmachem z potęgą olbrzymią...
Cudo! z siarczystych kłębow, co ze stosu dymią,
Ukazało się bóstwo tak straszliwej twarzy,
Jak tylko senna zmora w gorączce wymarzy!
Postać naga, koścista, włosata, brodata,
A ze żrenic spojrzenie jak płomień wylata,
A na czole, na ustach i na wzdętem łonie,
Trzęsie się dzika groźba, gniew straszliwy płonie.
Była cisza — bo ludzie upadli bez siły,
Zdaje się wszystkie piersi oddech przytęliły.
Tylko Margier nie klęknął, choć twarz jego pała,
Choć znacznie, że bożyszczu na serce mu działa,

Nie spuścił nawet oka — oczyma mężnemi
Zmierzyli się bóg piekieł i bohater ziemi.
Ale ogień siarczysty gaśnie, dogorywa,
I nadziemskie widziadło z dymem się rozplywa.
Wróżka powstaje z ziemi i ogień roznieca;
Poklus zniknął z podziemia — tylko twarz kobieca
Pobladła, posiniała, jakby konająca,
Zwraca się ku ludowi — i z piersi wytrąca
Słowa ciche, powolne, jak gdyby kaskada,
Jak strumyk, co do Wilji z gór Ponarskich spada:
— Poklus objawił wolę... drzyj, książę Margierze!
Nad baszty twego zamku wnet chmura się zbiera.
Chowasz dziecię z krwi obcej, co Litwę wyniszcza:
Własna krew przygotuje płomienie i zgłiszcza,
Które dom twój zagubią — zagubią cześć bożą,
Wrogom bramę do Litwy na oścież otworzą.
Nie ukoisz inaczej wyroków srogości,
Chyba krwią pacholęcia, co w twym domu gości.
I nie dalej, jak jutro w północnej godzinie,
Niech krew młodego jeńca na ołtarz popłynie.
A ciało jego spalić w ofiarnej pożodze,
A proch rzucić na wiatry przy rozstajnej drodze! —
Tak mówiła wróżbiarka, znękana i blada,
Ślania się wysilona i na ziemię pada.

IX.

Margier rycerskie czoło uchylił w pokorze:
Szanuje wiarę ludu i wyroki boże.
Puścić wolno Ransdorfa książę miał w zamiarze,
Lecz wyższy obowiązek poświęcić go każe.
Czy bogowie zaprawdę pragną krwi młodziana,
Czy się tylko nań sroży wróżka zagniewana,
Zawsze zgon krucygiera w ostatecznym kresie
Znakomite dla Litwy owoce przyniesie:
Bo ku bogom rodzinnym więcej wiary doda,
A w tej wierze dla Litwy siła i swoboda,
Bo na serca litewskie wciąż działać należy,
Jątrzyć wieczną nienawiść dla pruskich rycerzy;
To do śmiertelnej walki posłuży najlepiej,
I miecze zahartuje, i serca pokrzepi.
Margier westchnął, i kazał kapłanom, ludowi,
Aby jutro stanęli do ofiar gotowi,

A on sam, wierny bogom, jak wróżbiarka radzi,
Niemieckiego rycerza pod cios przyprowadzi.
Lecz dodał: — Kiedy człeka pod topór już kładniem,
Nie wolno po zbójceku urągać się nad nim.
A biada temu z Litwy i śmierć jego głowie,
Kto rycerza znieważy, albo kto mu powie,
Jaki nań zapadł wyrok — niech ma spokój we śnie.
Na co wieścią złowrogą zabijać przedwcześnie?
Niemasz korzyści bogom, ani Litwie gwoli,
Że ktoś w męczarniach ducha cały dzień przeboli! —
Taki rozkaz wydawszy, pokłon bogom czyni
I z pochmurnem obliczem wychodzi z jaskini.

X.

— Straszne są bogi Litwy, którym hołdy święcę! —
Mówiła młoda Egle, załamując ręce, —
Jakie dzikie wyroki... jak przemocne prawa
Bóstwa, co żyje śmiercią, a krwią się napawa!...
Czyż dla zbawienia Litwy potrzebna jest zbrodnia?
Na co im krew niewinna obcego przychodnia?
Czy przeto wzniosą wielkość i potęgę swoją,
Kiedy ludzi na ludzi w nienawiść uzbroją?
Srogi Poklus — gdy z ojca chce czynić zbrodniarza,
Brzydka Marti — gdy takie wyroki powtarza...
Co im szkodzi ta głowa? zabijać ją .. poco?
Czy w niej całą potęgę krzyżacką zgruchocą?
A może ta dziecina, taka dzisiaj młoda,
Kiedyś rękę Litwinom przyjacielską poda
I powstrzyma nieprzyjaźń, co dwa ludy plami,
I złączy swoje bogi z naszymi bogami...
Nie, Marti, czarodziejko! próżna twa podmowa!
Na inszą krew niech Poklus pragnienie zachowa.
On nie umrze... przysięgam, że nie umrze wcale;
Ja go mojem ramieniem zasłonię, ocalę,
Ja wezmę miecz ojcowski — znacie miecz Margiera!
On nie chybi w zamachu, on pancierz rozdziera,
On w rozpaczliwych rękach — biada waszej głowie,
Kapłani i wróżbici, i sami bogowie!...

Ja bluźnię waszej sile i waszej dobroci...
Jutrznio! której blask święty na niebie się złoci,
I ty, który mię słyszysz, święty wietrze wschodni,
I wy, bogowie niebios i ziemi i wodni

I ty, krwawy Poklusie, co zatrząsasz piekła,
Przebaczcie nieszczęśliwej, co w żalu wyrzekła!
Ocalcie niewinnego z pod oprawcy młota:
Ja wam ołtarz zbuduję, dam srebra, dam złota,
Dam krwi mojej na ołtarz! —

Tak bolem, złamana,

Biedna Egle ze łzami pada na kolana,
Wzrusza niebo rozpaczą, miękczy przez pokorę,
Nie ukrywa przed sobą, co w jej sercu gore.

XI.

Było jeszcze nad rankiem — daleko wschód słońca.
Na wale, gdzie klęczała Egle bolejąca,
Niewidziany, chcąc użyć porannej pogody,
Siedział w myślach posępnych Lutas siwobrody.
Wysłuchiwał jej bluźnierstwa, modlitew, rozpaczę,
I zrazu nie pojmował, co to wszystko znaczy;
Lecz zrozumiał... popatrzał... i z oczu mu znaczo,
Że przebaczył dziewicy jej miłość dziwaczną.
On sam dumał boleśnie nad Ransdorfa losem.
— Słuchaj, córko Margiera — rzekł do niej półgłosem —
Bądź mężna — niech się twoje męczarnie ukoją,
Podśluchałem bolesną tajemnicę twoją.
Czyś powinna pokochać wroga twojej wiary?
Niebu tylko wiadomo — jam za nadto stary,
By sądzić wedle siebie dusze młodociane,
Albo w boleściach serca dać balsam na ranę.
Może i prawdę rzekłaś: za lepszych dni świata
Może miłość dwa ludy niezgodne pobrata,
Dla Litwy i dla Niemca będzie Bóg jednaków;
Ja nie chcę tego dożyć — niecierpię Krzyżaków.
Ale całą nienawiść, co mem sercem miota,
Chciałbym dowieść toporem lub ostrzem brzeszczota,
Jak dawniej, gdy truchleli na blask mojej zbroi...
Ej, pomarli, pomarli towarzysze moi!
Czy doznali mej ręki niemieccy wrogowie?
Lubiłem krew ich sączyć — i dziś, gdyby siła,
Jeszcze stara nienawiść w piersiachby odżyła,
Ale to z równą bronią, gdy do walki zową,
Lecz brzydę się morderstwem nad bezbronną głową.
Wiem, że własnej srogości pożałuję sami,
Gdy pamięć takich mordów naszą cześć poplami.

U mnie droga cześć Litwy, jam chlubny jej chwałą:
Trochę się za nią potu, trochę krwi wylało,
Zwyczajnie stary żołdak, co mam, tem się drożę.
Inaczej o tem myślą ofiarniki Boże;
Oni hełmu nie dźwigną, pod mieczem nie staną,
Im trzeba wieść przed ołtarz ofiarę związaną,
By swą wściekłość pobożną wywarli do syta! —
Tak mówił stary Lutas i zębami zgrzyta,
I żelazną prawicą uderza po czole
— Nie!! przysięgam na bogów! że ja nie pozwolę,
Aby zginał bezbronny, jak wróżka wymaga,
Młodzian, któremu z oczu iskrzy się odwaga,
Którego kiedyś w boju obaczą Litwini,
A którego pokonać — to chluby przyczyni! —

XII.

Lutas to zwolna gwarzy, to już w zapal wpada.
A Egle zapłakana, nieprzytomna, blada,
Przypada mu do kolan i błaga przyjaźni:
— Ocal, szlachetny starcze! ocal go od kaźni!
Obaczysz... będzie mężny, jak tyś był za młodu,
Będzie druhem wieczystym naszego narodu,
Jego nikt nie zwycięży, on wszystkich pokona! —
Lutas gorzko się zaśmiał: — Szalona! szalona!
Szkoda mi twej młodości, szkoda twej rozpaczy...
Któż wie, na co go Niebo dla Litwy przeznaczy!
Może na czele hufców znowu tu się zjawi
Dopuszczać się za Niemnem morderczych bezprawii,
Zapalać nasze chaty, pastwić się nad dziatwą...
Ha! ale Litwa chrobra nie podda się łatwo! —
Starzec westchnął... podumał i coś szepce do niej;
Spłakana twarz dziewczicy radością się płoni;
On wskazał ku niebiosom, ku niemnowej fali.
Snadź przyrzeka nieszczęsnej, że więźnia ocali.

XIII.

Słońce wieki płynęło po niebios obszarze.
Niepokój wszystkie w zamku wypiętnował twarze:
Margier smutny, ponury, słowa nie przemówi;
Egle od ranka patrzy wciąż ku zachodowi,
Jakby mierzy od słońca niebiosów błękity,
By się skończył dzień długi — och! dzień nieprzebyty;
Lutas potrząsa głową i sam z sobą gwarzy;

A niewiasty i dzieci, młodzieńcy i starzy
Krzążają się po zamku, patrzą na krzyżaka,
I niejedno spojrzenie, jak zła wróżba jaka,
Zatrzymało się nad nim, lecz w ciżbie prostaczej
Rzadko wyraz niechęci, częściej łzę obaczy.
I dziwi się pacholę, co się w zamku stało?
Czemu wszyscy nań patrzą boleśnie, nieśmiało?
Czemu zdala go mija litewska gromada,
A żaden nie pozdrowi, słowa nie zagada?
Zresztą, mało go troszczy ich trwoga nieznana;
O jedno chciałby spytać: dla czego dziś z rana,
Wedle swej pobożności, wedle obyczaju,
Nie szła córka książęca do świętego gaju?
Och! nie tak węże z gaju upragnione mleka.
Jak on spojrzenia Egli. Czy przed nim ucieka?
Czy odgadła płomienie, co mu w duszy gorą?
Czy może zatrudnioną? czy może jest chorą?
Czy może dziki Litwin — o biada mu, biada! —
Nadniemnowej bogini swe ofiary składa?
Ransdorf na takich myślach przebył dzionek Boży,
I on cierpiał — któż zgadnie? może cierpiał srożej;
Bo biedne młode serce, kiedy w niem zagości
Szatan niedowierzania lub piekło zazdrości!

XIV.

Słońce zaszło... Na wałach o wieczornej porze,
Jak zwykle — Ransdorf marzy... a tam ostrzą noże,
Gotują stos ofiarny, rozpalają płomień.
Ściemniało... postać w bieli zbliża się widomie.
Krzyżak oko wyteżył... to postać niewiasty:
Skrada się poza wały, poza dzikie chwasty,
Przybliża się... to ona przed jeńca czyni...
Pokraśniała... chce mówić, lecz oddechu nie ma —
Zdobyła się na słowo: — Cudzoziemcze młody!
Uchodź stąd... uchodź prędko... złamane przeszkody,
Ułatwiona ucieczka... przez Niemen... po błoni...
Uciekaj, nieszczęśliwy! śmierć za tobą goni! —

I chwyta go za rękę, i jak młode sarnię,
Bieży z wału — to dzikie zarośla ogarnie,
To przeskoczy przez kamień: — Spiesz się, spiesz, mło-
Aż serce jej kołace, aż oddech ustanie, [dzianie! —
A oczy jej tak iskrzą, jakby słońce we dnie,

A lice to skraśnieje, to znowu poblednie;
 Ransdorf tuż za nią dąży, lecz zgadnąć nie zdoła,
 Jaką śmiercią mu grozi i dokąd go woła;
 Jedno tylko rozumie: że tak dni i lata
 Leciałby z nią i leciał aż na koniec świata.

XV.

Nad błoń, pod starą olchę biegli zadyszani.
 Tutaj Lutas ich czekał u brzegu otchłani,
 Bo już odwalił kamień z pod olchy korzeni,
 A loch nieogarnionej, dalekiej przestrzeni
 Ukazał się ich oczom. Tu się Lutas spuści,
 Jak do ciemnej i strasznej piekielnej czeluści,
 I zawołał: — Ransdorfie! chwila uroczysta!
 Przysięgnij na twych bogów, przysięgnij na Chrysta,
 Że choćby przyszło płacić życiem lub swobodą,
 Nie odkryjesz nikomu, gdzie te lochy wiodą!
 Tam już w zamku spragnieni widzieć krwi twej fale —
 Ja przysięgłem ocalić, ja ciebie ocale.
 Temi lochy do Niemna droga nie daleka,
 A przy Niemnie twój rumak i łódka cię czeka,
 A przez Niemen do swoich dostaniesz się snadno.
 Lecz przysięgnij nie wydać przed potęgą żadną
 Tajemnicy tych lochów! —

Ransdorf ugiął szyję:

— Przysięgam na Chrystusa, na świętą Maryę!
 Rycerz Krzyża statecznie tych przysięg dochowa.
 Egle! szlachetna Egle! bądź zdrowa! bądź zdrowa!
 Wspomnij czasem Ransdorfa, o dziecko swobody!
 Weź ten krzyżyk — to Bóg mój! —

I krucygier młody

Wskoczył do lochu, poszedł kędy Lutas każe.
 A Egle pozostała przy ciemnej pieczarze,
 Odetchnęła swobodnie, zapłakała rzewno,
 I bada fale Niemna żrenicą niepewną,
 Aż wiatr zimny ochłodził gorące oblicze,
 A z zamku doleciały śpiewy ofiarnicze.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

W Malbarga wielkiej sali zbiera się obrada.
 Dwudziestu czterema okny blask słoneczny wpada

Na kamienną podłogę, na gotyckie ściany
I na orszak krzyżaków gromadnie zebrany;
Złoci ich białe płaszcze, zaiskrza się, pali
Na hartownych pancerzach, na hełmach ze stali.
A wszyscy niemal bracia jednakiej urody,
Jednako noszą płaszcze, pancerze i brody.
Jednostajna nad hełmem rozwiewa się kita;
Tylko na każdym licu inna myśl odbita.
Owdzie twarz siwobroda, znojem ogorzała,
Rozognionym rumieńcem bohatersko pała;
Owdzie lica wybladłe, pieszczone jak cacko.
Uśmiechem zalotności, swobodą hulacką
Odnaczają czcicieli Bacha i rozpusty;
Insze zaś oblicza z zaciętymi usty;
Ze spuszczoną żrenicą, poczerniałe, chude,
Znaczą dziki fanatyzm lub świętą obłudę.
Ale na żadnem czole i na żadnej twarzy
Piętna cnót chrześcijańskich spotkać się nie zdarzy,
Bo kościelni rycerze zapomnieli ninie
Wzoru swych patryarchów, którzy w Palestynie
Nieśli chorem w szpitalach ratunek najżywszy,
Albo, świętej Maryi swój miecz poślubiwszy,
O głodzie i o chłodzie w Chrystusowe imię
Zabezpieczali w stepach gościnie pielgrzymie;
Od nich miał wspomóżenie ubogi i słaby,
Gdy o żebranym chlebie walczyli z Arabi.
Dzisiaj nad Grobem Pańskim już nie pełniąc warty,
Usiadł mnich na książęcej stolicy rozparty;
Wypróbowałszy miecza na świętej posłudze,
Zatopił chciwe szpony w posiadłości cudze,
A nad sąsiednią Litwą, Prusakiem i Lachem
Wywiera swoje wpływy krzyżem i postrachem.
Nienasycona żądza, nieugięta pycha
Zagnieździły się w sercu bogatego mnicha;
Komu ślub przysiężony pokornym być każe,
Chce potęgą prześcignąć króle i cesarze;
Potworną jego piersią niespokojnie miota
Tylko pragnienie władzy, rozkoszy i złota.

II.

Nieskładny gwar rozmowy przebiega po sali.
Ze wszystkich miast i zamków tutaj się zebrali
I komtury i wodze i kapłani starszy.

I od króla polskiego posłannik monarszy.
I z pismem apostolskiem goniec od papieża.
I goniec od cesarza: bo rozterka świeża
Krzyżowców z królem polskim o miasta i kraje,
Niemale w chrześcijaństwie trudności zadaje.

Po sali mnoga ciżba snuje się i gwarzy.
Rozmawiają półgłosem komturowie starzy
O traktatach, i jaka należy im wiara?
O prawie kanonicznem i władzy cezara
I o prawie podbojów co sądzili dawni,
I jako się trzymana posiadłość uprawni?
Bo dzisiaj z królem polskim spór się toczy zwawy
O stare posiadłości Dobrzyń i Kujawy.

Zasię młodsza gromada rycerzów i młodzi
O turniejach niemieckich rozhovor zawodzi,
Wenecką karacena lub mieczem się szczyci,
Wychwała oczy dziewic i kształt ich kibici,
Śmieje się hucznym śmiechem, przechwala w bezwsty-
Albo nuci rozkoszne piosnki o Cyprydzie. [dzie,

III.

Wtem weszli heroldowie poważnie do sali
I przybycie wielkiego mistrza obwołali.
Ucichnął szmer, i wielkie otwarto podwoje,
I starzec wynędziały przez trudy a znoje,
Ubrany w płaszcz i pancerz, jak rycerze prości,
Wszedł, poprzedzon znakami swojej dostojności:
Wielkim krzyżem i mieczem. Ukłonił się braci,
I wszyscy się skłonili w pokornej postaci.
Skinął i wedle stołu zasiadł tron monarszy.
Pokłękli obok mistrza komturowie starzy,
I zakonny kapelan z cicha a pomału
Począł mówić modlitwę wedle rytuału,
Prosząc Ducha świętego, który serca świadom,
By udzielił natchnienia krzyżackim obradom.
Gorzkie urągowisko! bo świętego Ducha,
Boskich natchnień od dawna Krzyżactwo nie słucha,
A Duch Pański nie gości w mordach i pożodze,
Nie udziela porady na bezbożnych drogach.

Od czasu jak go mistrzem obrała gromada,
Teodor z Altenburga już siódmy rok włada,
Więcej duchem marsowym niżli Bożym płonie
I chwałę bojowniczą pomnożył w zakonie.

Ale szczęściem wojennem próżno się zasłania.
Kto karty historyczne swego panowania
Przed obliczem obecnych i potomnych ludzi
Obryzga krwią niewinną lub zdradą zabrudzi.
Potężny wielki mistrzu, hrabio Teodorze!
Twój wawrzyn bohaterski nie wiele pomoże:
Kto rozlał krew niemowląt, co pod Gnieznem plynie,
Kto w Kaliszu odzierał Chrystusa świątynie,
Kto w klęsce chrześcijaństwa swoją wielkość kładnie.
Kto z mowę z Szamotulskim zaprowadził zdradnie.
Kto ośmielił Sarmałę — o zbrodni nieznana! —
Zaprzedać kraj rodzinny i swojego pana, —
Próżno w laury wojenne przyozdabia głowę!
Przeklątwa nań społeczne, przeklątwa dziejowe!
A z tej klątwy ni Cezar, ni księżęta Rzeszy
I, choćby chciał rozgrzeszyć — papież nie rozgrzeszy.

IV.

Ukończono modlitwę — poczęta obrada.
Wielki mistrz na swym tronie książęcym zasiada;
Siedli panowie radni na dębowej ławie,
A szlachetne rycerstwo stanęło ciekawie,
Otoczone giermkami i orszakiem pazi,
Czekając, co król polski przez posły wyrazi,
Czy z pokojem, czy z wojną do mistrza przybywa
Sławny rycerz z Melsztyna, Jan, herbu Leliwa.
U wchodowych podwojów zaciągnięto strażę;
Mistrz rycerstwu w półkole szykować się każe.
Słychać tętent rumaków przed bramą na moście,
Słychać łoskot w dziedzińcu — przybywają goście.
Wrzasła trąba heroldów, aż zadrgały ściany,
I mężny Leliwita, jak na bój przybrany,
Otoczon gronem giermków i sarmackiej młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą na pokoje wchodzi.
I przeciąga przez salę pochód uroczysty.
Poseł idzie k'mistrzowi, podaje swe listy,
I odkrywa przyłbicę, i dumnie się kłania.
Znać rycerską swobodę z tego powitania,
Z mężnej twarzy i z oka, co na wskroś przenika,
Wyczytać wielkie serce w piersiach posłannika:
Ze król jego potężny, że kraj jego kwitnie,
Ze nie przychodzi o nic błagać czołobitnie.

Spojrzał po całej sali, po całej gromadzie,
I na rękojeść miecza dłoń rycerską kładzie,
I w takowej postawie stanąwszy z daleka,
Muskając sute wąsy, na odpowiedź czeka.

V.

Polskiej ziemi króluje od dwóch lat bez mała
Kazimierz, co go Wielkim potomność nazwała;
Dzielne plemię Łokietka w cześć ludzką urasta,
Panując nad wszystkimi dzielnicami Piasta.
Z młodu przy boku ojca z wojną obeznany,
Wstąpił się pod Dobrzymiem, zdobywał Kościany;
Krzyżacy go doznali jeszcze z tamtej chwili
I pana sarmackiego nie lekceważyli.
Lecz wiedząc, że Łokietek nie wskrześnie z mogiły.
A młodego orlęcia jeszcze słabe siły,
Podnieśli hardą głowę mnisi wiarołomni:
Bo któż się za bezprawia rachunku dopomni?
Bo w Krakowie niewiasta i pacholę włada,
Kilku starców zgrzybiałych w obradzie zasiada.
A ościenni książęta, patrząc zazdrośnie,
Cieszyli się, że Polsce nieprzyjaciel rośnie.
I sprzyjali krzyżakom z niechęcią dla Polski:
Król węgierski, król czeski, cesarz apostolski,
Słowem wszyscy panowie chrześcijańskiej ziemi,
Wszyscy przeciw Sarmatom — a któż był za niemi?
Jakiego sprzymierzeńca mieli na widoku?
Tylko Boga, co w niebie, i miecz, co przy boku!

VI.

Mistrz pisanie królewskie przeczytał i chowa,
A poseł w te ku niemu odzywa się słowa:
— Dostojny, wielki mistrzu i wszyscy rycerze!
Pan i król mój przezemnie pozdrawia was szczerze,
I prosi Pana Boga chrześcijańską modłą,
Aby nam w łasce Jego fortunnie się wiodło.
Przyczem wam przypomina o świeżym traktacie,
Że Dobrzyń a Kujawy nieprawnie trzymacie,
Że za starego króla zbici pod Płowcami,
Gdy warunki przymierza podaliście sami,
Gdy zakon pokonany miłosierdzia żebrze,
Mieliście tysiąc grzywien zapłacić we srebrze.

Gdzie skutki tych przyrzeczeń, opisów, umowy?
Gdzie wiara, utwierdzona rycerskimi słowy?
Gdzie kapłańska uległość wyrokom Kościoła?
Kiedy spełnicie rozkaz, co nuncyusz woła,
I co papież potwierdził w Apostolskim liście?
Król i pan mój rozkazał spytać uroczyście.

Oto wasi żoldacy, jakby horda dziczy,
Zakłócają spokojność naszych pograniczy;
Po miastach i po wioskach trwoga się rozniosła,
Rolnik odbiegał pługa, mieszczanin rzemiosła,
Pozabierane trzody, spustoszone zboże,
Czyż król na tyle klęski nieczułym być może?

Niedarmo jego barki purpura osłania;
Niedarmo jego czoło gwoli królowania
Namaścił arcybiskup oliwą chryzmatu
I przypasał do boku miecz wiadomy światu;
Miecz Chrobrych, Krzywoustych, nie darmo zadzwoni,
Świeżo jeszcze w Łokietka zahartowan dłoni.
Krzyżacy! ostrze jego, oświecone chwałą,
Od płowieckiej potrzeby jeszcze nie stępiało!
Ale pan mój, szanując powołanie wasze,
Nie pierwej wdzieje pancerz i miecz swój przypasze,
Chyba że wasza pycha otwarta widocznie
Wyroki apostolskie lekceważyć pocznie.

Oto świeżo obleczon w poselstwa zaszczyty
Jan ze Słupca, krakowski biskup znakomity,
Jeździł w imieniu króla w apostolskie progi,
I przekładał uciski, morderstwa, pożogi,
Wszystko, czemeście Polskę krzywdzili zdradziecko,
Odkrył Głowie Kościoła, jako ojcu dziecko.
A ojciec chrześcijaństwa usłuchał wołania
I ku naszym uciskom swoje ucho skłania
I odprawę posłowi miłościwą daje
I śle swoich legatów na północne kraje.
Posłanniki papieża, jak sędziowie czuli,
Piotr, prałat aniceński, i Gerard z Tituli,
Umocnieni powagą i zupełną władzą,
Żałoby wysłuchają i wyrok wydadzą,
Dopomną się krzywd Polski na waszym zakonie
I powrócą zabory uciśnionej stronie.
Już tedy ci legaci do Polski przybyli,
I z ramienia papieża wydają w tej chwili

Rozkaz, byście stanęli dla słuchania sprawy
Do stolicy Mazowsza, do miasta Warszawy,
Gdzie na dniu pierwszym sierpnia zasięda w urzędzie
I sąd nuncyatury przywołany będzie.

A Kazimierz, król polski, z uprzejmymi słowy
Przysyła wam zapozew na termin sądowy,
Abyś sam, wielki mistrzu, lub przez towarzysze,
Stanął na czas i miejsce, jak w tych liściech pisze
Tam niechaj nas rozsądza sprawiedliwość Boża,
A mistrz, w prawie uczony, Bartold z Raciborza,
Wyłuszczy naszą sprawę dokładnie i szczerze,
I obrony wysłucha, i wyrok odbierze:
Bo przyjmujemy chętnie z uchyleniem czoła
Wszelki wyrok od Głowy widomej Kościoła. —

VII.

Rycerz skończył poselstwo, a wielki mistrz mówi:

— Szlachetny Leliwito! odpowiedz królowi,
Że się sądy rycerskie odbywają krwawo,
Że trąba bywa woźnym, a bardysz rozprawą,
I żeśmy nie przywykli staroświeckim torem
Trudzić Ojca świętego marnym rozhoworem.
Lecz jeśli taka wola, niech zadość się stanie,
I dwa bitne narody, jakby dwaj mieszczanie,
O kawał spornej miedzy, o niedobre słowo,
Pójdziem do pana wójta na sprawę sądową.
My wypełnimy wszystko, co papież rozkaże:
Niech zatargi rycerskie sądzą bakałarze,
Nasz zakon, jak posłuszne Kościołowi dziecię,
Przyjdzie na czas i miejsce, jako wskazujecie.
I w cesarskiem i w Boskiem prawie wyćwiczony,
Ojciec Jakób z Arnoldu, stanie z naszej strony,
Będzie przekładał prawa, na których my stoim.
A które obelżywie nazwałeś rozbojem.

Lecz nie myślcie, Polacy, że sąd jaki zdoła
Uszczuplić posiadłości Pańskiego Kościoła;
Co dzierżym w imię Boże, albo prawem miecza,
To nam Kościół zapewnia, cesarz zabezpiecza:
Bo wszystkimi krajami chrześcijańskiej ziemi
Włada cesarz niemiecki z prawami swojemi,
I ja mnich w mej pokorze, i twój król w swej chwale
Jesteśmy tylko jego pokorni wasale.

A Dobrzyń i Kujawy, Prusy i Pomorze,
Co się wzięło na Litwie, walcząc w imię Boże,
Kraje nadane dawniej, lub zdobyte świeżo,
Nie do nas, lecz do władzy cesarskiej należą.
A gdy cesarz do siebie należące kraje
Kościołowi Bożemu wieczyście nadaje.
My, pokorni szafarze, służebnicy prości,
Nie mamy praw uszczuplać kościelnej własności.
A ktoby coś zamierzył lub działał w tym względzie,
Wedle świętych kanonów niech wyklęty będzie;
A na kogo włożono takie anathema,
Nawet w mocy Piotrowej rozgrzeszenia nie ma.
Dochować wam przyjaźni trwam w ciągłym zamiarze,
Ale moje sumienie jeszcze więcej waży.
Nie chcę, aby mi klątwa ciążyła nad głową.
Rycerzu Leliwito! masz ostatnie słowo.

Umilknął — twarz rycerza szlachetna i śmiała
Z oburzenia pobladła i znowu skraśniała;
Na rękojeść szablicy oparta dłoń posła
Ścisnęła się gwałtownie, jak gdyby przyrosła
Do srebrnej rękojeści, jakby jednym razem
Miała błysnąć przed oczy hartownem żelazem.
Ale Jaśko z Melsztyna, posiwiały w radzie,
Pamięta, że poselstwo obowiązki kładzie,
Że temu nie przystoi okazać gniew żywy,
Kto przychodzi z pokojem i różdżką oliwy;
Więc, chociaż oburzony aż do głębi ducha,
Choć mu gniew pała w oczach i z twarzy wybucha,
Odpowie cichym głosem, z łagodną postawą:
— Szlachetny, wielki mistrzu! czy oręż, czy prawo
Ma dochodzić słuszności — ja się tem nie trudnię;
Lecz poco imię Boże wspominać obłudnie?
Czy Kościół Chrystusowy wspomagać należy
Owocem wiarołomstwa lub chciwej łupieży?

Król polski, panujący w potęgę i chwale,
Nie liczy się pomiędzy cesarskie wasale;
A jeśli, jak mu każe Chrystusa nauka,
Przez pobożność w podwoje apostołskie puka,
Wy się przeto nie karmcie daremną otuchą,
Że miecz jego do pochew przyrosnął na głucho.
Dziś przybyłem na sprawę wezwać zobopólną,
Dziś rękawicy boju ciskać mi nie wolno;

Lecz gdy króla mego wywołacie zgrozę,
Insze może poselstwo w te mury przywiozę.

VIII.

-- Przyjmiemy was, przyjmujemy, rycerzu z Melszty-
Spełnim, czego się po nas wasz król dopomina; [na,
W świętej kościelnej sprawie za pierwszym wołaniem
Czy orężem, czy piórem do rozprawy staniam:
Kto jest Bożym rycerzem, tego w żadnej chwili
Ni prawo nie pokona, ni miecz nie omyli! --
Rzekł Rudolf, książę saski, z komturów najstarszy,
Zalecony orężem i ze krwi monarszej,
Co mu w piersiach płynęła; krzyżacy go zową
Starego Altenburga ramieniem i głową,
A raczej zwaćby duchem nienawistnym w radzie,
Co złe myśli do głowy i do serca kładzie.

— Bóg — odrzekł Leliwita — Bóg słuszość wy-
Bóg wskaże kogo uznał za Swoich rycerzy, [mierzy.
Kto cześć Jego imienia pielęgnuje lepiej,
Kto świętą Jego wiarę obszerniej zaszczepli.
Tymczasem, wielki mistrzu, starszyzno i wodze,
Spełniłem rzecz poselstwa w polubownej drodze;
Czyńcie, jak wasza wola, jak wasza uwaga.
Król mój pragnie pokoju, ale go nie błaga.
Chcecie wojny, toć na was upadnie jej wina.
Bóg was żegnaj, krzyżacy!

I Jaśko z Melsztyna,
Otoczon gronem giermków i sarmackiej młodzi,
Ze spuszczoną przyłbicą z komnaty wychodzi.
Za nim szmer dał się słyszeć... Mężny Leliwito!
Wzbudziłeś niechęć jawną, ale cześć ukrytą:
Bo cnota i w występnyim znajdzie hołdownika,
A szlachetna odwaga i wrogów przenika;
Czy idzie z mieczem boju, czy z różczką przymierza,
Wróg nienawidzi wroga, lecz uczi rycerza.

IX.

Za posłem wyszła młodszych krzyżowców drużyna,
Wielki mistrz ze starszyzną radę rozpoczyna.

-- Złe wieści — rzekł po chwili — nieprzyjemna
Powiedz, książę Rudolfie, jak ci się wydawa: [sprawa!
Czyliż przed całym światem mą słabość obwieszczę?
Oddam Dobrzyń, Kujawy i opłacę jeszcze?

Co powie chrześcijaństwo i wszyscy mocarze.
Jeśli wolę papieża marnie zlekceważyć?
Kędy obrócę oko, naokoło baczę,
Dokoła słyszę zawisać na szczęście krzyżacze,
Że my zbieramy kłosy, kiedy inși chwasty;
I byle tylko skinął Benedykt Dwunasty,
Wnet od Gallów, Brytanów, ze wszystkich stron świata,
Na krzyżowych rycerzów spadnie krucyata.
Żartuję z klątw papieża, ale ich się boję.
Mów książę: jaka rada? jakie zdanie twoje?

— Wielki mistrzu! — rzekł Rudolf — krótka moja
Poza mury kościoła ukryć się wypada, [rada:
I przez ojca Arnolda oświadczyć królowi,
Że jest świętem, co własność kościelną stanowi.
Że Dobrzyń i Kujawy są już w ręku Bożem,
Że my pod ciężkim grzechem wrócić ich nie możemy;
Niech je odbiera siłą, to sam się ugnatwa.
A iż się papież gniewa — i tu rada łatwa:
Niech widzi naszych czynów dowód niezachwiany,
Że służym chrześcijaństwu, że walczym z pogany,
A starzec nasze winy rozgrzeszy z rozkoszą.
Kaź mistrzu, niechaj pochód na Litwę ogłaszaj.
Piękne tameczne ziemie, zyskamy je skoro,
Może w zamian tych krajów, co Lachy odbiorą:
Wiele się w Litwie zyska, a mało utraci.
A kiedy nas przypozwą papiescy legaci,
Nie będziemy mogli stanąć mimo szczerych chęci:
Bośmy świętą wyprawą na Litwie zajęci.
Papież skargi Polaków poczyta za baśnie,
I z opoki Piotrowej jeszcze nam przykłaśnie.
Skończyłem.

— Wielki mistrzu! co się do mnie ściąga —
Mówił z kolei komtur Fryderyk z Elbląga —
Dziełę księcia Rudolfa doświadczone zdanie:
Pragnę widzieć nad Litwą nasze panowanie,
Pragnę poniżyć rogi sarmackiej potędze.
I miecza nie poskapię, i krwi nie oszczędzę,
I może się do dzieła przyczynię potrosze,
Bo wam z Litwy szczęśliwą wiadomość przynosze
Gdyśmy obecnej wiosny w naszych sił ogromie
I wzdłuż i wszerz po Litwie roznosili płomień,

Gdyśmy samego Wilna byli niedalecy,
Musieliśmy uciekać z pod małej fortecy.
Kiedy Litwa pustkowiem stała w jednej chwili,
Gdyśmy zboża stłoczyli, wioski popalili,
Kiedy pierzchał przed nami cały kraj przelekły, —
Na jednym zamku Pullen nasze siły pękły.
Pomiędzy wybrzeżami Niemna i Puniały
Seciny krzyżowego rycerstwa zostały,
A ze stosu ich kości, co się wiatrem bieli,
Dotąd jeszcze nie wskrzesła drużyna mścicieli.
Ale Margier, dowódca barbarzyńskiej rzeszy,
Nie długo się owocem zwycięstwa pocieszy.
W tej chwili z jego więzów, na łono swobody
Przybywa Ransdorf Warner, mój dowódca młody.
On na polu bojowym kiedy obumiera,
Został wskrzeszon do życia staraniem Margiera;
Sądzony bogom Litwy pod nóż świętokradzki,
Potrafił dziwnym cudem uniknąć zasadzki.
Trzymany cały miesiąc w niewoli złowrogiej,
On przeznał wszystkie ścieżki, wszystkie zamku drogi:
Litwini zdadzą twierdzę, radzi czy nieradzi,
Gdy na pewne zwycięstwo Ransdorf poprowadzi.
A gdy się zamek Pullen od Niemna zawładnie,
Reszta litewskiej ziemi ukorzy się snadnie;
Pęd naszego rycerstwa chyba wstrzymać może
Olgierd w Wilnie, a Kiejstut na Trockiem jeziorze.
Oto są, wielki mistrzu, z poza Niemna wieści.
Każ, niech trąba litewską wyprawę obwieści,
A gdy ziemia litewska nasz sygnał posłysz, —
Ręczę za dobre żniwo krzyżackich bardyszy.
Nad pogańską ziemią już się słońce żarzy,
Już tam kłósie dojrzałe czeka na żniwiarzy. —

X.

Waleczna Fryderyka i Rudolfa rada
K'sercu wielkiego mistrza najsnadniej przypada.
Więc podumał i skinał — i do stopni tronu
Przybliża się najstarszy chorąży zakonu.

— Pójdź — mówi — każ wyprawę otrąbić przed rze-
A chorągiew bojową niech z okna wywieszą. [szą,
Niechaj w sercu papieża wszelka niechęć uśnie,
Niech wrogowie nie mówią, że my drzemiem gnuśnie.

A kiedy w naszych rękach cześć Litwy zobaczy,
 Sarmacki król-pacholę przemówi inaczej.
 Zapomni świetnych bitew, co wygrali starzy,
 O Dobrzyń i Kujawy spytać się nie waży.
 Idźcie z Bogiem, rycerze! —

I powstała tłuszcza;
 Teodor z Altenburga świetny tron opuszcza;
 Sala głuchnie — a tylko, jak rycerstwo życzy,
 Zagrzmiął z Malborskich wieżyc sygnał bojowniczy.
 I tłumią się żoldacy chętni do oręża,
 I sławetni mieszczanie i wielebni księża
 I każdy po swojemu nowinę tłumaczy,
 I każdy zapytuje: co ten sygnał znaczy?
 I lecą chyże wieści od grona do grona,
 Że znowu na niewiernych wojna uchwalona.

XI.

Czekając zmiany warty u narożnej wieży,
 O północnej godzinie czuwa trzech rycerzy.
 Światło smolnej pochodni uderza na ścianę,
 Na przyłbice i miecze w rząd porozwieszane,
 I na twarze krzyżowców siedzących przy stole,
 Na stągiew pełną wina i rogi bawole.

(Bo polubiła w Litwie krzyżacka natura
 Zwyczaj pijania z rogu bawołu lub tura
 I u siebie go chowa). Rozhowor się toczy:

— Ransdorfie! — mówił starszy — te pogańskie oczy
 Urzekły cię, jak widzę: takiś smutny, blady,
 Ani do pogadanki, ani do biesiady;
 Milczysz, jak Harpokrates, wśród naszego wrzasku,
 Zeskromniałeś na Litwie, jak święty w obrazku.
 Prawdę mówiąc, w więzieniu nie wiele słodczy,
 Głodno i niewygodno, wiadomo wśród dziczy;
 Ale zresztą na Litwie spotykałeś może
 Stary kowieński lipiec i dziewczęta hoże,
 A z takimi pociechy i na sercu słodziej,
 A nawet i w więzieniu prędzej czas uchodzi.

— Litwa — mówcie co chcecie — to kraj niezły wcale!
 Choć mówi Pismo święte w którymś tam rozdziale,
 Że ze wszystkich dóbr ziemskich, ile tylko stanie,
 Mają prawo pożytku sami chrześcijanie;
 A jednak dziki Litwin, co w Boga nie wierzy,

Smakuje stary miodek, godny ust rycerzy,
A w kraju, otoczonym lasami i wodą
Rodzą się czarnobrewki, co aż duszę bodą.
— Ej Ransdorfie, Ransdorfie! wiem, żeś zawsze gotów
Do pełnego pucharu i pustych zalotów.
Bogdaj nade mną gromy Perkuna zawisły!
Bogdajbym nic nie pijał oprócz wody z Wisły,
Jeżeli nie odgadłem, co ci w serce kole
I że po całej Litwie głośnie twe swawole!
Nie wstydz się... toż młodości prawa i zasługi.

— Odgadłeś go, Wilhelmie — rzekł mu krzyżak
Pojmała go w swe sieci cypryjska bogini; [drugi —
Ale miłość na Litwie dziwactwa z nim czyni:
Po anielsku coś brzęczy w jego sercu struna,
Gotów czcić węże święte, kląć się na Perkuna
I nad wszystkie ziemianki, nad wszystkie boginie,
Eglę, córkę Margiera, ukochał jedynie;
A ślubom swego serca chcąc czynić zadosyć.
Ołtarz bogini Egle chce w Malborgu wznosić.
A chociaż cały miesiąc pod jej dachem gości,
Nic do niej nie przemówił, nie wyznał miłości;
Tam samym jej widokiem napawał się zdala.
A tutaj jej szlachetność, jej piękność wychwala.
I słuchaj: już tam było gotowe dlań zgłiszczce,
Już go miało pożerać litewskie bożyszcze.
Kiedy zjawia się Egle, zadyszana, blada,
Porywa go za rękę, o śmierci powiada.
Uprawdza przez góry, przez tajemne lochy,
I ocala od zguby — a nasz Ransdorf płochy
Tak uczuł bicie serce, taki zawrót głowy,
Że kochankę pożegnał tylko czterema słowy,
I popłynął spokojnie na litewskiej łodzi. —

— A nawet nie uściskał? och! to się nie godzi! —
Mówił Wilhelm ze śmiechem — ach! dziecino młoda!
Wszak tam krzyżacka grzeczność na pośmiech się po-
Jeśli się o tem dowie Rudolf, księżę saski. [da
Toś już na wieki wieków wypadł z jego łaski,
A dowództwo łuczników, coś dostał tak skoro,
Wierz mi, młody Ransdorfie, zaraz ci odbiorą.
Komtur elbląski mistrza oszukał zdradziecko:
Wmówił mu, żeś ty rycerz — a ty jeszcze dziecko,
Dziecko — bo taka miłość nie wiele ci wskóra;

Dobra w książce Platona, w pieśni trubadura,
Lecz w życiu tyle warta, co w zbroi dziecina,
Co włócznia bez żelaza, co puchar bez wina.

XII.

— Bracia moi! — rzekł Ransdorf z zapalem i skoro —
Poszanujcie uczucia, co mi w piersiach gorą!
Czy mnie, com skłonił szyję do zakonnych jarzemi,
Com już wykonał śluby przed Pańskim ołtarzem,
Czy mnie wolno otwierać dla miłości łono,
Pokochać córkę Litwy, poganę niechrzczoną?
Tego nie wiem — lecz w Bożem miłosierdziu tuszę,
Bo czuję, że ta miłość uświęca mi duszę.
Ale za cięższą zbrodnię, za gorszą ohydę
Snadź mi Pan Bóg poczyta, że na wojnę idę,
Jak dowódca łuczników. Czyż postąpię godnie,
Wiodąc miecze mordercze, pożarne pochodnie,
I rozbijając piersi, zapalając ściany,
Gdzie byłem nieprzyjaciół jak brat powitany?
Gdzie mię srodzy Litwini przyjęli jak swoi?
Gdzie Margier chlebem karimi, Lutas pieśnią poi?
Gdzie Egle, boska Egle, zbawia krucygiera,
I rękę mu podaje, i serce otwiera?...
Szatan chyba nie człowiek miałby w poniewierce
Co najdroższe na świecie: chleb, pieśnię i serce!
Niemcy! ja kocham Litwę — czyż zhańbię me ramię?
Ja mój pancerz podepcę, ja mój łuk połamię,
Lecz nie pójdę na wojnę, jak zbójca z jaskini.
To cóż, że księżę saski dowódcą mię czyni?
Ja lękam się... nie tego, że mi złamią szyję;
Lecz Margier niewdzięcznika spojrzeniem przebije,
Lub w piersiach pęknie serce, co tak się rozżarza,
Albo Bóg strasznym gromem ciśnie na zbrodniarza.
Odpowiedzcie mistrzowi, on na to ma władzę,
Niech mi życie odbierze — ja Litwy nie zdradzę! —
Tak mówił młody Ransdorf z rumieńcem na twarzy,
A w orlich jego oczach aż iskra się żarzy,
Drga mu serce, jak fala, gdy ją wichler wzruszy:
— Wilhelmie! wara bluźnić uczuciom mej duszy!
Choćbyś stokroć był starszy i wiekiem i zdaniem,
Ciskam ci rękawicę z bójkowem wyzwaniem;

Choćbyś stokroć wprawniejszy do miecza lub młota,
Doświadczysz, czem jest ramię, którem zapal miota! —

XIII.

Wilhelm wstał i wychylił wina róg bawoli.
— Szlachetny zapaleńcze! powoli, powoli!
Starsi wskażą ci drogę — tu droga jedyna
Rycerza i kochanka, i chrześcijanina:
Prowadź przed wojskiem naszym twych łuczników strą-
Krzyż albo miecz pod Pullen swe cuda okaże. [że,
Kochasz Egle, więc dołoż chrześcijańskiej chęci,
Niechaj chrzestne polanie jej czoło uświęci.
Zdobądźcie zamek Pullen, wojownicy śmiali,
I niech się władza krzyża nad Litwą ustali,
A ty z ramienia mistrza będziesz tam jak książę.
Papież chętnie twe śluby zakonne rozwiąże,
I poczniesz z swoją Egle piękne dni wesela;
Ona wskrześnie przez ciebie w imię Zbawiciela,
Jakoś przez nią od śmierci doczesnej ocalał. —

Wilhelm skończył, i znowu róg bawoli nalał,
I wyszedł, bo już zegar wybił zmianę warty.
A Ransdorf długo dumał na dłoni oparty;
Czoło jego chmurnieje, to błysnie pogodą,
Znać myśli, co weselą, co mu serce boda,
Znaczno nadzieję niebian lub zwątpienie ziemian.
Z aniołem, to z szatanem bawi się na przemian,
I rzekł, cisnąc we dłoniach czoło niespokojne:

— W imię niebios, czy piekieł, ja idę na wojnę?
Czy zbawię, czy potępię? czy Litwę, czy siebie?
Czy się wzniosę w obłoki? czy w przepaść zagrzebię?

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

Urodzona z wyziewów w nadmorskiej krainie
Straszno gdy czarna chmura swe skrzydła rozwinie.
A lecąc po niebiosach w niewstrzymanym pędzie
Z gniewnej piersi straszliwy łoskot wydobędzie,
I z gniewnej paszczy ciśnie błyskawiczną żmiję,
A żądłami z piorunów w starą puszcę bije.
A kędy skrzydłem wionie, kędy okiem błyska,
Już tam bucha żalobny dym pogorzeliska.

Szalony pęd jej lotu gruzami położy
Czy to chatkę poziomą, czy to kościół Boży.
Ucieka przed nią zwierząt i ptasząt gromada,
A syn człowieczy błednie i na twarz upada.

Ale trwożliwiej Litwin patrzy ku Bałtydzie,
Kiedy czarny jak chmura huf krzyżacki idzie,
Nie tyle straszny piorun, co błysk ich puklerzy,
Nie tyle wściekły wicher spustoszenia szerzy:
Bo tutaj ani zboże, ni wioski, ni miasta,
Ni starzec siwobrody, ni krasna niewiasta,
Ani dziecię w pieluchach, ani mąż we zbroi,
Nigdzie się nie ukryje, nigdzie nie ostoi.
Na strzechy mają płomień, a na starców noże,
Na niewiasty rozpustę i chrzest w imię Boże,
A na mężów litewskich, gdy do boju zową,
Mają strzelby siarczyste i chytrą wężową.
W imię Twoje mordują, pustoszą nami niwy,
O! Jezu chrześcijański, jakiś Ty straszliwy!

II.

Nad strzechy litewskimi słyhać jęk pułacza:
Oto wojsko krzyżowe ponad Niemen wkracza!
Śmierć liczy pewne żniwo po niedługiej chwili,
Bo rzadko tyle siły Niemcy zgromadzili.
Dziesięć straszliwych hufców ciągnie się kolejną,
Dziesięć wielkich proporców nad ich głowy wieją.
O milę ich pancerze migocą się jaśnie,
A przy blasku ich włóczęń błyskawica gaśnie.
Gromem tętnią po błoni rumaków kopyta,
Jękiem piekiel ich trąba wojownicza zgrzyta,
A gdy trąby ucichną, z daleka ich wyda
To piosenka rozpusty, to psaliny Dawida:
Bo tu szatan rachuby i niewiary zimnej
Umie w jedno zespolić bluźnierstwa i hymny,

Wielki mistrz z gronem wodzów i starszyny samej.
W białej szacie jedwabnej ze złotemi lamy —
Przed nim niosą chorągiew wielką, znakomitą,
Na której w białym polu złoty krzyż wyszyto;
On na dzielnym rumaku przodkowanie bierze,
Przy nim jadą przybyli w gościnę rycerze.
Bo niemieckie książęta, hrabiowie, barony,
Jako błędni rycerze przychodzą w te strony;

Bo jedni pięknej chwaliły, drudzy przygód życzą,
Insi chcą się zapomóc pogańską zdobyczą,
Insi, czując za zbrodnie sumienia wyrzuty,
Spieszą dopełnić ślubów lub jakiej pokuty:
Bo w krainie Germana, Brytana i Galla
Mnich rycerzy do walki z pogaństwem zapala,
I chętnie rozgrzeszenia każdemu udziela,
Kto idzie szczepić w Litwie wiarę Zbawiciela, —
Przyrzeka, że kto zgasi żniczowe ogniska,
Ten odpust całkowity i niebo pozyska,
Zjedna dla się Chrystusa i świętą Maryę.
Kto stu pogan nawróci albo ich zabije.
A więc każdy z wojaków te słowa pamięta.
I w szeregach krzyżackich stawają książęta.
Dzisiaj belgijski Nemur z ich hufcem się wiąże
I mężny Hanneberger, z ponad Renu książę
I Ludwik, pan udzielny brandenburskiej ziemi,
Stają do boju z Litwą z zastępy mocnemi.
Mistrz ochoczo przyjmuje chrześcijańskich gości.
Sprasza kruków do Litwy na żer jej wnętrzości,
Wkrótce z krwawemi dziobu do jej serca wpadną...
Tylko piersi skalistej rozwalić niesnadno!

III.

Płyną straszliwe hufce bez końca, bez miary,
Lecą na ciężkich koniach niemieckie rajtary
I mieszczanie z Elbląga, z Torunia i Gdańska
I chorągiew zacieżna szwajcarska, słowiańska
I niemieckich łuczników idzie zastęp chyży
I burzące tarany i działa ze spiży,
(Niedawny wynalazek ogniopalnej broni,
A Litwini zaledwie zasłyszeli o niej,
A Niemcy, uzbrojeni w siłę gromowładną,
Tem pewniejsze nadzieje w swem zwycięstwie kładną).
W straży wielkiego mistrza niektóre oddziały
Noszą grzmiące rusznice, ręczne samopaly;
Ale jeszcze niewprawna strzelecka gromada
Lepiej łukiem i bełtem, niżli strzelbą, włada,
I jeszcze wielkie dla się poważanie ściaga
Stary waleczny hufiec łuczników z Elbląga.

IV.

Ransdorf został ich wodzem. Ten zaszczyt mu dany
W nadziei, że tem dzielniej sprawi się z pogany,

Iż świadom ich zwyczajów, obeznan z ich mową,
Wwiedzie do twiedrzy Pullen potęgę krzyżową.
On dochował przysięgi, danej Lutasowi,
I o lochach tajemnych nikomu nie mówi,
I za najświętszy dla się obowiązek kładnie,
Że ufności Litwinów nie zawiedzie zdradnie,
Że wdzięczen za gościnność, co mu w Litwie dali,
Nigdzie zboża nie słoczy, nigdzie chat nie spali,
Że spokojnych mieszkańców nigdy nie ugniecie,
Że poszanuje starca, niewiastę i dziecię.
Taką wykonał w duchu przysięgę dostojną,
Przyjmując Przenajświętszy Sakrament przed wojną;
Lecz choć serce umocnił prawowierną modłą,
Choć go wezwanie starszych na wojnę powiodło
I choć wojnę z pogaństwem za zasługę liczy,
Uczuwa na sumieniu wyrzut tajemniczy.
A gdy jego walecznych łuczników drużyna
Dawną pieśnię pochodu chórem rozpoczyna,
Kiedy starym się snują pogadanki, żarty, —
Ich wódz milczy, na łeku u siodła oparty,
Spuszcza oczy, jak zbrodzień, gdy u sądu stanie,
A na pochmurnem czole znać przykre dumanie;
Tylko swego rumaka zażywa ostrogą,
Chciałby pędzić jak strzała, ile siły zmogą.
Nadzieja doń się wdzięczy i szepce mu z cicha,
Ze odetchnie powietrzem, co Egle oddycha.
Ale nie godzien doznać swobodnej radości,
Kto do domu swej lubej, jak wróg, idzie w gości,
Kto zamiast upominków, zamiast czystych kwieci,
Nad jej głową pożarną pochodnią zaświeci,
Kto niesie łuk i kołczan pełny ostrych grotów,
Którymi pierś jej braci poprzeszyswać gotów,
Kto na głowę jej ojca, na święte jej bogi,
Wyostrzył miecz morderczy i topór złowrogi.
Taki kochanek potwór — ludzkości zakała,
Błuznierstwo taka miłość, co mu w sercu pała!
Czuje Ransdorf, że idzie jak leśny bandyta,
I nieraz miecz od boku rozpaczliwie chwyta,
Targa się przebić własne wiarołomne łono;
Lecz wiara, co od dziecka w serce mu wpojono,

Rozpaczliwe dumania w pogodniejsze zmienia
I szepce mu o dziele wiecznego zbawienia:
Że jako rycerz Boży w chrześcijańskiej walce,
Nawróci lub pokona dzikie bałwochwalce,
Że przezeń może ujrzą światło wiekuiste
Synowie odrzucenia, Twoje wrogi, Chryste!
Że w bogach Litwy szatan zamieszkał widomie,
Że Znicz to z iskry piekieł rozniecone płonię,
Że, kto tylko na Litwie wytępi bożyszcza,
Kto bezbożne świątynie zamieni na zgłiszcza, —
Będzie wielkim w niebiesiech, siłę piekieł wydrze,
Jak niegdyś święty Jerzy, co łeb strzaskał hydrze.

Ale nad wszystkie myśli, myśl święta, jedyna
Wdzięczy się do kochanka i chrześcijanina:
Że łube czoło Egli przez chrzestne polanie
Zaświeci aureolą i godnem się stanie
Tego nieba, co dzisiaj przeczuwa pierś drobna,
Tych aniołów, do których, jak siostra, podobna.
O! jak to będzie błogo, wesoło i świetnie!
Papież kordem Piotrowym jego śluby przetnie,
A ona, dziecko Niebios -- chrześcijanka młoda,
Drobną rączkę przed ołtarz tak samo mu poda,
Jak niegdyś w owej strasznej i szczęśliwej chwili,
Kiedy tam ofiarnicy już stos rozpalili;
Tylko na pięknej twarzy nie przestrasz, nie bladeść,
Lecz się doła uśmiechnie, zakraśnieje radość,
I nastaną dni piękne w szczęściu i swobodzie...

V.

Tak marzył młody Ransdorf i rumaka bodzie
I woła: Hej do Pullen, drużyno krzyżacka!
Ale rumak, ostrogą draśnięty z nienacka,
Wysłupił się i potknął i klęknął na ziemię;
Lecz Ransdorfa żelazne nie zawiodło strzemię.
Spiał trędzłą z całej mocy, i znów rumak stawa.
Zbiegła się doń łuczników drużyna ciekawa,
Winszują, że ze szwanku wycofał się zdrowo;
Ale starzy wojacy potrząsają głową,
A Wilhelm siwobrody szepnął do kamrata:
— Wolałbym nie pić wina przez całe dwa lata.
Niż widzieć, jak się rumak przed wojną potyka,
Bo to nie dobrze wróży szczęściu wojownika.

Młody wódz!... zła nadzieja po takim wyborze.
I sam zginie do licha, i nas zgubić może.
Co nas spotka na Litwie, krew, czy miodek stary,
Na odwagę, łucznicy, zatrąbmy w pułhary! —

I ze skórzanej sakwy nasaczył w róg wina.
Wychylił i wesołą piosnkę rozpoczyna.
Za Wilhelmem łucznicy wypili, zapieli;
Ale coś i po winie sercu nieweselej,
Ale huczna piosenka w pół taktu się utnie,
A echo gór litewskich odpowiada smutnie.

VI.

Litwa krząta się w polach, jak mrówka, jak pszczoła,
Po niwach płynie pieśńa żniwiarska wesoła,
Po lasach się rozlega róg myśliwski kręty,
Po świątyniach modlitwa i głos ofiar święty,
Pod błękitem Niebiosów szczebioce chór ptaszy,
A bojowe rumaki hasają na paszy.
Czemu ich nie siodłacie? czemu nie cuglicie?
Komu miła swoboda, komu drogie życie,
Kto pragnie zdrowia dziatwy, kto pragnie czci Bożej,
Niechaj ucho wyteży, ku ziemi przyłoży,
Niechaj dymów zapyta, niechaj wiatrów bada.
Co ów tętent oznacza? i te kruków stada
Co się zewsząd chmurami ponad Litwę garną,
Że aż ciemno na niebie, że aż w polu czarno?
A prędzej niech porzuca i chatę i łowy,
Niechaj sygnał myśliwski zmieni na bojowy.
Niechaj swój łuk opatrzy, da cięciwę nową
I zostrzy na kamieniu swą włócznię stalową;
A zebrawszy w drużynę jednej matki dzieci,
Skąd przybywają kruki, niech w tę stronę leci:
Tam może pierśmi w piersi lub z ciemnej zasadzki
Uda się wam odeprzeć lub zbić huf krzyżacki.
A nie wpuszczajcie wrogów ku domowej strzesie,
Kędy chatki bezbronne rozsypane w lesie,
Gdzie nad bogi, skrytymi w dębowe konary,
Czuwa słaba niewiasta lub ofiarnik stary,
Gdzie się wasi ojcowie schadzają leniwie,
Kędy twój syn w kolebce lub siostra na żniwie!
Biada twemu plemieniu, biada twej zagrodzie!
Wróg nie włócznią, to smutkiem twe serce przebodzie.

Nie zegną się pod bronią two ręce, two ramię.
To je żal obezsili, to rozpacz załamię:
Bo was Niemcy przewali dziećmi Belzebuba,
Wyćpieć wasze plemię to największa chluba.
W białych płaszczach z krzyżami to goście pamiętni:
Na litewskim podwórku, gdzie ich koń zatętni,
Bądź już gotów, mieszkańcze, na twą śmierć widoczną:
Wnet ogień i żelazo gospodarzyć poczną.
Krwia bryzgną piersi starców, niemowląt, kobiece,
I rumak, co przy żłobie, i pszczołka w pasiece,
Wszystko legnie od strzały, pożaru lub młota,
Aż do drobnej jaskółki, co w oknie szczebiota.

VII.

Po Litwie wciąż plondrują krzyżackie pałasze,
A bezbronni mieszkańcy, jak pisklęta ptasze,
Widząc srogiego sępa, co już wnet uderzy,
Gromadzą się i tulą pod skrzydła macierzy,
O dziesięć mil wokoło zbierają się w grona,
Spiesz do zamku Pullen ciżba przepłoszona.
Margier otwiera wrota — spotykać wychodzi:
A dziesięć wielkich czółen i rybackich łodzi
Snuje się wciąż po Niemnie, wyściga się, spiesz
Gwoli mężów, i niewiast, i kapłanów rzeszy.
Z dziesięciu bujnych łąnów wymłócono żyto,
Pięćdziesiąt tucznych wołów na pokarm zabito.
Nawarżono ałusu, nasycono miodu.
Margier ma karmić dziatwę swojego narodu.
Jako ów ptak zamorski — pelikan mu imię. —
O którym powiadają powieści pielgrzymie,
Że kiedy wygłodnieją, kiedy żer niełatwy,
Własne piersi rozdziera na pokarm dla dziatwy.
Tak i Margier, szczęśliwy, że doń przyszli swoi.
Chętnie sercem nakarmi, krwią własną napoi.
Podzieli się i chlebem, i sercem, i siłą,
Byle Litwie niegłodno i bezpiecznie było.
Do Pullen niech już idą rycerze krzyżowi:
Tam przyjąć najeźdźników od dawna gotowi,
Tam kamiennych toporów i włóczęń ze stali
Dawno już naciosali, dawno nakowali;
Wielkie stosy kamieni zniesiono na wieżę.
Na zgruchotanie karków zakutych w pancerze;

Wyjeżdżili rumaków doznanych w gonitwie —
A piersi bohaterskich nie zabraknie w Litwie.
Jeśli Krzyżak na polu Litwinów pokona,
To jeszcze twierdza Pullen, od Niemna broniona
Z wysokimi basztami i podziemnym lochem,
Nie tak snadno ją zdobyć siłą lub popłochem.
Na basztach czujna warta przechadza się wokół,
W zamku Margier tak mężny, tak czujny, jak sokół,
Pod ziemią strasznych bogów i Marti mieszkanie,
Tam się Litwa wspomůže, kiedy sił nie stanie.
Choćby już wzięła zamek drużyna krzyżacza,
Z Poklusem i Perkunem niechże walkę stacza,
I na pioruny bogów, na Litwy postrzały,
Niech się krzyżak posunie, jeśli taki śniały;
Jeżeli mąż się spodli i straci nadzieję,
Niewiasta garnek wrzątku na oczy mu wleje.

VIII.

Tak Margier sprawę Litwy ubezpieczył wcześniej;
Ale cierpiał jak ojciec — ach cierpiał boleśnie!
Gdy od stosu umknęła dziecina niemiecka,
Zgadł wyrodne uczucia w sercu swego dziecka,
I wzdrygnął się na myśli karmione kryjomu,
Niegodne córki Litwy z książęcego domu,
Tak sprzeczne z nienawiścią, co ku Niemcom chowa.
Zakipiał... drżąca ręka już była gotowa
Rzucić się na krew własną z morderczem żelazem
I uczucie z jej piersi wyrwać z sercem razem.
Ale opuścił ręce, spogląda i bada,
Że Egle taka smutna, milcząca i blada;
Pożałował nieszczęsnej, co cierpiała tyle,
I sercu ojcowskiemu dał folgę na chwilę;
Przytulił do swych piersi ofiarę niedoli,
Przebacza jej cierpienie i sam nad niem boli;
I mówił w głębi ducha: — O biedna ty, biedna!
Mściwe są bogi nasze, a któż ich przejedna?
Skupi się na cię zemsta i niebios, i ziemi.
Egle! a ja twój ojciec, rękoma własnymi
Będę musiał cię przywieść przed boże ołtarze,
Jeśli niebo swej zemście poświęcić cię każe! —

IX.

A zemsta nieśmiertelnych nie długo się zwlekła.
Stanął przed starą Marti straszliwy bóg piekła,

Objawił, jak umknęło krzyżackie pachole,
I dał uczuć swą zemstę, dał wiedzieć swą wolę.
Gdy wróżbiarka, Poklusa pośredniczka szczerą,
Zażądała krwi Egli za krew krucygiera,
Aby przebłagać bogów, a z Litwy zmyć zakał, —
Margier nawet nie zbladnął, nawet nie zapłakał.
Przywiódł Eglę przed ołtarz i tak mówił do niej:
— Cóрко moja, od śmierci ojciec nie uchroni.
Tyś wydarła ofiarę z pod kapłańskich noży,
Poklus na mnie, na ciebie, na Litwę się sroży.
O! nie ściągać na Litwę cierpienia niedoli!
Ja czuję, żeś ty młoda, że cię serce boli;
Ale twoje uczucie jest bogom w ohydzie,
Nie wolno im złorzeczyć, bo o Litwę idzie.
Tyś krzyżaka przed śmiercią ocaliła srogą,
Umrzesz na jego miejscu — umieraj, niebogo!
Ja twój ojciec... wódz Litwy... nie cofnę się wcale,
Ja sam topór naostrzę, ja sam stos rozpale,
I niech zgon, dokonany wedle niebios woli,
Litwę od takich grzechów na zawsze wyzwoli.
Bo na niebie, na ziemi niema cięższej zbrodni,
Niż gdy się z wrogiem złączą ziomkowie wyrodni.
Lecz wróg, zbawion od śmierci, ku większej ohydzie,
I zemścić się, i sercu uragać się przyjdzie.
Litwini! znacie moje rozkazy książęce:
Choćbym płakał jak dziecko, choćbym łamał ręce,
Zawieźcie ją do lochów najgłębszej otchłani,
Dopóki wyrok niebios nie spełni się na niej,
A przystęp niechaj będzie każdemu zawarty,
A choćbym ja sam błagał — słyszycie mię, warty! —
Biada temu, kto tknięty żalem lub obawą,
Wpuści choćby jej ojca, pomimo łzę krwawą! —
Tak mówił groźnym głosem niezachwianej woli,
Jakby serce z kamienia nic a nic nie boli;
Schmurzył czoło, brew męską nacisnął na oczy,
Lecz z jego orlich źrenic łza się nie potoczy.

X.

Ludno i gwarno w zamku przywykłym do ciszy,
Ledwie zdoła pomieścić tysiącznych przybyszy.
Uwijają się tłumy i konno, i pieszo;
Mężowie ostrzą miecze i kamienie krzeszą

Na topory i młoty, na dzidy i strzały,
(Oreż ze staroświeckich czasów pozostały),
A poważni starcowie, zszedłszy się do rady.
Opowiadają dawne krzyżackie napady,
Ciosają krzepkie drzewca do stalnych bardyszy
I uczą władać bronią młodszych towarzyszy.
Najstarszy z między starców, Lutas siwobrody,
W gromadzie wojowniczej zwija się jak młody:
Piorunny jego okrzyk na chwilę nie zmilczy;
Przywdział do góry włosiem szubę z sierści wilczej
I sutym łbem z leśnego niedźwiedzia odartym
Przystroił siwą głowę i napuścił hartem
Swoj topór staroświecki, wypróbowan laty,
I na brusie kamiennym toczy miecz szczerbaty.
Wąsy białe, jak mleko, najeża do góry
I brodę, co od szarej, kudłatej wilczury
Dziwnym blaskiem odbija; a zgrzybiała ręka,
Co trzęsa się niedawno, gdy w struny zabrząka,
Podźwiga ciężki kamień aż na górę wieży,
I biada łbom krzyżackim, gdy na nie wymierzy!
Okrzyk wojny odmłodził odrętwiałe kości.
Trąbka wskrzesza w nim ducha dawniejszej dziel-
Pod bronią wyprostował pochyloną szyję. {ności,
A poczuł, że krew młoda do serca mu bije.
Tak Niemen, obumarły pod bryłą lodową,
Gdy się wiatrem wiosennym odżywi na nowo,
Silniejszym wirem pędzi ku cichej zatoce
I mocniejszymi ciosy w brzeg piaszczysty grzmoce.
Zgrzybiałej starca twarzy i mętnej źrenicy
Jakby Perkun użyczył ognia błyskawicy,
Czarodziejską potęgą tak iskrzy się zdala
I najlękliwsze piersi do męstwa zapala.
— Hej! — woła — naprzód Litwo! na mury, na wały!
Ażeby duchy ojców was nie przeklinały,
Ażeby wasze dzieci wyrastały krzepko!
Widzicie? miecz krzyżacki tuż nad ich kolebką!
Słyszycie? psalm niemiecki już zatrzęsa knieje!
Oto już dym pożarny z za lasu czernieje...
Patrzajcie, tam, na lewo! naprzeciw Puniały
Sztandar wielkiego mistrza połyska się biały!
Widzicie liczny hufiec, co tej szmaty strzeże?
Złocisto zwirowane błyszczą ich puklerze.

Do łuków, dzieci Litwy! powitajmy gości!
Zaraz się brzeg niemnowy trupami umości.
Do łuków! niechaj każdy jedną pierś rozbija,
Bo tutaj w każdej piersi niebezpieczna żmija! —

XI.

Tak Lutas krzyczał z góry, ile piersi zmogą,
A dziesięć trąb rogowych ozwało się trwogą;
Od nich w każdym wąwozie i na każdej niwie
Echo po dziesięć razy zawrzało chrapliwie.
A z tamtej strony Niemna płyną insze tony:
Dźwięk muzyki kościelnej, pięknej, wyuczonej,
I w takt łacińskiej pieśni, bez końca, bez miary.
Wysuwają się z lasu krzyżackie rajtary.
Biała chorągiew mistrza pierwszy plac zabiera.
Dalej sztandar, a na nim herb Hannebergera.
Dalej z za każdej sosny, z za dębu, z za jodły.
Różnobarwne jak kwiecie hufce się powiodły.
Żelazem wszystkie piersi, wszystkie błyszczą głowy.
Staął naprzeciw Pullen jakby mur stalowy,
Popisany krzyżami: bo wszyscy pancerni
Przywdzieli białe płaszcze — na nich krzyż się czerni,
Że na całym ich wojsku, bez końca, bez liku.
Jakby na chrześcijańskim starym mogiłniku.
Litwa widzi znak śmierci — i strzela w te krzyże,
Dufając, że je zwalczy, że na wskroś przenieże,
A wzywając ku szczęściu swe bogi ojczyste,
Twojemu znamieniowi urąga się, Chryste!

XII.

Z tych okien i ze strzelnic, od Perkuna dzieci,
Jedno tylko westchnienie ku krzyżowi leci:
Egle, na śmierć sądzona, przed jutrem swej kaźni
Jeszcze marną nadzieją biedne życie drażni.
W lochu swego więzienia, przy okienku ciemnym,
Widzi, jak huf krzyżaków snuje się nad Niemnem;
Nauczona od dziecka, że Krzyżacy podli,
Chciałaby ich przeklinać — a jednak się modli.
Westchnąć ku swoim bogom daremno się kusi,
Krzyż jest Bogiem Ransdorfa — potężny być musi;
A swych uczuć nie mogąc utrzymać na wodzy,
Jękla: — Bogowie Litwy! zanadtoście srodzy!

Przygwożdżony do krzyża i w koronie z cierni,
 Bóg krzyżaków pogląda ku mnie miłosierniej;
 On od śmierci mię zbawi, On te baszty skruszy.
 On przyniesie pociechę bolejącej duszy.
 I przyjdą tu krzyżowi wojownicy biali,
 Ja obaczę Ransdorfa — i on mię ocali.
 Zamiast ginąć, jak trawa, gdy ją zetną kosą,
 Ja ucieknę z Ransdorfem, gdzie oczy poniosą,
 Nad morze, w kraj niemiecki, pod Chrystusa władzę...
 Mego ojca opuszczę, moich bogów zdradzę...
 Zbrodniarka!! cóż wyrzekłam? O święci bogowie!
 Gdzie są wasze pioruny zadać cios mej głowie.
 Skrócić moje dni młode, które zbawić życzę,
 Wypalić z mego serca uczucia zbrodnicze?...
 Ojcze! jam twoja córka!... gdzież moja odwaga?
 Ja się cofam, gdy Poklus ofiary wymaga
 Dla ocalenia Litwy! Co znaczy ta skarga?
 Czemu się serce moje na dwie strony targa?...
 Ransdorfie! tyś wróg Litwy! — giń w jednej godzi-
 {nie...

O nie! raczej niech Egle, niechaj Litwa zginie...
 Bogowie, których Niemcy, czy Litwini chwałą!
 Którzyście potężniejsi, niechaj go ocalą —
 Tych przeklnę, co ze wszelkiej litości wyzuci;
 Tego uznam za Boga, kto nam szczęście wróci!

Tak, złamana rozpaczą, nieszczęsna dziewczyna
 Modli się, błogosławi, złorzeczy, przeklina,
 To krzyżyk do ust ciśnie, to go szarpie z łona.
 Aż na surową ziemię upadła zemdlona.

XIII.

A z lasu, z poza Niemna słychać huk donośny:
 Ścina topór niemiecki jedliny i sosny;
 Jak szeregi bojaków ugodzone młotem,
 Walą się stare drzewa z ponurym łoskotem,
 Aż się echo borowe zatrząsa z daleka.
 Spłoszone ptastwo leśne chmurami ucieka,
 Ulatuje nad Niemnem, nad warowni dachem,
 Spieszy k'Litwie na skargę, dzieli się przestraczem.
 Bogowie, co te lasy mieli pod obroną,
 Z wiatrem głucho przekleństwa na łupieżców zioną..

Ustała święta cisza nad zameczyskiem starem,
Kipi całe powietrze tysiącnym rozgwarem,
Poprzeplaszane ptastwo wrzeszczy na zatoce,
Tętni topór po kłodach, sosna się druzgoce,
Rzą rumaki rajtarów, trąbka gra sygnały,
A szumnym rozhoworem gwarzy obóz cały.
Po borze, ponad wodą i po błoni płaskiej
Echo zaledwie zdoła dopędzić te wrzaski,
W niesforną całość tonów naprędce je składa,
I zda się wciąż powtarzać: z a g ł a d a! z a g ł a d a!

Każde cieniste drzewo, co zwalone padnie,
Odsłania albo ciżbę skupioną bezładnie,
Albo hufiec szykowny już do boju gotów;
Wznosi się jakby miasto biały rząd namiotów.
Migotają proporce, jak kwiaty nad błonią;
Najwyższy namiot — kościół, już tam na mszę dzwonią.
Mały miedziany dzwonek, gdy zabrząknął zwolna,
Umilknął łoskot siekier, i wrzawa swawolna.
I surma obozowa — w jedno mgnienie oka
Dokoła znów się cisza rozlega głęboka.
Aż ptastwo ośmielone, gdy je cisza mami,
Poczęło zwolna krążyć tuż nad namiotami,
Ucieka, to powraca i żałośnie kwili
I szuka drzew znajomych i gwiazd, co zburzyli.

Margier z wysokich wałów gniewnem okiem ciska,
Liczy chorągwie Niemców i obozowiska:
Widzi szereg pancerny nad Niemnem rozwity,
A tam ciosają kłody, uwiązują płyty,
By ułatwić przeprawę. Po tratwach, po moście,
Wkrótce przyjdą do Pullen nieproszeni goście.
Gotowe im przyjęcie — już się ukrop pieni,
A na polach litewskich nie braknie kamieni.
Daremnie w hełm uzbrajać i głowę, i szyję:
Wrzątek oczy zaleje, kamień łeb rozbije,
A topory, z krzemienia wyciosane świeżo,
Bohaterskim zamachem w ich serca uderzą.
Z napiętymi łukami, celując z daleka,
Ciżba Litwy na wale tylko hasła czeka.

Margier zmierzył szerz Niemna i obozowisko:

— Ha! złoczyńcy! namioty rozpięli za blisko,
Nasze strzały doleca, jeszcze pędu stanie —
Hej! puścić chmurę żądeł na ich powitanie! —

I już łuk swój dębowy napiął do wystrzału,
Kiedy dzwonek za Niemnem ozwał się pomału,
U krzyżaków ucichła wrzawa obozowa,
A chorągiew nadbrzeżna, bo boju gotowa,
Uklęka — snadź się modła. Margier łuk nateży:
Oto mistrz, ze starszyzną i z orszakiem księży,
Idzie zwolna pod namiot, gdzie kościół ubrali;
Poznał go wódz litewski pomimo oddali,
Wziął na oko — wycelił — już go ma pod strzałą,
Chciał już strzałę wypuścić; lecz serce zadrżało:
— Nie! — zawołał — niech żaden nie strzela, nie mie-
Dopóki Niemcy swoich nie skończą pacierzy: [rzy,
Oni modlą zajęci poklękli na ziemi.
My nie walczym z ich bogiem, jak oni z naszymi.
Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki,
Nie mogą się w tej chwili spodziewać zaczepki,
Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie! —
Rzekł, odpuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
A sam upadłszy na twarz przed obliczem Litwy,
Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
Że się brzękot polnego konika posłyszysz,
A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha,
Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

XIV.

Trwa cisza uroczysta... Wtem z lasu znienacka
Odezwała się trąba miedziana krzyżacka,
Zagrał potem głos drugi i sto głosów za nim,
Aż zabrzękło powietrze chrapliwem zgrzytaniem.
I wali się na brzegi niezliczona tłuszcza,
Na Niemen dziesięć płytów, dziesięć tratów spuszcza.
Tłum się ciśnie na pomost, aż zatapia drzewa,
A na każdej z tych tratów chorągiew powiewa.
Zadrgał Niemen — wioślarze uderzyli w wiosła,
Połowa wojsk krzyżackich żwawo się poniosła.
Margier skinął, wycelił, — i z tratów, co płyną,
Krew bryzgnęła ruczajem nad Niemna głębiną,
I zajękło sto piersi wyziewając ducha,
I sto trupów krzyżackich do głębinę plucha.
Wioślarze przyspieszają i wiosła i drąga,
Kipi Niemen — rząd tratów pod wały nadciąga.

Z przeklęstwem wystrzeliły krzyżackie łuczniki,
 Na wałach okrzyk Litwy odezwał się dziki,
 I kilka mężnych trupów od strony Puniąły
 Stoczyło się z okopów przez urwiste wały,
 Aż w niemnowej topieli drgnął łoskot ponury,
 Jak gdyby stos kamieni zawalił się z góry.

XV.

Przybijają do brzegu najezdnicze tratwy;
 Lecz wybrzeże urwiste, a przystęp nie łatwy,
 A nad głową na wałach Litwinów gromada,
 I grad ciężkich kamieni na krzyżowców spada.
 Lecz choć wisi już nad nim mordercza siekiera,
 Książę saski odważnie na górę się wdziera,
 A wśród hucznych okrzyków, że aż słychać w lesie,
 Za nim ciżba pancerna po wąwozach pnie się.
 Już doszli napastnicy do połowy wałów,
 Już głowy najezdnicze wolne od wystrzałów,
 Kiedy na płytkim głazie w mordercze objęcia
 Stary Lutas pochwycił niemieckiego księcia.
 I cisnął go za ziemię tak potężnym rzutem,
 Aż stęknął żwir pod ciałem w żelazo okutem,
 I młotem tak mu silnie do piersi uderza,
 Że aż zgrzytnął blaszany napierśnik rycerza.
 Ale Krucygier zręczny, jak lisszka, jak żmija,
 Wstaje, skręca się, z ramion litewskich wywija,
 I nim się starzec spostrzegł — tak go mieczem płatnie,
 Że Lutas padł, wydając jęczenia ostatnie.
 Zerwał się — jeszcze zamach ostateczny czyni,
 Już mu spieszą na pomoc zawzięci Litwini,
 Gdy Rudolf, książę saski, skinął na krzyżaki:

— Zabierzcie go! nam dzisiaj przyda się dziad taki!
 Musi znać przejścia twierdzy — odprowadźcie dziada.
 Niech go tam Ransdorf Warner najściślej wybada.
 Póki z cielska zgrzybialca dusza nie uciekła,
 Nim szatan poganina pochwyci do piekła —
 Pod mękami niech nasze zawiadomi wodze
 O murach, lochach zamku, o całej załodze. —

Rzekł, a jego żołdacy w tejże samej chwili
 Konającego starca na ręce chwycili,
 Zbiegli z krętego wału, zanieśli do łodzi.
 A choć ze starej głowy krew bystro uchodzi,

Lutas wyciągnął ręce jak szpony jastrzębie,
Chwycił jednego z Niemców i w niemnowe głębie
Stracił z łodzi — i upadł na ręce wioślarzy,
Bełkoce nieprzytomnie, coś o bitwie marzy.

XVI.

Już Niemcy wał zdobyli — do warownej ściany
Wleka burzące działa, grzmotliwe tarany.
Huknął straszliwy łoskot, aż się wstrząsnęły góry.
Margier ścian swoich broni; jego głos ponury,
Choć krzyżaków napęlnia zwątpieniem i trwogą,
Ale wszyscy Litwini słyszeć go nie mogą.
Cóż litewscy bojacy? Liczba ich niedługa,
A reszta — motłoch trwożny, uciekły od pługa.
Ciska strzały na oślep, z rąk bardysze roni.
Ścianę osłania pierśmi, lecz jej nie ochroni.
Grzmotnął armatni wystrzał, jak piekiel widziadło...
Runął mur, pękły balki, pół ściany odpadło.
Jeszcze chwila... a jeśli nie odeprą krzepko,
Wnet się Niemcy zapastwią nad dziatwy kolebka!
Taka myśl rozpaczliwa i okrzyk Margiera
W ich piersiach budzi męstwo, co już obumiera.
Choć zgruchotane ściany, obalone głowy,
Pierś jest murem warownym, mocniejszym sto razy
Od wypalonych cegieł i twardych kamieni;
Poczułi to litewscy męże zrozpaczeni.
I jakby nową siłą Perkun ich obdarza,
Jakby zstąpił sam Poklus ze swego ołtarza,
Tak wobec nieprzyjazznych taranów i kuli,
Nieśmiertelną odwagę w swej piersi poczułi.

W poszarpanych odzieżach, okryci kurzawą,
Dobyli sił ostatnich na obronę krwawą;
Krzycząc z ochryplej piersi usta spalonemi.
Uderzyli zajadle na wroga swej ziemi.
Niemieckiem szwargotaniem wzywając Maryę,
Krzyżak ciężkiem żelazem każdy cios odbije.
A kiedy lotna strzała nie służy z pobliska,
Przy obalonej ścianie dwoje wojsk się ściska,
W jedną potworną całość zlewa się i splata,
Jak gdyby fala czarna, ruchoma, iskrzata.
A co raz ciężkie ciało do Niemna się zwali,

Trąba zgrzyta, krew świszczę, stal brzęczy po stali,
Ziemia stęka, jak gdyby wzruszona do głębi,
A wiatr gęstą kurzawę pod niebiosa kłębi,
A gwarny wir bojowy kipi tak bezładnie,
Że ucho nic nie schwyci, oko nic nie zgadnie.
Wzięli górę kudłaci wojownicy w czerni:
Staczają się po wałach rycerze pancerni:
Niosą rannych i trupów znakomitszej braci;
A kto życia nie stracił, ten już siłę traci,
Zbiera pogięte hełmy, potraskane miecze
I ucieka od Litwy — nie zawsze uciecze:
Owdzie oszczep ciśnięty z Margierowej dłoni,
Owdzie strzała swem żądłem kamiennem dogoni
I trupem go położy, skarże za bezprawia.
Już się tratwa po tratwie za Niemen przeprawia,
A nim jeszcze wioślarze skrećą przy zatoce,
Kamień z góry zepchnięty po ich tratwach grzmoce,
Złamie sosnowe kłody lub balki rozdzieli,
I trwożnych niedobitków pograża w topieli.

Krwawe słońce zachodzi, świat graży się w ciemnie,
Wszędzie krew i na niebiosach, na ziemi, na Niemnie,
Na twarzy bojowników i na ich odzieży
I na ostrzach orężów, co żer miały świeży.
Wreszcie krzyżowe hufce opuściły wały,
Tylko same Litwinów garstki pozostały;
A na ich czele Margier, na włóczni oparty,
Każe niecić ogniska, rozporządza warty;
A cała jego odzież zbryzgana posoką,
Twarz blada, krwią zabiegło bohaterskie oko,
A miecz jego morderczy, gdy się żniwo kończy,
Silnie utkwiony w ziemię krew kroplami sączy.

XVII.

Wokoło wodza ciżba strudzona i cicha
Trupy Niemców do Niemna pogardliwie spycha;
Nie odziera ze zbroi, bo zanadto spieszy.
Legł mężny Hanneberger, pan niemieckiej rzeszy,
Znany rycerz turniejów, co z żywą ochotą
Szedł z krzyżaki na Litwę po laury i złoto;
Książę saski przez ramię dostał cięcie żwawe;
Poległ komtur z Elbląga, co radził wyprawę;
A Wilhelm, stary łucznik, co na miód się kwapił,

Zamiast kowieńskich lipców, krwi własnej się napil,
 Padł przy zachodniej baszcie przywalony cegłą.
 A co prostych rajtarów i knechtów poległo,
 Pan tylko z górnych Niebios policzyć to może,
 I na cię, wielki mistrzu, hrabio Teodorze,
 Policzy krwi ich winę!

XVIII.

— Jutro plon się poźnie, —
 Rzekł Margier sam do siebie i zwrócił pobożnie
 Bohaterskie spojrzenie ku wieczornej zorzy. —
 Ausko święta! tyś bóstwo, w tobie ogień boży.
 W tem żarzewiu kraśniejce potęga i siła;
 Dzięki, żeś jego iskrę w piersi nam rzuciła!
 Wróg odparty na chwilę, gdy wróci na dłużej.
 Krasna jutrznio! twój promień niech nam szczęście
 Do roboty, Litwini! za nami są nieba! [wróży!
 Zgruchotano nam mury, naprawić je trzeba.
 Ciosajcie nowe ściany i kamienie znoście,
 Przez noc niech stanie baszta, bo znów przyjdą goście.
 Niewiasty i starcowie niech naprawią wieżę,
 A mężowie od boju, spożyjcie wieczerzę,
 I niech każdy wychyli miodu pełną czarę,
 Najpierwszą wlać na ogień bogom na ofiarę.
 Rozłammy chleb na braci pogrzebowej stypie:
 Może jutro nas kurhan bojowy przysypie.
 Kapłani, grajcie w gęśli, rozpocznijcie pieśnię,
 Niewiasty, zaprzestańcie płakać tak boleśnie;
 Kto dziś został sierotą po ojcu, po bracie,
 W Litwie matkę, a we mnie brata pozyskacie. —
 Rzekł, złożył hełm na trawie, wyzuł się ze zbroi,
 I splakany sierotom chleb dzieli i kroi,
 I do siwego starca, i do biednej wdowy
 Przepija czarą miodu obchód pogrzebowy.
 Na wałach gwar i życie spokojne powraca,
 Przy bojowych ogniskach wieczerza i praca,
 W Niemnie iskrzą ogniska, a po całej niwie
 Echo nocne odgłosy powtarza leniwie,
 I krzyżackie piosenki, i modlitew szmery,
 Jęk ranionych, gwar ludu i łoskot siekiery.

PIEŚŃ PIĄTA.

I.

Ransdorfowi, co pełnił odwodowe straże,
Wielki mistrz na bój pierwszy puszczać się nie każe;
Chrobre jego Juczniki o jutrzejszym świecie
Pójdą na bój morderczy na śmierć i na życie:
Starszyna, rozjątrzona dzisiejszemi klęskami,
Na jutro przepowiada swój triumf zwycięski.
Bez dzwonu i bez pieśni, przy modlitwie cichej,
Znakomitszych zabitych pochowały mnichy,
Aby, słysząc z daleka pogrzebowe tony,
Nie brał większej otuchy poganin wzgardzony,
Albo niegodnym śmiechem szyderczej radości
Nie dał w urągowisko chrześcijańskich kości.

Wedle namiotów wodzów palą się ogniska,
A krzyżackie rycerstwo otacza je z bliska,
A przy każdym ognisku ksiądz w komży i stule
Przemawia do rajtarów pobożnie i czule,
Zagrzewa do odwagi, by walczyli śmieiej,
Wróży zabitym Niebo, bo w Panu zasnęli,
I z biblji przytacza wzory znakomite
Samsona, Machabejów, Deborę, Judytę,
I uciśnionej Litwy bałwochwalcze syny
Równa z Amorejczyki albo Filistyny,
A przekształcając Pismo gwoli swej potrzebie,
Woła z Mojżeszem: — Wodze! zbierzcie lud do siebie.
Idźcie pod mury miasta, głosząc spokój Boży;
A kto was nie usłucha, kto bram nie otworzy,
Rozpocznie z tobą wojnę, — niechaj ginie zgoda.
A gdy Pan Bóg bezbożnych w wasze ręce poda,
Wszędzie mieczem strasliwym spustoszenie nieście,
Niech padną głowy męskie i głowy niewieście,
Niech sprośni bałwochwalczy giną w jednej chwili,
Aby was nieprawości swych nie nauczyli.
Przez wasze mściwe ręce Bóg niewiernych karze:
W pień wyniszczcie ich głowy, w popioł ich ołtarze! —

Takiemi okrzykami mnich wyteża płuca,
W zapale fanatycznym miota się i rzuca,
Krew mu kipi w żrenicach, a na uściech piana,
I śpiewa pieśń Judyty, padłszy na kolana:

— Panie! spójrz na obozy asyryjskiej czerni...
Niech się w niwecz obróca, niech giną niewierni!

Napróżno w swoją liczbę ufa motłoch ślepy,
W swoje tarcze i strzały i w swoje oszczepy,
A nie wie, z kim prowadzi świętokradzkie boje,
Że Ty sam kruszysz miecze, a Pan imię Twoje! —

Tak mnich pokrzepia w wojsku upadłego ducha,
A żołdactwo pobożnie kaznodziei słucha,
I nadzieję wygranej już pewniejszą liczy,
I napawa się myślą bogatych zdobyczy.

W innym zasię namiocie mnich na tarczy siedzi,
Udziela rozgrzeszenia i słucha spowiedzi,
Bo jako napisano w zakonnym statucie:
„Gotujcie się do boju w żalu a pokucie.
Bądźcie zbrojni w zasługę, a cnotą orężni,
Niewinność chrześcijańska niech serce umęźni”.
Krzyżactwo, pisanemu wierne zakonowi,
Jeden grzech wypowiada, nim drugi ponowi,
Zmiata z serca wspomnienia ominionych zbrodni
Aby nowym gadzinom lęgnąć się wygodniej.
I przy blasku smolnego drzewa lub łuczywy
Przenajświętszy Sakrament dzieli mnich sędziwy
Pokłękłemu rycerstwu i knechtów czeladzi:
„Oto Baranek Boży, który grzechy gładzi!”
Dzwonek brzęczy, ksiądz pieje, a cała gromada
Długimi szeregami na kolana pada,
A blask smolnych pochodni miga uroczyście
Między konary sosen i dębowe liście.

II.

Białe wodzów namioty na zielonej darni
Od ognia, co w nich gore, sieją blask latarni.
Stamtąd nie bierze chwały Odkupiciel świata,
Tam nikt z braci w kościelny dzwonek nie kołata:
Zamiast modłów szeptanych pobożnemi usty,
Słysząc brzękot puharów i piosnkę rozpusty:
Tam śpiewak obozowy, minnesinger stary,
Wypieszczonemi takty rwie w struny cytary;
Nie pomnąc, jak jest świętą dostojność śpiewacza,
Lubieżne krotchwile beczelnie przytacza.
Pijane serce wodzów w takt bardonu tętni;
Otaczają śpiewaka rycerze namietni,
Gromada, strojna w togi i zakonne płaszcze,
Na słowa nieprzystojne śmieje się i klaszcze.

Najdzielniejsi wodzowie, najgorliwsi księża,
Każdy ku brzydkiej pieśni uwagę nateża,
Nalewa pełny puhar niemieckiego wina
I wtórować śpiewaczym tonom rozpoczyna.
Piosenka i modlitwa i dziki gwar szalu
Nad obozem krzyżackim wznoszą się pomału,
A nieskalane echo litewskiej pustyni
Powtarza je po cichu, snadź gwałt sobie czyni.

III.

Ransdorf w swoim namiocie, jak zakonnik w celi,
Siedzi jeden, powszechnej ochoty nie dzieli.
Myśl o Egli, od czasu gdy ujrzał swobodę,
Ochronia od skażenia jego serce młode.
Bo hulacka piosenka szalu i rozkoszy
Boleści rozpaczliwej z serca nie wypłoszy!
Na zgryzotę sumienia, ach, niełatwa rada,
Winem nie zalać iskry, co mu pierś przejada.
On klęczał przed ołtarzem i modlił się codziennie,
Winił się na spowiedzi, jak najcięższy zbrodzień,
Przedstawiał swą niewdzięczność w straszliwej postaci,
Jako Litwie żelazem za gościnę płaci.
Ale mnich, co go przyjął na pokuty łono,
Co chciał wskrzesić do życia duszę zrozpaczoną,
Napróżno doń przemawiał w imię sprawy Bożej,
Zamiast ranę wyleczyć, rozjątrzył ją srożej.
Bo słysząc, że dla Boga walczą się te kraje,
Że zdrada w imię Pańskie zdradą być przestaje.
Zachwiał się młody łucznik w młodocianej wierze,
I coś mu było ciężko, gdy mówił pacierze;
Pierzchły swobodne myśli z ociężałej głowy,
A piersi jakhy kamień przywalił grobowy.

IV.

Ransdorf marzył w namiocie daleki od ludzi,
Kiedy go szelest zbroi z marzenia obudzi:
Łucznik z pobojowiska wszedł pod namiot żwawo
Oblany krwią, osypan bojową kurzawą.
— Wodzu — rzecze — bojowe przynosim ci dary,
Jestto umierający bałwochwalca stary.
Waleczny księżę saski (niechaj żyje zdrowo)!
Zwalił starego czarta siłą Samsonową,

A póki dusza w cielsku, przytomność w umyśle.
Poleca waszej cześci wybadać go ściśle
O tajnych lochach zamku, któremi się wciska,
Aby węża wykurzyć z jego legowiska.
Nie zdobyć zamku szturmem: silną ma obronę,
Jak liche gniazdo sępie do skał przyczepione;
Ale ten dziki starzec, przyciśniony nożem,
Opowie insze drogi, któremi wejść można.
Przynosim go pod samy namiot waszej cześci;
Ależ to silny Litwin, ze sto czartów mieści.
A całe staję ziemi zawałił swem ciałem,
A takiej długiej brody nigdy nie widziałem,
A choć we krwi opłynął, choć wyziewa ducha.
Olbrzymim głosem z piersi jak z kotła wybucha.
Tak łucznik gadatliwy o swym jeńcu gwarzy.
A Ransdorf, co go słucha, pobledniał na twarzy,
I jak zbrodniarz, którego na torturę zową,
Wychodzi przed swój namiot.

V.

Tam z powisłą głową
I z przebitemi pierśmi, skrępowany w sznury,
Leżał Lutas, otulony szmatami wilczury;
Odarty z przyłbicy i z miecza i z młota.
Poczerniałemi usty zlorzeczenia miota.
Szamocze się z więzami jego ręka wścięła.
Po jego siwej brodzie płynie krew zapiekła,
Ransdorf skinął — i z ramion rycerskiego dziada
Ocięto gruby powróż, co ręce przejada;
A starzec, jakby upiór, jakby trup mogilny,
Wstał... zachwiał się na ziemi i upadł bezsilny;
Tylko całą potęgę i duszy i ciała
Skupił w dzikiej żrenicy, co krwią zakipiała.
Raz spojrzął na Ransdorfa, tak dziko, tak hardo,
Że go zdeptał spojrzeniem i przeszył pogardą.
I jęknął: — W uroczystej śmiertelnej godzinie
Witaj, młody rycerzu i chrześcijaninie!
Mianowano cię wodzem... los godzin zazdrości!
Pożądanych do Litwy sprowadziłeś gości!
Witam cię i pozdrawiam przeklęctwem mej ziemi,
Które Litwa wyrzeczce nad kośćmi mojemu.
Zbawiłem cię od śmierci w zlitowaniu podłem, —

Więc to ja tę szarańczę na Litwę przywiodłem.
Co jej niwę pustoszy... O! gdzież moja chwała?
Gdzie krew, co w tylu bitwach chrobrze się wylała?
Przeklętwo, ej! przeklętwo pozostanie po mnie!...
Tyś zwyczajnie jak krzyżak, działał wiarołomnie:
Tak uczy wasza wiara i wasi prorocy,
Za chleb ofiarowany rzucić kamień z procy,
Za uścisk płaćnąć mieczem — tyś dziecko bezprawi, —
Nie winien srogi tygrys, że się we krwi pławi.
Lecz ten godzien zaginać w piekielnej czeluści,
Kto zwierzę krwi niesyte z kagańca wypuści...
Oto krew naszych braci, płomień naszych zgłiszczy
Słyszę zdala jak huczy, przelewa się, świszczy
I gorącym potokiem leje się do łona
I miga przed oczyma, jak chusta czerwona...
Wkrótce ty sam obaczysz, co jest zgon zbrodniarza.
Zgryzota byстрым słuchem przed śmiercią obdarza:
Ja słyszę, jak z niebiosów Perkun mnie przeklina.
Jak płacze każda matka i każda dziecina,
Jak jęczy biedna Egle uwięziona w wieży,
W którą topór kapłański w tej chwili uderzy
W zamian za twoją głowę — niechaj mnie przeklina!
I tutaj moja zbrodnia, i tu moja wina.
Gdzie wtedy był mój topór, gdy truchlejąc cała.
Niegodne dziecka Litwy uczucia wyznała?
Dlaczego jej nie zabił? Jednem cięciem mojem
Obdarzyłbym i Eglę, i Litwę spokojem!
Czemum ci nie dał zginać na ofiarę piekła?
Czemu ze starych oczu łza grzeszna pociekła?... —
Tak Lutas, słabym głosem rozdzierając płuca,
Na wilgotnej murawie targa się i rzuca,
I ręce to wypręża, to do prośby składa:
— Młodzieńcze! jeszcze jedna została ci zdrada:
Ukazać loch tajemny... O! rycerzu krzyża!
Patrzaj, oto się Lutas do prośby poniża.
Błagam cię, wiarołomco, w imieniu mej ziemi:
Nie mów o tajnym lochu przed braćmi twojemi.
Jeżeli nie wejdziecie przez tamte bezdroże,
Jeszcze Litwa na siłach pokrzepić się może...
Szalony! co ja czynię, i co mi się marzy?
Że wpół drogi zbrodniczej zatrzymam zbrodniarzy?!
O nie! ty się nie cofniesz przed żadną ohydą!

Jak wilki do owczarni, niech podkopem wnijdą,
Niech zburzą gród Margiera Niemcy wiarołomni!...
Iecz przysiągłeś na Boga... twój Bóg się dopomni
Zemsty za pogwałcone klątwy uroczyste.
O przybity do krzyża chrześcijański Chryste!
Ciśnij krzyża piorunem, poganin Cię błaga,
Niech się pomści krew Litwy i Twoja zniewaga!
Albo wróćcie mi siły i miecz dajcie w ręce,
Ja się zemszczę... Do łuków! do mieczów, młodzieńce!
Brońcie wejścia do lochu! bo już wróg napada!
Powiedzcie Margierowi... że w obozie zdrada,
Że Lutas... zdradził Litwę!... — Tu oddech się zatnie;
Ryknął lew strasznym płaczem — ryknienie ostatnie
Rozległo się w pustyni. Choć w krzyżackim tłumie
Nikt, krom wodza, litewskiej mowy nie rozumie,
Jednak wszyscy pobledli, każdy oddech ścina;
A tylko mnich brodaty, słysząc z ust Litwina,
Że wymawia Chrystusa i ręce podnosi:

— Oto, rzecze, poganin chrztu świętego prosi,
Z płaczem wyznaje grzechy, spowiada się w skrusze,
Spieszmy odebrać piekłu zatraconą duszę! —

I już ze stągwią wody z Niemna zaczerpniętej
Chciał nad czołem Lutasa odprawić chrzest święty,
Przybliża się ostrożnie i wyciąga szyję:

— Ciesz się, piekło! już stary poganin nie żyje!

VI

Na ziemi poszarzało, na niebie już świta.
Ransdorf, jak martwy posąg, jak kolumna wryta,
Stał nad trupem Lutasa — co myśli? co marzy?
Szatan mu dziką rozpacz wypisał na twarzy,
Jego czoło zmarszczkami najeża zgryzota,
Jako wichler wśród burzy, kiedy fale miota.
A w głowie kipią myśli szalone i chore,
A całe piekło cierpień w jego piersiach gore.
— Ha! prawdę powiedziałeś, o starcze złowrgi!
Nie pora zbrodniarzowi cofać się w pół drogi.
Kto raz wirem występku został uniesiony,
Już go twarda konieczność pochwyci w swe szpony,
Pchnie ze zbrodni we zbrodnię; na drodze takowej
Chcieć się wstrzymać od grzechu — to może grzech
Hańba złamać przysięgę... daną wobec krzyża, [nowy

Mistrzowi wydać przejście, co k'twierdzy przybliża...
Chowałbym tajemnicę, ale to się znaczy:
Eglę zostawić w rękach litewskich siepaczy.
Nim wał i mur zdobędą rycerze krzyżowi,
Oni jej krew niewinną już przelać gotowi
I wydrzeć wielkie serce!... O, stojcie, zbrodniarze!
Na wieczne potępienie choć mię Pan Bóg skaże,
Zdradzę was... tajnym lochem łuczników powiodę,
I ofiarę ze stosu wyrwę na swobodę,
I mistrzowi ułatwię oblężenia pracę,
I za gościnność waszą płomieniem zapłacę.
Niech z dymem waszych dachów, z jękiem waszych
Przeklęctwo na mą głowę do niebios polecą, [dzieci,
I tam wymodli piorun, co mi strzaska łono —
Ja przyjmę bez szemrania karę zasłużoną,
Byle Eglę ocalić — prędzej... prędzej zdrada! —

I porwał róg bawoli i do ust przykłada,
I na swoich łuczników na pobudkę dzwoni.
Aż się zgrzytanie trąby rozległo po błoni,
I wywołało w lesie różnych dźwięków krocie.
Kipi obóz niemiecki, jak rój na wylocie,
A ptaszki, co już dzionek opiewały rychły,
Przelekły nowym gwarem w pół taktu ucichły.
Ozwał się dzwonek na mszę — gwar kipi nad wodą,
Rżą rumaki, co Niemcy na wodopój wiodą;
A z za krawędzi lasu powoli... powoli
Błysnęło jasne słońce — zły czy dobrej doli.

VII.

Litwini już gotowi — oni w nocnej chwili
I basztę zgruchotaną, i mur naprawili,
Osadzili strażami i wały, i wieże,
I bramę do warowni, i Niemna wybrzeże;
A sami do świątyni zeszli się gromadnie,
Gdzie Marti suche drzewo do ogniska kładnie,
A podnosząc do góry ociemniałe oczy,
Z podziemnymi bogami swój rozhovor toczy.
A na jej twarz promienną, na postać niewieścią
Cała Litwa pogląda z przestachem i cześcią;
Czy wróżbiarka poblednie, czy rumieńcem pała.
Litwa, jakby w jej twarzy swą dolę czytała,
Płomieni się i blednie. Marti stos rozżarza,

I po trzykroć obchodzi dokoła ołtarza,
 I polewa na ogień krew z całopalenia,
 I coraz insze bóstwo kolejają wymienia,
 Coraz inszemu bóstwu oddaje poklony,
 Zwraca się do zachodniej, to do wschodniej strony,
 Niewidzialnego inszym przywołuje ducha.
 Zdaje się o coś pyta, zda się czegoś słucha.
 Aż nareszcie poczuła nadziejską wyrocznie
 I chrapowatym głosem przepowiadać pocznie,
 A z czarnych kłębow dymu, jak z piorunnej chmury,
 Leci odgłos wyrazów drżący a ponury:

— Pytałam się u bogów, w czym losu osnowa?

Ale Niebo milczenie uroczyste chowa;
 Chciałam w piekle wyczytać przyszłość tej krainy,
 Ale nad całym piekłem lata płomień siny;
 Pytałam chmur niebieskich, ale wiatr je kręci;
 Pytałam czarnych kruków, lecz żerem zajęci;
 Tylko płomień żniczowy — słuchajcie z oddali —
 Z jakimś się dzisiaj hukiem niezwyčajnym pali,
 Uczuwać w łonie ziemi jakiś dreszcz nieznany,
 A noże ofiarnicze spadają ze ściany,
 Kędy je zawieszono! Czuwajcie gotowi!
 Trzeba spełnić, cokolwiek Niebo postanowi:
 Bo łatwiej zepchnąć górę do niemnowej fali,
 Prędzej ogień zaskrzepnie, woda się zapali,
 Niż z wyroków nad ludzką zawieszonych głową
 Potrafimy odmienić choćby jedno słowo.
 Wiele przeszło pokoleń w Litewszczyźnie starej;
 Ale, jak Litwa Litwą, nie było ofiary,
 Jaka dziś ma się spełnić — biada temu, biada!
 Kto z boleści zajęknie, kto sercem nie włada,
 Kto z mężów aż do końca nie dotrzyma broni,
 Która z niewiast przed wrogiem choćby łzę uрони! —

Tak Marti wysiłona chwije się i ślania,
 A z wałów róg bojowy podał znak spotkania.

— Na mury! — krzyknął Margier — niech Niemiec
 [obaczy,

Co jest walka w rozpacz, co jest śmierć w rozpacz! —

VIII.

Krzyżacy z nowem wojskiem, jak wczorajszej chwili,
 I tratwy naprawili i Niemen przebyli.

I trzy potężne hufce zmierzają swobodnie;
Od Niemna, od Puniały, od strony zachodniej;
Tylko strona południa, gdzie las i bezdroże,
Wieniec się wojsk morderczych opasać nie może.
Książę saski, choć ranny, od strony Puniały
Rozwinął po wąwozach hufiec okazały;
Nemur, gościnne książę od Niemieckiej Rzeszy,
Pod zachodnie okopy z rajtarami spieszy
I szykuje konnicę nad szerokim jarem;
Sam wielki mistrz od Niemna, pod białym sztandarem,
Na czele swej piechoty przodkowanie bierze,
Wdziera się mimo trudu na strome wybrzeże.
A Litwa, ogarnięta potrójną oblawa,
Na wszystkich trzech okopach potyka się zwawo;
W miarę jak rąk ubywa, odwagi przyrasta:
Mąż bierze łuk i włócznię, a słaba niewiasta
Kamieniami i gruzem zamierza z oddali.
Bije w głowy rajtarów i z nóg ich obali:
Tylko że słabym ręką ta praca niełatwa.
Dziś ani jedno czołno, ani jedna tratwa
Nie zostały strzaskane od ciosu kamieni.
Rzadko trupem krzyżackim Niemen się zapieni.
A nie bacząc na straty, niemiecka drużyna
Coraz wyżej a wyżej po wałach się wspina,
Czepia się na urwiskach, czepia na opoce,
I z bojowych taranów do warowni grzmoce.
Litwa stanęła pierśmi — zakipiał bój ręczny,
Złął się w jedną gromadę oddział trzytysięczny,
I krzyki różnorodne, i szczęk różnej broni
Szalonymi rozgwarem uderzył po błoni.
Naokoło warowni rzeź toczy się krwawa.
I jakby chmurny obłok kłębi się kurzawa,
I coraz się rozciąga i dłużej, i szerzej;
Czasem ogień z rusznicy jak piorun uderzy.
Czasem, bieżąc po wałach różnemi zakręty,
Grzmotnie wśród chmury kamień z wieżycy zepchnię-
Przebija w chmurze otwór, co znowu się zlewa; {ty,
Z chmury tylko krew świszcze, jak deszczu ulewa,
I wałą się zabici do rzeki, do fosy,
A z twierdzy jęk niewieści kwili w niebogłosy.
Z za Niemna coraz nowi przybywają goście,
I na trupach zabitych, jakby na pomoście,

Stają nowe szeregi na pomoc mistrzowi,
Kędy huf obezsilon świeżym się odnowi.
A Litwini wciąż jedni wśród nieprzyjaciela;
Oko piaskiem nabite już niecelno strzela,
Ręce trudem złamane nie udźwigną młota,
Słabym tylko zamachem po pancerzach grzmota
Silny niegdyś ich bardysz. Koleją... koleją
Widzi Margier, że jego bojownicy mdleją,
W piersiach zachrypnął okrzyk, co był silny z rana,
W oczach krew się zapiekła, a na ustach piana.
Zatrąbił do odwrotu, i swój zastęp cały
Pod osłonę warowni zgromadził na wały,
I już pod samym wałem ujrzał krzyża znamię.
Spojrzał w oczy Litwinom, i ręce załamie:
Naprawdę im wydawać wojownicze hasła,
Ostatnia iskra męstwa w ich oczach zagasła!
Ale jeszcze ostatnia nadzieja nie znika.
„Niech silny grad kamieni spotka najeźdźnika!”
I co żyje: mężowie, niewiasty i dzieci,
Jęli dźwigać stos cegieł — i gradem polecą
Tysiąc strasznych pocisków — a każdy coś znaczy:
Bo najstraszniejsza siła to siła rozpacz!
Jak gdyby pod sturęcznym zamachem olbrzyma,
Chwieje się huf krzyżacki i pochód zatrzyma.

IX.

Od wschodniej, od zachodniej, od północnej ściany
Margier ujrzał pęd wroga kamieniami wstrzymany;
Zwrócił się k'południowi — o straszny Perkunie!
Tu chorągiew krzyżacka odważnie się sunie
Z niedostępnych bezdroży — gdzie stara olszyna,
Gdzie się lochów tajemnych siatka rozpoczyna,
Silny hufiec niemiecki zachodzi swobodnie,
Przed hufcem młody łucznik potrząsa pochodnię.
Zapalił dach i dalej spustoszenie niesie,
I oto płomień węzem zwija się po strzesie!
Margier poznał Ransdorfa — i wzrokiem sokoła
Obrzucił całą twierdzę. — Litwini! — zawoła —
Dajcie rozbrat nadziei: już się twierdza pali.
Modlitwa nie pomoże, męstwo nie ocali.
Jedno zostało... umrzeć... O! gdyby wrogowie

Szanowali cześć niewiast, albo dziatwy zdrowie!
Litwini! ja, wasz ksiązę, z rzewnemi modlitwy
Upadłbym do nóg jego dla zbawienia Litwy.
Ale któż krucygiera o litość umodli?

Trzeba umrzeć... Litwini! czyż umrzem jak podli?
A na ostatnim trupie mężnego Litwina
Naszych starców i dzieci krzyżak pozarzyna!
I będzie się na zgliszczach uragał boleści,
Naszych bogów znieważy, niewiasty zbecześci!
O! nie dopuść, Perkunie, na Litwę tej plamy!
Jeśli trzeba się poddać — trupy im oddamy!

Zapalcie stos ofiarny! wzmóście się na sile,
Rzućcie na nich kamieniami, wstrzymajcie na chwilę,
By wrogowie, przyszedłszy w nazbyt rannej dobie,
Nie przeszkodzili spełnić, cośmy winni sobie.
Jeszcze ostatnim gradem na wroga ciśnijcie!
Brat bratu, ojciec dziecku niech odbierze życie:
To lepiej, niżli zginać od ręki siepacza! —

Rzekł, i kamień z okopu co największy stacza,
I twardemi granity od końca do końca
Sto krzyżackich rycerzy w topielisko wtrąca.

Twierdza gore, bój kipi... Litwini z rozkoszą
W środku samej warowni stos ofiarny wznoszą.
Straszliwy jęk rozpaczy doszedł do podziemi;
Wyszła Marti, jak upiór, z bogami swojemi,
A zagasiwszy Żnicza — z wysileniem ducha
Ostatnią jego iskrę na stosie rozdmucha.
Ransdorf widzi z daleka swej zdrady owoce:
Marti strasznym toporem w pierś Litwinów grzmoce,
Pod ofiarnem żelazem ściele się gromada.
A kto skonał, kapłanka na stosie go składa.
Dzieci Litwy, pijane szalem i rozpaczą,
Same się zabijają, same na stos skaczą;
Niejeden dziki ojciec wśród pogorzeliska
Chwycił syna z kolebki i na ogień ciska;
A matka jeszcze trupa spalonego pieści, —
Nim ją przyszli zabijać — skonała z boleści.
Margier kapłanom w trąby odezwać się każe,
Aby się podniecała wściekłość przy ofiarze;
A sam z kilku mężnymi własne mury wali,
Strąca balki na Niemców, by nie przeszkadzali

Spełnić się losom Litwy przy ofierze krwawej.
Pociesz się, wielki mistrzu, żniwem twej wyprawy!

X.

Kiedy Litwę ogarnął jej zapal szaleńczy,
O Egli zapomniano, że w więzieniu jęczy, —
Ransdorf z ogniem i mieczem, jakby zbójca dziki,
Obiega całą twierdzą z wiernymi łuczniki,
Po znajomych komnatach snuje się dokoła,
I w ręce na nią klaszcze, po imieniu woła.
A chociaż płomień huczy, a bój zdala wrzeszczy,
Choć się z echem rozlega płacz matek złowieszczy,
Chociaż echo szaleje wpośród komnat próżni, —
On pewien, że ją znajdzie, że jej głos odróżni,
Wpadł szaleniec do lochów w ofiarnej podziemi,
To deptał bogi Litwy, to klękał przed nimi;
Wreszcie w lochach podziemnych, których nie pamięta,
Znalazł ciemne więzienie, gdzie Egle zamknęta.

XI.

Ona z piętnem boleści na wybladłej twarzy,
Siedziała w głębi lochu... coś głęboko marzy.
Promień słońca ukradkiem jej oblicze złoci:
Zbledniał krasny rumieniec wśród murów wilgoci,
Schmurniało piękne czoło, powisła jej głowa,
A na jej ustach bladość spoczęła grobowa;
Rzekłbyś, że skamieniała, jak martwa opoka,
Gdyby nie iskra życia, co strzela z jej oka.

Gdy Ransdorf ostateczne wysilenia czyni,
Kiedy pękły żalazne wrzeciędzie jaskini,
Cofnęła się trwożliwie, krzyknęła boleśnie,
Patrzy nań nieprzytomna, jak na widmo we śnie.
Ransdorf, krwią obryzany, przed dziewczicą klęka:

— Córkó Litwy! błysnęła ostatnia jutrzeńka
Nad gniazdem twego rodu — cała twierdza gore!
Płomień ostatnie balki na dachu przepala,
A krzyżacy do twierdzy cisną się, jak fala,
A Litwini pod zamkiem rozpaczliwą zgrają
Sami się na ofiarę bogom zabijają,
Aby żywo nie wpadli pod niemiecką władzę.
Idźmy stąd, piękna Egle, ja cię uprowadzę!
Straszny dzień!... uciekajmy... czy widzisz dym czarny?

Czy słyszysz huk płomieni i okrzyk ofiarny?
Czujesz, jak tu gorąco już przepala cegły?
Spieszmy! bo droga trudna, a nasz cel odległy ...
Ja ciebie uprowadzę szlaki znajomemi
Z niebezpieczeństwa wrogów, ze zgłiszczą twej ziemi! —

Rzekł, i patrząc z rozkoszą w oblicze dziecięce,
Chciał miłe sercu brzemię pochwycić na ręce;
Ale córka Margiera łagodna a cicha,
Skinieniem go oddala, spojrzeniem odpycha,
A w tem jednym spojrzeniu tyle sił wyteża,
Że, jak pełniony ramieniem bojowego męża,
Cofnął się młody krzyżak. — Stój, dziki zuchwalcze!
Kto ci mówił, żeś słaba? że siebie nie zwalczę?
Co znaczą mego domu gorejące ściany?
W twoich ręku pochodnia i miecz krwią zbрызgary!
Posłuchaj mię, krzyżowcze! och! niedawno jeszcze
Jako najśłodsza myślą biedne serce pieszczę,
Że z tobą w cudzej ziemi pędzić będę chwilę,
Obowiązki dla bogów, dla Litwy uchylę,
Porzucę dom i ojca ... i będzie mi błogo,
I tu nie pożałuję nikogo ... nikogo!
W snach widziałam twój domek i morskie wybrzeże,
I mury waszych zamków, i kościelne wieże;
Przysięgłam twemu Bogu, że moich porzucę,
I skłonię całe serce ku Jego nauce ...
Lecz dzisiaj w moich myślach i w sercu inaczej:
Ty przywiodłeś do Pullen krzyżackich siepaczy,
Wniosłeś do mojej strzechy i miecz, i pożogę,
Dzisiaj Litwa chce ofiar — cofnąć się nie mogę.
Moja powinność umrzeć w ofiarnej postaci
Obok mojego ojca, obok moich braci.
Weź ten krzyż ... mnie nie wolno nosić go na łonie:
Egle ze swemi bóstwy w jednym stosie spłonie.
Stąd nie zdołasz mię wwrwać całą swoją mocą
I nigdy się nie dowiesz: do kogo i poco
Zasłę ostatnią modłę ...

XII.

Tak mówiła śmiało.

O duszo Margierowa! czemu słabe ciało
Obrałaś za mieszkanie? czemu we łzach oczy?

Czemu ten dym, co buchnął, twoją główkę mroczy?
Czemu płomień pożarny, co się mignął zdala,
Z piersi ostatni oddech gorącym wypala?
Egle traci przytomność, chwieje się i pada,
A płomień już się wgryza, sklepienia przejada
I w głębokie podziemie od baszty przyległej
Posypały się główne i runęły cegły.
Z pośród gruzów pożarnych, dymu i płomieni,
Porwali biedną Eglę łucznicy strwożeni,
A Ransdorf na ich czele, jako czujna warta,
Ukazuje im drogę, płomienie rozgarta;
A gdy wyszli z podziemia, on drżący i siny
Mieczem toruje drogę pomiędzy Litwiny.
Tam już z wałów ostatnie cofnęły się stráže,
A twierdza jednym hukiem goreje w pożarze;
Ze wszystkich stron krzyżacy wpadają i wrzeszczą,
A ich trąba ogłasza godzinę złowieszczą,
To chichocze jak szatan, to syczy jak żmija.
A Litwa nieprzytomnie sama się zabija:
Tam morderczym toporem brat uderza brata.
Ojciec własne niemowlę bardyszem rozplata,
Dzika Marti ze stosu płonącego drzewa
Ostatnią dla nich pieśnią pogrzebową śpiewa,
Poleca swoim bogom dusze tych, co płoną,
I wywija w powietrzu siekierą święconą.

Ransdorf z lubą zdobyczą przebiega podwórze,
Przeciska się przez ognie, topory i noże,
I mieczem nieprzytomne wymierza zamachy;
A jego hełm i pancerz wykowane z blachy
Napaliły się w ogniu, pierś i głowę pieką.
O! w tej głowie, w tej piersi goręcej daleko!
Wrząca dusza młodziana silniej płomienieje
Od zgryzot i obawy i trwożnej nadzieje.

XIII.

Wierni jego łucznicy, uchyliwszy głowy,
Nieśli omdlałą Eglę za obwód zamkowy,
Gdzie z pod olchy, zawarte kamieniami i kłoda
Poczynają się lochy, co do Niemna wiodą,
W których była ostatnia obrona Litwina,
A których dziki widok tyle przypomina!
Och! bo w życiu Ransdorfa to miejsce nielada:

Tędy go wiodła miłość, tędy wiodła zdrada;
O poranku szedł tędy na czele swej młodzi,
A teraz jak kochanek szczęśliwy przechodzi.
Lecz choć sercu i męstwu dziś stało się zadość,
Czemu na jego twarzy nie kraśnieje radość?
Czemu serce nie kipi w swobodzie młodzieńczej,
Gdy szlachetne żądanie skutkiem się uwieńczy?
Już swobodny od mieczów i pogorzelska.
Czerpa wodę z potoku, na twarz lubą pryska —
Egle dała znak życia, znać, że coś pamięta.
Swobodniej odetchnęła pierś bólem ściśnięta;
Otworzyła jasne oczy — o radosna zmiana! —
I niebem zabłysnęła dla duszy młodziana,
I sili się przypomnieć wszystkie dnia koleje:
Gdzie jest? dokąd ją wiodą? co się w zamku dzieje?
Chce, ale nie śmie pytać, a choć się zapyta,
W oczach tylko łuczników odpowiedź wyczyta:
Bo ich trwogą przeraża podziemne bezdroże,
Zguba jeszcze tak bliska — a głos zdradzić może.

— Czas nagli do pospiechu! uciekajmy skoro! —
Tak wołając, łuczniki na barki ją biorą.
A Ransdorf z zapaloną pochodnią na przedzie,
Znajomemi zakręty cały orszak wiedzie;
Aż w milczeniu ostrożne posuwając kroki,
Stanęli u wybrzeża niemnowej zatoki.

Tam, jak Ransdorf zawczasie przygotować każe,
Czeka już łódź niemiecka i zręczni wiosłarze.
Egle, jeszcze wpółmartwa, złożona do łodzi,
Spojrzała w stronę zamku, skąd okrzyk dochodzi,
I na krwawe płomienie, co jej dom pożarły,
I okrzyk rozpaczliwy z piersi obumarłej
Przeszył piersi Ransdorfa, jak ostrem żelazem:
— Puszczajcie mię do ojca! ja zginę z nim razem!
Ja przed obliczem śmierci odważnie dostoję.
Jak wszyscy bracia moi, jako siostry moje! —

Tak jęknęła boleśnie, i ręce załamała,
I znów omdlała głowę przewiesza na ramię.
A Ransdorf klęczy przed nią i słowa nie mówi,
A wiosłarze, na wodza skinienie gotowi,
Zepchnęli łódź do wody... Zaszumiały wiosła,
I fala z cichym szmerem ich czołno poniosła.

XIV.

A na zgliszczach zamkowych kipi bój zajadły:
Zwęglone od płomienia ściany już opadły,
Do Niemna, do Puniały płynie krew ruczajem;
Litwini nie przestają mordować się wzajem,
Wskakują w stos ofiarny, śpiewają i jęczą,
Obryzgni posoką i pianą szaleńczą.
Jeden Margier spokojny wśród jęku swych dzieci;
Żaden mu wściekły wyraz oblicza nie szpeci.
Ujrzał zgubę, gdy krzyżak do lochów się wciska,
Zaprzysiągł, że mu odda trupy i zwaliska,
A jako dobro Litwy, jak bogowie każą,
Ścina głowy swym braciom z uroczystą twarzą;
Nie pastwi się nad nimi jako wściekły zbójca,
Ale pełni powinność książęcia i ojca,
Aby lud bohaterski, sercem ukochany,
Nie przyszedł w pohańbienie, dźwigając kajdany.
Szukający zdobyczy wśród zamku płomieni,
Krzyżacy na morderstwo patrzą przerażeni;
Od ranka swej wściekłości wywierając dosyć,
Nie śmieją na Litwinów już ręki podnosić.
Choć biorą to szaleństwo za sidła szatana,
Do ich serca wstępuje jakaś cześć nieznana
Dla chrobrych bojowników. Już stos ledwie pała,
Już Marti wśród gorących płomieni skonała,
Już słychać słaby łoskot ledwie kilku młotów,
Margier krwawą ofiarę już dopełnić gotów
I przebić własne piersi...

XV.

Wtem z Niemna od brzoza
Płynącą łódź krzyżacką z daleka postrzega:
Poznał postać Ransdorfa — rzucił wzrok sokoli:
Poznał Eglę — zapłakał... bo go serce boli.
— Bogowie! ja tu czuwam, gdzie o Litwę idzie,
A tu własna krew moja spieszy ku ohydzie!
Wyrodna krew Margiera, Egle nieszczęśliwa,
Spieszy potargać z Litwą rodzinne ogniwa,
I z młodą a najdzikszą krzyżacką gadziną
Ucieka od ofiary, kędy wszyscy giną!
Perkunie! wzmocnij rękę! oto w jednym strzale
Ja cześć jej nieskalaną od hańby ocale! —

Rzekł, i z silnego łuku wymierzył do łodzi,
 Nie wierzy w trafność oka: bo mu lżą zachodzi —
 Naciągnął — puścił strzałę... pobiegła ze świstem;
 Aż Niemen zapluchotał drganiem uroczystem.
 Stało w oczach ojca grobowe widziadło,
 A z czołna coś białego do wody upadło.
 Jeszcze wystrzał i jeszcze uroczysta chwila,
 Łódź skręca się po fali, chwieje się, nachyla,
 I z pluchotem, jak kamień, do Niemna uderza
 W polerownej zbroicy ciężki trup rycerza.

Zakrzyknęli wioślarze, ratunkiem zajęci;
 Jeszcze się biała płachta z falami zakręci,
 Mignęła raz... i drugi po wodnym obszarze...
 Uciekli na brzeg drugi strwożeni wioślarze.
 A Niemen, jak dotknęła czarodziejska władza,
 Znowu płynie spokojnie, znowu się wygładza,
 Kręci się lekkim wirem, od słońca połyska:
 Nie znajdziesz w jego łonie śladu grobowiska...

XVI.

— Spełniła się — rzekł Margier — ofiara stra-
 I podchodzi do stosu, i miecza dobywa. [szliwa! —
 Tam już wszyscy Litwini snem wiecznym posnęli:
 Owdzie trup się czerwieni, owdzie kość się bieli,
 Owdzie jęk się wydiera ostatniego ducha,
 A nad stosem przygasłym jeszcze dym wybucha.
 Margier kołpak soboli zdjął z rycerskiej głowy:

— Witam cię, chobrze Litwo, w otchłani grobowej!
 Daj świadectwo niebiosom w uroczystej dobie,
 Żem cześć twoją ocalił i zgiął przy tobie!
 Nie umarłaś spodlona — tylko nieszczęśliwa! —

Rzekł, i szerokim mieczem pierś własną przeszywa,
 Oczy wlepił w niebiosą i trupem się ściele...
 Skonał ostatni Litwin na bratnim popiele.

E P I L O G.

Krzyżacy w gruzach cegieł i spalonych główni
 Długo szukali skarbów ukrytych w warowni;
 Żołdactwo w popielisku długo się szamota,
 Szukając starych miodów i srebra, i złota.
 Wycięli stare lasy u Litwinów święte,
 Zabrali tuczne trzody dotąd nieporznięte

I zburzyli warownię i z ziemią zrównali,
Krzyż na niej postawili i odeszli dalej.
Puszczyki zamieszkały tajemne otchłanie.
Czas objął rumowisko w swoje panowanie.
Na rycerskich popiołach to się trawka wspina,
To porosły pokrzywy i gęsta leszczyna;
Potem rolnik zaorał niwę znakomitą,
I posiał na jej łonie chleborodne żyto.

A na gładkiej, głębokiej niemnowej topieli
Czasem się biała płachta o zmroku zabieli...
Ci nie wierzą, ci wierzą — dziwny ród człowieczy!
Ktoś ci jeszcze odpowie: że to stare rzeczy,
Że z czasów, gdy Litwini byli jeszcze dzicy,
Jest to chusta grobowa Egli topielicy.
A więcej próżno pytać o przyszłość nieznaną —
Gdzieś ją, słyszę, w łacińskich książkach zapisano.
Chcesz się prawdy dowiedzieć? — pytaj kronikarzy;
Resztę niech własna głowa, niech serce domarzy!

Borejkowszczyzna, 6 sierpnia 1854.

KĘS CHLEBA.

GAWĘDA Z PÓL NADNIEMĘSKICH.

I.

Dziwno mi nieraz, gdy w myślach rozważę.
Jako skrybowie i pańscy pieśniarze,
Z silnemi pierśmi i z sercem ochoczem,
Skarżą się nieraz na brak żywej treści:
Że w pięknej Litwie śpiewać niema o czem,
Że im nie staje wątku do powieści.
O bracia moi! równiennicy mili!
Za cóż swej matce bluźnicie zuchwali?
Czyście już całą przyrodę zgłębili?
Czyście już całą głąb duszy zbadali?
O! jeśli waszą unużyło lutnię
Łowić brzęk wiatru, co w zaroślach gwarzy,
Śpiewać niebiosa zachmurzone smutnie,
Lub z Symonidem wtórzyć pieśń żniwiarzy,

Albo powtarzać szczebiotanie ptasze,
 I jęki nasze, i radości nasze, —
 Jeśli już dla was nie nowa nauka
 Słuchać, jak serce waszych braci puka. —
 To weźcie wszystko przeglądać na nowo
 Przez drobne szkiełko, co mikroskop zową.
 Połóżcie pod niem, co łaska i wola,
 Główkę motyla lub serce człowiecze,
 Łezkę, co z oczu splakanych wyciecze,
 Lub kwiat urwany z litewskiego pola —
 A rozpowszechnicie sumiennie a święcie
 Blask każdej barwy, każde serca drgnięcie,
 Każde ruszenie drobnego atomu,
 A pieśń już sama utworzy się snadnie —
 A dobrzy ludzie zbiorą się gromadnie
 Posłuchać pieśni, westchnąć pokryjomu;
 A gdy się słuchacz rozczuli, rozmarzy,
 O! wtenczas dobre żniwo dla pieśniarzy.

II.

Bez szkieł, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
 Patrę na kawał chleba z mej wieczerzy:
 W tym drobnym zlepku wszak może się chłowa
 Cała treść pieśni żywotna i czuła.
 Drobna okrucho! o gdyby ci mowa.
 Jakżebyś rzewne dzieje nam wysnuła:
 O twojej doli, o rodzinnej roli,
 O twojej siejbie, kwitnieniu i wzroście,
 Jako się rolnik na żniwie mozoli?
 Jakie tam ptastwo przylatało w goście?
 Jak na twój kielek czerwono-błady
 Działało słońce i rosa, i cienie?
 Czy ciężkie grady, czy chciwe owady
 Spadały z niebios na twe spustoszenie?
 Czy suto były dożynki po żniwie?
 Czy pan był wesół, żeć zebrał szczęśliwie?
 Za ile ziarnek ile dostał groszy,
 Gdy przybył kupiec w wioskowe zacisze?
 Czy grosz wydano dla serca rozkoszy?
 Czyli na ołtarz zbytкови i pysze?
 I jak wyrobnik zakupione ziarna
 Kruszy w kamieniach, na chleby wypieka?...
 O zlepku żytni! okruszyno marna!

Jakże twe dzieje ciekawe dla człowieka!
Z twojemi losy jak ściśle się splata
I jasny pałac, i chróściana chata!

III.

Chleb — święte słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją anieli,
Człek go przyjmuje usty pobożnemi,
W chlebie Sakrament odkupienia bierze,
W chlebie jest Boga z ludzkością przymierze,
A gdzie Bóg zsyła swojego anioła,
I dzikich ludzi ku światłu powoła,
Tam zaraz zbożem zasiewa się niwa,
Srogi syn lasu zaraz chleb pożywa.
A skoro spożył, wnet się uszlachetni,
Wnet się w ogniwa społeczne kojarzy
Chleb jego przyszłość dziejową uświetni
I piętno Boże wycisnie na twarzy.
W marnej okrusze barbarzyńcy prości
Przyjęli święty „sakrament ludzkości“.

IV.

O wyobraźnio, święty niebios darze!
Jako chleb ciało, ty nakarmisz duszę,
Dzięki twym cudom, kiedy się rozmarzę.
W ziemskiego chleba malutkiej okrusze
Całą jej przeszłość wysnowyвам snadnie,
Dusza przeczuje, a serce ją zgadnie.

V.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową.
To brzęk znajomy: bywało po lesie
Z sosny na sosnę jak wiewiórka pnie się.
Z góry na górę błyskawicą biega,
Lub się po łące jak powódź rozlega.
Och! pomnę, pomnę jego brzęk poranny,
Kiedy bywało przy końcu już żniwa,
W dzień Przemienienia lub Najświętszej Panny,
Z pobliskich wiosek lud Boży zwoływa.

Spiesz w kaplicę ciżba pracowita
Świecić owoce, albo kłosy żyta.
Tam gdy swe snopki na ołtarzu złoży,
A ksiądz modlitwę poświęcalną pocznie,
Poklekły naród widzi rękę Bożą,
Jak błogosławi ich plonom widocznie,
Już wie, że polna nie przepadnie praca.

Świecone snopki na siejbę wymłaca,
Świecone ziarno po zoranej roli
Sypnie garściami na każdej rozorze,
I mówi w duchu: „Kiedy Bóg pozwoli,
Jak gaj wyrośnie, zaszumi jak morze;
Daj Bóg doczekać do przyszłego lata,
Toż to się wianki kłosiane posplata!

Świecone ziarno mieszając z umłotem,
Na dwornym morgu siał kmiotek sędziwy,
Przywykł za własne uważać te niwy,
Bo z dawna własnym użyźniał je potem;
Więc szczerem sercem odmawiał pacierze:
Niech urunieje, niech bujny wzrost bierze!
Na skrzydłach wiatru jesiennego ranka
Poszła modlitwa wysoko... wysoko...
Bóg rzucił k'niwom miłosierne oko,
I zaruniała usiana polanka
Krzewistą runią, a całe pól łono
Jakby ktoś szatą przyodział zieloną.

VI.

Boże, przyjm dzięki pokornego ducha
Za dobrą wróżbę plonów mojej pracy!
Niech traw zbożowych nie niszczą robacy.
Ni grad, ni powódź, ni skwarna posucha!
Szlachcic Łagoda, dzierzawca tej włości,
Kłęcząc na morgu, tak modłę wdzięczności
Wylewał Bogu, obchodząc swe łany,
Wznosił ku niebu i ręce i oczy.
Powstał z modlitwy — i ujął ochoczy
Grubą czeczotkę, kapelusz słomiany,
I poszedł dalej ścianką wedle gaju.
Wciąż błogosławiąc dawcę urodzaju.
I w kole dziatwy, przy skromnym obiedzie,
Stary wesół wypił miodu czarę,
Wtórzy do śmiechu, pogadanki wiedzie

I opowiada przypowieści stare;
I cały wieczór był rozpromieniony,
Tak go cieszyły przyszloroczne plony.

VII.

Och! między chwilą zasiewu i zbioru
Jeszcze rok cały nadziei a troski.
Biedny dzierżawco ubogiego dworu!
Przemiął dla was ów wiek pradziadowski,
Że, gdy na polu nie dopisze praca,
Inszym się kształtem rachunek opłaca:
Lub służąc z kordem do pańskich zamiarów,
Lub pijąc wino z bezdennych puharów.
Zanadto żwawie, wesoła drużyno,
Rąbałaś kordem i spijałaś wino:
W pańskich puharach dziś zostały męty,
Gorzka żółć z octem dla ubogiej braci:
A biada temu, kto czynszów nie płaci,
Suszą, powodzią, lub gradem dotknięty!
A owych czynszów rachunek bez końca:
Za niwy, łąki, za wodę w kałuży,
Za dach nad głową, za promienie słońca,
I za powietrze, co na oddech służy,
Za polny kwiatek pokropiony rosą,
Z którego pszczołki plastr miodu przyniosą,
Za przelew prawa do kmiecej spółbraci
Tyle a tyle srebrników się płaci
Do rąk dziedzica.

Dziś drogie talary:
Pracuj i módl się, wyrobniku stary!
Niech cię od nędzy sromotnej wyzwoli
Garść drobnych ziarenek wrzucona do roli.

VIII.

Bóg ją przeżegnał, a czarnych pól łono
Jak gdyby szatą przyodział zieloną;
I przyszła zima, i latorośl żyta,
Wciąż rozwijając swój badylek krzepki,
Mrozem spowita, a śniegiem przykryta,
Legła jak dziecię — spocząć snem kolebki;
A w trawce drzemie, nim je Pan Bóg zhudzi,
Życie i pokarm dla tysiąca ludzi.

IX.

Bo Pan Bóg radzi o swojej czeladzi;
Pastwiska Jego my jesteśmy trzodą.
Umocnić serce wcale nie zawadzi
Na wszelką dołę, mospanie Łagodo!
Zasiałeś niwę, modląc się pobożnie,
Bóg raczy wiedzieć, kto twą pracę poźnie.
Bogaty sąsiad, pan pobliskiej włości.
Może już dawno chleba ci zazdrości;
Widząc ruń piękną wokoło twych chatek,
I w chleb zamożny twój naród wioskowy,
Może już z panem poczynił umowy
I na twą wioskę wyliczył zadatek;
Trafił pochlebstwem do pychy magnata,
A sutym groszem do służalczej zgrai,
Jeszcze się chytrze przymili, przyczai,
Jeszcze się z tobą jak z równym pobrata;
Lecz gdy ci rękę do uścisku poda,
Wtenczas twą zgubę dopełnił już właśnie!
Ani się stary spostrzeże Łagoda,
Gdy kocim szponem krwawo go zadraśnie.
Tem właśnie dzielna próbuje się głowa,
Kto zręczniejszy szpony mordercze przychowa.
Biada prostakom!

X.

Tymczasem na niwie
Wicher ze śniegiem swawoli burzliwie,
A chleborodnem obdarzona życiem
Śpi trawka żytnia pod białem przykryciem
Mróz, co ją zwarzył i zakował w bryłę,
Żywotnej treści wyssać z niej nie może:
Z zimnem słowiańskim obeznane zboże,
Nabiera hartu i krzepnie na sile.
A słońce wyżej, wyżej się pomyka,
Wytryska ciepłem z każdego promyka.
Choć mróz i wicher srożą się okropnie,
Codzień po trosze śniegowisko topnie;
Aż ocieplone wiatry marcowemi
Puściły śniegi na polach, na łące.
Zwiją się węzłem strumyków tysiące,
Potok z potokiem kojarzy się, zlewa;

Lecą ze szmerem wyzwoleńcy młodzi.
I szumią gwarem wiosennej powodzi
Nadbrzeżne błonia, zarośla i drzewa.
Słońce promieńmi, jak olbrzymim grotem,
Rozbija lody, łamie i rozpryska;
Fala wyzuta z cieśni grobowiska,
Płasa po nurtach wirowym obrotem,
Rybacy czołnem już po Niemnie płyną
I śmiały sternik puszcza się z wiciną,
A z ponad czarnej pooranej roli
Ostatnia wilgoć kłębami wybucha.
Wiosenny wietrzyk po niwach swawoli, —
A rolnik, pełen wesołego ducha,
Wychodzi czekać i słuchać co rana
Pieśni skowronka, klekotu bociana.
I z sercem pełnem wiosennej radości
Wita przybycie pożądanych gości,
A ze skowronkiem myśl jego skrzydlata
Z rzewną modlitwą ku niebu ulata.

XI.

Stary Łagoda, co przez całe życie
Mógł się napatrzeć, nadziwować wiośnie,
Każdą pozdrawia i wita radośnie,
Z każdą się pieści w dziecinnym zachwycie;
Patrząc z uśmiechem ku domowej strzesie,
Najpierwszą dziatwie przyłuszczkę przyniesie,
Wszystkim zwiastuje najwierniej, najwcześniej,
Powrót bociana i skowronka pieśni.
I nikt od niego lepiej nie pamięta
Wszystkie wesołe a doroczne święta:
Kiedy się święci chleb, ogień, czy woda,
Nikt lepiej nie znał, jak stary Łagoda.
Gdy stary zegar, piastun jego dłoni,
Co w niskiej izbie kołace u progu,
W noc Zmartwychwstania dwunastą wydzwoni,
Starzec powstaje i modli się Bogu;
A ponad rankiem, gdy cisza dokoła,
Kiedy snem twardym spoczywają młodzi,
Drżącemi pierśmi, ile głos podoła,
On Alleluja radośnie wywodzi.
I wtedy starzec najszcześniejszy z ludzi,
Gdy pieśnią dziatwę i czeladkę zbudzi,

Kiedy obaczy, że wszyscy weseli,
Święconym chlebem gdy wkoło się dzieli,
Kiedy mu życzą domownicy prości:
„Daj Boże za rok doczekać w radości!”

Tak rok po roku jakoś się wyprosił,
Jakoś wymodlił dla starego pana,
I radość była, bo ją w sercu nosił,
Złym sercom obca, zepsutym nieznana, —
Radość niewinna, spokojna i cicha,
Co się do trawki, do kwiatka uśmiecha,
Co na twarz starą wraca uśmiech młody.
Co rzeźwi duszę widokiem przyrody.
Taki skarb w sercu nie każdemu nosić,
Kto nie pracował usilnie i długo;
Tego modlitwą nie można uprosić,
Lecz tylko nabyć cnotliwą zasługą;
Jak długie lata żywota się liczą,
Przechować serca niewinność dziewczęcą.
Bo czyje oko choć raz się zaprószy,
Kto raz sumienie w poniewierkę poda,
Już nie osiągnie tego szczęścia w duszy,
Jakie miał biedny, zgrzybiały Łagoda.

XII.

Jest zwyczaj w Litwie u szlachty i knieci
Gromadką w pole iść na święty Jerzy:
Gospodarz w gronie czeladzi i dzieci
Kłeka na morgu, mówi pięć pacierzy,
Ogląda pola, czy urodzaj wróża,
Potem sąsiedzi do kółka się zbiorą,
Zabrzękną w czarki i lulki zakurzą,
Potem znów klękną modląc się z pokorą,
A w dobrej myśli, ze spokojną twarzą
Idą do domu, śpiewają i gwarzą.

— Patrzaj, Macieju! ot idą ze dworu.
Stary pan wyszedł z dziatkami i żoną,
Klękli się modlić — właśnie od ugoru
Były zasiewki garsteczką święconą,
Ja sam rzuciłem — tam wyborna skiba,
Niedawna trzebież, to widać z daleka:
A jużby Pan Bóg nie łaskaw był chyba,
Gdyby tam żyto nie wyrosło w człeka! —
Tak stary Szymon mówił do sąsiada

I nalał czarękę na trzecią już kolej:
— Bądź zdrow, Macieju! niech marnie przepada,
Kto nam źle życzy — niech sam zginie wolej! —
— Bądź mi zdrow, kumie! — Maciej mu odpowie
Przyjmując czarękę, którą Szymon poda. —
Na zdrowie pańskie! daj Boże mu zdrowie!
Nie darmo stary zowie się Łagoda;
Łagodna dusza naszego paniska,
Człek nie ma krzywdy u niego we dworze,
Nie tak jak inszy, co drze i uciska,
Że aż posłuchać nie dopuszczaj Boże!
U nas... grzech mówić... Tak, tak, panie kumie,
Pan nas uważa za ludzi, za braci,
Skargę wysłucha, krzywdę wyrozumie,
Niech mu Bóg za to stokrotnie zapłaci!
Niech ze swej dziatwy cieszy się radośnie,
Niech zboże jego na las patrząc rośnie! —
— Ej, szkoda tylko, że rośnie przy drodze:
Mogą urzeknąć nieżyczliwe oczy.
Pan sąsiad słyszę i bardzo ochoczy,
Tutejszą wioskę zagustował srodze.
Zjedna dziedzica i nas zadzierżawi;
To sztuczka kręta, o sobie pamięta,
A w pańskim zamku na niego łaskawi
Od leśniczego do plenipotenta.
Daje pieniądze — alboż oni głupi?
Dlaczego nie brać, kiedy ktoś przekupi?
A dla dziedzica... to niewielka szkoda,
Że nas obedrą bez litości Bożej;
Czy pan Zaborza, albo pan Łagoda,
Wszystko mu jedno; kto zapłaci drożej,
Ten będzie siedział na dwornym zagonie.
— A w Imię Ojca i Syna i Ducha! —
Zakrzyknął Maciej: — Szymonie! Szymonie!
Nie gadaj głośno — bo szatan podsłucha;
A Bóg łaskawy strzegł nas do tej pory
Od głodu, ognia i pana Zabory!
Alboż nie słyszysz, jak jego poddani,
Każdej niedzieli, gdy się w karczmie zbierzem,
Z głodu wybladli, szmatami odziani,
Sypią przekleństwem, jak żebrak pacierzem?
Gdy nas Zaborze dola w ręce poda,
Zgubi na zdrowiu, zgubi w gospodarce.

Posłuchaj kumie, wypijem po czarce,
Niech z nami stary wiekuje Łagoda! —

Tak dwaj kmiotkowie, przy kielichu szczerzy,
Gwarzyli z sobą na sam święty Jerzy.

XIII.

A żyto rośnie, jak nikt nie pamięta.
Złoty urodzaj — święconych ziarn dzieło!
Pod koniec maja, na Zielone Święta
Zielone kłosie krasować poczęło;
Mży się jak fala polanka bogata,
Pył chleborodny jak dym nad nią lata.
W sercu rolnika pokrzepia nadzieję,
Bo łaską Bożą ponad kłosem wieje.
Kwiecień był ciepły, a maj służy deszczem,
Będzie gaj żytni — to przypowieść znana.
Stary Łagodo! skąd taka odniana,
Że zesmutniałeś w przeczuciu złowieszczem?
Poglądasz wkoło tęsknemi oczyma,
Na uśmiech twoich uśmiech się nie trzyma?
Czemu najczęściej zasklepiasz się doma?
A gdy cię kroki na pole powiodą,
Bywało z kwiatkiem, z grzybem lub z jagodą,
Teraz powracasz z pustemi rękoma?
Czemu w twem oku uśmiech coraz rzadszy?
Kiedy na żonę i na dziatwę patrzy?
Ani cię polny urodzaj pocieszy,
Ani twa dziatwa, co pięknie dorasta.
Ani śpiewanie pracowitej rzeszy,
Ani gwar ludzki, gdy ruszysz do miasta.
Coś ci niemiło, niedobrze na świecie,
Twą siwą głowę jakiś ciężar gniecie.
O! bo kto serca w sobie nie zagłuszy,
Kto przeżył życie z Bogiem a przyrodą.
Bystry u niego, o! bystry wzrok duszy,
Jego przeczucia nigdy nie zawiodą.
Stary Łagoda, lubo już nie w porę.
Oczyma duszy przeniknął Zabórę.
Choć serce, pełne prostoty gołębiej,
Myśl podejrzliwą jakby grzech odpycha.
Lecz robak w serce wgryza mu się głębiej
I jak mól w drzewie wciąż kołata z cicha:
— Ej, pękna twoje najdroższe nadzieje!

Ej, praca życia marnie ci zmarnieje! ...
Dzisiaj zamożny i śpichrz, i stodoła,
Jest coś i w trzosie — to krwawy pot czoła;
Ale któż zgadnie, co zdarzyć się może?
Gdzie przyjdzie spocząć na zgrzybiałe lata?
Coś z oczu patrzy źle panu Zaborze,
Z pańskimi sługi coś bardzo się brata. —

Och! jeśli z dworku cudzego wypędzą,
Przyjdzie się spotkać z cierpieniem i nędzą,
Dokąd się stary obróci Łagoda?
Chciwość nie miota jego duszą wzniosłą,
Nie szkoda zbiorów i dworku nie szkoda,
Chociaż nałogiem serce tam przyrosło,
Nie szkoda bujnych urodzajów pola, —
Smutniejsze myśli ciężą mu widocznie.
Podrosła dziatwa — a kędyż jej dola?
Zgrzybiała głowa — a kędyż odpocznie?
Choćby pracować i ciężko, i szczerze,
Ręce nie zwykły k'sosze i siekierze.
Nad kim już cięży grobowe przykrycie,
Późno inu nowe rozpocząć życie.

XIV.

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę.
Wiem, jak tam żyją w gospodzie i chacie,
Jak się zbierają na żniwa gromadnie,
Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę.
Inszego ptastwa śpiew mię nie omami,
Znam jak skowronek, jak tam słowik śpiewa,
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.
Bo tamte strony ukochałem szczerze:
A taka miłość, jak miłość dziewczycy,
Słodka urokiem lubej tajemnicy, —
Obcym jej uszom nigdy nie powierzę.
Bo śmieszno kwilić ku borowej sośnie,
Ku lichej trawce, co na piaskach rośnie,
Albo k'pustyni, kędy dworek stary
Pomiędzy wydmy i mokre wiszary.
Ale ta miłość, to sielskie zacisze
Tak mię zbratały z przyrodą, jak z matką,

Że nie tam dla mnie nie było zagadką, —
Zda się bywało wzrost trawy posłyszę.
I dzisiaj, kiedy wzrok ziemski przysłonię,
A okiem duszy w te strony powiodę,
Widzę, jak żywo, starego Łagodę,
Jako się krząta po polnym zagonie;
I słuchem duszy, jak gdyby na jawie,
Słyszę na błoni nadrzecznej obszarze,
Jak brzęczą w kosy ochoczy kosarze,
I polny konik jak strzekoce w trawie;
Jak szumi zboże, gdzie wyrosło gęściej,
I jak pod sierpem żniwiarek zachrząści;
Jako wioskowe żony i dziewoje
Gwarzą na morgu, chichocą i pieją
Pieśni żałosne, stare pieśni swoje,
Co wiekowały setnych lat koleją,
I z matki, z babki, z prababki podeszłej
Do ust nadobnej, krasawicy przeszły:
Pieśń o Dunaju, o krasnej kalinie,
I o kozaku, co na wojnie ginie;
A kiedy słodsze zapuka uczucie
Do prostej piersi szczęśliwą nadzieją,
Śpiewa o lubym, o zielonej rucie,
A towarzyszki z jej marzeń się śmieją;
Pieśniarka nie wie, gdy ją dumka pali.
Śmiać się? czy gniewać? czyli marzyć dalej?
Widzę, jak słońko kryje się za lasy,
A rzeźwy chłodek powiewa od rzeki,
Skrzypią ze zbożem ładowne kolasy,
Ryk trzody z błoni dochodzi dalekiej.
A tu na polu krzątają się dziewczki.
By dworskich morgów dziś dożać obszary,
W tem samem miejscu, kędy Maciej stary
Święcone ziarno rzucał na obsiewki.
Niedarmoś, księżu, przeżegnał te ziarna!
Niedarmo, siewco, modliłeś się Bogu!
Wasza modlitwa i praca nie marna:
Plenny urodzaj ściele się do brogu.
Dożnijcie zagon wesołą gromadką,
Przy szumnym gwarze, przy pieśni odgłosie,
Zwińcie do wianka najpiękniejsze kłosie
Z krasną kaliną i modrą bławatką;

Zanieście panu podarek ze żniwa,
Jak zdrów doczekał. niech wesół spożywa.

XV.

Niezdrow. niewesół coś stary Łagoda —
Jak gdyby nierad z dożynkowych gości.
Dawniej przyjmował z uśmiechem radości,
Młoda żniwiarka gdy mu wianek poda;
Dzisiaj wioskowa dziwi się gromada,
Czemu zesmutniał, a twarz jego blada?
Sami u siebie pytają i gwarzą:
Kto tę zgryzotę do serca mu kładzie?
Bo przyjął wianek z obojętną twarzą,
Martwym uśmiechem dziękował gromadzie,
A gdy śpiewano dożynkowe pieśni,
Starzec zapłakał... zapłakał boleśnie!
Łzy jego twarzy wioskowi ludziska
Dawniej widzieli — lecz zgadli, choć prości,
Że insza smutku, insza łąza radości,
Kiedy to z serca pełnego wytryska,
Co, kiedy błysnie na twarzy człowieka,
Jakby promieniem Boskim przyobleka.
Takiemi łzami w dożynkowe święta
Trafia się czasem zapłakać Łagodzie;
Ale łąza smutku dzisiaj niepojęta...
Jakby tu zgadnąć, co mu serce bodzie?
Żona i dziatwa, widząc twarz złowrogą
I dumań starca częstym będąc świadkiem,
Spytać nie śmieją, a zgadnąć nie mogą,
I sami smutni leją łzy ukradkiem.
Lud, patrząc w oczy, aż zabłysną słodziej,
Nieśmiało k'stołu pańskiemu podchodzi.
Lecz pan przypomniał, że dzisiaj ma gości,
Wesołem okiem spojrzął na żniwiarzy;
Święte na Litwie prawo gościnności
Spędziło smutek z zadumanej twarzy.
Na stole, białą zasłanyną oponą,
Stawia chleb cienki i słodkie owoce,
Smolone szczepy na dziedzińcu płoną,
A wiejski skrzypak skoczny taniec grzmoce,
Piskliwe tony wyciąga od ucha,
Nastraja skrzypce i dźwięku ich słucha
I znowu grzmoce. Miód, sprawca wesela,

Kraży po rękach — gwar coraz to wzrasta;
Skromny parobczak i cicha niewiasta
I młode dziewczę coraz się ośmiela.
Podchodzą k'panu i młodzi i starzy,
Pan się uśmiecha i ochoczo gwarzy.
Dla niego kmiecie to synowie mili,
A starcy ze wsi, to bracia rówieśni;
Zaprasza gości, by jedli i pili, —
Zahulał taniec, zaszumiał gwar pieśni;
W sennem powietrzu szumi święto żniwa,
W mgłach letniej nocy z echem się rozplywa.
Pomimo pieśni, mimo tańca gwary,
Kmiecy rozhovor rozlega się głośno:
— Daj Boże zdrowie! oto pan nasz stary!
Niechaj mu dziatki na pociechę rosną,
Niech syny jego na tej samej ziemi
Będą panami nad syny naszemi! —

XVI.

— Oj, źle Szymonie! źle sąsiedzi moi!
Tylko u Boga miłosierdzia proście:
Wczora pan karmi, wczora żeńców poi,
Dziś szumią inni na folwarku goście.
Słyszę, nasz dziedzic, gdy jechał za morze,
Taki dał rozkaz do swych komisarzy:
Wygnać Łagodę, bo źle gospodarzy,
A wioskę jego dać panu Zaborze. —
Tak, kurząc lulki a idąc do pracy,
Pomiędzy sobą gwarzyli wieśniacy.
— Wygnać z dzierżawy? co się tobie marzy! —
Rzekł na to drugi: ależ jak? i za co?
— Od czegoż głowa i rozum pisarzy?
Znajdą przyczepkę — bo za to im płacą.
Daj się im w ręce! — jak opiszą człeka,
To aż zapomnisz o swym własnym rodzie.
Ot słyszę za to, że gdzieś dach zacieka,
Aż tysiąc złotych liczą na Łagodzie.
Stary... wiadomo... do wszystkich się garnie,
Każdemu ufał, zawierzył na skoro,
Ot i podeszli... oczernili marnie...
Teraz chudobę ostatnią zabiorą...
Ze złym człowiekiem i nam sprawa krucha:
Pana Zabory niebezpieczne oko,

Dziedzic daleko, a Pan Bóg wysoko,
Zabora skargi niebardzo wysłucha.
Dobrze nam było ze starym Łagodą,
Bóg raczy wiedzieć, czy tak będzie dłużej,
Czy się tak samo nabytki powiodą?
Na dwoje wróżka, ej, na dwoje wróży!
Bywało grosza zarobi gromada,
Gdy na flisówkę parobcy popłyną;
Dziś pan Zabora, gospodarz nielada,
Każe im dworną puścić się wiciną.
Tak... tak... sąsiedzi!... — Tu starzy włościanie
Kiwnęli głową jakby w jedno hasło,
I stary Szymon rozprawiać przestanie
Tak się zadumał, że w lulce zagasło.
Wykrzesał ogień, rozpalił i pyknął,
I dalej mówił: — Zły życia ostatek!
Człek do Łagody już dawno przywyknął.
Toż on, mospanie, ze mną jednolatak,
Jeśli dożyjem tegorocznej zimy,
Na święty Szymon sześćdziesiąt skończymy.
Lat ze trzydzieści, czy więcej już pono,
Jak my za niego Pana Boga prosim;
Toż kiedy cerkiew dzisiajszą święcono,
Kończy się latek trzydzieści i osiem.
Dobre panisko — ej szkoda, go, szkoda! —
To mówiąc, starcy rozeszli się skoro,
A w każdym uściech był stary Łagoda,
A w każdym sercu był strach przed Zaborą.

XVII.

I słusznie Marcin powiadał sąsiadom,
Że tam i gwarno, i szumno we dworze:
Przybył pan rządca, a każdy już świadom,
Że pańscy słudzy przychylni Zaborze.
Pan rządca, zrazu przystępny, łaskawy,
Z uśmiechem w uściech, jakby anioł z nieba,
Rozpoczął ściśle rachunki z dzierżawy.
Łagoda prostak, nie wie co potrzeba,
Nie zna przysłowia: Nie weźmiesz, gdy nie dasz,
Ani pojmuje sumienia na sprzedaż.
Dobrze mu za to! — pan rządca w pokorze
Zgraję pismaków do dworku napuszcza:
Na polu, w śpichrzu, w komorze, w oborze,

Wszędzie plondruje wygłodniała tłuszcza,
A każdy chmurnem spojrzeniem aż bodzie.
Tylko pan rządca ma uśmiech na twarzy,
W imieniu pańskim staremu Łagodzie
Czyni uwagę, że źle gospodarzy:
Że śpichrze starym pobudował gustem,
Że na stodole mech kwitnie na strzesie,
Że się rozwala stary młyn z upustem,
Skąd dziedzic straty niezmierne poniesie,
Że wodospadów na łące niewiele,
Które się kopią jak najłżejszą pracą,
Że na ugorze rośnie chwast i ziele,
Skąd jasny wniosek, że rolnik ladaco.
Pióro jak wichur po papierze lata,
Kreśląc Łagody gospodarcze winy;
Rosną jedności, dziesiątki, seciny,
Każda na pieniądź oblicza się strata;
Rosną tysiące w straszliwej postaci,
Które Łagoda gotówką opłaci.
A jeszcze czynsze — to już swoją drogą,
Jeszcze we włości skrzywdzeni być mogą,
Co jedno z drugim obliczywszy szczerze;
Z dziesięć tysięcy srebrników się zbierze.
— Tak — mówił rządca — źle, panie Łagodo!
Ulepszyć dworek miałeś dosyć pory.
Patrzaj, jak drudzy gospodarstwo wiodą!
Czemu nie brałeś przykładu z Zahory?
Ulepszył grunta, wyprowadził rowy,
Osadził drogi topolą i brzozą:
Zda się o miedzę, wszak grunt jednakowy,
U niego zboża do stodoł nie zwiozą,
Taki urodzaj! — a co u waszmości?
Kąkol i chwasty, kamienie i trawy.
Musisz zapłacić, co się słusznie rości,
Potem łaskawie wyruszyć z dzierżawy.
Swojego dobra nasz dziedzic już dłużej
W podobne ręce powierzać nie może;
Wiedząc, że sąsiad, lepiej mu usłuży,
Tutejszy dworek dał panu Zaborze.
Co się mnie tyczy, ubolewam srodze,
Że z niedobremi wieściami przychodzę...
Za to wszelkiego dołożę starania,
Ażeby ulżyć waszmościnej doli;

Memu bliźniemu, wedle przykazania,
Uczynię wszystko... co możność pozwoli.
Dziesięć tysięcy, toć niemała kwota,
Wedle rachunku winienes ją kasie;
Niech to waszmości głowy nie kłopotą,
Może nie jesteś teraz przy zapasie,
To poradzimy i na to, jak możemy.
Na wszystko sposób najkrótszy przywiode:
Coś gotowizną, coś weźmiemy zhożem;
Słyszę, masz niezłe koniki i trzodę,
Wszystko w rachunku przyjmujemy, strącimy,
I dopomożem, i będziemy radzi,
Możesz we dworku przemieszkąć do zimy,
Bo pan Zaborza wójta tu osadzi.
A zimą wszędzie przytułek znajdziecie,
Nie umrze z głodu twojej dziatwy rzesza:
Są miłosierne zakłady na świecie,
A na niebiosach jest ten, co pociesza. —
To mówiąc rządca łagodnie i z cicha,
Słodkiem obliczem k'niemu się uśmiecha.

XVIII.

Stary Łagoda zrozumiał nieszczęście,
Zadrzał z ohydy i zacisnął pięście;
Ogniem zabłyśły przyciemniałe oczy,
A krew gorąca serce mu oblała,
Ze starej twarzy ledwie nie wyskoczy,
A gniew na czole trzęsie się i pała.
Ale rozważył i obliczył pilno
Swoje ubóstwo i starość bezsilną;
Obliczył, czego nie czuł do tej pory,
Potęgę możnych i chytrą Zabory.
Nierówna walka! — zamarzył jak we śnie,
Zwisła ku piersiom skłopotana głowa,
Na jego oczach błysła łza chwilowa:
— O dzieci moje! — wyjęknął boleśnie.
Lecz krótko triumf trwał nieprzyjacieli,
Łzę w jego oczach raz tylko widzieli;
Spojrzał ku niebu i ducha pocieszył,
Spojrzał na wrogów i wzgardą ich przeszył.
Czy odrętwieniem bolesnem dotknięty,
Czy biorąc święte pocieszenie w wierze,
Pomimo płaczu i dziatwy i żony,

On zimnem okiem patrzył na łupieżę.
Dał sobie wydrzeć całą własność świętą,
Krwawo dla dziątek zebrane grosiwo;
Patrzył z uśmiechem, kiedy ręką chciwą
Pańską pieczęcią stodoły zamknęto.
Ciężej mu było przenosić daleko
Głód własnej dziatwy, gdy się widzieć zdarza,
Jak z jego trzody udojone mleko
Dawano chartom pana komisarza,
Kiedy wprzągano do cudzego pługą
Dwa siwe woły, co bywało pieści,
Nawet raz jeden Zaborzyński sługa
Zelżywem słowem kiedy go bezcześci.
Ale urazę odrzucił na stronę,
Ani się dąsa, ani gniewem miota;
Choć ręce słabe, barki pochylone,
Dostojnie dźwiga krzyż swego żywota.
Pogodne czoło, obojętne oko
Nie zdradza żalu, ni brzydkiej rozpaczey,
A jeśli cierpi, to gdzieś tak głęboko,
Że nikt z żyjących tego nie zobaczy.
Gdy mu służalcza uprzykrza się rzesza,
Dziatwę utula i żonę pociesza.
Wmawiał, że zawód rozpoczyna świeży,
Źdawał młodość i siły ochocze
I gdzieś daleko od Niemna wyrzeży
Wziął starą chatę i gruntu półwłócze.
Odarty z grosza, z obory i stada,
Lecz nikt nie powie, że mu duch upada.
Świetny pan rządca, gdy się w mieście zdarzy,
I pięknym cugiem przejeżdżać się raczy;
Ale Łagodzie coś bardziej do twarzy
Pogodne czoło i kostur żebraczy.
Choć dziwno zda się przyrównać do miary:
To pan wielmożny, a to nędzarz stary.

XIX.

Łagoda nie chciał kłaniać się Zaborze,
Nie czekał zimy w swoim dawnym dworze;
Z żoną i z dziatwą i z kilku talary
Poszedł w świat obcy, na nowe kłopoty.
Do starych panów wyszedł Marcin stary,
Zegnał ich z płaczem za wiejskimi wroty;

Zeszli się insi dawniejsi poddani,
Niewiasty, dzieci, gospodarze z wioski.
Przypominali ich pobyt ojcowski,
Całując ręce i pana, i pani,
Dziękując prostą od serca wymową
Za chleb, sól pańską i za dobre słowo
I za dawniejszą pańską zapomogę
Niosą podarki jak ofiarę świętą:
Ten garść orzechów dla dziatwy na drogę,
Drugi plastr miodu, co wczora podcięto,
Inszy w ofierze niesie chleba kawał.
Życząc, by nigdy nędzy nie doznawał.
A choć wszystkiego wypowiedzieć trudno
Prostemi słowy i mową prostaczą,
Znaczno na sercach żalność nieobludną.
Można tym oczom zawierzyć, gdy płaczą.
Stary Łagoda doświadczył naocznie,
Jak go żalują kmiotkowie ubodzy;
Z dobrymi ludźmi gdy się żegnać pocznie,
Już łez serdecznych nie trzymał na wodzy.
I ciężki kamień z serca mu opada,
Gdy go wieśniacy pobłogosławili.
Panie Zaboro! masz głowę nielada,
Lecz w życiu takiej nie doczekasz chwili!
Bo nie każdemu i nie w każdym czasie
Tak piękną chlubą napelnia się dusza,
Jaką czuł starzec, gdy z wioski wyrusza
W starej sukmanie, w skrzypiącej kolasie.
Ujrzał nad grobem uwieńczone dzieło,
Ujrzał świadectwo swoich bliźnich grona,
Że jego życie nie marnie zginęło,
Że jego zasług nie próżna skarbona;
Wyższym go ludzie uczynili prości
W obliczu Boga, w obliczu ludzkości.
Spojrzenie wzniosłej i cnotliwej pychy
Rzucił raz jeszcze ku wiejskiej zagrodzie,
Skrył się za górą jego wózek lichy,
I nie słyszano więcej o Łagodzie.

XX.

Nie sądziecie, moi czytelnicy mili,
Że na bezdroża zuchwale was wiode,

Żeśmy z bitego gościńca zboczyli,
Kreśląc Zaborę i starca Łagodę,
O kęsie chleba rzecz mając w zamiarze,
Żem się zagwarzył i Bóg wie, co gwarzę,
Oto daleka nadniemeńska wioska
Po to się kreśli, byśmy prawdzie wierni,
Łacniej śledzili pierwszy zaród kłoska
Do chwili żniwa, do snopa na ścierni.
Raczie przebaczyć, że nieczyste pole,
Że obok kłosów — porosły kākole.
Więc jako czynią na polu żniwiarze,
Jedno i drugie na snopki rozdzielę,
Jedno i drugie w oczy wam pokażę,
Byście poznali, co chleb, a co zielenie,
Byście, nie mogąc rozeznąć z oddali.
W chwastach zbożowej trawki nie zdeptali.
Chleb — wielkie słowo w niebie i na ziemi,
W nim Bóg sam siebie między ludzi dzieli,
Przed Chlebem Życia truchleją anieli,
Człek go pożywa usta pobożnymi.
A w ziemskim chlebie jest pokarm i siła,
W chlebie Bóg życie doczesne przysyła,
Z chleba bierzemy i żywi i zdrowi,
Zbawienie ciała, zbawienie duchowi.

XXI.

Lecz biada temu, kto szydzi z pokuty,
Kto Chleb zbawienia świętokradzko spożył!
Pokarmem życia na duszy otruty
Pod swemi stopy sam przepaść otworzył.
O ziemskim chlebie też same są wnioski:
Jeśli nie wierzysz, przychodniu z daleka,
To zajdź na Litwie do najpierwszej wioski
I spytaj o to najpierwszego człeka.
Tam ci naocznie pokaże lud boży
Chleb, co się sporzy i co się niesporzy:
Jeden posila, a drugi cię zdradnie
O głód przyprawi i obdarzy bolem:
Jeden być musi zatruty kākolem,
A drugi czysty, któż zresztą odgadnie?
Zdaje się zboże czysto i wyniosło
W bliskich zagonach wedle siebie rosło,
Razem doznało i deszczu, i suszy,

Tak samo w żarnach na mąkę się kruszy,
A przecież zdrowiu niejednako służą:
W jednym być muszą kąkolu owoce,
Lub krzywda ludzka, albo łyż sieroce.
Takiego chleba, jeżeliś go świadom,
Nie kupuj w mieście ani radź sąsiadom,
Nie jedz go w ucztę ani w dni powszednie:
To chleb przeklęty, czuć od niego piekłem.
Spytaj Zabory — jeżeli nie zblednie,
To się pokaże, że kłamstwo wyrzekłem.

XXII.

Późną jesienią wracałem z podróży,
A był to wieczór i deszcz chłostał duży;
Przez całą odzież, po twarzy, po rękę
Gdy zdrojem chłodna opłynęła woda,
Iskierka ognia błysnęła w okienku,
Dach się nasunął, — to była gospoda.
Gospody nasze, jak wszystkim wiadomo,
Klecone z bierwion, potrząśnięte słomą,
Nędzne postacią i dymem i wrzaskiem,
Kazą się we dnie omijać z daleka;
Ale w noc ciemną swych ogniów odbłaskiem
Jakoś w podróży orzeźwiają ją czleka.
Jakoś ci głowa weselej zamarzy,
Jakbyś sam siebie odzyskał po stracie;
Bo zatęskniony do człowieczej twarzy
Chciałbyś rzec komuś: „Dobry wieczór, bracie!”
Cóż gdy na dworze ciemno, zawierucha,
A tutaj dobrem słówkiem się odezwą,
A lud zebrany rozprawia na trzeźwo,
A komin ciepłym ogniskiem wybucha?
Ni stąd ni zowąd chęć się nawinie
Przepędzić nocleg w ubogiej mieścinie.
W takiej gospodzie, choć do domu blisko,
Stałem tedy na noclegowisko.
Nie chcąc się nudzić w izdebce dla gości,
Wszedłem do izby kipiącej w rozgwarze;
Tam pili miodek jacyś ludzie prości,
Z dalekiej strony wiejscy gospodarze;
Siadłszy przy ogniu, co wesołość budzi,
Taki słyszałem rozhovor tych ludzi:

XXIII.

— Bądź zdrów, Szymonie! — Pij wesół Marcinie!
— Tak... tak... starego paniska nam szkoda!
Gdzie się to stary obraca Łagoda?

Bóg raczy wiedzieć — ot marnie gdzieś zginie.

Widzisz!... odarli człeka do ostatka

I w świat puścili — aż strach, panie kumie!

Co jemu zagon i czynszowa chatka?

Wszakże on sochy udźwignąć nie umie;

A gdyby umiał, to tylko zastęka,

Nie jego siła, nie jego w tem ręka.

Co to? wiek cały przebył po szlachecku,

Jak tu przywyknąć w ubogiej chudobie?

A w lat sześćdziesiąt — to siły jak w dziecku,

Czuję to, kumie... czuję sam po sobie.

— Co to Szymonie! Bóg dobry i basta!

Przed nim nie uda kłamliwy potwarca.

Już dzięki Bogu i działwa podrasta,

Coraz pocieszysz i wyręczy starca.

Niech tylko ręką powodzi się praca!

Niech będzie szczęśliw, kędy się obraca.

— Dziś, gdyby do nas zawitał na chwilę, —

Rzekł drugi wieśnik przyparty do ściany:

Swojego dworku, gdzie przeżył lat tyle,

Ani by poznał — takie tam odmiany!...

Prawda, że z nami bywa czasem kręto,

Za to Zaborą wszędzie zysk wyciśnie,

Bo gospodarzy pięknie i korzystnie.

Ot nowe śpichrze budować zaczęto,

Nowemi gonty pokryto dom cały,

Morgują pola i kopia kanały.

Na przyszłą wiosnę zawiną się dzielnie:

Poczną pod wioską stawiać wietrzne młyny,

Budować z muru piętrowe gorzelnie,

Sprawdzą wielkie woły z Ukrainy,

Co orać będą i pracować latem.

W ziemie sprzedane — grosz spłaca dukatem.

— Byłem — rzekł inny — niedawno we dworze

Poprosić pana, by zwolnił od stróży.

Sam pan Zaborą był w dobrym humorze,

Jał się przechwalać, że mu szczęście służy:

A co? powiadał, gospodarka tęga?

Niech sobie jęczy i krzyczy hołota,

Nie tak jak dawniej — stary niedolega
Nie znał, że dworek to jabłko ze złota.
Bywało włościan żałuje i pieści,
I cóż mu wkońcu dopomogli chłopi?
Cóż tu zarobił przez latek trzydzieści?
Czczotkę z lasu i torbę z konopi.
Ot i w tym roku u pana Łagody
Sto nędznych kopek zebrało się w gumnie;
Patrz, na rok przyszły ile będzie u mnie,
I bez modlitew, bez święconej wody!
On starożytnym zwyczajem narodu;
Poświęcał kłosy, a orał niedbale,
Latem przy żniwie wędniał na upale,
Sprzedawał za nic i umierał z głodu.
Ja się nie wdaję w miłosierdzie Boże,
Pójdę o własnej gospodarskiej sile,
Pięć razy pole pod żyto poorzę,
A będzie chleba dziesięć razy tyle!

— Oj, chleb Zabory! oj chleb, panie bracie!
Niech Pan Bóg broni takiej gospodarki!
Mnie dano żyta ze dworu dwie miarki.
Ot i choroba zjawila się w chacie,
Że już i końca nie wiedziałem lichu! —
Tak mówił Szymon, szeptając po cichu —
Naprzód zasłabła dziecina z kolebki,
Potem parobczak; a gdy ten się dźwignie,
Zaniemógł syn mój jak dębina krzepki,
Ot drugi tydzień jak leży w malignie,
Ja do doktorów — co tam doktorowie!
Jakiemiś proszki napróżno męczyli;
Ja do znachora — daj Boże mu zdrowie!
Całą chorobę odgadnął po chwili.

Może to z wiatru? pytam u znachora.
Może złe oczy? — A broń Jezu Chryste!
Pewnie was chlebem nakarmił Zaborą;
W tym chlebie duchy gnieźdzą się nieczyste.
Dajcie tu kęsek — ja zło wyprowadzę. —
A gdy go żegnać i szeptać coś pocznie,
To cóż powiecie? chleb zczerniał na sadzę,
Po nim robactwo pelzało widocznie.
Ho! znam się! znam się! przepadnij moc czarta!
Słuchaj, Szymonie, — tak mi znachor rzecze: —
To czyjaś własność niesłusznie wydarta.

A to robactwo, to są lzy człowiecze.
Nie bój się! zdrowie choremu powróci!
Lecz chleb ten spalcie do jednej okruchy,
Inaczej wszyscy będziecie zatruci,
Lub was nieczyste opanują duchy. —
Więc ja do miasta następnej niedzieli,
Kupuję żyto i wiozę do młyna;
Przy nowym chlebie wszyscy pozdrowieli,
I syn mój biedny zwlekać się poczyną. —
Tak Szymon gwarząc zdarzenie ciekawe,
Pokiwał głową i zapił tę sprawę.

XXIV.

— Słyszałem o tem — rzekł inszy z wieśniaków:
Mówilem żonie, że zakłète zboże;
Lecz ona prawi: Wszędzie chleb jednaków,
A gdzie ja wezmę, jeśli nie we dworze?
Na dwornem polu pracuje gromada
Od poniedziałku do samej soboty,
Człek nie ma czasu do swojej roboty,
Cóż więc dziwnego, że w polu przepada?
Jeśli jest jakie sumienie na świecie,
Niechże Zabora przekarmi nas przecie! —
Tak nierozważna mówiła kobieta,
Poszła do dworu i przyniosła zboże,
I wnet się do nas nieszczęście przypyta,
Jakaś niezgoda, dopuszczenie Boże.
Kobiety, dzieci, a nawet ja z bratem,
Pan Bóg wie za co, nuż kłótnie i swary ;
Szatan się cieszył — a co idzie za tem,
Znikła zamożność i porządek stary.
Mówię do brata: Posłuchaj mię, Janku,
Niechaj się twoja nienawiść ostudzi,
Co to za korzyść kłótnia bez ustanku?
Obraza Boga i pośmiejch u ludzi.
Więc się rozdzielmy. Rozdzielmy się, powie,
Wszakżeśmy bracia, nie jacyś wrogowie. —
Poszedł do dworu, wziął półwłócz pustoszy,
I nuż się dzielić — bo szatan rozpędza.
Był jakiś zapas dobytku i groszy,
Poszło na dwoje — u obudwóch nędza!
A przy podziale, gdyśmy oba ślepi,
Wedle zwyczaju chleb na pół złamali,

Mówiąc do siebie: Jak się chleb nie zlepi,
Tak my pospołu nie będziemy żyć dalej...
To w kęsie chleba — czy dacie mi wiarę? —
Jakieś robactwo znalazło się szare!
Wtedy uczułem, że czegoś się boję,
Niedobrej wróżby — i wyszło na moje.
Przy wspólnej pracy, za dawniejszej pory,
Człowiek się łatwiej nakarmił, przyodziął;
Dziś my nędzarze! — a to chleb Zabory
Przywiódł do domu niezgodę i podział. —

XXV.

— Ej, prawda! prawda — rzekł parobczak młody:
W chlebie Zabory nieszczęście się chowa.
Ot zapomniałeś niedawnej przygody:
Pamiętasz Hannę? i piękna, i zdrowa,
W szesnastym roku — o Boże uchowaj!
Miała iść za mąż, cieszyła się, śmiała;
Pan miarkę żyta dał jej na korowaj,
Otóż nieboga w dzień ślubu skołała.
A tamten żebrak o drewnianej nodze...
Zdrów jakby ryba, choć staw do naboru,
Pamiętasz? z wioski powłókł się do dworu,
Dostał kęs chleba — i umarł na drodze. —

XXVI.

— Znają dokoła Zaborzyńskie zboże; —
Znów mówił Szymon, nad czarką schylony.
Zabora w cudze posyła je strony,
Bo doma nigdzie wyprzedać nie może.
Tam nasze żyto okrzyczano wszędzie,
Tu w wielkiem mieście i znaku nie będzie.
Tu między ludźmi niezgód co niemiara,
Tu pełno śmierci, choroba się szerzy,
Tu ludzie mędrsi, a słabsza ich wiara,
W zakłęte ziarno tu nikt nie uwierzy.
Nie tak jak w naszym miasteczku targowem!
Onegdaj kupiec spotkał mię znajomy,
Dawaj gawędzić to o tem, to o owem,
O urodzajach i ziarna, i słomy.
— No! — mówił do mnie — niech ja marnie zginę!
Dziwnego pana wy jesteście chłopci:
Garść jego zboża sypnij na wicinę,

Pewno się cała wicina zatopi.
Zdaje się rządny, gospodarz wyborny,
Lecz z nim handlować nikomu nie radzę:
Ciężki na rękę, grosz jego niesporny,
Musí mieć serce powalane w sadzę! —
O! panie bracie, mają rozum żłdzi,
Zdaje się prostak, a jak rzeczy widzi!

XXVII.

Taką gawędę słyshałem w gospodzie,
I takem sobie rozmyślał w podróży:
Czemu kęs chleba, wydarty Łagodzie.
Zdrowiu ludzkiemu i szczęściu nie służy?
Czemu, gdy w jakim ukaże się domu,
Kłótnię, chorobę lub śmierć niesie komu?
Za co niewinnym trzeba karę znosić,
Jeżeli żyją u Boga w zasłudze?
Czy własnych grzechów na duszy nie dosyć,
Aby opłacać przewinienia cudze?
Czemu Zabora wesoly, bogaty?
Czemu tak bujnie wyrasta mu niwa?
A biedny rolnik z wyrobniczej chaty,
Jedząc chleb jego, nieszczęście spożywa?
Ja w mojej głowie tego nie wyjaśnię...
Karczemne baśnie — nic więcej, jak baśnie!

XXVIII.

Widziałem w mieście, jak kupcy ciekawi
Zboże Zabory chciwie obstąpili;
I myślę w duchu: Czyliż od tej chwili
Więcej tu cierpień i niezgod się zjawi?
Ale zrządzeniem tajemniczej ręki
Sąsiedni piekarz jedną furę bierze,
Wypiekl na chleby — wziąłem dwa bochenki,
I chleb zaklęty jadłem na wieczerzę.
A Pan Bóg, karząc Swej woli bluźniercę,
Łoże niemocy zgotować mi każe,
A ten, dla kogo niosłem bratnie serce,
Bolesne na mnie jął ciskać potwarze,
I chleb, nieczystą pokalany siłą,
Krwawemi łzami oblać przychodziło.

XXIX.

Dziwne są drogi Opatrzności Bożej,
Gdy grzechy chłoszczą, a zasługę płaci!
A my zuchwali bluźnimy najsrożej.
Cierpim za naszych ojców i spółbraci:
Może w ten sposób miłosierna rada
I nasze winy na ludzkość rozkłada,
By grzechów świata zgładzić szereg długi
Spólnem cierpieniem, spólnemi zasługi?
Czy może, pełniąc za bliźnich ofiarę,
Własnej zasługi dopełniamy miarę?
Bóg raczy wiedzieć — ale zawsze biada:
Bo obcy ciężar wziął na Swoje ramię,
Kto z krzywdzicielem do stołu zasiada,
Kto z jego ręki kęs chleba rozłamię,
Bo tutaj każda płaci się okrucza
Boleścią ciała lub spokojem ducha.

Czy pan Zaborą, gdy oko zamruża,
Ma sen spokojny? czy go co przepłasza?
Spytaj się o to u Anioła Stróża,
Jemu wiadomo — a to rzecz nie nasza.
Lecz strzeż się chleba wydartego zdradnie,
Nie bierz, gdy pieniądz Zaborą ci poda:
Boć najniewinniej na głowę upadnie
Ciężka łez kropla, co wylał Łagoda.

Listopad 1854. Wilno.

FRAGMENTA

O FILIPIE Z KONOPI.

Z NOTATY NA OKŁADCE STAREGO KALENDARZA
SPISANE RYTMEM.

FRAGMENT I.

Niechaj grecki Homerus albo rzymski Maro
Kleci o Trojańszczyźnie epopeję starą;
Niech Tasso głosi dzieje krzyżowców pałasza,
Milton raj odzyskiwa, Baka śmierć ogłasza,
Niech jeden gra na lutni, drugi na multance,
Wszak krainy rymowej bezbrzeżne są krańce.
Niech każdy nowe rzeczy, jakby z rogu, sypie,

Ja zaśpiewam o sławnym z Konopi Filipie.
 Muzo! (czy jak inaczej dziś twoje nazwisko)
 Gdy się nadto rozpędzę, bądź koło mnie blisko,
 Gdy się głowa zamarzy, gdy serce zapęła,
 I kiedy bredzić pocznę, — niech twa rączka biała
 Wodą z kastalskich źródeł głowę mi pokropi,
 Ażebym się nie wyrwał jak Filip z Konopi!

Przed trzemaset latami, gdzie podolskie lany,
 Był cichy dwór szlachecki, Konopie nazwany,
 Czy od panów Konopków, co go założyli,
 Czy od gęstych konopi, co może z pół mili
 Ciągnęły się przy dworku — a że grunt niepodły,
 Wyrastały wysoko, niby leśne jodły,
 Miały liście szerokie, miały kity duże.
 Tyle o dawnym dworku i nomenklaturze;
 Dość, że jego panowie, ilem zebrał śladów,
 Pisali się z K o n o p i z dziadów i pradziadów.

Tam, w dniu pierwszego maja, na posłaniu grubem,
 W dzień świętych Apostołów Filipa z Jakóbem,
 Roku, co się od dawna w mgłę przeszłości topi,
 Wyrwał się z łona matki P a n F i l i p z K o n o p i .
 Popatrzał na świat Bóży i zacisnął pięście,
 I skrzywił się, jak gdyby zobaczył nieszczęście,
 I wrzasnął w niebogłósy na nutę sierocą,
 Jakby pytał z boleścią: A jaż tutaj poco?
 I długo hałasował na kształt wojewody,
 Co, przybywszy w podróży do nędznej gospody,
 Złorzeczy gospodarzom, aż trzęsą się ściany:
 Dłaczego tutaj pałac nie wybudowany?
 Musiał wreszcie pomyśleć: Cóż po tym zapędzie?
 Gdy nie można inaczej, niechaj i tak będzie!
 Wydał jakieś jęczenie albo uśmiech głuchy,
 I usnął zawinięty w matczyne pieluchy.

W tydzień zebrano gości, jak się zwykle zdarza,
 Młodzian ochrzcon Filipem wedle kalendarza,
 I łaskawi sąsiedzi popili się zdrowi,
 Życząc dobrych sukcesów panu Filipowi...

.

FRAGMENT II.

Bogdajby to na świecie być takim jak drudzy!
 Stateczni obyczaju i zwyczaju słudzy,
 Których myśli nie idą jakąś dziwną drogą,
 Lecz na ubitych ścieżkach utrzymać się mogą,
 Tacy nie będą nigdy samotnymi w tłumie,
 Oni świat rozumieją, a świat ich zrozumie.
 Zdarza się inszy człowiek, istny pieszczoch Boży,
 Któremu, gdy myśl nową Pan do serca włoży,
 Naprzód w czasie i miejscu trafnie go ośmieli,
 I ludzi usposobi, by go zrozumieli;
 A wtedy słowa jego umysły ogarną,
 I pięknego zasiewu posypie się ziarno.
 Lecz znowu się zdarzają pomiędzy tysiącem
 Ludzie z szaloną głową a sercem gorącym,
 Co, nie bacząc, gdzie mówią lub mówią do kogo,
 Przekonań swego serca powstrzymać nie mogą.
 Niedosć silny, by zwalić starą postać rzeczy,
 Taki człek wszystko zbija, wszystkiemu zaprzeczy;
 W namiętności społeczne, burzą rozpędzone,
 Dmucha jak przeciw wiatru, by w inszą wiał stronę;
 Napróżno z całej siły zbiera w sobie ducha,
 Biedne piersi mu pękna, a nic nie wydmucha!
 A śmiechuż będzie, śmiechu z biednego szaleńca!
 Gawieź palcem wskazuje, przechodzień się znęca:
 „Słyszycie, co on roi? patrzcie, kędy tropi!
 Filip z Konopi!...”

. : : : :

FRAGMENT III.

U ojców jezuitów, w miasteczku Ostrogu,
 Uczył się młody Filip służyć Panu Bogu,
 Mówić mądrą łaciną, czytać rzymskie prawa,
 Słowem — tego wszystkiego, co szlachcie przystawa.
 Tam poczęli mistrzowie poznawać go ściślej:
 Myśli bywało... myśli... i nic nie wymyśli;
 Do nauk brał się nieźle, lecz widzą ojcowie,
 Że, gdy o co zapyta lub myśl jaką powie,
 Tak mu się coś nie wiedzie wpośród szkolnej rzeczy,
 Że lub zgorszy bluźnierstwem, lub głupstwem rozśmie-
 A że był drobny wzrostem i wielce ruchawy, {szy!

To bywało aż skoczy ze studenckiej ławy,
 Wybieży w środek szkoły i gada, i gada,
 I rękoma wywija, aż trąca sąsiada,
 A oczy aż się iskrzą — taki w mowie zapal;
 Koniec końców — rozśmieszył albo plagi złapał.
 Na przykład: Książd Retoryk raz uczył swe ucznie,
 Jak trzeba pięknym stylem wysłowiać się sztucznie,
 A wtedy raj łacina wiodła w polskiej mowie,
 I wielce byli w modzie Olimpu bogowie,
 Więc mówił książd Retoryk: — Trzeba zażyć pracy,
 A nie gadać po polsku, jak mówią prostacy,
 Ale umieć łacinę i przypiąć co chwila
 Sentencionem z Flakka lub wierszyk z Wirgila,
 Perjody układać okrągłej budowy:
 To jest właściwe signum eleganckiej mowy.

Powtóre... uważajcie... że mówię: powtóre!
 Conticuere omnes! podnieść uszy w górę!
 Otóż tedy, powtóre: niechaj w twojej mowie
 Najczęściej olimpijscy panują bogowie.
 Zamiast mówić: ktoś mądry, dobry do porady,
 Nazwij go oblubieńcem bogini Pallady;
 Nie powiadaj: człek mężny, bo tak mówią prości,
 Lecz powiedz, że jest pełen marsowej dzielności;
 O kwiatach trzeba mówić, że to dzieci Flory,
 Zboże zaś w pięknej mowie to Cerery zbiory;
 Na jabłko, nie mów: jabłko, lecz owoc Pomony.
 A tak wszyscy poznają, żeś człek wyuczony! —

Filip na szkolnej ławie dosiedzieć nie może:
 — Nie! krzyknął nie masz zgody, księżu profesorze!
 Jeden Bóg stworzył kłosy, i jabłka, i kwiaty,
 Na co tu Ceres, Flora, bóstwa starej daty?
 Wszak Pan Bóg zakazuje wzywać bogi cudze!
 A że słynie ktoś mężnym w krajowej posłudze,
 I jeżeli konieczna retoryka taka,
 To już lepiej Tarnowskim nazywać wojaka,
 Najlepiej bohaterem nazwać bohatera! —

Książd Retoryk brwi zmarszczył, jak Jowisz Homera
 A mszcząc się uchybienia mistrzowskiej powagi,
 Skinął na starszych uczniów — i Filip wziął plagi.
 A srogich bóstw Olimpu niewinna ofiara,
 Gdy po ciężkiej przestrodze pocieszyć się stara,
 Każdy nóż najgrawania do serca mu topi:

— Nie wyrywaj się więcej, Filipie z Konopi! —

Drugi raz w Wielki Piątek jezuickie żaki,
Aby dać pobożności gorliwej oznaki,
Więc za to, że Żydowie umęczyli Boga,
Chciały wygrzmotać kijmi rabina z Ostroga.
Hurmem tedy pobiegły ku jego gospodzie
(Takowe nabożeństwa były wtedy w modzie).
Dalej tłoczyć się, krzycząc wokoło siedziby,
Zaświsłały kamienie, zabrząknęły szyby,
Wysypał się rój żydów w hałaśliwej tłuszczy,
Ktoś jeden, potem drugi do bitwy poduszczy,
I dwa groźne obozy skupiły się z bliska,
Każdy złorzeczeniami i kamieniami ciska;
Pogruchotano kije — zwarto bój na pięści,
A żakom jezuickim snadź Bellona szczęści:
Bo tamtych większa liczba, tych męstwo ośmiela,
Pokonały wrzaskliwe hufce Izraela;
Krew nawet popłynęła — już starsi przypadli,
Pienią się zapaśnicy, biją się zajadli.
Wtem, gdzie bitwa najsroższa, gdzie najgęstsze ciosy,
Wpadł Filip, z cycerońska krzycząc w niebogłosy:

— Stójcie, bracia! co widzę? cóż to w waszej głowie?
Wszak Chrystusa męczyli ich dawni przodkowie!
Cóż oni temu winni? Swawole! swawole.
Na bezbronnych!... na słabych!... O! ja nie pozwolę! —

I wpadł w środek motłochu — a tam kupy wrzące
Nuż tedy grzmotać pięściami swojego obrońcę:
Bo tego, co on gadał, żaden nie dosłyszysz,
Mniemali, że zachęcał swoich towarzyszy.
Zwijał się biedny Filip, padł na ziemię twarzą,
I gdyby nie starosta z ratuszową strażą,
Co przyszedł spędzić motłoch, pewnie dałby gardła,
Tak się zawziętość judzka na niego wywarła.
Został jeden na placu — pierzchli towarzysze;
A ksiądz rektor, nadszedłszy, co widzi, to pisze:
Więc jako naczelnika ulicznej swawole,
Znowś skazał na przykładne ukaranie w szkole.
A co tam było żartów! a śmiechów bez końca,
Że to wódz Izraela, że żydów obrońca!
Biedny Filip z Konopi! za dobre zamiary,
Że się wyrwał nie w porę, aż trzy odniósł kary!...

FRAGMENT IV.

Czyż wam dalsze przygody Filipa powtórzę?
Nie spisaćby ich wszystkich na wołowej skórze.
Wyszedłszy na młodziana, pracuje jak może,
Bo służył i rycersko, i na pańskim dworze.
Zawsze mu się nieszczęście jak z rękawa sypie:

— Nie wrywaj się naprzód! dobrze ci Filipie!
Czyń, jako czynią drudzy, wierz, jak każdy wierzy! —
Tak mu często radzili towarzysze szczerzy;
Ale niełatwa rada, kto nieszczęścia dziecię,
Kto Filipem z Konopi zrodzon na tym świecie.
Kiedy trąba bojowa na wojnie zazgrzyta,
On wrywa się naprzód i pali z kopyta,
Nie bacząc, gdzie jest odsiecz — czy koledzy biega,
Wrąbie się w środek hufca nieprzyjacielskiego;
Nim nadbieży szczęśliwa pomoc od współbraci,
Zawsze gęstemi rany swą płochosć przypłaci,
A jeszcze mu nałaje obozowa władza,
Że im szyki pomieszał, że w planach przeszkadza.

Gdy inși brali łupy lub wojny honory,
On nigdy się nie stawiał, bo zawżdy był chory;
Wtenczas, gdy pole bitwy hojnie krwią pokropi,
Wrywał się z chorobą, jak Filip z Konopi.

Raz z hufcy tatarskimi jak lew szedł w zawody,
Pan chorąży przedstawić miał go do nagrody;
Lecz Filip, jak mu często pomylić się zdarza,
Zaskarżył chorążego do regimentarza.
Skarga była prawdziwa, jak to wiedzieć mozem,
Lecz chorąży przez zemstę mianował go tchórzem,
Zaświadczył, że go znalazł za wojskiem na ziemi,
(A pan Filip w tej chwili czuwał nad rannemi).
Wyrwał się biedny Filip jak raz w samą porę,
Zaskarżać naczelnika, opatrywać chore!

Służył, rzuciwszy wojsko, u dworskich podwoi.
Pan mówi: — Bracia szlachta, przyjaciele moi,
Na sejmiku zakrzyczeć, niepozwoić całkiem,
Aby skarbnik piltyński był u nas marszałkiem.
Ja dzisiaj waszych wotów domagam się prosto
Za moim przyjacielem, rzeczyckim starostą! —

Tedy krzyczą dworzany, szlachta zaściankowa:
— Niechaj żyje starosta! niech skarbnik się schowa!

Kto nas dziś przekreskuje, jesteście ciekawi!
A kto inaczej trzyma, z nami się rozprawi!

— Jakto! czy my nie szlachta? czy poddani chłopci? —
Zawołał wielkim głosem pan Filip z Konopi:
Prawda, że na twym chlebie, mości wojewodo!
Ale mnie na sejmiku wyższe względy wiodą.
Syn Rzeczypospolitej, znam krajowe prawa,
I za tym podam kreskę, kto lepszym się zdawa.
Pan skarbnik ma i serce, i głowę nielada.
Toć jemu marszałkować sejmikiem wypada.
Choć mi szyję zetnijcie, póki serce żywe,
Ja dla pana starosty rzucę negatywę:
Tak mi każe sumienie! — Więc po takiej sprawie,
Pan go wygnał ze dworu, a dworscy szubrawce
Uragali się nad nim, że ma zmysły chore,
Że się wyrwał ze sumieniem jak raz w samą porę,
Istny Filip z Konopi!

Więc głodno i pieszo
Spieszył Filip na sejmik, kędy wszyscy spieszą;
Przekrzyczał, przekreskował i do tyła sprostał,
Że marszałkiem pan skarbnik piltyński pozostał.
Ale skarbnik piltyński, nic tego nie świadom,
Kiedy ucztę dziękczynną wydawał sąsiadom,
Kiedy szlachtę po uczcie hojnie winem kropi,
Nie zaprosił na obiad Filipa z Konopi.
Filip tedy w gospodzie ochoty zażywa,
Zajada kawał chleba, pije szklanek piwa;
A choć w duchu był wesół, lecz drudzy się śmieli,
Że porzucił sztandary dworskiej klienteli.
I dlaczegoż porzucił? że jak Filip czysto
Wyrwał się w samą porę ze sprawą ojczyzną!
Ze śmiechu poszła bitwa — dzięki szerpentyńce,
Dostał kreskę przez wasy, krew z czoła mu płynie;
Więc złorzecząc sejmikom, w nędznej alternacie
Osiadł Filip z Konopi w rodzicielskiej chacie...

.

FRAGMENT V.

Do chaty, jak wiadomo, trzeba gospodyni;
Więc objeżdża sąsiady i konkury czyni.

Choć srodze poraniony, chociaż niebogaty,
Dobłą mu niespodziankę naraiłły swaty.
Była panna posażna z domu Doliwitów,
Skojarzenie i piękne a pełne zaszczytów.
A dziewczę takie hoże, takie rażne, słyszę,
Że mu szczerze radzili dobrzy towarzysze:
Bo dwór pana Filipa podupadał znacznie,
Bo on sprawę domową zaniedbał niebacznie,
A z owej konjunktury w małżeńskie ogniwa
Na szlachecką chudobę grosz i zaszczyt spływa.
Więc starym obyczajem poczęto konkury;
Można było sukcesu przewidywać z góry:
Pan ojciec krew żołnierską spodobał w Filipie,
Pani matka za skromność pochwaliła mu sypie.
Tylko bieda z dziewczyną — widział jak na dłoni,
Że się widocznie lęka, że widocznie stroni,
Że siedzi zadumana, pokryjomu wzdycha,
Smutnie główką pokiwa i łzę otrze z cicha.
Przykro patrzył pan Filip na ten znak niemiły,
Bo jej oczy nie żartem do serca się wpiły.
Może kocha innego — pan Filip się biedzi.

— Nie uważajcie na to! — cieszą go sąsiedzi —
Alboż to młode dziewczę jest panią swej woli?
Alboż może folgować swemu sercu gwoli?
Wyplacze się, przetęskni i z wesołą twarzą
Z tym pójdzie do ołtarza, z kim rodzice każą.
Zresztą, gdyby ten środek zdał się za surowy,
To można spowiednika użyć do namowy.
Wszak na tem Polska stoi!

— Wstydz się, panie bracie!

Czyż mam młodą małżonkę zakowywać sidły?
Gwałtem porywać brankę, jak Tatar obrzydły?
Razem rękę i serce! inaczej nie biorę! —

Ot i z sercem wyskoczył jak raz w samą porę!
Ale trudno poradzić, gdy się głowa stropi.

— Upamiętaj się waszmość, Filipie z Konopi! —
Tak go sąsiad ofuknie: Czas w głowie mieć olej!
Wybrałbyś piękny posag, niż te brednie, wolej.
Majątek ubożeje, idą stare latka:
Bierz co daje fortuna, i ojciec i matka! —

Radzono, by się zaraz oświadczył z amory;
Ale Filip z Konopi, w tych rzeczach nieskory,
Chciał zjednać serce dziewczki: nieznacznie... nieznacznie,
Już się do niej przybliża, już z nią szeptać zaczyna;
A szepcą tajemniczo... coś w głowach się marzy;
Ona poweselała, on zesmutniał w twarzy.
To jedynie przyjaciół pocieszało trocha,
Że para młodych ludzi widocznie się kocha.
Całe dni z sobą razem i wieczory razem,
Pan Filip z tajemniczym coś szepce wyrazem,
Przytłumione westchnienia znać po nim co chwila,
A ona wdzięcznem okiem k'niemu się przymila.
Czasem lżą oblanemi pożegna oczyma,
I wyjeżdża z jej domu -- dni kilka go niema;
Ale dokąd i poco wymyka się zdradnie?
Tego nawet najbliższy przyjaciel nie zgadnie.

Raz powrócił k'bogdance z niebytności długiej,
Z nim przybył nieznajomy jakiś młodzian drugi;
I pan Filip na stronę ojca, matkę bierze,
Snadź już o rękę córki oświadcza się szczerze.
Tak szepcą przyjaciele, radzi w głębi ducha,
Że nakoniec natchnienia rozumu posłucha.

Coś długo z rodzicami ciągnie się narada,
A dziewczę to kraśniej, to jak chusta błada.
Wyszli wreszcie — a Filip z obliczem radości
Zbliżył się do młodziana, co przybył z nim w gości,
Zbliżył się do dziewczicy — i rękę im poda:

— Teraz do nóg rodzicom! do nóg paro młoda!
Rodzice zezwolili!! — Więc owi przelekli,
Do nóg ojca i matki nieśmiało ukłękli.
A gdy ci błogosławią: „Połączcie się zdrowi!”
Oni upadli do nóg panu Filipowi

„Tyś anioł dwojga ludzi!!... dobroczyńca miły!”

Aż się usta sąsiadów z dziwu otworzyły,
I rzecz stała się jasna, jak żaden nie marzy:
Że Filip widząc smutek na dziewczęcej twarzy,
Zbliżył się do niej szczerze, poznał niespodzianie,
Że się kocha w ubogim, lecz zacnym młodzianie,
Że ojciec na ten związek zezwolić nie raczy,
Że ona Filipowi da rękę... z rozpacz...
Lecz to będzie ofiara — bolesna, straszliwa!...
Więc się Filip z dziwaczny konceptem wyrzywa:

Choć bolało go serce, choć kochał nad życie,
 Poprzysiągł uszanować to uczuć odkrycie,
 I za dwojgiem kochanków, tejże samej chwili,
 Wstawiał się do rodziców, którzy go lubili.
 Nim upór pana ojca przełamał ognisty,
 On przewoził kochankom ukłony i listy,
 I póty prosi, błaga, intrygę kojarzy,
 Aż na związek serc czułych zezwolili starzy.
 I jakże wyszedł na tem? Żal się Panie Boże!
 Stracił bogaty posag, stracił dziewczę hoże!
 Nie żał go, że cichaczem twarz łzami pokropi:
 Bo się wyrwał w swatowstwo, jak Filip z Konopi.

.

FRAGMENT VI.

Tedy Filip, zraniony na ciele i duszy,
 Już w domu zamieszkawszy, rzadko gdzie wyruszy;
 Przywiązał się do pola, do łąki, do wioski,
 I w pracy swe bolesne zagrzebywał troski,
 Ugaszczał dobrych ludzi, uszczęśliwiał kmiotka,
 Odżyła nowem życiem domowa zagrodka.
 Sąsiedzi go lubili i estymowali.

— Lubo dziwak — mówiono — choć mu mózg się pali,
 Ale serce poczciwe w pracy się nie nuży, —
 Trzeba o tem pomyśleć, niech rodakom służy! —

Tak mówili życzliwi współobywatele,
 A właśnie, że ku temu i zrzeczność się ścięła:
 Bo przyszła wic królewska do wszystkich powiatów,
 Więc zgromadził się sejmik w powiatowym mieście,
 Zjechało się i panów, i szlachty ze dwieście.
 Tego, owego wybrać... ktoś krzyknął w zapędzie:
 Niech pan Filip z Konopi naszym posłem będzie!
 Z ust do ust gdy się braciom jego imię poda,
 Przyjęto na rozwałę — i stanęła zgoda.
 Tak tedy, choć się w żadne urzędy nie ciśnie,
 Został wybrany posłem prawie jednomyślnie.

Wdzięchen za miłość bratnią, za tyle okrzyków,
 Wydał braterską ucztę dla swych powietników,
 Gdzie potężnym kielichem pijąc bratnie zdrowie,
 Zawołał uroczyście: Hej, moście panowie!
 Niech żyje bracia szlachta! bohaterskie plemię,

Filar złotej swobody tej sarmackiej ziemi!

— Wiwat szlachta! — ktoś krzyknął powtórę, po trzecie:
Nie masz stanu, jak szlachta, nie masz w całym świecie,
Ona jedynie godna zaśczytów, swobody!

— Mylisz się! — krzyknął Filip — na to niema zgody!
Bo jest w Polsce stan inszy — chociaż nie herbowni,
Muszą stanąć ze szlachtą i staną na równi!

— Co waść gadasz, mospanie Filipie z Konopi?
Któż to równy ze szlachtą?...

— Któż to równy? — chłopci! —

Zawołał groźnym głosem, iskrząc się oczyma. —

Których Rzeczpospolita w poniżeniu trzyma.

Kiedy my bronim granic, mościwy kolego,

Oni nam chleb gotują, naszej dziatwy strzegą.

Tam, gdzie ziemię rolniczą stworzyły Niebiosy,

Wart najlepszego herbu ich topór i kosa.

Waść niby człek rycerski — a pożał się Boże!

Szabla ci zardzewiała od pradziada może.

A patrzaj na ich pługi — czyż nie więcej warte?

Jak się błyszczą, codziennem użyciem wytarte!

Oni w swojej dostojnej a skromnej postawie

Lepiej się zasłużyli niż my, w naszej sprawie:

Warci równości z nami... Dziś, gdym ziemskim posłem,

Patrzajcie, jaki projekt do sejmu przyniosłem:

Oto moja najpierwsza kniotków zapomoga!

Równość w obliczu prawa, jak w obliczu Boga,

Jeden statut dla wszystkich, zobopólna rada,

Miejsce w Izbie poselskiej, gdzie szlachta zasiada.

Patrzcie, mości panowie! czysty zysk w tym względzie!

Ile głów zdrowej rady krajowi przybędzie!

Ile serc nieskalanych! a na ich oświatę

Wszak mamy jezuitów kolegja bogate.

Toż w Rzeczypospolitej niedziwna nowina,

Daj mu miejsce, szlachcicu, obok twego syna!

Płać podatek do skarbu, jak i kniotek płaci!

Szlachtę nazywasz bracią, miejże tych za braci!

Ja piję zdrowie kniotków! hej! kto ze mną pije?

Krzyczał Filip z Konopi, wyciągnawszy szyję,

I w serdecznym zapale ducha gorącości,

Pełny kielich tokaju wyciągał do gości.

Ale szlachta zgorszona zrywa się od stołu,

I sto głosów gniewliwych zawrzało pospołu:

- Co! mój herb Paparona przyrównać do cepa!
- Co to! szlachta mniej warta, niżli gawiedź ślepa!
- Co to! chłop z moim synem ma siadywać w szkole!
- Co to! ja na podatek od szlachty pozwolę?
- Piękny poseł! na sejmie stan szlachecki zgłuszy!
- Hejże, mości panowie! a obciąć mu uszy!! —

I sto spojrzeń Filipa przebodło surowo,
 I sto szabel zabłysło nad niebaczną głową,
 I każda, jedna ostrzem, druga płazem, kropi.
 Zatoczył się skrwawiony pan Filip z Konopi,
 Chciał dobyć karabeli — lecz padłszy jak długi,
 Wywrócił stół z puhary. — Krew i wina strugi
 Pocięły po podłodze, szkła w powietrze lecą...
 A gdy się zapęd szlachty uspokoił nieco,
 Wywleczono z pod stołu, jak gdyby złoczyńcę,
 Zrąbanego do kości, zbitego na sińce.

Ten widok jakoś szlachtę do żalu poruszy:
 Ocucono Filipa, dopytano duszy,
 Dali nieco pomocy i nieco pociechy,
 I zawieźli Łazarza pod domowe strzechy.
 Dobrze mu! jak nie wiedzieć, że los taki spotka,
 Kiedy szlachtę porówna do podłego kmiotka?

.

FRAGMENT VII.

Łoże jego choroby — to łoże żebracze:
 Myślicie, że ktoś czuwa, że ktoś nad nim płacze?
 Ani żywego ducha! Pan Filip w swej dumie
 Wyrwał się przed lekarzem, że leczyć nie umie,
 Że trzeba innym kształtem opatrywać rany;
 Zagniewał się na niego lekarz zawołany
 I opuścił nędzarza na łożu niemocy.
 Potem Filip z Konopi wyrwał się jak z procy
 Dowodzić przed plebanem, kutym teologiem,
 Że wszyscy chrześcijanie równi są przed Bogiem,
 Że grzech brać dziesięcinę od ubogiej włości,
 Że nie każdy zbawiony, kto Suchedni pości.
 Księdzu aż uszy wiedły na takie gadanie,
 Powiedział, że tu noga jego nie postanie,
 I dopełnił, co przyrzekł. A tu przyszła nędza:

Grosz mozolnie zebrany grosza nie dopędza,
I dworek opustoszał, i grunta w bezładzie,
A musi trzos mieć pełny, kto się w łóżko kładzie,
Nie stało i na plastry w szlacheckiej chudobie.
Tak przejęczał rok cały, złorzecząc sam sobie.
W rany weszła gangrena — a głód wewnątrz wierci,
Aż po długiem konaniu doczekał się śmierci.

A kiedy dziad kościelny gromnicę mu poda,
Wyrwał się z narzekaniem, że mu życia szkoda.
Boże, Boże! tak marnie sterawszy swe lata,
Tylko Filip z Konopi mógł żałować świata!...

ZAKOŃCZENIE.

I nikt z żyjących ludzi po panu Filipie
Nie płakał na pogrzebie, nie wypił na stypie;
Nikt mu pochwalnych liter nie wyrył na grobie,
A kurhanek piaszczysty — rozsypał się sobie.
Śpi Filip, nim się na sąd straszliwy obudzi,
A pamięć jego życia w pośmiewisku ludzi,
Kto się wyrwie nie k'rzeczy, kto się w mowie stropi,
Dotąd go nazywają Filipem z Konopi.

Ktoś świadom życia jego, albo nawet świadek,
Czystych na kalendarzu dopadłszy okładek,
Wzorem owego czasu, z polska po łacinie,
Zapisał te przygody, co podają ninie.
Jam dopadł tej rzadkości — i legendę całą
Ubrał w sukienkę rytmu, jak mi się udało;
Niekłamanym afektem służę ci, jak mogę,
Czerpaj stąd, czytelniku, zbawienną przestrozę:

Choć się uczucie w piersi, myśl do głowy cieśni,
Choćbyś jaśniej przeglądał, niż twój współczesni,
Nie spiesz się — moja rada — mówić do słuchaczy,
Co twe serce przeczuwa, co twe oko baczny.
Nie idź za gorącemi twej duszy popędy;
Co ci korzyść przynosi, dopatruj się wszędy,
A serce miej zamknięte, chociaż twarz otwartą;
Nim się na coś poświęcisz, rozważaj: czy warto?
Chowaj zimną ostrożność i w czynie, i w słowie,
Bo „Filipem z Konopi“ każdy cię nazowie.
Ognistych bohaterów minęły już lata:
Krew, łzy i pośmiewisko — taka ich zapłata.

ŻEBRAK Z RZEMIOSŁA.

G A W E D A.

I.

Panie Jakóbie! ot jeszcze do pary
Powiem waszmości jeden koncept stary,
Skąd się przysłowie rozeszło powoli,
Że człowiek sprawca sam swojej niedoli.
Ot u nas, widzisz, jest ludzi gromada,
Co to, jak mówią, na dwóch stołkach siada,
Co przez zbyteczną usługność gotowi
Dać świeczkę Bogu, a dwie szatanowi.
Szatan, łakomy na światło jarzące,
Najpierwej takich pochwytyje w ręce,
I za dwubarwne a niepewne zdanie
Tęgiego figla płata niespodzianie.
Posłuchaj waszmość.

Pod krzyżem przy drodze
Siadywał żebrak o drewnianej nodze;
Miewał przy sobie, jak zwykle żebracy,
Różaniec, stółek, krucyfiks na tacy,
Stare kantyczki, dwie torby, dwa kije,
I drżącym głosem śpiewał litanije.

A tam gościniec trawą nie zarasta:
Jedni do miasta, drudzy idą z miasta;
A żebrak rodem z tej samej krainy.
Znał tu każdego z postaci i z miny,
Starych i młodych, niewiasty i dzieci,
Panów i żydów i mieszczan i kmieci,
Wiedział kto dobry, a kto jest ładaco;
Ale przed każdym pobrzakiwał tacą,
Każdemu śpiewał piosnkę jednej miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!”

II.

A nasza próżność to już rzecz wiadoma:
Nazwie marszałkiem pana ekonoma,
Albo szlachcica panem wojewodą,
Albo dziewczynę kwiatkiem czy jagodą,
Wójtem wieśniaka, kapralem żołnierza,
A trzygroszówki lecą do talerza,

I w jego sakwach gromadzi się żywo
I chleb miastowy, i wiejskie mięsiwo.

Jeszcze tu żebrak nie nagrzeszył dużo,
Gdy nazwał dziewczę jagodą lub różą;
Gorzej mu nieraz pobił się zdarza,
Gdy zacnym panem nazywał zbrodniarza,
Tchórza rycerzem, dzwonnika plebanem,
A samoluba miłośniernym panem.
Wiedział to żebrak, bo znał swe sąsiady;
Lecz myślał sobie: Niema inszej rady,
Trzeba się modlić i po tacy dzwonić,
Kto wart, czy nie wart, nisko się pokłonić,
I wzniosłszy oczy powtarzać bez miary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!”

III.

Raz ksiądz Bernardyn, idący po kweście,
Rzekł do żebraka: — Niestusznii jesteście;
Bo nie każdemu i nie w każdej porze
Godzi się mówić: „Niech ci Bóg pomoże.”
Wszak tutaj różny snuje się przechodzień,
Może zły człowiek, może jaki zbrodzień,
Co złe zamysły w swoim sercu chowa
Czyż za każdego modła jednakowa?
Wszak jeśli Pan Bóg spełni twoje modły,
To niewinnego pokrzywdzi człek podły,
Oszust prostaka otumani zdradnie,
Zbójca rozbije, a złodziej okradnie.
Nie możesz wiedzieć, co każdy z nich myśli,
Więc z twemi słowy rachując się ściślej,
Nie mów każdemu, przyjacielu stary:
„Niechaj Bóg twoje poszczęści zamiary!”
Radzę ci mówić sumiennie i prawiej:
„Dobrym zamysłem niech Bóg błogosławi!”

IV.

— A! mości księżu! co mi tam do tego,
Z jakim zamysłem i gdzie ludzie biega
Czy sprawa dobra? czy niesprawiedliwa?
Ja jestem żebrak, mnie trzeba grosiwa.
Niech złodziej kradnie, rozbójnik zabija,
Ja mojej sakwy, ja pilnuję kija.

Ja z modlitwami każdemu usługny,
Kto mi da chleba, albo grosz jałmużny.
Na to ubogi, że Majestat błaga:
Niechaj każdemu Pan Bóg dopomaga!
Przebach, co powiem: To skrupuły głupie!
Grosz na tabakę daj, księżu biskupie!
A jak tam sobie będziesz żył w klasztorze,
Mniejsza mi o to — niech ci Bóg pomoże! —

V.

Ksiądz kwestarz westchnął na taką ślepotę,
Rzucił starcowi na tacę dwa złote,
A żebrak dalej w rzemiosło nędzarza,
Ludziom pochlebia, a Boga obraża!
Były to czasy sudermańskiej wojny,
Wszędy po kraju snuł się żołnierz zbrojny,
Ci za Zygmuntem, ci przeciw Zygmuntą,
Ci palą wioski, ci pustoszą grunta.
Ci bronią kraju a o drugich pisze,
Że w pierś ojczyzny wbijają bardzże;
A żebrak widzi, jak tam wioski gorą,
Jednak żołnierstwu kłania się z pokorą.
Trzeba napełniać moją sakwę biedną,
Czy Szwed, czy Zygmunt, to mi wszystko jedno,
Moja ojczyzna krzyżyk i rozdroże,
„Niechaj im wszystkim Pan Bóg dopomoże!“

VI.

Gdy Szwedzi idą palić nasze siola,
Żebrak się kłania, o jałmużnę woła,
A gdy jałmużnę na tacę połączą,
On pomoc dla nich przywołuje Bożą.
A kiedy Szwedów pokonywać spieszy
Pułk petyhorski, pancerny lub pieszy,
Znów żebrak bije pokłony usługne:
— Dajcie, rycerze, biednemu jałmużnę!
Niech w waszych piersiach krzepi się odwaga,
Niech waszym włóczniom Pan Bóg dopomaga! —

A tak, czy Szwedzi, czy idą Sarmaci,
Każdy za modłę żebrakowi płaci;
A żebrak w służbie Chrystusa i czarta,
Miedziane grosze do swych sakiew zgarta;

Choćby nogajscy naśli Tatarowie,
Gotów się modlić za szczęście i zdrowie.

I tak za szwedzkie i polskie proporce
Modląc się, zebrał — miedziaków dwa korce.
Więc włókę ziemi zakupił za korzec,
Za drugi sobie pobudował dworzec,
I z włóki gruntu miał dobre intraty;
A że gościniec był blisko od chaty,
Przeto, jak dawniej, pokorny, usłużny,
Siedział przy drodze i zebrał jałmużny.

VII.

Gdy żebrakowi tak dobrze się dzieje,
Pewnego ranka idą dwaj złodzieje,
I jeden mówi: — Otóż losy szczęsne,
Jeżeli sakwy starego wytrzęsnę!
Toż, mówią ludzie, groszowity sztuka
I stąd i z owad swoich zysków szuka! —

Drugi odpowie: — Oho! znam ja dziada!
Ma tam i w chacie zapasy nielada;
Nieraz tam zajrzeć brała mię ochota,
Ale brytana uwiązał we wrota.
Jakżebym pragnął obrać go do naga!
Moim zamysłem niech Bóg dopomaga! —

Przeto złoczyńca, chcąc skusić biedotę,
Idzie do starca, rzuca mu dwa złote,
I wpół ze śmiechem dobrotliwie rzecze:
„Pomódl się za mnie, pocziwy człowiecze!“
A stary żebrak, choć znał, że to złodziej,
Lecz myśli sobie: — Co mnie to obchodzi?
Złożył kantyczkę, wsparł ręce u kija,
Mówi „Ojcze nasz“ i „Zdrowaś Marya“
I kończy pacierz swoją zwykłą drogą:
„Twoim zamiarom niech nieba pomoga!“

VIII.

I w mgnieniu oka jego prośby słowo
Na skrzydłach wiatru stało przed Jehową.
I rzekł Przedwieczny do aniołów grona:
Jego modlitwa niech będzie spełniona!
Stało się tedy — a złodziej nieznacznie
O różnych rzeczach zagadywać zaczyna:
Pyta żebraka, jako mu się wiedzie?

Ile lat liczy? kto idzie? kto jedzie?
A żebrak wdzięczny za uprzejmość taką,
Gwarzył z przechodniem, częstował tabaką
Życzył mu szczęścia — a złodziej w gawędzie
Zręcznie mu z sakiew grosze wydobędzie,
Chleb, i owoce, i zapasy różne,
Co może w tydzień zebrał przez jałmużnę.
Żebrak nie postrzegł, tak zawzięcie gadał,
Kiedy go złodziej do szczętu okradał:
Bo Pan Bóg jego wysłuchał pacierze
I złodziejowi szczęściło się szczerze.

IX.

Tymczasem drugi skrada się do chaty,
A brytan groźny, ogromny, kudłaty,
Zamiast zaszczekać i nasrożyć paszczę,
Jeszcze się do nóg złodziejowi głaszcze.
A ten, szczęśliwy, że się brytan garnie,
Splondrował skrzynie, zasieki, spiżarnie.
Tu mu się dobrze pożywić wypadło;
Znalazł pieniądze, napitek i jadło
I sutą odzież, kozuchy i świty,
Wszystkiego, panie, zapas znakomity,
Że jednym słowem, można mówić śmiało,
Tylko ptasiego mleka nie stawało.
Złodziej nie głupi — a jak się zawinie,
Wszystkie zapasy uprzątnął w godzinie;
A tak sumiennie był pracy oddany,
Że nawet ćwieki wyciągnął ze ściany.
Więc pośpiewując po sowitem żniwie,
Pogłaskał psisko i poszedł szczęśliwie.

X.

Wieczorem żebrak aż krzyknął z rozpaczą,
Kiedy swą szkodę podwójną zobaczy,
Aż targa brodę, aż płacze, aż mdleje,
Przeklina siebie, i psa, i złodzieje;
A bardziej jeszcze po sercu mu bodło,
Że mówił pacierz, by im się powiodło.
Wytaczać skargę na niewiele zda się,
Księdza kwestarza wspomniął po niewczasie,
I już naprawdę, jak nędzarz ubogi,
Płaczliwym głosem żebrował u drogi.

Lecz po nauce, po ciężkiej goryczy,
Już nie każdemu powodzenia życzy,
Lecz, kończąc pacierz, dodaje w pokorze:
„Dobrym zamysłem dopomagaj, Boże!”
Modlił się, kiedy wdzięczność go uniosła,
Ale już nie był żebrakiem z rzemiosła.
Śmiano się z niego, i długo, i szczerze:
„Ja cię okradnę — mów, dziadu, pacierze!”
A stąd przysłowie powstało powoli:
„Że człowiek sprawca sam swojej niedoli”.

1854. Borejkwoszczynna.

MATYSEK.

GAWĘDA.

Był Matysek, chłop przed laty,
Jak drugiego nie znajdziecie,
I przystojny i bogaty
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nie znał biedy,
Zazdrościli mu ludziska:
Nikt nie wierzył, aby kiedy
Przyszła kreska na Matyska.

Krasawica, cud-dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:
— Mój Matysku! jestem twoja,
Będę twoją całe życie! —
Lecz ktoś inny sypnął grosza,
I wzajemność dziewczki zyska,
I Matysek wziął odkosza.
Przyszła kreska na Matyska.

— Mój Matysku nie dbaj o to,
A miłosne rzuć zachody!
Lepiej z nami użyj złoto:
Pójdziem hulać do gospody!
Tak go sąsiad cieszył w biedzie,
I całuje, i uściska.
— Dobrze mówisz, mój sąsiedzie! —
Przyszła kreska na Matyska.

Pił z rozpaczyny dobę całą,
Na pociechę pół tygodnia,

Poіл wszystkich, co się wlało,
I sąsiada i przychodnia;
A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska,
Jak niepyszny szedł do chaty.
Przyszła kreska na Matyska.

I od tańca, i od trunku
Zachorował tejże doby;
Lekarz przybył dla ratunku,
I napędził trzy choroby.
A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska
I odjechał w świat daleki.
Przyszła kreska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
Niechże wspomną towarzysze!
Ja testament dla nich zrobię
I każdemu coś zapiszę.
Ale w chacie nic nie było,
Prócz starego w progu psiska, —
Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kreska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co tureckim ludzie zową,
A odzieży lichej szczęty
Położyli mu pod głową,
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Nie popatrzał nawet z bliska,
Trumnę niosło czterech dziadów:
Przyszła kreska na Matyska.

Pod darniną, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie nie dzwoniono,
Bo nie stało na podzwonne.
Przy kapliczce tuż pod ścianą
Jedlinowy krzyżyk błyska.
A na krzyżu napisano:
„Przyszła kreska na Matyska.“

1555. Borejkowszczyzna.

KAPRAL TEREFERA
I
KAPITAN SZERPENTYNA.
GAWĘDA ŻOŁNIERSKA.

I.

Ej, żołnierka chleb to twardy!
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Bo to młodość — taka może,
Jak dziś widzisz pan dobrodziej?!
Nie dopuszczaj, Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bładzi, wåtli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku...:
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

II.

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć;
A cóż we dwunastym roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?
Patrz, ten krzyżyk — toż go przecie
Wysłużyłem ciężką pracą:
A jeżeli słuchać chcecie,
To opowiem, jak i za co?
Ej! to panie, czasy były!
Głodu, chłodu, jęku, brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

III.

Z pod Smoleńska nasza wiara
Zwawym marszem w odwrot kroczy:
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki — ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście! —
Zapalono krzyż z mogiły,

Nuż się tłoczyć przy ognieku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IV.

Ostąpiły z każdej strony
Tłumy ludu, jakby fale:
I Żmudziny, i Gaskony,
I Krakusy, i Westfale.
Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chróśniaki zbiera tłuszczą,
I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły
Na tornistrze albo łąku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

V.

Legł i nie wstał — chyba wstanie
Na dolinę Józafata!
Na kamrackie pożeganie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w pułku naszym
Pacierz krzepił — jak gorzałka.
Insze pułki nie wierzyły,
Że jest przyszłość w Bożych rękach.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VI.

Myśmy mieli kapitana.
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało codzień zrana
Każe mówić trzy pacierze;
Co do postów: gdy gelizna,
Nolens, volens, człowiek pości...
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości.
Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku...

Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VII.

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne i uparte;
Miał przezwisko Szerpentyna,
Po się panie, rąbał arte!
Dla żołnierza pierś otworzy,
Grosz ostatni wydobędzie,
Poza frontem — człowiek Boży,
Ale szatan na komendzie;
Głos mu bucha jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VIII.

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo:
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył, niewiadomo.
Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojej roli:
Choćby skonał od boleści,
Nie dopytasz, co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w rękę...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IX.

Gdy ruszano z stanowiska,
Stary krzyknął: Broń na ramię!
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha, — ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy;
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;
Coś się chwieje, jak napiły,
Coś się kurczy, jakby w sęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

X.

Dobył chustki, siadł na drodze
I obwiązał chorą nogę;
Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.
Lecz jak krzyknie stary gdera:
— Co się troszczysz cudzą raną!
Do szeregu, Terefera! —
(Tak mię w pułku nazywano).
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w rękę...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XI.

A w Imię Ojca i Syna,
Jakie lichy złe i dumne!
Powstał z ziemi Szerpentyna
I nuż kulać przed kolumnę.
Choć cierpienia nie okaże,
Lecz to widzą wszyscy zdala:
Krwia oblały się bandażę,
A znużenie z nóg obala;
Starzec goni resztką siły,
Lecz nie wyda z piersi jęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XII.

Ot nie wytrwał — jęknął szczerze,
Zachwiał się i padł jak długi!
Przyskoczyli doń żołnierze,
Z dziesięć ramion na usługi.
Sam widocznie iść nie może,
Chce go unieść oddział cały,
Bo furgony, żal się Boże,
Gdzieś w Smoleńsku pozostały.
Nosze z płaszców się zrobiły
I uplotły z chróstów pęku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIII.

Lecz się stary jak wyzwierzy,
Rzekłbyś tygrys z jego miny:
— Cóż to? cały pułk żołnierzy
Ma się późnić z mej przyczyny?
Precz ode mnie! marsz do szyku!
Rozkazuję to pod gardłem...
Słuchaj mości poruczniku!
Podaj raport, że umarłem.
Nie kopajcie mnie mogiły,
Nie potrzeba trąby brzęku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku! —

XIV.

Pan porucznik westchnął smutnie
I szeregi powiodł w pole.
Myślę sobie: Choć łeb utnie,
Ja mu zginać nie pozwolę!
Więc zostałem — i nie tchórzę,
I powiadam: — Kapitanie!
To się za nic stać nie może,
Pan w tem polu nie zostanie.
— Cóż gdy kroczyć nie mam siły!
— Ja poniosę pomaleńku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XV.

— Precz mi z radą i pomocą!
A nie przywódcz mię do złości.
Mną się trudzić niema po co,
Ty masz swoje powinności.
Uważałem, Terefere,
W twym plutonie są rekruci,
Dzierżą bagnet jak siekiere,
Maszerują jakby skuci;
Trzeba, aby się rozwiły
Władze w nogach, zręczność w ręku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVI.

— Jestem ranny — po krwi stracie
Tak mi słabo!... skończę życie:

Słuchaj, dobry mój kamracie:
Jak do domu powrócicie,
Wiesz zaścianek, tam... przy Niemnie,
Kędy matka moja żyje?
Schodź, pożegnaj ją ode mnie,
Oddaj krzyżyk z mojej szyje;
Opatrz domek mój pochyły
I dwa ule przy okienku... —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVII.

— W ładownicy cała nędza:
Jest tu mały groszów worek,
To mi zanieś gdzie do księdza,
Poproś dla mnie o paciorek!
Matce powiedz, niech nie płacze,
Bom nie zginał jako podli;
A do frontu zbierz rębacze,
Niech się każdy z nich pomodli!
Spiesz, bo wojska już się skryły,
Już nie słychać broni szczęku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVIII.

— Dobrze, dobrze! — ja doń mówię —
Nie gadajmy o tem wolej;
Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
Wszystko pójdzie w swoją kolej.
Teraz lepiej, mojem zdaniem,
Kapitana wziąć na plecy,
Do szpitala się dostaniem,
Kędy leczą się kalecy.
Tuby śniegi was zakryły,
Tubyś skonał na tym pieńku. —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIX.

Jak ofuknie się z hałasem,
Jak zaiskrzy się, zapłonie:
— Patrz: kolumna już pod lasem!
Twoje miejsce przy plutonie.

Spiesz dopędzić towarzysze:
Za zbiegostwo areszt, kula! --
Ja, udając, że nie słyszę,
Sadzę na mój kark dziadula.
On się zwija z całej siły,
Grozi, krzyczy na mych rękę.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XX.

Myślę sobie: Mniejsza o to,
Niech się złości, będę znosić!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć!
Człowiek spocznie sobie chwilę
I marsz naprzód, aż łeb potnie;
Do wieczoru ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.
Stary wparł się w grzbiet pochyły,
Ani słówka... ani stęku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXI.

Poza wojskiem w całej drodze
Tu i owdzie ogień błyska;
Albo trupa gdzie znachodzę,
Albo ślad obozowiska.
Miałem w torbie dwa suchary,
To podróżny zapas cały.
Na popasie zjadł mój stary
I wychylił haust gorzały.
Gdy się płuca pokrzepiły,
Zyskał humor pomaleńku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXII.

Już pod wieczór widzę z dali,
Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
A konnica naprzód wali.
Szerpentyna rzekł ponuro:
— Widzisz, trutniu, co to czeka.
Kto rozkazy poniewiera...
To kozactwo... nas rozsieka...

Marnie zginiesz, Terefera!
Patrz! swawole co zrobiły!
Byłbyś z braćmi, z bronią w rękę! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIII.

— Żal mi ciebie... dziatwy twojej...
Pan Bóg skarał cię wyraźnie!...
Lecz poczekaj... wszak to swoi...
Ja ci zaraz sprawię łaźnię! —

Patrzę tedy... aż tu jedzie
Huf porządnie szykowany,
Zdała działa, a na przedzie
Mameluki i ułany.
Aż od śniegu lecą pyły,
Aż powietrze drga od brzęku!
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIV.

Ot na białej, dzielnej szkapce,
Jakiś jeździec ku nam kroczy,
W szarej kurtce, w niskiej czapce.
Co mu spada aż na oczy.
Patrzę pilno... i struchlałem...
— Broń prezentuj, jak na wartę! —
Krzyknął kapitan z zapalem —
To sam cesarz Bonaparte —
Szerpentyna jak odżyły
Na śnieg skoczył z moich rękę.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXV.

To był cesarz... nie inaczej;
Wstrzymał konia, spojrział groźnie
I zapytał: Co to znaczy?
Gdzie wasz oddział? co tak późno?
Myślę sobie: czym półgłówek,
Żeby zaraz tracić serce?
(A francuskich kilka słówek
Nauczyłem się w żołnierce).

Więc zdobywam się na siły
I powiadam bez zająku:
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVI.

Od początku, z tęgą miną
Całą sprawę mu wywodzę:
Co się stało z Szerpentyną,
Jak raniony padł na drodze,
Jakom kwapił się z posługą,
By go unieść do szpitalu.
Cesarz słuchał, słuchał długo,
I rzekł: — Brawo, mój kapralu —
Aż mu oczy zaiskrzyły
Jakimś ogniem pełnym wdzięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVII.

Potem spytał Szerpenty, —
Jak się zowie, jak prowadzę?
I mój kapitan jedyny
Dał świadectwo mej odwadze.
Już się znaczo, że nie dąsa,
W rozrzewnieniu pozbył złości,
Jednak mruknął coś z pod wąsa
O wojskowej niekarności;
Lecz się usta nie ruszyły,
Nie wydały głośno dźwięku.
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVIII.

Do swych piersi cesarz sięga —
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
Patrzcie dzieci, to jest wstęga,
A na ciele sam krzyż noszę!
A jak umrze Terefera,
Weń ustrójdzie go na mary,
Niechaj moją pierś ubiera,
Niech ozdabia mundur stary;
Poszanujcie u mogiły,
Bo był trzyman w dobyrch ręką!

Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIX.

Więc potrząsłem hardo czołem,
Aż mi w oczach promieniściej:
— Wiwat cesarz! — wykrzyknąłem,
Zawtórzyli mi gwardziści.
Nas zabrano na furgony,
Do szpitalów przyszli zrana.
Bóg niech będzie pochwalony,
Wyleczyli kapitana!
Teraz, słyszę, człek zażyły,
Gospodarzy przy Niemenku...
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXX.

Cóż myślicie o tym gderze?
Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
Za niekarność Tereferze
Trzy dni kazał być w areszcie.
— Cesarz — mówił — wynagradza,
Bo pocziwym szedłeś torem;
Ale, bratku, moja władza
Naruszona twym uporem.
Choć wyrwałeś mię z mogiły,
Nie popuszczę władzy z ręku! —
Jezu Chryste, Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXXI.

Słusznie mówił — bo mospanie,
Czy wodzowie, czy to prości,
Kiedy rozkaz człek dostanie,
Pilnuj ściśle powinności!

Tak powiadał Terefera,
Siedząc w progu niskiej chaty;
I rękawem łyzy ociera,
I wywija kij sękaty,
I łeb siwy, łeb pochyły,

Zadumany wsparł na rękę ---
Jezu Chryste, Panie miły,
Tereferc tatuleńku!

1853. Boreikowszczyzna.

CÓRA PIASTÓW.
POWIEŚĆ Z DZIEJÓW LITEWSKICH. — 1282 r.

I.

I znowu chodźcie posłuchać ciekawie,
I znowu bitwę przed oczy wam stawię,
I znowu kreślę litewskie postacie,
Brodate, dzikie, ubrane w niedźwiednie,
Miękkie jak dzieci, gdy w domowej chacie,
Straszne, gdy idą w krainy sąsiednie,
Kiedy dzikości popuściwszy wodze,
Kapia się we krwi, rabują w połodze.
Nawet niepomny obowiązków syna,
W niedobrej chwili kreślę ich oblicze,
Gdy ich bojaków skrwawiona drużyna
Wiedzie z sąsiady wojny napastnicze,
I w cztery strony czterma wiatry bieży
Dla brzydkiej zemsty lub brzydszej łupieży.

II.

Wstyd nie płomieni synowskiego czoła,
Że mych praojców łupieżcami zową:
Czyż ich sąsiady żyjące dokoła,
Co wyznawały wiarę Chrystusową,
Lepsze poganom podawały wzory
Bratniej miłości i świętej pokory?
Kiedy zachodni rycerze, jak fala,
Zabijać Litwę dla odpustu płyną,
Zowiąc jej synów dziećmi Beliala,
Dzikim potworem i leśną gadziną:
Czegoż się dziwić, że gromada dziczy
Głowę podniesie i żądłem zasyczy,
Gdy krew bojową Kawas mu poruszy,
Kiedy go Perkun do zemsty poduszczy?
Bardziej się dziwić, gdy dziki syn puszczy
Słodkim uczuciom da przystęp do duszy,
Gdy hałwochwalcy marsowa jagoda

Łzami czułości zaleje się hojnie,
Kiedy starcowi dłoń synowską poda.
Gdy uszanuje słabszego na wojnie,
Kiedy oszczędzi dla rycerskiej cześci
Głowę dziecięcą albo wstyd niewieści.
Spytajcie wtedy: skąd on cnotę bierze?
Gdzie on to widział? kto w nim ludzkość budzi?
Czy własne serce, albo leśne zwierzę?
Skąd się nauczył? — pewno nie od ludzi!
Gdy doń krzyżacy pukają we wrota,
Wie, co go czeka od wyznawców Chrysta:
Starcom zaguba, niewiastom sromota,
Mężom kajdany i hańba wieczysta,
A chacie płomień, a bogom zniewaga —
Nikt nie wymodli, nikt się nie wybłaga.
I Litwin srogi: gdy twierdzę zdobędzie,
Pluska się we krwi, nie oszczędza jęku.
A miecz i ogień, zniszczenia narzędzie.
Nie dopuść, Boże, widzieć w jego rękę!
Jednak wśród ognia, wśród jęków skonania
Uszy zatyka i oczy zasłania:
Bo mu potrzeba być sroższym od zwierza,
A on własnemu sercu nie dowierza.
Żelaznym hełmem uzbrojona głowa
Lęka się dumek, co rozculić mogą,
A dzielna ręka w godzinę złowrogą
Od bicia serca zadrzeć mu gotowa...
Och! bo to serce bogowie odlali
Z miękkiego wosku i ze twardej stali.

III.

Stare-ć to czasy, które wam wygwarzę.
Dawno już w próchno rozpadły się ręce
Owego ludu, co w szumnym rozgwarze
Dał Trojdenowi oznaki książęce,
Co mu zwierzając przyszłość swojej doli,
Przybrał młodzieńca w uroczyste szaty,
W szkarłatną szubę i kołpak soboli,
Dał mu miecz kuty i pancerz bogaty.
Ten miecz i pancerz i szubę z atlasu
Dawno już wilgoć przejadła z mogiły;
Trzy łokcie ziemi i sześć wieków czasu

Tamtejszych ludzi dawno już przykryły.
W stolicy kniaziów, w odwiecznym Kiernowie,
Kurhany władców zaorane miedzą;
Spi stara Litwa — a jej potomkowie
Nawet podania swych ojców nie wiedzą.
Zimnym toporem dąb ścinają wzniosły,
Z piersi pradziada na grobie wyrosły;
A z niego drewna szczepiąc do komina,
W święto do ognia zaprosiwszy gości,
Naród coś marzy, niby przypomina,
Majaczy powieść o starej przeszłości.
Wtedy coś burzy jego krew zaskrzepłą,
Iskra zapалу odżywa w nim jawna:
Czy to z powieści, czy z kominka ciepło?
Może ten ogień tlał w duszy od dawna?
Bóg raczy wiedzieć!

IV.

Litewską stolicę

Po Narymuncie objął Trojden młody.
Już go poznały sąsiednie narody,
Gdy jeszcze sprawiał podlaską dzielnicę,
Wiedzieli o nim i cudzy i swoi,
Że mądry w radzie, a chrobry we zbroi.
Ze swej stolicy, jak ze skały sokół,
Śledził, skąd grożą najbliższe zamachy:
I Ruś, i Niemców, Mazowsze i Lachy
Bystrem spojrzeniem obrzucił naokół.
Wszędy wrogowie na Litwę zażarci,
Gotowi działać, czy jawnie, czy zdradnie.
Trojden rozmyślał: kogo najprzód skarci?
Czyje najazdy uprzedzić wypadnie?
Najniespokojniej jego oko pada
Na mazowiecką dzielnicę Konrada.

V.

Syn Ziemowitów — od Białego Leszka
Dzierżył te kraje na prawach wasali.
Znajoma Litwie na Mazowsze ścieżka,
Znajome pola, gdzie krew przelewali,
I twarde mury mazowieckich grodów
I twarde piersi tamecznych narodów.
Dziś dobra pora odznaczyć się świetnie —

Trojden wypadków mazowieckich świadom:
Konrad, pacholę siedmnastoletnie,
Sił jeszcze nie ma oprzeć się napadom;
Matka, po życia smutnego kolejach,
Mężowskiej śmierci płacząc, dogorywa;
A lud Mazowszan pracuje we żniwa,
A baronowie polują po kniejach,
A starostowie uczują w komnatach,
A straż zamkowa usypia na czatach.
Niechże uczują, niech bawią się sami,
Niech śpią ich straże z bardyszem we dłoni,
Aż róg litewski pobudkę zadzwoni
Pod ceglanemi ich grodów basztami!

VI.

Trojden dał hasło o rannej jutrzence.
Pokorne echo z gór, lasów i rzeki
Poniosło pilnie rozkazy książęce —
Przez dzień obiegło po Litwie dalekiej,
Że każda strona, każdy Litwy przedział
Już się wieczorem o hasła dowiedział.
I z gór i z lasów wychyliły głowę
Srogie postaci wojowniczej dziatwy;
Spieszą pod Kiernów wojska Trojdenowe,
Że ich rachunek zaprawdę niełatwy;
A wszystko krzepka, gdyby dęby, młodzież,
Chrobre jej twarze, a straszliwa odzież.
W niedźwiedzich szubach, kudłami do góry,
Przy bokach trąba i siekiera wisi,
W rękach oszczepy, korbacze, kostury,
A zamiast czapki łeb wilczy lub rysi;
A jeszcze inszy uczeplił na czole
Długie kły dzika, lub rogi bawole.
A konie Litwy, oszyte w rogoże,
Parskają, spięte trędzlą wojownika.
Zdumione oko rozeznać nie może:
Jaki to potwór z lasu się wymyka?
Bo ludzkich kształtów dojrzeć tu niesnadnie,
Chyba je serce lękliwe odgadnie.

VII.

Na przedzie Litwy książę Trojden hasa:
Ma strój ozdobny junacko a suto,
Uderza w trąbę, co wisi u pasa,

W trąbę bawolą, we srebro okutą.
Kibić ma smukłą — znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki, roboty nielada,
A kita strusia, wiatrami rozwiana,
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża;
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi —
Wzrokiem przeszywa pierś nieprzyjaciela
I czule serce niewinnej dziewoi.
Włos kędzierzawy i kita pierzasta
Igrają z wiatrem, gdy leciuchno wionie;
Zdobi was czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu zarasta.
Ręce niezbrojne, krom lnianej odzieży,
By tem swobodniej wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Przez jedno ramię na rzemiennym pasie
Wisi róg żubra, którym hasło dawa;
Przez drugie ramię szeroka, jaskrawa,
Zwisa siekiera, co krwi pragnąć zda się.
U boku wodza, na poprędze złotej,
Miecz długi, ciężki, niekształtnej roboty.
Rumak, obleczone czaprakiem z niedźwiedzi,
I rzy, i parska, snadź zwycięstwo wróży...
Truchlejcie ludy krainy sąsiedniej,
Już wam podobno nie ostać się dłużej!
Nie dla popłochu, nie na popis marny
Ten hufiec z puszczy wynurzył się czarnej!
Aż rzeźwo słuchać, gdy ziemia zatętni
Pod kopytami niezliczonych koni;
Aż echo rade, gdy wojacy chętni
Gwarliwie jadą po leśnej ustroni,
Lub z męskiej piersi, co się nic nie lęka,
Zagrzmie w sto głosów pochodu piosenka.

VIII.

PIEŚŃ POCHODU LITWINÓW.

Niech wesoło szumi las:
Kniaź do boju wezwał nas;

Umocnijmy dzisiaj ducha,
Jutro falą krew zaplucha —

Idziem w dobry czas!

Śmiało, koniu, idź na bój!

Towarzyszu dobry mój!

Kiedy pan twój wrogów drażni.

Ty nie pierzchaj dla bojaźni,

Ale mężnie stój!

W mocnych murach mieszka Lach,

Ale w piersiach jego strach;

A my Lacha w jednej chwili

Zwyciężyli, wyszydzeni,

Wzięli twierdzy gmach!

Ziemię Niemców dobrze znam,

Bo dziewczęta krasne tam;

Lecz my Niemca krwią się zleli,

Krasawice uścisnęli,

Nie uciekły nam!

Gdyśmy dalej poszli w tan,

Drżały mury gdańskich ścian —

My wypadliśmy z zasadzki.

Aż pobledniał wódz krzyżacki.

Gdańskich murów pan!

IX.

Babiński zamek choć ludny i zbrojny,

Lecz mur i rycerz nie gotów do wojny.

Zwodzona brama na oścież otwarta,

Wały zarosły, ostrokół wyjęty,

Wodzowie drzemią, a żołdacka warta

W sąsiednich puszczach walczy ze zwierzęty,

Bo księżę Konrad, syn Ziemowitowy,

Polubił tylko biesiady i łowy.

Niedoświadczony, zwyczajnie jak młodzian,

Ognia nad domem nie baczy i nie wie,

Że najstraszniejsze przygaśle żarzewie,

Że wróg najbliższy, kiedy najmniej spodzian.

Jeleń wysmukły przebieżał mu drogę.

Więc postanowił spolować rogacza,

I wszystkich wodzów, i całą załogę

Wezwał na łowy.

Drużyna junacza.

Barony państwa, jakby motłoch ślepy.

Marnie w ostępach łamią swe oszczepy.
Już drugi tydzień, jak goście sproszeni:
Z rana za zwierzem goni się gromada;
W południe sypia w pośród leśnych cieni;
Wieczorem gwarno do uczty zasiada.
A książę wesół — a zdrojami płyną
Miód mazowiecki i panońskie wino.

X.

Właśnie przy zwłokach leśnego rogala
Huczna drużyna piła pogrzebowe,
Gdy łoskot trąby odezwał się zdala,
Głuchy, niepewny, stłumion przez połowę;
Raz... drugi... trzeci... ozwały się wreszcie
Okrzyki mężów i płacze niewieście.
Konrad spojrzenie zwrócił ku drużynie.
— Słyszycie — mówi — skąd ten okrzyk płynie?
— Nie, mości książę, wszak słuch mi się nie ćmi —
Odpowie Pełko starszy wojewoda:
— To jakaś w wiosce kłótnia między kmiećmi...
Kończmy kielichy, bo przerywać szkoda!
— Czyście słyszeli te trąby rozgwały? —
Zapytał książę Zbigniewa kanclerza.
— To jakiś starzec zwoływa ogary.
Spieszmy do lasu, bo upuścim zwierza.
— Widzicie łunę pożarną na niebie? —
Rzekł ku Lassocie, staroście warowni.
Lassota spojrzał naokoło siebie:
— To nic — odpowie — to jacyś wędrowni,
Jacyś pielgrzymi, wracając z odpustu,
Przy drodze sobie naniecili chróstu.
Spocznijmy raczej, miłościwe książę,
Bo jutro rano pracowite łowy.
Niech wasza miłość swój pancerz odwiąże. —
Taką dał radę starosta grodowy.
Trafiło słowo do ucha Konrada:
Odwiązał pancerz i swój oszczep składa,
I na niedźwiedni, jak w miękkiej pościeli,
Ukladł się książę, plemię Ziemowita.
Wzorem książęcia dworzanie posnęli.
A poza lasem znowu trąba zgrzyta,
I słychać jęki zmieszane z hałasem,
I chmura dymu zawisła nad lasem.

XI.

A Trojden w zamku — już wdarł się na wały,
Powiązał strażę łyczanemi sznury;
Trąby litewskie w warowni zagrały;
Wstąpił w swe prawa zwycięzca ponury.
Litwin z okrzykiem do skarbcza się wdziera
I srebra Piastów garściami rozdziela.
Drzwi od kaplicy rozdarła siekiera,
Gdzie był złocisty obraz Zbawiciela;
Zabrano srebrne wzorzyste ornaty,
Złote kielichy i relikwiarze.

Do nóg Trojdena padał ksiądz brodaty,
Pewien, że świętość uszanować każe.
Trojden popatrzał na oblicze Chrysta:

— To Bóg wasz? — spyta — za cóż Go męczycie? —
Stanął, podumał — i łza uroczysta
Z oczu pogańskich polała się skrycie.
I rzekł do księdza: — Ten krzyż to mi znany,
Bo go krzyżacy na swych płaszczach noszą;
Pewno to przez nich Bóg ukrzyżowany,
Bo oni męczyć gotowi z rozkoszą.
Czemuście, pytam, stary wajdeloto,
Nie dali wiedzieć do Litwy w tej chwili?
Tam insze bogi — ale mniejsza o to —
Waszego Boga mybyśmy bronili.
Och! jak On cierpi! jak zraniony srodzel
Za cóż Go męczą ciernistą koroną? —

Tak mówił Trojden — i krzyknął na wodze,
By nic z kaplicy więcej nie ruszono.
Litwa, czcząc rozkaz książęcej potęgi,
Wyszła z kaplicy, i dalej się wali
W ciemne komnaty, gdzie chowano księgi
Pergaminowe z klamrami ze stali.
Jedne z nich świętsze a oprawne suto,
Stałym łańcuchem do półki przykuto;
Insze obite cedrowemi deski,
Pobożna ręka zebrała dokoła:
To są Doktory, Ojcowie Kościoła,
Z nich dusza ludzka ma pokarm niebieski;
A insze pracy niesłychanej potem
I piękne kunsztem wybornej skryptury,
Malował barwą, naprowadził złotem

Mnich Benedyktyn Świętokrzyskiej góry:
To chrześcijańskiej nauki filary:
Ewangelia lub Testament Stary;
A insze zasię pergaminu skręty,
Żywe świadectwo pięknej świata chwili —
To Marek Tullus, Horacy, Wirgili,
Starego Rzymu relikwjarz święty.
Rzym, chrzestna matka Lechowej krainy,
Tuląc ją k'sobie niedawnemi laty,
Podarowała ten spadek jedyny,
Jak święte krzyżmo wiary i oświaty.
Piśmienne skarby Piastowie od wieka
Zbierali skrzętnie, kupowali drogo.
Ale się Litwin w książki nie zacieka:
Lęka się czarów, które w nich być mogą.
Zamknięty w klamrach może tam duch jaki
Wywoła wróżbę Litwinom złowieszczą;
Kto wie, te czarne i krasne zygzaki
W swych ostrych żądłach czy jadu nie mieszczą?
Tak się lękając nieznaney potęgi,
Trojden spoglądał na łacińskie księgi;
Wdział rękawicę — i wolumen stary
Ujął, popatrzał raz, drugi i trzeci,
I rzekł do Litwy: — Wynieście te czary,
Puścić je z dymem, niechaj zło uleci. —

Więc dzika tłuszczą na księgi się miota,
Odziera klamry ze srebra i złota,
I w środku zamku suty ogień kładnie,
I skarby wiedzy rzuca nań bezładnie.
A kiedy ogień z między kart wybucha,
Gdy się pergamin kurczy i popieli,
Litwini z boku naocznie widzieli
Latającego ponad stosem ducha:
Jak białe ptaszek zwinął się w przestrzeni,
Otoczon blaskiem ze siedmiu promieni.
To był zaprawdę Duch mądrości Bożej,
Z którego światło, roztropność, odwaga;
Ten Duch skrzydlaty nie mści się, nie sroży;
Kiedyś Go Litwa na klęczkach przebłaga;
On na jej głowę rzuci Swe odblaski
Ze siedmiorakich promieni Swej łaski.

XII.

Aż dotąd w zamku był rabunek cichy:
Związana warty żołnierska drużyna,
A tłum niewieści i dwa stare mnichy
Żadnym oporem nie drażnią Litwina:
Kto niedoleżny, pogląda z daleka,
Kto może uciec, trwożliwie ucieka.
Ale gdy Litwin lochów się dopyta,
Gdzie stały miody kołodzieja Piasta,
Gdy pije stare wina Ziemowita,
W zagrzanych głowach szaleństwo urasta.
Już się zwycięzca na niewiasty miota,
Na karkach starców próbuje brzeszczota,
Podkłada ogień pod dębowe ściany.
Puszcza do okien kamienie i strzały.
Już dzikie pieśni, już trąby zagrały,
Zawył wrzask dziki z płaczem pomieszany;
A kędy stąpią zwycięscy gwałtowni,
Krew bryzga ziemię i ściany warowni.

Wtem most zatętnił — i co siła zmoże,
Pędzą z odstępu strzelcowie Konrada,
Zbrojni w oszczepy i w myśliwskie noże.
Pełko piorunem na Litwiny wpada,
Tratuje końmi wpół-pijane głowy,
W szerokie piersi wpędza sztych stalowy.
Prędko się Litwa z upojenia trzeźwi
Sygnałem trąby i krwawemi dzieły,
I bój gwałtowny zakipiał tem rzeźwiej,
Że chobre piersi dawno go pragnęły.
W lekkich kolczugach wymuskane Lachy
Zwinniej harcują i mieczami siekają;
Litewskich ramion silniejsze zamachy
Zadają cięcia straszliwsze daleko.
Grzmia silne piersi, człek z człkiem się splata,
Zgrzytają miecze po pancernej blasze,
Prosta niedźwiedzia i zbroja bogata
Latają w szmaty, łamią się pałasze,
Żelazne hełmy druzgoce siekiera,
Śmierć ulatuje i swe łupy zbiera.

XIII.

Dowódca zamku, Pełko siwobrody,
Z młodym Trojdenem puszcza się w zawody.

Wiek ich nierówny, ale dzielność równa,
Spotkać się z sobą pragną najgoręcej.
Dusza Trojdena ognista, gwałtowna,
Lecz Pełko w boju doświadczony więcej.
Zwarli się na pół żelaznemi ciała —
Jeden drugiego nie zachwiał, nie zdążył;
Grzmotnęli w miecze, aż skry posypały —
Lecz żaden miecza w piersiach nie pograżył.
Ciosy Trojdena piorunem ognistym
Z góry z gwałtownym uderzają świstem.
Pełko, jak granit mchem siwym porosły,
Tępi pioruny na swem twardem łonie.
W oczach Trojdena całe piekło płonie;
U Pełki uśmiech bohaterski wzniosły,
Miecz zda się przyrósł do prawicy dziada,
Na każde cięcie — cięciem odpowiada,
Po każdym ciosie znać, że wprawna ręka;
Lach litewskiego nie szczędzi mocarza,
Gniewem nie płonie, śmierci się nie lęka,
Życia niebacznie na sztych nie naraża.
Był to bój piękny — i Litwa, i Lachy
Stanęli patrzeć, co się zeń wywiąże.
Lach miał kolczugę, a litewskie księżę
Pancerz ze szwedzkiej wykowany blachy.
Miecz u Litwina był gruby, miedziany,
Kuty po prostu w niemieckiem kowadle,
Zwijał się w rękach szybko i zajadle,
Rąbał kolczugę, lecz nie zadał rany.
A miecz u Pełki stalowy, wenecki,
Dobrze hartowny i cienki jak wstęga,
Takt jego pewny, zamach niezdradziecki,
Przekrawa pancerz, aż do ciała sięga,
A gdzie dosięże, to jak ogniem pali,
Krasny krwi sznurek wytryska z pod stali,
Lecz takie cięcia, to jak żądła pszczołe
Burzą do zemsty Litwina nad Lachem:
Trojden zakipiał — i silnym zamachem
Strzaskał mu stalną przyłbicę na czole.
Pełko się zachwiał i na odlew płatnie,
Pancerz Trojdena ugiął się podatnie,
Aż prysnął rzemień, co mu pancerz spinał,

Ciężki napierśnik oderwał się z szyje;
Już w rękę Lacha wenecki pugiwał
Miał się dopytać, kędy serce bije,
Gdy mężny Trojden swe miedziane ostrze
Wrąbał mu w czoło — padł lacki wojwoda,
Jak dąb spróchniały, gdy się gromom poda,
Z trzaskiem po ziemi konary rozpostrze.
Pierś Lacha takty ostatnie dobija,
A usta szepcą: Jezus i Marya...
Skonał...

XIV.

Litwini wszędy górę biorą,
Lach pod ich stopy rzuca miecz z pokorą.
Jeszcze krwią płynie podwórzec zamkowy,
Jeszcze gdzieniegdzie walka kipi żwawo.
Leżą na ziemi okryte kurzawą
Szczątki zbroicy i ludzkie tułowy,
Dobija rannych litewska siekiera,
Jęk konających aż duszę rozdziera.
Już Trojden z Lachów bolesnego jęku
Może odgadnąć zupełną wygranę, —
Zamek bezbronny ujrawszy w swych rękę,
Chce z niego zabrać łupy niezabrane,
Więc broń obejrzał, porozstawiał czaty
I poszedł w dalsze zamkowe komnaty.

XV.

Po starych komnat kamiennej podłodze
Idzie stukając miedzianym brzeszczotem;
Wiedzie za sobą swoje chrobre wodze,
A twarz zwycięzcy złana krwią i potem.
Kibić ma smukłą, znać zaraz młodziana,
A hełm wysoki roboty nielada,
A kita strusia wiatrami rozwiana
W pysznych zakrętach na szyję mu spada.
Twarz ogorzała, lecz krasna a świeża,
Brew lekkim marsem pysznie się najeża.
A z pod brwi gęstej gdy spojrzeniem strzela,
To mu i sokół zda się nie dostoi:
Wzrokiem przeszyje pierś nieprzyjaciela
I czułe serce niewinnej dziewoi.

Choć jest zwycięzcą wśród warowni Piasta,
Szałem wściekłości oko mu nie płonie;
Zdobi włos czarny Trojdenowe skronie,
A czarna broda bujno mu porasta;
Ręce niezbrojne, krom lnianej odzieży,
By tem swobodniej wymierzać zamachy;
Pancerz u piersi kolcami się jeży,
A na ramionach ma skrzydełka z blachy.
Dwie mu popręgi idą przez ramiona:
Na jednej trąbka, którą hasło dawa,
Na drugiej ostra, szeroka jaskrawa,
Zwisa siekiera, już krwią napojona;
Krew na jej ostrzu jeszcze się rumieni,
Spada kroplami na tafle kamieni.

XVI.

Z głuchym łoskotem przeszli dwie komnaty,
Tylko im echo na odpowiedź tętni.
Tu stare Piasty dawniejszemi laty,
Tu ucztowali wodzowie pamiętni;
Tu zwykł i Konrad, zmordowany łowy,
Ucztować z pany, ze swymi starosty.
Na łosich rogach wsparty stół dębowy,
Dalej ławice, gdzie siada lud prosty;
A dalej sfory przykute do ściany,
Gdzie śpią ogary i łowcze brytany;
A dalej komin, co w słotną pogodę
Sowitym ogniem wybuchał po sali,
Kędy siadają starcy siwobrode,
A u ich kolan pachołkowie mali,
Gdzie z piersi mężów wesołość wybucha,
Gdzie miód i wino leje się w puhary.
Dziś ta komnata i pusta i głucha,
Ledwie rozmierzyć okiem jej obszary;
Tylko tu goszczą od końca do końca
Echo rozwlekłe i pasemka słońca
U krat okiennych.

Komin się nie węgli,
Gwar pogadanki nie kipi wesoło.
Litwini przeszli, spojrzeli wokoło,
Wreszcie do trzecich podwojów dosięgli.

XVII.

Trojden pchnął we drzwi — ciężkie rygle pękły,
Skrzypnęły rdzawe zawiasy na osi.
Litwin się cofnął, jak gdyby przelekleł,
Rękę do boku... i już miecz podnosi.
Mniemał, że jakaś ukryta zasadzka,
Miał już syn puszczy zaryknąć z nałogu;
Lecz się opatrzył — to dziewczica lacka
Przeciw zwycięzcom stanęła na progu.
Była to Hanna, córka Ziemowita,
Rycerska siostra gnuśnego Konrada.
Jak biała róża, gdy jeno rozkwita,
Tak twarz dziewczęcia nadobna i blada;
Lecz jej spojrzenie ogniście się żarzy,
A wyraz strachu nie powstał na twarz.
Po ojcu wnuczka i prawnuczka Piasta,
Kędy się rodzą i Chrobrzy, i Śmiali,
Wśród szczęku broni rodzi się, wyrasta,
Dzieckiem igrała z bardyszem ze stali.
Stara piastunka nad księżniczki głową
Nuciła starą piosenkę bojową;
Gwarzyła różne ciekawe powieści
O Litwie srogiej i łagodnej razem;
Cóż więc dziwnego, że umysł niewieści
Zbratał się z wojen strasliwym obrazem?
W czarnej odzieży i w białem nagłowiu,
Stanęła we drzwiach jak rycerz na straży,
Myśliwski oszczep dzierżąc w pogotowiu,
Groziła przebić, kto wnijść się odważy.
Litwin oszczepu nie lęka się pchnięcia,
Złamałby oręż, co dziewczica pieści;
Lecz piękny wyraz godności niewieściej
Strasliwem ostrzem przebił pierś ksiączęcia.
Jakiś wstyd przebiegł po zwycięzcy tłumie;
Znowu spojrzała — cofnęli się srodzy,
I mową ruską, co Litwa rozumie,
Tak się ozwała do litewskich wodzy:
— Słabość dla mężnych jedyna zaporą.
Nie wnijdziesz dalej, bo tam matka chora.
Książę rycerskie! bądź wiernym twej cześci,
Nasza niedola niech nas zabezpiecza.
Szanuj dom Piastów w dniu jego boleści,

Nie nadużywaj praw twojego miecza.
Prawa zwycięzcy, zdobyte gwałtownie,
Kończą się tutaj, gdzie jęczy choroba.
Masz skarby nasze, piwnice, zbrojownie,
Zabieraj wszystko, co ci się podoba,
A cześć uszanuj w godzinę złowroga,
Bo twoje losy przeważyc się mogą.
Nie patrz szyderczo, że, słaba i młoda,
Grozę oszczepem chrobremu wodzowi:
Gdy o cześć idzie, Bóg losy stanowi,
Bóg mię uzbraja, a rozpacz sił doda.
Potrafię umrzeć; lecz pokąd nie zgine,
Nie wstąpisz, wodzu, w komnaty matczyne!“
Rzekła — i k'piersiom litewskiego księcia
Podnosi oszczep, na życie nie pomna;
Płonie w jej twarzy wstydlivość dziecięcia,
A w oczach zapal i wola niezłomna.

XVIII.

Trojden pokraśniał, spuścił wzrok ku ziemi,
I zakłopotan do dziewicy rzecze:
— Kniahini Lachów! my chobrzy z chobremi;
Lecz u nas w piersiach jest serce człowieka.
Żaden zły zamiar w mej myśli nie powstał,
I żal, i wstyd mi, żem zwycięzcą został;
Lecz na to wojna... ta czasem zaślepi,
Czasem się rycerz w bitwie zapomina.
Wziąłem więc zamek — to nie moja wina:
Dlaczegoż wasi nie strzegli go lepiej?
Nie wskrzesić z martwych tych, co w boju padli,
Lecz każę przestać wojennej srogości;
Nie mówcie, proszę, żeśmy zbyt zajadli,
Przyjmijcie, Lachy, Litwinów za gości;
Dziś w waszym zamku zajmiemy załogę,
A jutro w dalszą puścimy się drogę! —
Rzekł i na stronę wodzów odprowadza,
Wydał rozkazy do drużyny dzikiej,
I w jednej chwili Trojdenowa władza
Ucisza w zamku bojowe okrzyki.
Staje jak wryta zawścieklona tłuszcza,
Wpół taktu w bójce żelazo upuszcza;

Tylko z dziedzica posłyszysz z daleka
Jęknie raniony lub trwożny ucieka.

XIX.

Hanna, oparta na drzewcu od włócznie,
Zdumionem okiem na Trojdena patrzy;
Bo czyn szlachetny, piękniejszy im rzadszy,
Serce dziewicze zhołduje widocznie.
Jeśli chcesz, mężu, mieć łaski Kupida,
Trefić twe włosy na mało się przyda:
Niechaj niewiasta raczej na twem czole
Pięknego czynu widzi aureolę!
Ty, strojny blaskiem twojego ramienia,
Zostaw zaloty pieszczonej młodzieży:
Niech z oczu twoich, zamiast przymilenia,
Jak błyskawica wielka myśl uderzy;
A ta, co myśli, co czyny wywoła,
Potędze twojej oprzeć się nie zdoła.
Dusza jej stanie w nadziemskim zakresie,
Dumna twym czynem przestanie być płocha,
Ołtarz dla ciebie w swoim sercu wzniesie,
Wprzód uwielbi, potem cię pokocha.
A taką miłość, uwielbienie, chlubę,
Niełacno z serca, niełacno utraci!
Choćbyś, jak Trojden, w jej dom niósł zagubę,
Choćbyś się skrwawił posoką jej braci,
Ona, niepomna swych łez i rozpaczy,
Duszę pogrąży w tego czynu pięknie,
Wszystko zapomni, wszystko ci przebaczy,
I mimo woli przed tobą uklęknie.
Bo serca niewiast, lękliwe a drżące,
Każde wrażenie do głębi poruszy;
Czułe na piękno, jak kwiatek na słońce,
Lubią się zdumieć bohaterskiej duszy.

XX.

Trojden powrócił — a na jego czele
Już się promieni cnotliwe wesele,
I pięknym blaskiem wzrok mu się rozżarzy
I mężne ręce jak do prośby składa;
Tak w tej postaci było mu do twarzy,
Że się spłoniła krasawica blada.

— Kniahini Lachów! wnet się bój uśmierzy;
Wrócę wam łupy, wynagrodzę straty,

Wpuśćcie mnie teraz do dalszej komnaty,
Niechaj się waszej pokłonię macierzy,
Niech trudy wojny złożywszy z mej szyje,
Z Piastowym rodem chleb i sól spożyję.

— Szlachetny kniaziu! — odpowie mu Hanna —
Możesz rozkazać, a prosisz z pokorą.
Ale twój pancerz i zbroja blaszana
Może przestraszyć moją matkę chorą;
Na twym toporze i na pochwie miecza,
Patrz: jeszcze płynie świeża krew człowiecza.
Zdejm z głowy kirys, odpasaj oręża,
A chleba z nami spożyjesz pospołu.
U moich przodków szerokiego stołu
Jest gdzie pomieścić rycerskiego męża.
Rycerstwo nasze jest przy moim bracie,
Wkrótce powróci z oblawy na zwierza,
I wypijecie puhary przymierza,
I ręce sobie chętnie podacie.
U Ziemowitów — u stołu Konrada,
Nie bój się, żadna nie grozi ci zdrada! —

XXI.

Wyszła uprzedzić matkę o gościnie,
Trojden zdejmując hełm pierzasty z głowy,
Otarł krew lacką, co po zbroi płynie,
Odpasał z ramion swój topór stalowy
I miecz swój gruby, wykowany z miedzi,
I tęskno z komnat czekał odpowiedzi.

XXII.

— Wnijdź, książę Litwy! gość w domu, Bóg w do-
Mówiła Hanna, rumieńcem oblana; [mu! —
Wzięła za rękę pięknego młodziana,
A już jej ręka drżała pokryjomu.
Szli przez komnatę sklepioną, wysoką;
Nic nie przerywa uroczystej ciszy.
Trojden k'niej zwrócił płomieniste oko,
Coś mu się zdało, że westchnienie słyszy;
Zwiesiła główkę — a Pan Bóg-że zgadnie,
Co się tam w myśli dziewicze zakradnie?
Wtem się sąsiednia otwarła alkowa:
Tam matka Hanny, poważna matrona,
Księżniczka z Rusi, Ziemowita wdowa,

Jęczała, długą niemocą dotknięta,
I obyczajem swej rodzinnej strony
Chciała uklęknąć — lecz chwiewie się, słania.

— Kniadini Lachów! — rzekł Trojden wzruszo-
Dajcie mi rękę na znak przejednania. [ny —

— Nie gub nas, nie gub i z duszą i z ciałem!
My wiemy, wiemy, czem są wojny prawa! —
Mówiła matka z wejrzeniem nieśmiałym,
A łza boleści na jej oczach stawa.

— Pokój wam, księżno! — Trojden jej odpowie,
Zgrzybiałą rękę całując z pokorą —
Nie bój się Litwy: już my nie wrogowie;
Złóż na posłanie twoją głowę chorą.
W twym grodzie Litwin triumfował górą.
Lecz się ukorzył przed krasną twą córą.

— Hanno! — spytała mazowiecka księżna: —
Czemu Konrada nie mam przed oczyma!
Pewnie, gdy nasza drużyna orężna,
Wybiegł do walki — może go już niema!
O głowa biedna! głowa moja siwa!
Jakiegoż dzisiaj sieroctwa dożywa!
I załamała rozpaczliwie ręce: —
Na co mi życie? na co mi zaszczyty?
Na co mi państwa i grody książęce?
Mówcie gdzie Konrad? czy syn mój zabity?...
Wodzu Litwinów! tem samem żelazem
I mnie zabijcie... zabijcie z nim razem!

— Konrad z panami na łowach się cieszy, —
Odpowie Hanna: on nic jeszcze nie wie.
Obaczył pewnie nad zamkiem żarzewie,
Nie bój się, matko, zaraz tu pospieszy.

XXIII.

— Jam tutaj, matko! — zabrzmiał okrzyk w sali —
Potrafię chodzić po ojcowskiej ścieżce.
Nie długo będą cieszyć się zuchwali,
Z grodu mych przodków wycisnę łupieżce! —
Drzwi się rozwarły, i Piast młody wpada;
Zajadłość w oku, miecz w ręku Konrada.

— A tyś, mi kniaziu!... tu na moje szczęście! —
Rzekł, k'Trojdenowi podbiegając srodze...

Trojden bezbronny ścisnął silne pięście,
Grzmotnął mu w piersi, złożył na podłodze.
Krew kipi w piersiach Piastowego syna,
Powstał z podłogi... ślania się i chysta —
Miecz w jego rękach jak piorun zaśwista,
I straszna walka znów się rozpoczyna.
Litwin, hartownej podobien opoce,
Znowu mu w piersi całą siłą grzinoce.
Lecz w tejże chwili, jak jutrznia poranna
Pomiędzy dwiema grzmotowemi chmury,
Między walczących przedziera się Hanna
Rozbroić zapęd i gniew ich ponury.

— Nie sróż się bracie! posłuchaj mię wolej;
Od twojej zemsty nie wskrzesną umarli.
Wiadoma losu wojennego kolej:
Litwini wpadli — nasz zamek odarli.
Była tu walka mordercza i wściekła;
Część naszych padła, a reszta uciekła.
Nasi zwycięzcy już byli gotowi
Rozpocząć pożar i rabunek w grodzie;
Jam tylko sama wyszła ku wodzowi —
Męska szlachetność już mu duszę bodzie.
Wstrzymała walkę jego woli władza,
Łupy nam wraca, szkody wynagradza.
Wyzuł się z hełmu, odpasał miecz kuty,
A teraz gościem przychodzi w te progi.
Nie czas na żale, nie czas na wyrzuty;
Złóżcie rycerze, wasz zapęd złowrogi.
Ten, co szlachetnie usłuchał niewiasty,
Co miecz zwycięski sam na stronę kładnie,
Czyż ma żałować, że wszedł między Piasty?
Zginać w ich zamku, zamordowan zdradnie? —

Tak mówi Hanna, a jasne jej oko
Zagrało blaskiem i łzami zachodzi.
Bystrem spojrzeniem zmierzyli się młodzi,
W głąb swego serca zajrzeli głęboko,
I w bratni uścisk serdecznie się wiążę
Z książęciem Litwy mazowieckie książę.

XXIV.

W dziedzińcach zamku, u jednego stołu,
Litwa i Lachy uczują pospołu,
Synowie Piastów gościnni, bogaci,
Hojnie rycerstwu rozdają miód stary;
A Litwa spełnia najpierwsze puhary,
Jako wspominek po umarłej braci,
Drugie w cześć bogów i ojczystej ziemi,
Trzecie na zgodę z dziećmi Lachowemi.
Uczują współ zgodni i weseli,
Jak gdyby nigdy wzajem krwi nie leli.

XXV.

A druga uczyła na zamku Konrada.
Jeszcze weselej i jeszcze tam słodziej:
Wróg przeciw wroga do stołu zasiada,
Obadwaj chrobrzy i obadwaj młodzi;
Toczą rozhovor o łowach i psiarnie,
O bystrych koniach i rodzajach broni.
A Hanna włosy z nad czoła odgarnie,
Patrzy w Trojdena, słów jego nie roni.
Tak zasluchana i zaciekawiona,
Sama nie zgadnie, co się w głowie marzy;
Jeno skraśnieje, jak wiśnia czerwona,
Gdy wzrok Litwina spocznie na jej twarzy;
A sama nie wie, że swemi oczyma
Lwa strasznego na uwięzi trzyma,
Ale król puszczy nie zwykł do łańcucha,
Nie zdoła w ciszy zachować się dłużej;
Niezwykła tać, gdy się serce burzy,
Mężna pierś jego westchnieniem wybucha.
Nalał swój puhar, wypił go w połowie:
— Kniahini Lachów! to za wasze zdrowie,
W cześć waszej córy! ja k'niej sercem płonę...
Dajcie mi Hannę, dajcie mi za żonę!
My, stara Litwa, żołnierscy a prości,
U nas długimi słowy się nie mami.
Szerokie moje ziemice i włości;
Wiecznem przymierzem opiszę się z wami;
Książęce skarby złożę pod jej nogi;
Zrównam jej głowę z wielkimi mocarze;
Czcic będzie swoje, a ja swoje bogi,
Modlić się będzie, jak jej wiara każe;

Zostanie bóstwem na litewskiej ziemi,
Królować będzie nad ludźmi dobremi!

— Mocarzu Litwy! jam tylko niewiasta —
Odpowie matka — jam przyzwolić rada.
Konrad jest głową u rodziny Piasta:
Mocarzu Litwy! zapytaj Konrada.

— Hanno! — brat spyta — wola, czy niewola? —
Hanna oblicze w drobnych rączkach chowa:

— Trojden zwycięzca — jam branka bojowa,
Niechaj od niego zależy ma dola;
Niech waszym chęciom uczyni się zadość,
Będę nagrodą szlachetnego dzieła!

Kłękła przed matką i płakać poczęła,
A przez jej oczki prześwieca się radość.

EPILOG.

Lecz może mi powiecie, żem skończył zbyt skoro?
U nas się kochankowie tak prędko nie biorą.
Darujcie, jam podania nie wysnuł z mej głowy,
Wziąłem je całkowicie z kroniki dziejowej.
Jeden wiek pisze swoje, drugi swoje prawa,
Każdemu cudzy zwyczaj dziwnym się wydawa.

Historja podania nie kłamie, jak tuszę.
Ej, dziwne Laszek oczy, a Litwinów dusze!
Litwa do pięknych czynów zapala się snadno,
Ej, to cud pięknych oczu, co sercem zawładną!
Nie wstyd być dla mężnego pod urokiem wdzięku,
I złożyć krwawy brzeszczot, co już dzierżył w rękę, —
Ej, nie wstyd bajorzowi, nie wstyd dla pieśniarza,
Sławę takiego czynu gdy ludziom powtarza!
Każda cnota, natchniona świętym Duchem Bożym,
Łacniej się upamiętni, gdy ją w pieśń ułożym.
A gdy lubim powieści z upłynionej chwili,
Dajcie ucho mej pieśni, czytelnicy mili,
A obrokiem duchownym niech was Bóg posili!

Z G O N A C E R N A.

CHWILA Z XVII WIEKU. — (1608 roku).

I.

Czego ten stary brytan, opuściwszy szyję,
Do furty jezuickiej drapie się i wyje?
A wyje tak żałośnie, aż przechodzi mrowie!
O! takie skowytanie pewno zgon przepowie!
Znają w całym Lublinie jego sierść, nazwisko;
To jakiegoś żebraka wysłużone psisko,
Chce się z panem obaczyć, polizać mu ręce.
Próżno uliczne żaki i szkolne młodzieńce
Ciskają nań kamieniami; kruchciani dziadowie
Naprawdę swemi szczudły biją go po głowie:
Pies kurczy się, zaskomli w postawie pokornej.
Ale go nie odpędzisz od furty klasztornej;
Chciałby wcisnąć się milczkiem i omylić straż.
Ale ojciec odźwierny wpuszczać go nie każe.

Wtem stateczny przechodzień we dzwonek zadzwoni —
Brytan przypadł mu do nóg, rzucił się do dłoni,
Jakby prosił o łaskę błagalnym wyrazem,
Iżby w bramę klasztorną wcisnąć się z nim razem.
Przychodzień go pogłaskał: — To ty, psino wierna!
Jedyny przyjacielu biednego Acerna!

Pójdziem nad jego łożę, oczy mu zasłonim:
My w Polsce tylko jedni zapłaczymy po nim!
Przy skonaniu pieszczocha sarmackiej cytary
Pożaluje pies stary i przyjaciel stary...

A reszta Polski zimna — nie wie, ani zważa.
Że w tej chwili utracą wiernego gęślarza,
Co jej chlubę pocziwie głosił w świat daleki! —

Tak powiadał przychodzień — łzę otarł z powieki,
I zadzwonił powtóre, po trzecie, po czwarte;
Skrzypnęły rygle furty powoli otwarte,
I z za furty, co z ciężkim zgrzytem się rozpała.
Twarz ojca odźwiernego wychyla się błada:

— Czego tu waszmość chcecie? tak silnie dzwonicie!
Po dziewiątej godzinie, choćby szło o życie,
Nie wolno bywać obcym za klasztorną kratą,
Chyba da ojciec rektor zezwolenie na to.

— To idźcie do rektora i wracajcie żwawo.

— Ach! czy to wasza miłość? Sam wpuścić mam pralekarza Albertusa Oczko, miły gość w klasztorze, [wo. Za furtę Societatis zawsze wchodzić może.

Tak mówił jezuita z uśmiechem słodczy;
A brytan wpadł do furty, smutnie zaskowyczy
I pobiegł w kurytarze.

— Cóż Klonowicz przecie?
Czy zdrowszy dziś, czy słabszy? nic o nim nie wiecie?
Zapytał Wojciech Oczko. — Żle — odrzekł odźwierny.
— Daliśmy mu w klasztorze kątek miłosierny
Za to, że nas osławił po sarmackiej ziemi,
Za to, że szczypał zakon pismy dotkliwemi,
Że nas przewwał gangreną straszliwych bezpraw, i
Co kraj cały zarazi i o śmierć przyprowi.
My mścić się nie umiemy na sprawcach potwarzy,
Bo Chrystusa znieważa ten, kto nas znieważy.
Bóg zwrócił na bluźniercę zagniewane oko —
I ów Acernus głośny, sławiony szeroko,
Przyszedł na stare lata do torby i kija,
Nędza go i zgryzota przed czasem dobija,
A kraj, co w jego pismach tak wielce spodoba.
Nie dźwignął swego wieszczą z barłogu Hioba.
Lecz przyszedł jezuita, wziął z błota oszczercę.
Okazał niegodnemu miłościwe serce;
Gdy się nędzarz w kałuży zasłużonej wala.
Dał mu gościnny kącik swojego szpitala:
Niech świat patrzy i uzna jezuitów czyny.
Jak chlebem odpłacamy za żądło gadziny.

Rzekł odźwierny i westchnął w prostocie gołębiej;
Westchnął i Wojciech Oczko boleśniej i głębiej:
Na starego lekarza osiwiąleją rzęsie,
Jak gwiazda promienista, iza gorzka się trzęsie.

II.

— Do celi, gdzie Acernus, wejść teraz nie możemy:
Rektor go pojednywa z miłosierdziem Bożem.
Dzisiaj prosił o spowiedź z pokorą i skrucą.
Rektor jego spowiedzi sam raczył dać ucho,
Sam wprowadzi grzesznika w wiekuiste wrota,
I olejem namaści, i da Chleb żywota;
Sam wydrze jego duszę piekłu i rozpaczy.
My wrogom przebaczamy — niech im Bóg przebaczy! —

Tak, wiodąc sklepieniami ciemnych kurytarzy,
Odźwierny jezuita sam do siebie gwarzy,
Bo lekarz, w tęsknej myśli pogrążywszy ducha,
Słów jego nie uważa, przechwałek nie słucha.

III.

Przed niskimi drzwiczkami zakonnicej celi,
Nie śmiejąc do niej pukać, przybyli stanęli.
Stamtąd płacz dolatywał i rozmowa cicha:
To schorzały głos starca, to mocniejszy mnicha;
Aż wkońcu pełnym dźwiękiem do ucha uderzy
Uroczysta harmonja łacińskich pacierzy.
Snaż już rektor ukończył spowiedniczą pracę,
Rzekł: „Ego te absolvo, jam vade in pace!“
I słyhać głuchy łoskot jak o trumnę młota:
To skruszony pokutnik tak się w piersi grzmota.

Odźwierny kląkł się modlić, jak ustawy każą,
Wojciech padł na kolana z uroczystą twarzą
I modlił się ze łzami: „Ach! odpuść mu, Chryste!
Ścieżki jego żywota tak były cierniste,
Dni jego na tak ciężkiej upływały próbie!
Przygarnij męczennika, przygarnij ku Sobie!
Niechaj pieśniarz lechicki, w cierniowej koronie,
Godzien będzie Hosanna śpiewać przy Twym tronie!“

IV.

W celi zabrząknął dzwonek. Na ten sygnał cichy
Wychodzą ze swych komnat na kurytarz mnichy,
Wszystka czeladź klasztorna sypie się jak mrowie,
I dziady z pod kościoła, i szkolni żakowie.
I otwarły się drzwiczki od ubogiej celi:
A tam na wiązce słomy, na grubej pościeli,
Kłęczał schorzały starzec, i ręce kościste
Podnosząc ku niebiosom, wołał: „Jezu Chryste!
Dozwał, bym godnie przyjął ostateczne chryzma,
Udziel mi zlitowania, co doznał łotr Dyzma,
Umierając na krzyżu!“... Chciał dalej wieść modły,
Ale piersi schorzałe już starca zawiodły:
Tylko ustami rusza, ręce splótł na łono.
Wtem znowu uroczyście w dzwonek uderzono;
Rektor Hostję podniósł, chory głos nateża;
Upadli na kolana laicy i księży.
„Oto Baranek Boży!...“

Chory patrzył k'ziemi,
I sercem upragnionem, usty złąknionemi
Przyjął Chleb odkupienia... odżył w nowe siły;
Oczy jego tak dziwnym blaskiem zaświeciły,
Coś tak dziwnym urokiem twarz mu promienieje.
Że zda się nowe życie i nowe nadzieje
Poczęły igrać w tętnach młodzieńczego łona,
Wstąpiły w marny szkielet, co za chwilę skona.
Choć jeszcze nitka życia w piersiach mu nie pękła.
Lecz już dusza głęboko w niebiosą zasięka;
Oczy tak mu się wpiły w krucyfiks na stole,
Że ostatni dar ziemski — cierpienia i bole —
Gotów przenieść jak kamień... Ale zwolna... zwolna.
Słabnie lepianka ciała, słabnie nieudolna.
I boleść chorowita znów dotyka zmysły;
Oczy wieszczą przygasty, ręce mu powisły.
Osunął się na pościel, czując kres złowrogi.
Rektor prędko namaszcza czoło, ręce, nogi
Ostatniem pomazaniem — chory, zda się, kona...
Nie! — tylko dusza jego, w niebo uniesiona,
Zda się z padołem płaczu zerwała widocznie.
Lekarz przerwał modlitwy: Niechaj trochę spocznie.
Niechaj zbolalą głowę przytuli na łożu.
A jeszcze siła życia zagrać w piersiach może.
Więc skończono obrządek — a ci, co klęczeli.
Szepcąc pacierz, odeszli od nędzarskiej celi;
Tylko został z gromnicą jeden jezuita,
I stary dziad kościelny, który psalterz czyta,
I stary Wojciech Oczko z kroplami tyzanny,
I stary wielki brytan, co jęk nieustanny
Ronił po kurytarzach. Acernus śpi błogo;
Już mu łza nie pomoże, leki nie pomagają;
Jeszcze ocknie się trochę, by pożegnać ludzi,
A potem, znów gdy zaśnie, aż na sąd się zbudzi.

V.

Ściemniało... noc zapada. U głowy Łazarza
Lampa długim płomieniem krwawo się rozżarza.
Knot napojony tłuszczem i skwarczy i czadzi,
Ogień pała nierówno — jaskrawiej, to bladziej;
A po wilgotnej celi, po szerniałej ścianie,
Mżą się ruchome cienie, jak duchów latanie.

Piękna była w tem świetle blada twarz Acerna:
 Wąs przyprószon siwizną, a broda pomierna,
 W uśmiechach nieco uśmiechu, z jakim sypia dziecię,
 Na czole zmarszczki cierpień — ślad życia na świecie,
 Jedna ręka na piersiach, jakby boleść dławił,
 Druga w górę wzniesiona, jakby błogosławił.
 Bo może dusza wieszczą błogi kraj oblata,
 Żegna swoją ziemię, odchodząc ze świata.
 Może gromadę ziomków przeprasza najczulej,
 Co kielich jego życia goryczą zatruli,
 A on, gdy cierpliwości braterskiej nie stało,
 Ciskał nieraz w ich czoła satyryczną strzałą.
 Już mu Pan Bóg odpuścił — przeznał dobre chęci;
 Odpuście jego winę i ludzie zawzięci!
 Bo jego cała winą, że czuł nadto żwawo,
 Że jęcząc opatrywał swoją ranę krwawą!!

Acernus śpi, jak gdyby w zachwyceniu Bożem:
 A stara jego harfa, wisząca nad łóżem,
 Nietknięta od nikogo, zda się, pieśnią dycha,
 Niedosłyszanem drganiem pobrząkiwa z cicha.
 O! wierna towarzyszka marnego rzemiosła,
 Tak się z duszą pieśniarza zbratała i zrosła,
 Że stęskniona po panu zagrała boleśnie,
 Że przeczuła pieśń duszy, którą śpiewa we śnie.
 I poczęła mu wtórzyć — znane jej zadanie
 Drganiem strun odbić serca śpiewaczego drganie.
 Och! po tylu westchnieniach, tylu pieśniach burzy.
 Czyż nakoniec cherubów muzyce zawtórzy
 Na wieczny odpoczynek nad znużoną głową?...

VI.

A w celi tak coś straszno i tak coś grobowo,
 Że czuć obecność śmierci, nim jeszcze zapuka:
 Wojciech smutny, że leków nie pomoże sztuka,
 Głowę oparł na rękę, wzrok wlepił w Acerna,
 A łza starej przyjaźni, rzewna, miłosierna,
 Zastygła w jego oczach. Lampa ledwie błyska.
 Migają płachty cieniów, jak czarne zjawiska,
 Wiatr uderza do okien, wzdycha jezuita,
 A dziad chrapliwym głosem Miserere czyta.

VII.

Wieszcz ocknął się z drzemki i słodko uśmiecha:
 Przyjacielsko powitał starego Wojciecha,

I rzekł doń: — Miły Oczko! wierzyć nie możecie,
Gdziem to ja latał we śnie — och! po całym świecie!
Śniłem, że jestem Flisem... w ładownej komiedze,
Zda się, szybko nurtami wiślanemi pędzę;
Od źródeł płowej Wisły do Gdańskiego grodu.
Obiegłem całą przestrzeń, jak niegdyś za młodu.
A cała ta kraina na żyznym zagonie
Usiadła, jak pieszczocha, u Boga na łonie;
Jakie tam żyzne pola, jakie piękne lato,
Jak tam w wioskach wesoło, jak w miastach bogato!
Jakie echa dla pieśni w tej milej zaciszy,
Hukniesz kędyś nad Wisłą — trzy po-
powiaty słyszy!...
Wzniósłem się na powietrze — wyteżyłem oko,
I widziałem Ruś piękną, całą Ruś szeroką.
Do odwiecznego Lwowa zawitałem gościem,
Krażyłem nad Kamieńcem, nad krzepkim Zamościem.
Zlatałem Busk, i Sokal, i Horodel stary,
Przesnułem się świętami w Kijowie pieczary.
Zakrażyłem raz jeszcze — i siadłem jak ptaszę
Na puszcze roksolańskie, stare puszcze nasze:
Wszędy mnie było pełno... Zajrzałem do kwiatka,
Byłem pszczołką, gdzie żwawa krząta się gromadka.
Przyniosłem kroplę miodu dla pszczołek i dla się.
Skosztowałem go nieco: upoił mię zda się,
Upoił aromatem macierzystej niwy...
I od wioski do wioski latałem szczęśliwy,
Widziałem prace ludu pasterskie i rolne.
Dzieliłem jego trudy i życie mozolne.
Zabiegłem w jego serce, przeznacć duch człowieczy.
I widziałem tam pięknych, siła pięknych rzeczy!...
Kochałem go i dawniej: małeć to zasługi...
Och! gdybym drogę życia przechodził raz drugi,
Tylkobym z ludem wiejskim zbratał się najściślej,
I jemu wszystkie pieśni, wszystkie oddał myśli:
Tam się serce odnawia, tam dusza korzysta;
Pieśń byłaby dźwięczniejsza, a myśl bardziej czysta.
Możni mi ją zbrudzili, uczeni, bogaci,
Zarazili mi serce niechęcią do braci...
Gdyby mnie otaczali wyrobnicy prości,
W dniachbym mego cierpienia nie bluźnił ludzkości.
Nie bluźnił Panu Bogu!!... Gromiąc błędy cudze,

Ani mi się marzyło o własnej zasłudze.
A pole do zasługi szerokie mi dano:
Całą drogę cierniową, krzyżami usłaną,
Gdzie przez ostre kamienie, pokrzywy i osty,
Przez Golgotę do nieba prowadzi szlak prosty.
Chrystus szedł tym gościńcem, ale szedł inaczej;
Mnie dano krzyż — jam dźwigał, klnąc moich siepaczy!
Kląłem głośno — jak niegdyś modlił się psalmista.
Przy dźwięku świętej harfy, co była tak czysta...
Gdy święcone jej struny skalął śmiech mój zimny.
Już przestała wydzwaniać modlitwy i hymny;
I duch mój obumierał, nie czując swej straty.
Stał się gorzki jak piołun, jak oset kolczaty...
Przyszła ciężka choroba i nędza złowroga,
I przykrzejsze od nędzy miłosierdzie wroga.
Chleb mój jadłem z popiołem, zwiadłem jako trawa.
Lecz modlić się z Dawidem nie miałem już prawa.
Bo w dniach mojej boleści bluźniłem Jehowie...

VIII.

— Ej, panie Fabianie! — Wojciech mu odpowie —
Zbyt się brzydką rozpaczą unosisz w tym względzie.
Pan Bóg za twoje pieśni karać cię nie będzie,
Zgorszeniem się potomnych serca nie napoją:
Pocziwa chęć natchnęła każdą pieśnią twoją.
Wszak w „*Worku Judaszowym*“ i „*Zwycięstwie bogów*“
Pragnąłeś zedrzeć larwę szkodliwych nałogów;
A swojemu krajowi usłużyłeś godnie:
Jak Herkules potwory, tyś zwyciężał zbrodnie.
Acernie! twoją chwałę wiek przyszły zobaczy,
Tylko w ostatniej chwili nie daj się rozpaczy! —

Tak starca Wojciech Oczko przekonywać zacznie.
I rękę uściskając, bada puls nieznacznie.
A w pulsach krew zastygła kipi gorączkowo.
Podsycona marzeniem i żwawą rozmową.
Po mętnych jego oczach blask przebieżał wileczy;
Drżą mu spalone usta... ale jeszcze milczy;
Chmurnieje mu na czole troska frasobliwa;
Zbiera ostatek myśli, co już się rozrywa;
To cały pokraśnienie, to jak mur poblednie;
Z ust mu się wymykają gorączkowe brednie;
Oczko chce dać lekarstwa, przemawia doń z cicha,
Lecz on już głosu nie ma, a rękę odpycha;

Wzrok jego bezprzytomny, jak winem pijany,
Wlepił się nieruchomie w jeden kątek ściany,
I w wilgotnej komnaty ponurem przezroczu
Widzi kształty, dla innych niedojrzane oczu.

IX.

I szepce: — Ha! to śmiesznie: ktoś mi mówił wczora,
Że ja zwalczyłem zbrodnie, jak Herkul upiora,
Że mi Polska zostanie wdzięczna i pamiętna.
Żem zmazał z jej oblicza kalające piętna.
Tak!... zółć z mojego pióra... wygryzła ich wady!...
A cóż znaczy na ścianie ot ten lichwiarz błady,
Co z brodą szafranową i z postawą lisa?
Jako smok afrykański, krew słońia wysysa,
Tak on wysysa biednych, krew ludzką
wypija...

A cóż znaczy ta druga pełzająca żmija,
Co się wszędy doczołgnie, co się wszędy wetrze,
Przedaje wyrok sędziów, sprzedaje powietrze,
Co na haczyk swej wędkі uczepiwszy złoto,
Wyciąga dusze ludzkie i znaczy sromotą?...
Poco tu ów świętoszek najszkodliwszy z ludzi.
Co z rzemiosła cześć bliźnich rozdziera i brudzi?
Słuchajcie, jak on wzdycha! patrzcie, jak się modli!...
Wszak w Polsce od mych pisem zginęli już podli.
Jak muchy od cykuty!!... A toż co za dziwa?
Woźny do trybunału sprawę przywoływa;
Przychodzą dwaj pieniacze ku sędziowskiej radzie:
Jeden swoje dowody — drugi halerz kładzie,
Chce przekupić statutów przysięgłego stróża;
Patrzcie, jak się dłoń sędziów przedłuża... przedłuża,
I kościstemi palcy złoto k'sobie zgarta!...
Czego chce ta niewiasta ze wstydu odarta,
Co sprzedaje wstyd innych?... Patrzaj na tych graczy:
Jeden z twarzą wybladłą, z wyrazem rozpaczny,
Majątek i pocziwość na rzut kości ciska!...
Czy widzicie ohydne uczuć targowiska?
Czy słyszycie jęk smętny, co aż serce targa?
To ubogiej sieroty żałościwa skarga,
Na której całe mienie już chciwością pała
Złoczyńca we lwiej skórze — ludzkości zakala!

Patrzcie... wysuwa szpony... Ktoś puka we wrota:
Tłoczy się do drzwi możnych podłość i głupota;
Przymila się pochlebca do Plutusa dzieci,
Jak jaskółka za latem, on za szczęściem leci...
Patrzajcie, jak obżarstwo zapalczywie zmiata
Zagraniczne przysmaki ze stołu magnata!
Patrzajcie, jak lenistwo po sutej biesiadzie,
W aksamitnych wezłowiach spoczywać się kładzie,
A panu za gościnność wdzięcznie a uprzejmie
Przedaje swą szablę i swój głos na sejmie!...
Wszak już takich występków nie ma Polska nasza.
Od czasu, gdy mój skarcił w mym Worku Judasza?
Robactwo się nie pastwi nad społecznym ciałem??
Więc nienapróżno żyłem — niedarmo śpiewałem —
I Pan Bóg mię nagroził w miłosierdziu świętem.
Że hydrę nieprawości znękałem ze szczętem!...
Lecz patrzajcie: tam szatan poruszył się w ciemnie...
Czego on tak chichocze? uraga się ze mnie!
Uraga się z mych pieśni, co miałem w pokorze
Zanieść jako zastługę przed oblicze Boże!...

X.

Na wspomnienie szatana struchlał jezuita,
Dziad kościelny pobledniał, kropielnicę chwytł
I podał egzorcystę. Ksiądz pokropił ściany:
„V a d e, v a d e, s a t h a n a s!” — wyjęknął zmieszany
I gęsto krzyżem żegna chorego i celę: —
„Odejdź, odejdź do piekieł, ciemności aniele!”
— Nie! szatan nie odchodzi, nie lęka się krzyża...
Lecz patrzcie... gość promienny do mnie się przybliża.
Uśmiechem uspokaja, gdy się serce trwoży...
Bądź mi pozdrowion, gościu, posłańcze ty Boży!
Ja czytam w jego oczach wyrok przebłagania,
Wiankiem cierni jak tarczą głowę mi osłania,
Aby potwór zabójczy nie zbliżył się do mnie...
Patrzajcie... ja nie marzę... ja mówię przytomnie.
Ja widzę ich — obadwaj latają w przestrzeni,
I obadwaj promiennym blaskiem otoczeni;
Lecz z jednego blask krwawy płomieńmi wybucha.
A w środku czarna postać strasznego ducha.
Jakże dzikie szyderstwo czytam w jego twarzy!
Jaka zabójcza groźba na oczach się żarzy!

Straszno mi... módl się księże... krop święconą wodą,
 Bo mię jego żrenice przepala, przeboda...
 O!... teraz mi już lepiej... przyleciał duch biały,
 Jego tęczowe blaski całkiem mię obwiał,
 A promyk z jego oczu aż mi serce głąska...
 O, Hosanna! Hosanna! Zbawienie i łaska!...
 Czyż dla mnie takie szczęście? dla mnie taka chwilka?
 Za kilka łez gorących, za mych cierni kilka,
 Za miłość pól rodzinnych, com kochał z zapalem,
 Za piosnki..., których jeszcze — ach! nie dośpiewałem...
 Co znaczy taka miłość? co znaczą te pieśnie? —
 Teraz czuję, co mogłem... ale już niewczesnie...
 O! gdyby jeszcze wskrzesnąć, gdyby pożyć więcej!
 Dziśbym kochał goręcej i śpiewał goręcej,
 Nie doznawałbym wstydu, co mię dzisiaj miota,
 Żem zmarnował niebacznie cel mego żywota...
 Wiele mi było dano — wiele się dopomną...
 Biada mi!... —

I odwrócił głowę nieprzytomną,
 I kościstemi dłońmi zasłaniając oczy,
 Wołał, że duch ciemności już mu piersi tłoczy,
 Że mu nad samem uchem straszliwy wróg świata
 Nicestwo jego życia na oczy wymiata.

— Uspokój się — rzekł Oczko — to gorączkę znaczy.

— Módl się — powtarzał kapłan — broń się od
 rozpaczy,

Bo to szatan, jak zwykle, straszy przed skonaniem.
 Padajmy na kolana — pomódlmy się za nim! —

Poklękli... ale chory snadź jeszcze nie kona,
 Silnie kipi mu w piersiach modlitwa stłumiona,
 Choć słów nie wydobędzie z zachrypłego gardła,
 Znaczno z promiennych oczu, że myśl nie umarła.
 Jeszcze usta bełkocą to słowa nadziei,
 To psalm pokutujących — Miserere mei;
 A w starej jego harfie, co wisi na ścianie,
 Znów po strunach przebiegło harmonijne drganie.

XI.

Zaskrzypiały drzwi w celi — i ksiądz rektor wcho-
 A za nim ciżba mieszczan, i starzy, i młodzi: [dzi,
 Zeszła się na skonanie garstka prawowierna, —
 To sławetni sąsiedzi, to krewni Acerna.
 I spojrzeli po sobie i szepcą do ucha:

— Jeszcze stary nie oddał Panu Bogu ducha.
Przecież był rajcą miejskim... jak duszno w tej celi!
Jakie twarde wezgłowie!... słoma na pościeli!
Wstyd... umiera, jak nędzarz... a mógł zebrać grosza.
Tak powiadał pan Andrys do pana Bartosza.

— Zachciałeś! — mówił Bartosz — ot harfa na ścia-
Jeszcze mu teraz w głowie piosenka i granie. [nie!
Oj, piosenki... piosenki... chciałbym słyszeć zdala:
Dziwnie muszą odbijać od murów szpitala.
Patrzaj, jak zmizerniało, jak mu się wychudło;
Tak to puszy poetów hypokreńskie źródło!
Jeździł dawniej do Gdańska ze skutem i tratwą.
A w Gdańsku to nie żarty... tam o pieniądź łatwo:
Szyper przywozi pańską pszenicę lub żyto.
To go Niemcy nakarmią, napoją sowito,
A jeszcze, jak to u nich stary zwyczaj każe.
Od łasztu przedanego dają po talarze.
Mając z kopę talarków — o mocny mój Boże!
Wcale niezły handelek zaprowadzić może.
Człek nakupił atłasu, tabintu, jedwabi,
A u nas taki towar zawsze kupca zwabi.
Potem handelek szerszy, potem jeszcze szerszy...
A on w Gdańsku cóż robił? — rzucił się do wierszy,
I opisywał flisów rozliczne przygody.
Nadwiślańskie wybrzeża, wioseczki i grody.
I powrócił do domu z całym poematem,
I chciał się swemi rytmy popisać przed światem
Bywało kopę groszy zaledwie gdzieś złowi.
To zaraz do Krakowa i szle drukarzowi.
Sława rośnie po świecie — a tu długi rosną:
Więc rusza do lichwiarza z postawą żalosną:
Daj grosza na zastawę, ulituj się, bracie!
A nasz Fiksel lubelski, waszmoście go znacie.
Nim da halerz, to przezna cały człeka zasób,
Bierze lichwę w dwójnasób, albo we trójnasób:
Cóż za dziw, kiedy potem dług ze długu rośnie?
— Tak, tak, panie Bartoszu! — odpowie żałośnie
Pan Stach, co był w kościele starszym sodalisem:
Niechby sobie nakoniec zabawiał się Flisem;
Lecz go duma szatańska jeszcze dalej niesie:
Na księży jezuitów bryknął w swym Ekwesie.

Wyniosła go pod niebo Aryanów tłuszcza;
Lecz Pan Bóg takich rzeczy płazem nie przepuszcza.
I patrzcie, jakie zebrał niedowiarstwa plony!

— Tak, tak — rzecze pan Krzysztof, Aulicus rzeczony.
Bo służył w pańskich dworach: — mniejsza z jezuitę:
Ale jeśli plebejusz sukmaną okryty,
Pocznie pańskim splendorom złorzeczyć niegodnie,
Wojewodów zadraśnie, hetmany ubodnie;
Gdy swawolnemu pióru popuściwszy wolę,
W jasny naród szlachecki satyrą ukole:
To musi z głodu umrzeć za karę bezprawi —
Niech się robak nie dziwi, że go lew zadławi.
Z panami najbezpieczniej, kiedy człek najśłodziej:
Dzisiaj *Worek Judaszów* hokiem mu wychodzi...

— Albo to, czy przystało mieszczańskiemu bratu —
Zarzucił pan Mikołusz, rajca skabinatu:
Gdy się sędzia żydowski puszy we swej chwale,
Jakby zasiadł w koronnym wielkim trybunale!
Potrzeba być obrotnym, wzbudzać postrach w żydzie:
Stąd zyski i przezyski, stąd gotówka idzie,
A na szali Temidy ważąc adwersarzy,
Gdzie położą funt pieprzu, niech słuszość przeważy.
A u niego bywało sprawiedliwość kuta,
I dla niewiernych żydów wertuje statuta.
Cóż za dziw, że zubożał sądowniczą władzą?
I głowę mu przekrzyczą, i grosza nie dadzą! —
Tak rozprawiali z sobą sławetni mieszczenie;
A harfa po raz trzeci zabrząła na ścianie,
I chory siłę w piersiach odzyskał nieznacznie,
I jakby w takt jej brzęku odzywać się zaczęli:

XII.

— Obywatele miasta, sąsiedzi i krewni!
Dziękuję wam za pamięć, dziękuję najrzeczniej.
Już sądziłem, że umrę (to cios najdotkliwszy),
Was ani pożegnawszy, ani przeprosiwszy...
Zbliźcie się, dajcie ręce... w ostatniej godzinie
Niech przed wami testament śmiertelny uczynię... —

Tu obecni spojrzeli, zdumieni po trosze,
Jakby zdając się pytać: Skąd nędzarz ma grosze?
I komu je zapisze? — Dobrze-ć, panie bracie! —
Odpowie pan Mikołusz, rajca w skabinacie. —

A wy zasię, sławetni i zacni mężowie,
 Zważajcie pilnem uchem, co Acernus powie,
 Aż, gdy ciało jego już opuści dusza,
 Uroczyste zeznanie zanieść do ratusza,
 A tam przed urzędniki i ad legis mentem
 Ugruntować je pismem, stwierdzić juramentem.
 Słuchajcie, bo to wielce uroczysta chwila!! —

A chory blade czoło na rękę pochyła,
 Odgarnął długie włosy, co mu twarz cieniły,
 I z piersi ostatecznej dobywając siły.
 Tak jał mówić:

XIII.

— Oświadczam w mym przytomnym stanie:
 Zem wierzył w Kościół święty, naukę, podanie,
 Że żyłem wedle jego praw i obyczaju,
 Bo to wiara mych ojców i mojego kraju.
 A jeżeli przed laty targnałem się śmiało
 Na to, co moim oczom zdrożnem się wydało,
 Niech pobożni ojcowie, wasza niechęć znika,
 Jak to mi Bóg odpuścił usty spowiednika. —
 Tu uderzył się w piersi, a westchnawszy skrycie,
 Uczynił niski pokłon ojcu jezuitcie. —
 Tę miłość, która pierśmi władała mojemu.
 Przekazuję mej matce — rodowitej ziemi.
 Nie przestanę z za grobu, gdzie mię Pan Bóg zowie,
 Modlić się o jej szczęście, o społeczne zdrowie,
 O zgodę panów radnych, o pomyślność kmieci:
 A jeśli moja prośba do Pana zaleci,
 To mam dobrą otuchę, że skrócę jej nędzę.
 Od niej głód, mór, pożogę, szarańczę odpędzę.

Jakiż dam upominek dla miłego miasta.
 Gdzie mi dano naukę, gdzie młodość podrasta,
 Gdzie piastował urzędy na sędziowskiej ławie?
 Cóż mu prócz kości moich w pamięci zostawię?
 Ja kocham piękny gród nasz — ale tego mało.
 O! jeżeli potomność otoczy mię chwałą,
 Jeśli się opromieni moja chęć i praca,
 Niech wszystek marny promień to miasto ozłaca.
 Ja z krain wiekuistych tu wyteżę oczy,
 Moja rzewna modlitwa te dachy otoczy,
 Wieże waszych kościołów i urzędów ławy,
 Abyście sąd ludowi wymierzali prawy.

Tymczasem, bracia moi, cni obywatele,
Nie gardźcie temi rady, których wam udzielię,
W których całą życzliwość, co się w sercu mieści.
Testamentem oddaję z łoża mej boleści.
Miasto moje rodzone! tyś jest grodów kwiatem,
Pan Bóg dał ci być pięknem, ludnem i bogatem,
Król nowe przywileje coraz ci stanowi:
Bądźże wdzięczne a wierne Bogu i królowi!
Czemu pod twemi dachy tyle wiar się mnoży?
Czemu u was w pogardzie jeden Kościół Boży?
Dlaczego w rzeczach wiary tyle zdań was dzieli?
Czemu twoi duchowni Chrysta zapomnieli?
Czemu serce światową rozkoszą oddycha?
Dlaczego harde głowy podnosi im pycha? —
Zaklnijcie stan szlachecki, na Boga was proszę:
Niech rzuci buntownicze zjazdy a rokosze;
Niech raczej jednomyślnie, jak czynili starzy,
Wspólnemu dobru gwoli z królem się kojarzy.

Zaklnijcie deputatów, co do was w tej chwili
Na trybunał koronny zjechać się raczyli:
Niechaj czynią sąd ludziom sumienny a ścisły,
By bicze pomsty Bożej nad nami nie zwisły,
Aby tych pięknych murów, gwoli złej przemocy,
Nie rozbiła iza wdowy, albo jęk sierocy...

Wy zaś, cni mieszczenie, do sądów się zbierzcie,
I napiszcie uchwałę, i mieczem uderzcie
Przedajność i bezbożność, co ku złemu uczy.
Lichwiarstwo, co krwią ludzką pasie się i tuczy,
I wybiegi pieniactwa, co do zguby pędzą,
I zbytki, które kiedyś opłacimy nędzą.
Niech kocha gród rodzinny każde małe chłopię,
Niechaj grzech fundamentów jego nie podkopie,
Niech cnota jego mury ugruntuje święcie...
To testament Acerna — to jego zaklęcie.
Na dowód, że się wszystko wedle prośby stanie,
Dajcie rękę, przesiławni lubelscy mieszczenie!
Rękę waszemu bratu!... Cofacie się od niej?
Och! dajcie wasze słowo, a skonam swobodniej!...

Wyciągnął drżące dłonie. Zmieszany widocznie.
Cofnął się tłum zebrany, nie wiedząc, co pocnie,
Wzajem patrzy na siebie i do drzwi się skupia;
Jakby mu się wydało, że ta ręka trupia.

Że te słowa zapalu — to z gorączki brednie.
Chory westchnie głęboko, twarz jego poblednie.
A wzrok, co jeszcze ogniem błyskawicy pała,
Wlepił na czarną ścianę, gdzie harfa wisiała.

XIV.

-- Harfo moja pocziwa, narzędzie ty boże!
Komuż ja cię zapiszę? w czyje ręce złożę?
Lublin złowrogie miasto dla pieśni Sarmaty...
Pamiętam, kiedy tutaj przed dwudziestu laty
Umarł Jan z Czarnolasu, a ja, płacząc smutnie,
Pytałem: „komu dzisiaj zostawisz twą lutnię?”
A któryś z dobrych ludzi rzekł pochlebne słowa:
„To twój spadek, Acernie — cythara Janowa”...
Och! jeżeli to prawda, żem godzien tej łaski.
Patronie pieśni polskiej! Janie czarnolaski!
Jeżelim twoją lutnię odziedziczył w darze,
Słabo grałem — lecz grałem, jak mi serce każe.
Może popsul jej struny niewdzięczny harfista,
Ale z rąk mych wychodzi nieskalana, czysta,
Jak była w twoich rękach — świętości nie traci:
Grałem przy niej dla Boga i dla miłej braci...
Mistrzu mój! ty w niebiesiech zarzutu mi nie dasz,
Że choć jeden brzęk struny puściłem na sprzedaż;
Świadkiem moim niech będzie Bóg, serca świadomy,
Świadkiem ziemia lechicka i ten barłóg słomy,
Na którym dogorywam... Są tam łyzy goryczy...
A ktokolwiek ten spadek po mnie odziedziczy,
Ktokolwiek będzie na niej ciągnął hymn ten samy,
Niechaj struny oczyści od tej rdzawej plamy.
Niech nie gardzi starego pieśniarza przestroga:
Bo dźwięki chrapowate urodzić się mogą,
Staną się niepodatne jego słowa wieszczce,
Zamiast serca łagodzić, porozjątrza jeszcze,
Zamiast dusze oczyścić, jeszcze je poplami,
I stanę przed sąd Boży z próżnemi rękami,
Jak niewierny najemnik... Za pieśnią goryczy
Zapłatę jego żniwa czyż mu Bóg policzy?
Czyż, widząc jego chwasty, gorzko nie zapyta:
Dlaczegoś nie pracował, jak dobry najmity?...
O! kto nie chce mieć zgryzot i łez na ostatku,
Ktokolwiek pieśnią moją odziedziczy w spadku.

Niech ją samą miłością rozkołysa szczerze,
 Niech z mojego przykładu swych wzorów nie bierze!
 A choćby kiedy ludzie zimni a nieczuli
 Octem mu czarę życia i żółcią zatruli,
 Choćby mu zgryzła serce jadowita żmija,
 Niech nektar niesie braciom, a żółć sam wypija...
 Bogdajby słowa pieśni nikogo nie bodły!...
 A szkodliwszy od żółci panegiryk podły
 Niech od ciebie, śpiewaku, będzie zawsze zdala,
 Niech mojej staroświeckiej harfy nie pokala.
 A jeśli mój następca płocho a niebacznie
 Niegodnemu pieśń chwalczą pobrzakiwać zacznie,
 Ty, pomnąc, żeś służyła piosenkom Acerna,
 Pękni pod jego ręką, moja harfo wierna!... —
 Tu głos wieszczą potężniał... potężniał pomału.
 A twarz jego nabiegła rumieńcem zapału,
 I drgają jego palce, jakby dźwięki chwyta.
 Czegoś się zakłopotał ojciec jezuita,
 Lica jego pobladły — i rzekł do lekarza:
 — Uśmierzajcie tę gorączkę, co mu krew rozżarza...

XV.

— Acernie! Pan Bóg z tobą — rzecze Oczko z ci-
 Hamuj zapęd twej piersi, gdy się rozkołysa; [cha --
 Nie daj się dobrowolnie rozwijać malignie,
 Wypij nieco tyzanny, to ci krew ostygnie.
 — Nie trwóście się — rzekł chory — o bracia naj-
 Krew już i bez tyzanny zastyga w mej piersi. [szczerśi!
 Ja czuję, że przeżywam mój ostatek ducha;
 Lecz nim zgaśnie kaganiec, niech żywiej wybucha!
 Przy ostatecznym blasku nim zgore oliwa,
 Może się jaka prawda z cieniów wydobywa;
 Dajcie, niech się wynurzy, póki myśl migota...
 Wiesz, jakem szukał prawdy przez mój ciąg żywota...
 Boże mój! czemuż właśnie prawda się odsłania
 W ostatecznej godzinie... w godzinie skonania?...
 Jak myśl kipi! a słowa powoli się wleką,
 A jeszcze mój testament do końca daleko;
 A tutaj jedno z drugim kojarzy się tłumnie,
 A tutaj biedna głowa marzy bezrozumnie,
 A tutaj serce rwie się, rozpada na części...
 Czyż chwilom ostatecznym Pan Bóg nie poszczęści?

A muszę, nim pożegnam oblicze tej ziemi,
Wygadać mój testament przed ludźmi dobrymi.
Wygwarzyć wszystkie bóle, wszystkie me rozkosze...
Na czem to ja stanąłem?... pomóżcie mi, proszę!

XVI.

I ja byłem szczęśliwy — ja... dziś nędzarz stary!
I mnie niegdyś kochano — kochano bez miary;
Nie dorównałem inszym gładkością urody,
Lecz miałem nieco sławy — byłem jeszcze młody —
A młodość, głośnie imię i dostatku nieco,
Zdoła zawsze podzielać na duszę kobiecą.
Jam ją kochał... och! kochał... o przepuść mi Boże!
Więcej niż własną duszę — niżli Ciebie może!
Przy niej cała mej duszy skupiła się siła,
Myśl ukradziona pieśniom u jej stóp gościła;
Jej obraz wciąż przede mną, uczucia me drażni;
Widziałem ją na jawie okiem wyobraźni,
A w snach moich, w snach pięknych, ona wciąż się
Przebaczenie, aniołowie! ale waszej twarzy [marzy...
Niepodobna tak piękną i tak Boską zostać,
Jak ja oczyma duszy widziałem jej postać!...
Spełniły się wyroki... przeszło dni niewiele,
I kapłan nasze ręce połączył w kościele;
Nastąpiła chwila szczęścia — przelotna a skora,
Przyszła snem — i uciekła, jako senna zmora...
Piękne były jej słowa, gdy rzewna jak dziecię,
Schyloną moją szyję rączkami oplecie,
I zda się całą przyszłość w moje ręce składa.
A ja myślałem w duszy: „O biada mi, biada! -
Jeżeli na tem czole spłoszę kiedy radość,
Jeżeli temu sercu nie uczynię zadość!“...
I czyniłem modlitwy Przenajświętszej Pannie,
By tak wspólnem uczuciem goreć nieustannie...
Musiałem źle się modlić przed Dziewicą świętą:
Bo prośb nie wysłuchano, modłów nie przyjęto...
Nie spełniłem jej szczęścia, jak to mi się marzy:
I zapal uroczysty uleciał z jej twarzy,
Powszednia jakaś próżność i zimna rachuba
Już owionęła duszę pięknego cheruba,
Egoizm w taką szatę jej postać przyodziął,
Że trudny stał się myśli i uczuć z nią podział!...

Wreszcie jednego serca było jej za mało,
Jej myśl biegła gdzie indziej, jej serce kłamało;
I pierzchły mego szczęścia uroczę widziadła,
I gadzina zazdrości do piersi się wjadła.
Zabójcze żądło w piersiach czułem tak boleśnie,
Ból przerywał sny moje, modlitwy i pieśnie,
Obrzydził mi naturę, od pracy odpędza...
I przyszły w dom niezgoda, zgryzota i nędra,
Zdrowie mię opuściło, a w długiej chorobie
Byłem nieznosny ludziom, nieznosny sam sobie...
Cóż za dziw, że tak długo cierpiąc nadaremnie,
Towarzyszka żywota odeszła ode mnie?
Rzuciła mię w chorobie... Sąsiedzi i krewni!
Ulitujcie się nad nią! któż jej los zapewni?
Niech jej Bóg po mym zgonie lepszą dolę zdarzy:
Och! dosyć za swą płochość poniosła potwarzy!...
Powiedzcie jej sąsiedzi, że w ostatniej chwili
Niedolę mego życia przebaczył najmilej.
Niechaj ma duszę moją na życzliwym względzie,
Niech sama mi przebaczy, niech szczęśliwa będzie.
Ja tam z wysokich niebios, jeśli Bóg pozwoli.
Dopomogę modlitwą do jej lepszej doli.
Oddajcie jej ten pierścień z życzliwemi słowy,
Bo grób doczesnych ślubów zdejmuję okowy. —
Tu ręką cisnął czoło, jakby zbierał zmysły,
A lzy długo tajone ze źrenic wytrysły;
Stęknął... i głosem cichym, urwanym co chwila.
Dokończyć pożegnania jeszcze się wysila.

XVII.

— Bracia moi, ziomkowie, dobrzy towarzysze!
Zebraczym testamentem coś ja wam zapiszę?...
Dobry Wojciechu Oczko, coś zostanie tobie?
Ty w życiu, we złej doli, w ostatniej chorobie,
Zawždy byłeś mi bratem — więc nie wzgardź ofiarą:
Mam pieśni Horacego i biblię starą,
Tam znajdziesz pokarm duszy, tam sercu osłode...
Lubiłem zbierać księgi w moje lata młode,
I zebrałem przez życie mnogie foliały;
Ale na starość książki na chleb się sprzedały,
Bom często łaknął chleba... biada niedoładze!
Tak odzież po odzieży, a księgę po księdze

Rozbiegły mi się z domu... Mam jeszcze opończę:
 Zabierzcie ją, Bartoszu, gdy ja żywot skończę,
 Bo mnie włożyć do trumny dość starej sukmany...
 Mam pałasz damasceński srebrem dźwirowany,
 Przyda się wam, Krzysztofie, do wojennej sprawy;
 Lecz go sami musicie wykupić z zastawy...
 Wy, panie Mikołaju, ot ten krzyżyk weźcie,
 Oddajcie waszej żonie, pocziwej niewieście,
 Co w ostatniej chorobie z dobrocią kobiecą
 Przysłała mi jarzyn lub owoców nieco...
 Przeżegnaj swoją dziatwę — niech przyjmie gromada
 Ostatnie pozdrowienie szpitalnego dziada...
 Powiedz dziatwie, że kiedy w trumnie się położę,
 Przyślę z nieba gościniec — przeżeganie Boże...
 Wam zaś, panie Jędrzeju, cóż oddam w ofierze?
 Przyjmijcie psa mojego, niech wam domu strzeże;
 Niedługo się naprzykrzy, strzegąc wasze wrota:
 Zabije go pocziwa po panu tęsknota...

Oto, bracia, już wszystko, co miałem na świecie...
 Jeszcze mam do was prośbę... czy spełnić zechcecie?
 Wszak byłem waszym ziomkiem, każdy tego świadom:
 Sercem, głową i pismem służyłem sąsiadom;
 Wszakże popołu z wami całe życie prawie
 Czyniłem sprawiedliwość na sędziowskiej ławie:
 Wszak niegdyś mem imieniem było miasto dumne...
 Złóżcie więc kilka groszy na żebraczą trumnę,
 Poślijcie na podzwonne, pomyślcie o stypie
 Dla żebractwa... co piaskiem oczy me zasypie...
 A teraz... Bóg was żegna! odchodzę w świat nowy...
 Ciężą mi... och! jak ciężą cielesne okowy!...
 A w kościanym szkielecie dusza niecierpliwa,
 Jako z klatki ptaszyna... targa się... wyrывa...
 Chce lecieć na swobodę... do słońca... do ciepła...
 Chryste... rozwiąż jej więzy...

Tu mowa zakrzepła,

Chory usnął... i cisza nastąpiła w celi.
 Obecni bicie serca i oddech przycięli,
 Zegar wybił godzinę — a gdy echo kona,
 Ozwala się na ścianie harfa nieruszona
 Raz i drugi — a potem wszystkie struny pękły.
 Oczko wokół siebie rzucił wzrok przędkły.

Zbliżył się do chorego — wziął za puls — i płacze:
 „Już przed Bogiem stanąłeś, lechicki śpiewacze,
 Módlcie się!“...

I obecni pokłękali bladzi;
 I stał się cichy rozruch w klasztornej czeladzi:
 Jezuita krzyż skreślił nad umarłą głową,
 I Requiem aeternam wyciągnął grobowo;
 Zahuczał dzwon kościelny, ile jęku stanie,
 Głosząc po całej Polsce Acerna skonanie...

DO ŚPIEWEK.

Nazajutrz stał się w mieście rozruch i żałoba:
 Trup, co leżał w szpitalu, na łożu Hioba,
 Złożono w pyszną trumnę na szpoczynek w ziemi,
 Obitą aksamitem, frendzlami srebrnymi;
 Na trumnie leży harfa z porwanymi struny;
 Cały kościół obito w grobowe całuny;
 Zebrani na trybunach szlachta i panowie
 Tak płacą hołd zapóźny zasłużonej głowie.
 Kraj, który patrzył zimno, gdy zabija nędza,
 Dziś na pogrzeb śpiewaczy złota nie oszczędza.
 I sowity był pogrzeb — i naród się cieśni,
 I w sto głosów śpiewano rekwialne pieśni,
 I ojciec jezuita z wysokiej ambony
 Wyliczał jego zasług szereg niezliczony;
 I polskiego Acerna pochwała w mówna
 Aż z łacińskim Horacym i Nazonem równa.
 A gdy trumnę sierocą złożono na mary,
 Stały cechy miejskie ze swemi sztandary,
 Muzyka trybunalska smutne grała marsze,
 I rajce skabinatu — ławniki najstarsze,
 Nieśli trumnę do grobu — a potem na stypie
 Szlachta wino rozlewa, grosz ubogim sypie,
 I hojnie łaza wytryska oczmi pijanemi —
 Krzyczy: „Vivat Acernus! chluba naszej ziemi!“ —

Ale łezką serdeczną nad grobem ofiary
 Zapłakał stary Oczko — i z nim brytan stary,
 Co błądząc po cmentarzu zwieszał smutną szyję.
 Zgadł Acernus, że straty pana nie przeżyje:

Przez trzy dni wył nad grobem — na czwarty dzień
Zwlekł kędyś stare kości, — już go nie widziano. [rano

Od śmierci Acernowej trzeci wiek upływa,
A jeszcze pieśnią jego tchnie lechicka niwa,
Jeszcze jego nagrobek marmurowy, stary,
Pokazują przychodniom u lubelskiej fary.
Czcili go ludzie dawni — uczcijcie współcześni,
Męczennicy żywota, męczennicy pieśni!

Ojcze! jeżeli pragniesz przekonać twe dziecko,
Jak są wiersze i piosnki zabawką zdradziecką,
To przyprowadź je tutaj, a opowiedz wiernie
O zebraczym szpitalu i biednym Acernie;
A jeśli łzę postrzeżesz na oczach młodzieńca,
Jeśli ten wzór do piosnki jeszcze nie zniechęca,
Odżałuj twego syna — nieba go wybrały
Do cierniowej korony i do palmy chwały!

Lipiec 1855. Boreikowszczyzna.

TRZĘZŁOWE.

GAWĘDA KU SZLACHECKIEMU ZBUDOWANIU.

I.

Hej, młokosy, żal mi was!
Nihy stary znacie czas,
Nihy wiecie o narodzie:
Jak żył szlachcie na zagrodzie,
Jak na zamku władał pan,
Jak się w celi modlił mnich:
Znacie w Polsce kilka zmian,
I sądzicie naród z nich.
Ej, do czarta taki sąd!
Tysiąc błędów idzie stąd,
Tysiąc bredni ciśnie druk,
A tych druków owoc masz!
Będzie bredził późny wnuk,
Jak za matką Ojciec nasz.
Przenaturzy, przeklnie, złaje
Staroświeckie obyczaje,
Zarumieni twarz.

II.

O! mówicie w jeden głos:
 Że brat szlachcie służby niósł,
 Że w magnackim karmion dworze,
 Swego zdania mieć nie może,
 Że za lichy gruntu morg,
 Że za kufel, miedzi trzos
 Swe sumienie dawał w borg,
 Swój sejmowy sprzedał głos,
 Jużci... jużci... jakoś tam
 Były grzechy — ja to znam:
 Służebnością ginał świat,
 Zaściankowy podlał brat...
 Ale nieraz mierny stan
 Z panem zęby gryzł do dziast,
 I niełatwo jasny pan
 Zaściankową bracią trząst:
 Mimo hardej swej postaci,
 Musiał w braci — uznać braci.

III.

Gdy nie wierzysz, zobacz sam:
 Ja ci mały przykład dam.
 Żył przed laty w gronie braciej
 Stary żołnierz, Bardysz Maciej.
 Świat splondrował wprost i wstecz,
 Z mnogich wojen wrócił zdrów,
 A na starość chrobry miecz
 Już zawiesił u swych głów.
 Włókę gruntu czynszem wziął,
 Zaprowadził ule pszczoł,
 Zaprowadził stado kłacz,
 Wyhodował bartów smycz,
 Na jarmarkach był to gracz.
 Na zwierzynę był to bicz.
 Płacił czynsz na święty Jerzy,
 Panu czołem nie uderzy;
 Lecz kto z braci mu zawierzy,
 Jak na brata liczył!

IV.

Konie jego — znaczny ślad
 Jeszcze dawnych polskich stad:

Maść gniadawa albo kara,
Pół Araba, pół Tatara,
Co to z wiatrem idzie w lot,
Co się z człkiem umie zrość,
Co przeczuwa cugli zwrot,
Co kierować myślą dość,
Co to czuje, że jest żyw
Z owsa, siana polskich niw,
Co wśród boju, wśród palaszy,
Wie, że broni swojej paszy,
I już leci z całych sił,
Gdzie bojowy ujrzy pył,
Gdzie usłyszy trąby zgrzyt;
A zapalem samym syt,
Nie pomyśli przez trzy doby,
Gdzie spoczynek, gdzie są żłoby.
Czuje męski wstyd.

V.

Sześć rumaków, jakby strzał,
Stary Bardysz w stajni miał.
A że nie chciał gnuśnieć marnie,
Toć i charty z jego psiarnie,
Czy przez gęsty sadząc płot,
Czy to w poprzek polnych miedz,
Mogły z wiatrem w zawód biec,
Mogły ptaszka dognać w lot.
Lisa zwrotów już nie ucz,
Bo to stary majster zrad,
Zajac umie w błędny klucz
Gmatwać skoków swoich ślad:
Lecz odprzęgnij sfory stal,
Kaź za zdrajcą lecieć w dal.
Ruszą zwierza wierne psiska
Z najskrytszego legowiska —
Jeno w łeb mu pal!

VI.

Stary Bardysz lubił ruch,
Był do konia jeszcze zuch,
Lubił z charty latać w pole,
Przypominać swe swawole

I sąsiadom dawać wzór
Hartowności czasów swych,
I w odstepie stać jak mur,
I odyńca brać na sztych,
Lub z rusznicy — kuli treść
W niedźwiedziowe kudły wpleść.
To też starca wielbił lud;
Powiadano ze wszech stron:
Bardyszowe konie — cud,
Dzielne charty trzyma on!
I rusznicę ma nielada,
Koniem, chartem, strzelbą włada:
Lecz nad charty, strzelby, konie,
Duch dzielniejszy w sercu płonie
U starego dziada.

VII.

Doma sławy mając dość,
Dalej... dalej począł rość:
Między pany, kasztelany,
Maciej Bardysz już był znany.
Pan miejscowy zwrócił twarz,
Myśliwemu wielce rad,
Od którego szlachcic nasz
Trzymał czynszem gruntu szmat.
Był to wielce możny człek,
A książęciem z wieka w wiek,
A tak hardy, że to wciąż
Kasztelaństwem wszystkim dmie.
Więc oświadcza wielki mąż,
Że Macieja poznać chce.
Lecz Macieja myśli insze:
— Co mi z tego? płacę czynsze;
Łask nie trzeba mnie!

VIII.

Rad ze swoich hardych słów,
Łaskę szlachty skarbi znów.
Lecz z panami trudne żarty:
Pan kasztelan wciąż uparty,
Znów przysyła dworzan dwóch,
By do zamku starca zwać;
A choć może dworski słuch
Harde słowa dał mu znać, —

Był z Bardysza wielce rad,
Przyjął w zamku za pan-brat,
Puhar miodu przepił doń;
A że był to łowów czas,
Wyciągając pańską dłoń,
Prosił jutro z sobą w las.
Tak uprzejma pańska łaska
Bardyszowe serce głaska,
To już nałóg w nas.

IX.

A nazajutrz, hejże! hej!
Życie wrzało w głębi kniej:
Spolowano dwa obchody,
Legł pod strzałem warchlak młody;
A dzik stary w susach złych
Bardyszowi zgubę niósł,
Lecz się potknął na sam sztych,
Jak nieżywy padł na wrzos,
Bardysz zręcznie skoczył w tył
I strzał celny w łeb mu wbił.
Hucznym krzykiem cały dwór
Salutował celny strzał,
Dźwiękiem trąbek szumiał bór,
Że ktoś w sercu jakby grał;
I za dzika starą głowę
Piło huczne pogrzebowe,
Miód się zdrojem lał.

X.

Rzekł kasztelan: Teraz dość!
Dajmy dzikom w lasach rość;
Ot w zaroślach piękna łączka,
Puścim charty na zająckza,
Puścim gończe między chróst,
Dojeżdżaczy puścić w tan!
Rozkaz pobiegł z ust do ust.
— Panie Bardysz! — rzecze pan —
Okazały waścin chart,
Zobaczymy, co on wart.
Chcę pohasać konno sam.
Jeśli łaska daj mi smycz.
A na wzgórku staniesz tam

I obroty nasze licz.
Przed tak dzielnym, jak wy, starcem
Popisowym ruszę harcem,
Jak na hordy dzicz!

XI.

Smycz z chartami ujął w dłoń,
Wskoczył na koń — parsknął koń;
Wtem głos gończych jęknął głuchy,
Wybiegł szarak długosłuchy,
Staął słupem, patrzy w bok,
Wypatruje kędy biec,
Stulił uszy, sprężył skok
I wzdłuż żółtych polnych miedz
Rwie do lasu z całych sił,
Aż się za nim kłębi pył.
Więc kasztelan ruszył w cwał,
Charty przed nim lecą w sznur,
Jakby jeden wichler gnał
Długie, wąskie pasmo chmur:
Zwierzę, strzelca, chartów, psiarnię
Lekką taśmą pył ogarnie
Z żółtych pól i gór.

XII.

Długosłuchy pojął rzecz,
Skłuczył na bok... charty w przecz, —
Dziarski rumak, czoło stada,
Już dopada, już dopada,
W kasztelanie kipi krew.
Palnąć z konia miał już wczas,
Kiedy pędząc mimo drzew,
Zajac skłuczył drugi raz.
Chyłkiem... chyłkiem z góry w dół
Poplątane ścieżki snuł.
Niedaremny strachem gnan,
Coraz w dalszy sady kres;
Już go z oczu stracił pan,
Jeno węchem tropi pies.
Wedle ścianki po manowcu
Od mogilek w chróst jałowcu
Już dobiegał, już miał wpaść —
Gdy kasztelan zajął tyl:
— Nie ucieczesz w chrósty waść!

Hedźha, psiska! z całych sił! —
Zając skłuczył po raz trzeci,
Nieprzytomny w pole leci.
Aż się kurzy pył.

XIII.

Na rumaka wyszedł pot,
Całą niwę tropem zgniótł.
W lewo, w prawo zając myli,
Już odleciał na pół mili,
Już go w knieję pędzi czart,
Kroków może trzy czy dwa;
Lecz Bardyszów zręczny chart
Już dogania, już go ma.
Pisnął zając w smutny głos,
I do góry oczka wzniośł,
I zduszony trupem padł,
Kiedy pan z kopyta grzmi,
Dobiegł, z konia skoczył rad,
I pogłaskał dzielne psy,
I ze skoków dał odprawę,
I otrąbił swoją sławę,
Jak za dobrych dni.

XIV.

Bardysz śledził każdy zwrot:
— Jak z partesów! jakby z nót!
Dzielny rumak, dzielne psiska!
Dzielne serce u paniska!
Jak on z koniem umie grać!
Jak szykowny każdy ruch!
Jak myśliwca zaraz znać!
I na wojnie pewno zuch!
Co mi po tem, pan czy czart?
On przyjaźni mojej wart!
Po wojacku rękę dam,
Po bratersku rzeknę doń:
Że kasztelan, co mi tam!
Ja myśliwca ściskam dłoń! —
I uczynił, jak powiedział,
Bo nie dzieli bogactw przedział,
Kogo łączy broń.

XV.

Pan utroczył zdobyć swą,
Sadzi klusem — trąby grzmią.
Dwór winszuje — stu lat życzy,
A on, charty dzierżąc w smycz:
— Mości Bardysz! — krzyczy w głos —
Skarb posiadasz a nie psa!
Za tę zdobyć, co mi wniósł,
Sto dukatów każdy da;
Bo to rozkosz, mówię wam,
Z taką psiarnią kiedy szczwam!
Jaka zmyślność! jaka maść!
Jak przeskoczył dzielnie rów!
Sto dukatów! bierzesz waść?
Żadasz więcej?... śmiało mów!
Tam u waści głodno, chłodno,
Ja mu psiarnię dam wygodną.
Będzie żyw i zdrow! —

XVI.

Bardysz wiedział, co to cześć,
Hardej mowy nie mógł znieść,
Lecz w łowieckim dziś zapale
Nie uważał na nią wcale;
Bo nie pański złota trzos,
Lecz myśliwski cenił duch.
Więc z daleka krzyknie w głos:
— Kasztelanie! jesteś zuch!
Na mą przyjaźń teraz licz,
Niech ci służy moja smycz:
Na pamiątkę charta bierz,
Który z tobą dzielił znój,
Niech uszczwany każdy zwierz
Przypomina afekt mój.
Weź pamiątkę w mej chudobie,
A pieniądze schowaj sobie
Na twych dworzan rój! —

XVII.

Magnat skraśniał gdyby mak,
Targnął wasy — gniewu znak;
Lecz że szlachtę skarbił wkoło,
Wypogodził dumne czoło,

I braterski przyjął dar,
Mimo świetny pański ród.
Wtem myśliwski zagrzmiał gwar,
Pito wino, pito miód.
A gdy orszak ruszył z kniej,
Pan rozmyślał w duszy swej:
— Hardy szlachcic! mądry snadź!
Obyczaje pańskie wie:
Stu dukatów nie chciał brać,
Podarunek daje mnie!
On rozumie, że w łask drodze
Ja go hojniej wynagrodzę:
Pana odrzec chce!

XVIII.

Tak panowie w każdy czas
O rachubę winią nas!
Daj mu serce jak na dłoni,
A on za to trzosem dzwoni,
I rozumie, że za grosz
Można kupić cały świat,
Wioskę, ziemię, łany zbóż,
Dusze ludzkie z liczbą chat,
Kupić sobie roje sług,
Serca niewiast, koni cug,
Skąd się wzięły, dziwna rzecz,
Takie myśli do ich głów!
Trzeba w dzieje zajrzeć wstecz...
A to przedmiot inszy znów!
Więc zostawmy refleksye:
Kto z faworów pańskich żyje.
Niechaj żyje zdrów!

XIX.

Przeminęło kilka dni;
Stary Bardysz ani śni,
Gdy doń w gości przybył z rana
Pan koniuszy kasztelana.
Był on starzec jak i on,
Zaściankowy sobie człek,
Lecz przybyły z dalszych stron,
Służył panom cały wiek.
Tak w ukłonach zginał grzbiet,

Że służalca poznasz wnet.
 Tylko męstwa dawał ślad,
 Kiedy konia puścił w czwał;
 Bo, mosanie, z młodych lat
 On godniejszą przeszłość miał:
 Służył w wojsku wraz z Bardyszem,
 Był w chorągwi towarzyszem,
 Szturmem zamki brał.

XX.

Jak z Bardyszem oni dwaj,
 Tak był tedy cały kraj:
 Jeden dworak, człek bez woli.
 Drugi rolnik, pan swej roli.
 Dworak życia nie miał nic,
 Błady, słaby, wątłych sił;
 Rolnik czerstwy, zdrów jak rydz,
 Chociaż czarnym chlebem żył.
 Dworak młodszy kilka lat.
 Choć z panami za-pan-brat,
 Lecz posiwiał, snadź od trosk.
 Aż na niego spojrzeć żał!
 Pan koniuszy był jak wosk,
 A pan Bardysz jako stal, —
 Że kto spojrzy, każdy powie:
 Komu takie dano zdrowie,
 Pana Boga chwał!

XXI.

— Kopy latek — Kopy zim!
 — Jakże zdrowie? — Krucho z niem!
 I tak dalej — gadu... gadu...
 Przyszedł wreszcie czas obiadu: —
 Zadymila wdzięczna woń,
 Wnieśli flaszę na ich dwóch,
 Poszła czarka z dłoni w dłoń,
 Misa barszczu znikła w puch,
 Potem suty z kaszą zraz
 I gorzałka drugi raz!
 Bardysz kazał miodek wnieść, —
 Wychylono — powstał gwar,
 Rzekł koniuszy: — Dobra wieść!

Pan kasztelan szle ci dar!
Ej,rotnistrzu! dar nielada:
Dzielny rumak z jego stada,
Dzielny ze wszech miar!

XXII.

Stary Bardysz zmarszczył brew,
Zakipiała harda krew
I pomyślał: Co u kata?
To za charta snadź zapłata!
Poczerwieniał, zjeżył wąs;
Lecz rozwaga przyszyła w czas, —
Więc bez żadnych rzeczy das:
— Łaska pańska żywi nas!
Pan Kasztelan zna swój stan,
Chce żyć z ludźmi jako pan
Mój podarek licha wart,
Lecz hojniejsza jego dłoń:
Co inszego dzielny chart,
Co inszego dzielny koń.
Za pamiątkę tak zaszczytną
Moją wdzięczność czołobitną
Raczysz odnieść doń.

XXIII.

Puhar w puhar — razy z sześć
Kazałrotnistrz miodu wnieść.
Potem wyszli na krużganek:
Tak pod stajnią koń, kasztanek,
Skakał, wił się, gdyby wąs,
Targał trzęzłę z całych sił.
Jeżył karczek, paraskał wciąż,
Kopytami żwirek bił.
Rzekł koniuszy: — Widzisz waść,
Co za kształty! co za maść!
Dobrze wróżyć można z niej!
A w tem oku jaki blask!
Wdzięcznem sercem przyjąć chciej
Kasztelańskich fawor łask! —
Bardysz tylko kiwnął głową,
Z pod nawisłej brwi surowo
Spojrzał jako żmij.

XXIV.

Lecz złagodził wkrótce twarz,
Wdzięczny uśmiech znowu masz;
Koniuszemu rzekł z powagą:
— Gratias ago! gratias ago!
Pan wspaniały — rzeczcie mu,
Żem z rumaka wielce rad.
Co zaś do was — w Polsce tu
Jest obyczaj z dawnych lat:
Biorąc konia albo cug,
Dla stajennych cudzych sług
Trza podarek jakiś dać;
Tręzłowego to się zwie.
Tedy wdzięcznie przymij wać,
Na co jeno stało mnie:
Składam waści na ofiarę
Pistoletów dzielnych parę —
Spodobacie snadź. —

XXV.

Wyniósł tedy piękną broń,
Koniuszemu wcisnął w dłoń.
— Patrzcie! rzecz: to broń przednia,
To po Turkach jeszcze z Wiednia.
Gdy mój ojciec w gradzie kul
Wezyrowi namiot brał,
Jan Sobieski, dzielny król,
Pistolety jemu dał.
Tu arabskie słowa są.
A jak biją kroków sto!
Gdy nie wierzysz, to sam strzel,
Jub ja, pozwól, próbę dam! —
Rzekł — i śmiało wziął na cel
Łeb rumaka — i w łeb sam
Palnął kulka o trzy kroki;
Rumak wydał stęk głęboki,
Trysty mózgu, krwi potoki
Do stajennych bram.

XXVI.

I bez ducha trupem padł
Kasztelańskich czoło stad.

— Teraz kwita! — Bardysz powie:
 Nie zawstydzą nas panowie.
 Ma kasztelan żart na żart.
 Toś coś widział, odnieś doń:
 Co inszego rączy hart,
 Co inszego dzielny koń.
 Ja, mospanie stary szpak,
 Ja się nie chcę mieniać tak.
 Jam w pamiętce charta dał,
 Wynagradzać ni się waż!
 Oto teraz celny strzał
 Porachunek zrównał nasz! —
 Tak powiadał dziad wyniosły,
 Aż mu wąsy w górę rosły,
 Aż kipiała twarz.

XXVII.

— Od bogatszych większy dar
 Mnieby wstydził ze wszech miar.
 Jam żołnierskiej człek natury,
 Lubię pościel z końskiej skóry:
 Upominek mi się zda,
 Ale zysków Boże broń!
 Warta charta skóra ta,
 A zadrogi byłby koń.
 Raczie dzięki moje nieść
 Za pamiątkę i za cześć.
 Jakem z reszty spłacił dług,
 Nie zapomnij moich słów.
 A gdy zręczność poda Bóg,
 Dam pamiątkę panu znów.
 Waść, koniuszy, masz trzłowe,
 Pistolety zabierz owe,
 I bywaj mi zdrów“.

1855. Borejkowszczyzna.

WIELKI CZWARTEK.

OBRAZ WIOSKOWY.

I.

Był Wielki Czwartek — poranek marcowy —
 Na czarnych polach topniał lód zakrzepły,

Śpiewał skowronek, wiatr chystał się ciepły
I ciepłe myśli napędzał do głowy.
Człowiek skwapliwszy do Boga i świata,
Bo coś mu serce wiosenniej kołata.
Po sinem niebie kilka chmurek płynie,
Nad czarną ziemią mgła ranna się ściela;
Nad cichą wioską, po czarnej równinie
Huczy dzwon stary — bo dziś msza w kościele.

I przed drewnianą, zamszoną dzwonnica,
I pod kościoła pochyloną ścianą,
Dzisiaj lud Boży zgromadził się rano,
Bo każdy przyszedł z wielką tajemnicą
Swe całoroczne i błędy, i bole
Wyznać u kratek do ucha plebana,
A w łzach, gdy ciężka zasklepi się rana,
Spożyć Chleb życia przy Chrystusa stole.
Nim organista kościółek otworzy,
Wedle dzwonnicy kupi się drużyna;
Jeden się modli, grzechy przypomina.
A drudzy gwarzą, by czas zeszedł sporzej.
Jest o czym gwarzyć, jak zwyczajnie wiosną:
Czas ruszyć z sochą — a tu niema chleba;
Woły do pracy pokarmić potrzeba,
A trawy jeszcze nie prędko wyrosną!
Sianka niewiele w ubogiej odrynie,
Ostatnia wiązka skarmi się co chwila;
A ruń z pod śniegu źle się coś wychyla,
Bóg raczy wiedzieć, czy nas głód ominie?
A choć u wszystkich w jednakiej chudobie
Jednaka dola i myśl w jednej stronie,
Miło z sąsiadem pogawędzić sobie,
Wedle dzwonnicy siadłszy na bierwionie,
Pokiwać głową po szczerej gawędzie:
„Tak, tak, sąsiedzie! Bóg wie co to będzie!”

II.

Lecz brzękły klucze w ręku organisty, —
Przeszedł przez cmentarz, mrużąc święte psalmy.
A starcy mówią: „Dziś dzień uroczysty!
Choć na czas myśli znikome oddalmy,
Zdajmy swą dolę na wyroki Boże.
A jakoś biedę przekołacem może“.

I w rdzawym zamku zaskrzypiał klucz stary,
Dzwon stęknął, mruczy, chwieje się, kołycha;
Za organistą do wioskowej fary
Tłoczy się ciżba gromadnie a z cicha;
A choć stąpają najciszej jak mogą,
Odbija łoskot echo pod podłogą.

III.

Kościół ubogi, — w ołtarzu po prostu
W ciemnych lichtarzach cztery żółte świece,
I stary obraz wiejskiego pokostu,
Na którym Chrystus pasie Swe owieczki.
We dwóch ołtarzach, na prawo i lewo,
Jest Matka Boska i święty Antoni;
Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
A patron święty ma lilię w dłoni.
Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
Na szorstkich rękach małe dziecko niańczy.
Tuż przy ambonie dwa konfesjonały,
Przy nich się mary śmiertelne stanowi,
I w czarnych ramach obraz wypłowiły,
Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
Cztery chorągwie, a każda podarta,
U skromnych ławek utkwione na boku:
Tam święty Michał pokonywa czarta,
Tam święty Jerzy pastwi się na smoku,
Wojciech odbiera palmę z rąk Anioła,
I śmierć do tańca wszystkie stany woła.

IV.

Skrzypnęły drzwi boczne, — wioskowa gromada
Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski,
Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
Prosić u niebios przed spowiedzią łaski;
Przypadł do świętych ołtarza podnóży,
Aż głucho echo odhuknęło w sklepie.
Wtedy pacholę, co mu do mszy służy,
Dziecięcym głosem Misereatur trzepie,
I Confiteor z ust dziecinnych płynie
Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

V.

Powstał ksiądz pleban i poszedł pomału
W nawę kościoła do konfesjonału.

Błysła promieniem jego twarz, jak święta,
Skreślił znak krzyża — cofnęły się świadki,
I najpierwszego z rzędu penitenta
Przyzwał skinieniem przed pokutne kratki;
Złocistą stułę skrzyżował na łono,
Ukrył się w chustkę kraciatą, czerwoną.
I począł badać aż do głębi ducha...
Co tam gadali. Bóg chyba podsłucha.

VI.

Tak jeden, drugi, i trzeci, i czwarty,
Zalani łzami, odeszli od krtek.
W bocznych ołtarzach snadź z piersi rozdartej
Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
Już ksiądz nie słyszy, ale Pan Bóg słyszy,
Jak z serca ciężka odpada im żmija,
Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy,
Siedem Ojcze nasz i Zdrowaś Marya.
A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogroju,
Wyspowiadana modli się gromada,
Kiedy ostatnie mówi Chwała Ojcu,
Z kościelnych okien słońce na nich pada.

VII.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta.
A pleban ciągle za kratkami siedzi,
Lud to się przyszlą spowiedzią zaprząta,
Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
I klęka jeden, potem drugi po nim
Przed Matką Boską i świętym Antonim.
Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
Jeden do pana odezwał się śmieiej.
Drugi swe żyto może sprzedał drogo.
Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli.
Albo na bratnią gospodarkę siada,
Albo przekosił granicę sąsiada, —
Lub kiedy latem dokuczały deszcze,
On zbyt troskliwy o kopy w stodole,
Po sześciodniowym a krwawym mozole
Złamał niedzielę — i pracował jeszcze, —
Lub się ze skargą na Opatrzność miota:
Oto są grzechy kmiecego żywota.

VIII.

Pleban, co z ludem przepędził swe życie,
Być jego ojcem wziął za powołanie,
Błędów ich serca świadom należycie,
Najskuteczniejsze lekarstwo ma na nie.
Słówko porady, a słówko pociechy,
Szczere zakłęcie na Chrystusa rany, —
A już wytrysła łza żalu za grzechy,
Już grzesznik został z Bogiem pojednany;
Lekki na duchu od brzemion sumienia,
Odszedł rozgrzeszon — godzien rozgrzeszenia!

IX.

Tak po kolei, z pokutników grona
Wiejska dziewczyna wedle kratek stanie:
Młoda snadź dusza, pokorą wiedziona.
Święte Kościoła spełnia przykazanie.
W łagodnym wzroku, w uśmiechu dzieciny
Jeszcze nie świeci żadna myśl namiętna;
Na jej obliczu nie dopatrzysz winy,
Bo grzech od razu wyciska swe piętna.
Czy może życia gorycze i bole
Tutaj przywiodły jej duch udręczony?
I tego nie znać: bo na jasnym czole
Niema zadraśnień z cierniowej korony,
Co to do głowy wpija się i wjada
I boli w mózgu, jak rana głęboka,
Na czole z karbów jak z liter układa
Historję życia, czytelną dla oka.
Tu jeszcze czoło jakby karta biała,
Złoci się na niem niewinna swoboda;
I piękną była pokutnica młoda,
Gdy się, tak wstydząc, do kratek zbliżała:
Tak się rumienić grzesznik nie jest w stanie,
To nie wstyd hańby, lecz zakłopotanie.

X.

Ksiądz nad nią znamię nakreślił krzyżowe;
Ona się żegna i klęka u kratki,
Białą oponę zarzuca na głowę
I ręce składa — cofnijcie się, świadki!
Niechaj nikt na nią nie ogląda zdala,
Nikt nie natęży ciekawego ucha:

Bo jeden wyraz jeśli kto podsłucha.
Już całą spowiedź dziewczę pokala.
Dajcie, niech z Bogiem rozgada się szczerze,
Na drogę życia weźmie umocnienie;
Ona niedługo miejsce wam zabierze,
Bo taka spowiedź — krótka, jak westchnienie.

XI.

Ale już kwadrans trwa spowiedź dziewczyny.
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Zegar kościelny wybił pół godziny.
I trzy kwadranse, i godzinę całą —
A ona, płachtą płócienną okryta,
Jeszcze na miejscu klęczy pokutniczem;
A stary pleban z ojcowskiem obliczem
Jeszcze coś szepce i o coś ją pyta.
Kończy się wreszcie spowiedź uroczysta.
A pokutnica, drżąca i wybladła,
Do stóp świętego trybunału padła,
A na jej oczach błyszczy łza kroplista.
Kapłan się modlił dłużej, niż zwyczajnie:
Wyraz pochmurny pokrył jego lice:
Musiał usłyszeć wielkich grzechów tajnie —
I nie rozgrzeszył młodą pokutnicę.
Och! jeśli wina najcięższa ją brudzi,
Jeżeli godna czyścowej katuszy,
To już w tej chwili miała czyścić w duszy,
Gdy po raz pierwszy spojrzała na ludzi!
Gdy ludzkich źrenic ciekawych tak wiele
Tysiącem żądał w jej serce się wpiły,
Chciała płacz wstrzymać — lecz nie stało siły,
Bolesne łkanie jęko po kościele.
Wreszcie się zrywa i oczy zasłania.
Między filary najciemniejsze kroczy.
Kędy na ścianie wisiał na uboczy
Obraz Maryi, Matki prześląganą.

XII.

Tymczasem spowiedź szła dalszą koleją:
Przychodzi jeden, i drugi, i trzeci,
Wyznając winy, łyż pokutne leją
Mężowie, starcy, niewiasty i dzieci;
Kolejno skruczą oczyszcza się rzesza,
Ręka kapłańska każdego rozgrzesza.

Coraz mniej ludzi u konfesjonału,
A dziad kościelny na wotywę dzwoni,
Gdy stary wieśniak z siwizną na skroni
Do świętych kratek zbliżył się pomału.
Ukląkł pokornie, przeżegnał się zwolna.
Westchnął głęboko, czapką twarz zasłania,
A dusza prosta, do kłamstwa nie zdolna,
Poczęła swoje grzechowe zeznania.
Nie wielkie muszą być grzechy w człowieku,
Co w cichej wiosce i z ludźmi prostemi
Przeżył wiek czynu — już we wspomnień wieku
Spokoju bliźnich nie zmaci na ziemi:
Bo krew, co krąży powolniej a czyściej,
Dojrzałe myśli do spokoju zowie,
I szal miłości albo nienawiści
Nie zagra w sercu, nie zakipi w głowie.
Próżno się z chóru organista zżyma,
Że pora służby odprawować Boże:
Starzec nie długo plebana zatrzyma,
Bo taka spowiedź długą być nie może;
Msza święta wyjdzie za kwadrans najdalej —
Śmiało niech świeczki zakrystyan pali!

XIII.

Tymczasem starzec wciąż gada swe winy.
A ludzie patrzą ciekawie, nieśmiało;
Wybija kwadrans, bije pół godziny,
I trzy kwadranse, i godzinę całą.
Już zakrystyan, sztuka niecierpliwa,
I sam się krząta, i chłopców napędza;
Już organista Introit przegrywa,
Aby wywołać od spowiedzi księdza;
Już świeczki gorą u Pańskich ołtarzy,
Pokutne psalmy zmówiła gromada, —
A pleban jeszcze starego spowiada,
Widać wzruszenie na obudwóch twarzy.
A gdy nakoniec po spowiedzi długiej
Starzec padł na twarz, ksiądz mówił pacierze,
To na ich oczach znacznie było szczerze,
Że się splakali i jeden i drugi.
A jednak znacznie, że łzami cierpienia
Jeszcze grzechowy nieomyty zakał:
Bo ksiądz starcowi nie dał rozgrzeszenia.

A starzec głośno, jak dziecię, zapłakał.
I długo leżał przed konfesjonalem,
Chociaż nań ludzie patrzą, jak na dziwo,
I długo płakał jęczeniem zboleiałem,
W kościste dłonie tuląc twarz sędziwą.
A pleban powstał — i po krótkiej chwili
Już się w ubiorze przed ołtarz ukaże;
Zaśpiewał Gloria! — w dzwony uderzyli,
Jak w Wielki Czwartek rzymski Kościół każe.
A ciżba ludu oblega balaski
I serdecznemi modli się wyrazy,
By prędzej przyjąć utwierdzenie łaski:
I Ciało i Krew Baranka bez zmazy;
Łączy modlitwę z ofiarą ołtarza
I mękę Pańską boleśnie rozważa.

XIV.

Ksiądz ujął palmę i czyta we mszale,
Co o tej męce święty Łukasz pisze;
A organista, fałszując klawisze,
Chrapliwym głosem śpiewa Gorzkie Żale.
Naród się modli — komu głosu stało.
Ten śpiewa pieśni, wspiera organistę;
Żaki kościelne dobitnie a śmiało
Odpowiadają: Laus, Tibi, Christe!
Stare klekotki w ich swawolnej dłoni
Grzmotnęły razem, skrzypiąc na swej osi,
Gdy dziewięć razy na Sanctus się dzwoni,
Gdy się Hostya lub kielich podnosi.
Ale najgłośniej grzmotnęła klekotka,
Że aż się zatrzęsł drewniany Dom Boży,
Gdy kapłan puszkę złocistą otworzy,
Gdy się odwróci do narodu środka,
Dzierżąc Chleb Ducha nad usta głodnemi,
Spowiedź powszechną odprawuje z niemi.
Słudzy kościelni tejże samej chwili
Białą oponą balaski przykryli.
Lud rzędem kłęka ze skruczą na twarzy,
Ręce na piersiach jak do trumny składa;
Mężowie, dzieci, niewiasty i starzy,
Każdy się w duchu raz jeszcze spowiada.
Ksiądz, przeżegnawszy ten orszak tak liczny,
Z ołtarznych stopni idzie ku gromadzie.

I powtarzając tekst ewangeliczny,
Hostyę świętą w każde usta kładzie.
Każdy pożywa, płonąc od radości,
Że dziś sam Chrystus w jego piersiach gości.
A odchodzący od krtek balaski,
Weseli wszyscy, i młodzi, i starzy,
Znać w każdym oczach namaszczenie łaski,
A spokój Pański zamieszkał na twarzy.
Czy to na długo?... Mój Boże! mój Boże!
Czemu tak słaba ta dusza człowieka?
Na progu chaty, na cmentarzu może,
Stargać ten pokój jakaś hydra czeka!
A póki dzionek zaświta jutrzejszy,
Ileż chmur ciężkich zawisnie nad głową!
Nasz skarb spowiedzi co chwila się zmniejszy —
My nieszczęśliwi i grzeszni na nowo!
Lecz byle dobrej nie zabrakło chęci,
Łza i Chleb Życia są zawždy dla rzeszy;
Gorzej tym, których kapłan nie rozgrzeszy,
Co od Bożego Stołu odepchnięci,
Którzy się tulą z płaczem za filary,
Jak ta dziewczyna i ten wieśniak stary.

XV.

W stronie kościoła — wiejski topór cieśli
Już wybudował tarciczną ciemnicę,
Już ją ubrali w kobierce i świece,
Już tam Najświętszy Sakrament zanieśli:
Rytuał rzymski jak zalecił wszędy,
Wielko-czwartkowe spełniono obrzędy.
Naród hojnemi zalewa się łzami,
Modli się szczerze i w piersi kołata,
Że przed lat niegdyś dwoma tysiącami
Chrystus w ciemnicy był więźniem Piłata.
Ksiądz, co się trudził od świtania słońca,
Zrzuciwszy ornat, chce wytchnąć po pracy;
Już organista spieszy się do końca,
Już mu nie wtórzą wioskowi śpiewacy;
Już naród Boży, co gwarzył w przedsieni,
Znaczno po głosach, że odszedł daleko;
Nawet żebracy, pieśniami strudzeni,
Już się na szczudłach do szpitala wleką.
A jeszcze klęczą przed Najświętszą Panną

Nierozgrzeszeni i cierpiący srodze.
Starzec i dziewczę, ze łzą nieustanną,
Gorące czoła tuląc ku podłódze,
Jakby wyciągał chłód ziemi surowej
Winę z ich serca lub boleść z ich głowy.
Starzec wstał pierwszy, i co starczy siła,
Wsparty na kiju szedł, modląc się Bogu;
Dziewczyna jeszcze dłużej się modliła,
Powstała, wyszła, przyklękła na progu,
I tam się krzyżem jeszcze przeżegnawszy,
Ku wiejskim polom kieruje bieg żwawszy.

XVI.

Za stodołami są wiejskie mogiły.
Drewniane krzyże zbiegły się gromadą;
Za mogiłami stoi dąb pochyły,
Dalej drożyna, co do lasu jada.
A przy drożynie, wedle leśnej ściany,
Sterczy grobowiec z piasku usypany.
Znać z przeszłorocznych szerniałych badyli,
Że tu rósł oset i pokrzywa dzika;
U nóg zmarłego drzewko się nie chyli.
Nie zbudowano nad głową krzyżyka.
Wiatr, co z sosnami przyległemi gwarzy,
Nie lubi kwilić na tutejszym grobie;
Przeleci czasem — mogiłę znieważy,
Rozsypie piasek i odlata sobie.
Nie pytaj w wiosce, czy prawdy, czy haśni:
Co to za dzika zacisza grobowa?
Bo ci niechętnie odmrukną pół słowa.
Ale pytania żaden nie objaśni.
Tu nawet z wioski nie zabiega trzoda.
Ranny skowronek nie wywodzi treli.
Biedną mogiłę zdaje się przekleli
I Bóg, i ludzie, i sama przyroda.
Za lat pięćdziesiąt, jak zwykle na świecie,
Jakowyś urok mogiłę osłoni,
Podanie jakieś do niej się przypiecie,
I będą dziwy opowiadać o niej.
Dzisiaj ten kopiec jeszcze nazbyt świeży.
By o nim składać piosenki lub pieśni;
A biedny człowiek, co w tym piasku leży,
Był taki samy, jak i wszyscy grzeszni.

Nie Szwed, nie Tatar — starej skazki wzorem —
Ani był rycerz doświadczony w sile.
Nawet po śmierci nie chodził upiorem,
To i cóż gadać o jego mogile?
Toć chyba jaki żebrak z pod kościoła,
Wziawszy jałmużnę, modląc się za zdrowie,
Jeśli wie dzieje tutejszego sioła,
O tej mogile kilka słów ci powie.

XVII.

Był to syn biednej wdowy na zagrodzie.
Która już także w Bogu odpoczywa;
Składał piosenki bywało we żniwa,
Zimą na skrzypcach wygrywał w gospodzie;
Na wszystkich ludzi poglądał surowie,
Chociaż rad bywał w każdym wiejskim tłumie;
O dziwnych dumkach, co snuł w swojej głowie.
Gada bywało — a nikt nie rozumie.
Na rok przed śmiercią zamilknał, jak ściana,
Jak nawiedzony, dotknięty niemową;
Potem do ludzi zbliżył się na nowo,
I pijał z ludźmi od nocy do rana;
A gdy w gospodzie nie było nikogo,
Snął się po polach niedeptaną drogą.
Pijał sam jeden, bez końca, bez miary;
Szedł w dzikie lasy, w niedostępne mszary.
I śpiewał pieśni, usiadłszy przy sośnie,
Rad, że mu echo odhuka donośnie.
Tak przez półrocze, czy coś więcej pono,
Pijąc i piejąc o swojej niedoli,
Głowę przez trunek i pieśń odurzona
Cisnął rękoma — wołał, że go boli,
Że serce drze się, że puls coraz prędszy.
Że z piersi oddech wybucha gorętszy.
Chciano go leczyć — uciekł od lekarzy.
Mówiąc, że żaden ulgi nie przyniesie,
Że mu najlepiej, gdy błąka się w lesie.
Kiedy się w dumkach i pieśniach rozmarzy
O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami.
Gdzie ani dworu, ni gospody niema,
Gdzie młode dziewczę nie igra z sercami.
Przysięgnie miłość — i pewnie dotrzyma.

„Tam mi pozwólcie, abym pędził życie!
Puśćcie mię! — wołał w szalonym obłądzie —
Tam złożę piosnkę — otóż obaczycie,
Że jeszcze takiej nie było... nie będzie!”

I znowu, bredząc, widział dzikie mary,
I znowu światu złorzeczył boleśnie;
Przeklinał trunek, pijąc go bez miary,
Przeklinał pieśnię, układając pieśnię.
Wkońcu w obłądach i sam tak się mami.
Że i przeklinał i gadał pieśniami.
Niektóre z pieśń chwyciły dziewczęta
I dzisiaj pieją w sianokos lub zniwo;
Insze, tak mądre, że czart nie spamięta.
Głosiły dolę w przyszłości szczęśliwą:
O złotych pługach, pod którymi trawa
Zaraz w wysokie przeradza się zboże;
O wielkich sercach, z których kropla krwawa
Całe stulecia uszczęśliwiać może;
O wielkich pieśniach — i znów mu się kręci
Taniec w gospodzie i uśmiech dziewczęci.
A czasem w lesie rękoma wpół chwyta
Brzózkę, jedlinę, albo głogu ciernie,
I nawpół z płaczem, wpół z uśmiechem pyta:

„Czy będziesz kochać — ale kochać wiernie?”
Nareszcie żadnych przełożeń nie słucha,
Nic nie pił, nie jadł — i pobledniał srodze.
I tu na piasku przy ustronnej drodze,
Oddał nieszczęsny Panu Bogu ducha.
Nie prędko biednych poszukali szczętów.
A gdy znaleźli, gdzie leży syn wdowi,
Tutaj mogiłę wyryli trupowi,
Bo bez Najświętszych umarł Sakramentów.
I myślą sobie: „Ziemia swojej niwy
Choć z umarłego niech wyciągnie troski”.
Ale szalenie, w życiu nieszczęśliwy,
Jeszcze nieszczęście sprowadził do wioski.

Nie więcej, w tydzień trzy trójki pocztowe
Z urzędnikami do wsi naszej lecą;
A kiedy każdy zatrwożony nieco
Zdejmował czapkę, uchylając głowę.
Kazali przysiąc każdemu z współbraci,
Że ów nieszczęsny zapaleniec młody

Umarł z puchliny, z nadużycia wody;
Kto nie przysięgnie, sowito zapłaci.
Jedni płacili z duszy po talarze,
Drudzy przysięgli — Bóg za to ich karze
Czy na dobytku, na działwie, na sobie.
Inszemu ogniem poszła roczna praca.
Nie dziw, że dzisiaj, wspomniawszy o grobie,
Każdy z wieśniaków rozmowę odwraca;
W każdym ku niemu wstret znajdziesz jednaki,
Bo jego pamięć dała się we znaki.

XVIII.

Dziewczę pobiegło, kędy oczy wiodą,
Aż do rozwianej wiatrami mogiły.
Tam już u kopca był starzec pochyły,
Jakby za wspólną zeszli się ugoda.
Znać, że się zeszli dla wspólnej przyczyny
Nierozgrzeszeni dzisiejszego rana,
Że dobry Pan Bóg przez usta kapłana
Nie raczył ciężkiej odpuścić im winy.
Lecz czyliż wina, co cięży ich głowy,
Z polną mogiłą ma związek jakowy?
Coś strasznego wykroczyli pono
Względem szaleńca, co tu pogrzebiono;
Lecz jaka wina wspólnie ich kojarzy?
Kiedy ją zmażą? jakimi zasługi?
O to nie pytaj u wiejskich plotkarzy:
Bóg tylko jeden, a pleban wie drugi.

XIX.

Podarty całun białego śnieżyska
Gdzie niegdzie ciągnął po dolinach smugi,
Gdzie niegdzie strumyk z lodów się wyciska.
Płaczą się k'niemu i jeden, i drugi,
A opłókawszy poorane niwy,
Snują ku rzece swój pęd hałaśliwy.
A wzgórki suche, — na kopcu mogilnym
Żółty żwir piasków świeci się z daleka.
Na tle błękitu bije rysem silnym
Kształt klęczącego przy grobie człowieka.
W modlitwie starca gwałtowności niema:
Kłęczy schylony i wsparty na dłoni —
A mówiąc psalmy, na książkę co trzyma,

Kiedy niekiedy gorzką łzę uрони;
A kiedy ręką łzy ocierał z powiek.
Gdy siwe włosy odgarnął z nad czoła,
Dziewczę ujrzało, że to znany człowiek.
Wesoły grajek z sąsiedniego siola.
Trudno przypuścić, by zmarłemu szkodził.
Albo ku niemu knował złe zamiary:
On go grać uczył, do gospody wodził,
Jako brat w pieśni, jak przyjaciel stary;
Znany jak człowiek dobrego sumienia,
Z dobrymi ludźmi spędził mnogie lata.
A czemuż dzisiaj nie wziął rozgrzeszenia
I przyszedł płakać nad grobem kamrata?

Na widok starca zmieszana dziewczyna
Chciała się cofnąć do leśnej uboczy:
Lecz starzec spojrział, i coś przypomina,
I wlepił chmurną źrenicę w jej oczy...
Zaśmiał się dziko: „Ha! to jakieś czary!
I ty przychodzisz płakać na tym grobie!
Dwoje morderców u grobu ofiary!
Ha!... znam ja ciebie — słyszałem o tobie!
Czego tu szuka kłamana obłuda?
Poco tu przysłaś, zalotnico płocha?
Zakłócić spokój — to ci się nie uda!
Przebłagać cienia — to za późno trocha!
Dziś biedny Szymon śpi martwo w swej trumnie.
A dusza poszła w czyścowe ogniska,
Skąd na nas chyba przeklęctwami ciska,
Groźnie spogląda ku tobie i ku mnie.
Nas dwoje tylko ukochał na ziemi, —
A my co za to? w zamniemaniu podłem
Jad mu podali rękoma własnymi!
Ty rozpacz — ja śmierć na niego przywiodłem.
Dwoje zabójców... nad jednemi szczęty,
Zbyt obciążamy jego kości w grobie!
Dajże tym piersiom choć raz pokój święty.
Płocha dziewczyno! a idźże stąd sobie!”

Tak groźnie mruknął — i znów książkę bierze.
Na dłoń się wsparła jego głowa siwa,
I zaczynając przerwane pacierze,
Pokutne psalmy znowu odczytywa.
Ale na głowę dziewczęcą bez siły

Za nadto ciosów dnia jednego spadło:
W jej oczach émi się, jej lice pobladło.
Chwieje się, klęka na piasek mogiły.
Co czyni — sama nie pamięta zgoła,
Chwyta garść żwiru i ciśnie do czoła,
I tłumiąc jęki, których pierś nie zmieści,
Ledwie na ciche łkanie się zdobędzie.
Poruszył starca ten widok boleści:

Wypłacz się, dziecię, to ci lepiej będzie!
I sam podawszy tę radę w niedoli,
Zapłakał cicho, lecz rzewnymi łzami.
Łza zaraz ulży, kiedy serce boli,
Zwłaszcza gdy inny podzieli ją z nami.
Czasem łzę jedną okupiłbyś drogo,
W ściśnionem sercu gdy krwi bije fala;
Ale nie zawsze oczy płakać mogą,
Nie zawsze kamień z serca się odwala.
W dniach udręczenia szczęśliwsi, im szczerzi,
Wsi i natury wychowańcy prości;
Nieraz bohater, mąż hartownej piersi,
Słabej niewieście jej łez pozazdrości.

XX.

Dziewczę płakało — a gdyby jej łezki
Przesiały żwirem aż w grobowe łóże,
Spadły na piersi z pod grobowej deski.
Biedny umarły wnet wskrzesnąłby może:
Tyle w tych kroplach, co z pod serca biega,
Siły żywotnej i żalu szczerego.
Gdy płacz szeroki, jak posłannik nieba,
Ulżył boleści pocieszeniem nowem,
Dziewczę uczuło, że sercu potrzeba,
Aby z kimkolwiek podzielić się słowem;
I już nie bacząc, czy starzec się chmurzy.
Tak przed nim boleść serdeczną wynurzy.

XXI.

— I wy!... mój Boże!... smuci mię i dziwi —
Wy jeszcze na mnie rzucacie zakąły,
Ojcze Tarasie! wy niesprawiedliwi!
Jak Bóg na niebie, jak dzień mamy biały.
Klnę się na męki, co mi serce gnioła,
Jeślim zgrzeszyła — to chyba pustota...

Musiał ci mówić: jak, gdzie, w jakiej chwili,
Gdyśmy raz pierwszy siebie obaczyli?
On był przychodzień, w naszej wiosce obcy,
Ze starą matką gdy tu chatę wzięli.
Często wioskowi gniewali się chłopcy.
Że Szymon z nimi zabawy nie dzieli,
Triumfowali, że nie taki hoży,
Śmieli się z niego, że odludek Boży.
Lecz ja lubiłam jego rzewną postać,
Jego głos tęskny, jego twarz sierocą.
Dziwną go Pan Bóg udarował mocą,
Że mógł spojrzeniem aż głęb serca dostać.
Kiedy się zbiorą sąsiadki, sąsiady,
Jakaś pustotę albo żart uczynim, —
On tylko spojrzał, a każdy z gromady
Płochego żartu zawstydził się przy nim.
Choć żadnem słówkiem, choć żadną przestrogą
Nie upokarzał rówieowników grona —
Bóg raczy wiedzieć, co te oczy mogą...
Ja sama nieraz byłam zawstydzona.
Kiedy bywało nie strzegę się ściśle,
Kiedy coś powiem, czego nie pomyślę.
Nim go poznałam, i ja byłam płochą,
Lubiłam żarty wioskowej młodzieży:
Ale na niego popatrzawszy trocha.
Poczułam jakoś, co mi się należy.
I gdy bywało on samotny w tłumie,
Ja w jego oczy poglądałam rada.
I zawsze jakoś serce wyrozumie,
O czem on myśli lub o czem zagada.
A i on nieraz, aż uczułam trwogę,
Umiał odgadnąć, co ja myśleć muszę...
Jak się to działo, powiedzieć nie mogę;
Tak jakoś Pan Bóg stworzył nasze dusze...
Czyśmy się prędko poznali. kochali?
Ojczy Tarasie, tego coś nie pomnę...
Lecz było ze mną tem gorzej, im dalej:
Gdy go nie widzę — już dni nieprzytomne.
Już sny bezładne — nawet żyć nie miło...
A tam nad rzeczka, pod wierzbą pochyłą,
Jest stary kamień — tam, gdy wieczór złoty,
On lubił siadać, wracając z roboty,

Lubił spoglądać na łąki zielone,
Na ciemne lasy, na błękitne nieba.
Jakoś pod wieczór zawsze w tamtą stronę
I mnie bywało wychodzić potrzeba:
To naszych owiec zbłąka się gromadka,
To do sąsiadów posyła mnie matka.
Albo mój dziadek wśród pustej gawędki
Przypomni sobie, siedząc u wieczerzy,
Że nie opatrzył w zatoce więcierzy,
Albo na trawie zaponiiał swej wędki.
Ojczy Tarasie! wszak pamiętasz dziada:
Był bardzo srogi! — rada czy nie rada
Muszę tam spieszyć — a kiedy się zjawię.
To siedzi Szymon na kamiennej ławie,
Da dobry wieczór i o czymś zagada.
To muszę słuchać, rada czy nierada...
Czy go kochałam? nie wiem ani trochy;
Bo to kochanie świat różnie uważa:
Parobczak chciałby wyjść na gospodarza.
Dziewczynie przykre łajanie macochy,
Więc mówią sobie: Już tego za wiele!
Kochać się będziemy, weźmiem ślub w kościele,
I półwólcz gruntu weźmiemy we dworze;
Na weselisku poskaczem, wypijem,
Przecież na starość nie pójdziemy z kijem.
Bóg nas na ludzi wyprowadzi może.
Dla mnie z Szymonem nie takim obrazem
Stawała przyszłość we szczęście bogata:
Byle ogródek, rozwalona chata,
Lecz będziemy razem — zawsze z sobą razem.
Szymon powiada: — Marto moja, Marto!
O inszem życiu i mówić nie warto.
Będziem ubodzy — ja ci piosnkę sklecę
O Panu Bogu, o wiośnie, o rzece.
O czem ty zechcesz — mam piosnek nawaleń,
Ja w pieśni nową utoruję drogę;
Od pewnej chwili... gdy ciebie poznałem,
O wszystkim piosnki wyśpiewywać mogę.
Lecz, Marto moja! marzenia na stronie —
Nim się nam życia wypełnią rozkosze,
Nim się ja ojcu twojemu pokłonię.
Nim u twej matki o rękę poproszę.

Nim przed ołtarze poprowadzę ciebie, —
Powiedz mi szczerze, jak Pan Bóg na niebie:
Czy ty mię lubisz? — bo ja szczęście ziemi,
Chwilki nie myśląc, w twoje ręce złożę;
Ale ty, Marto, broń Boże! broń Boże!
Twe płochę myśli puścisz za drugimi!
To wtenczas biada całej naszej doli:
Ostatnia nitka mego szczęścia pękła! —
Szymon zapłakał, jam przed nim ukłękła:
— Niech Bóg, mówiłam, niech Bóg nie pozwoli.
By serca nasze w jakiegokolwiek dobie
Miały się zmienić, ostygnąć ku sobie! —
Szymon szczęśliwy chciał coś odrzec na to:
Lecz było późno — zerwałam się z ławy...
Czy to ze szczęścia, czy może z obawy,
Serce mi drżało, gdy wbiegłam do chaty.
Aż wpół oślepiłe źrenice u dziada
Postrzegł bladość — zaprzestał gawędki:
— Co tobie, Marto? czegoś taka blada?
Napij się wody! Bieg musiał być prędki!

XXII.

Na przyszłą wiosnę miał być ślub z Szymonem.
Marzyłam o nim, liczyłam tygodnie,
Po tysiąc razy w sercu rozmarzonym
Pytałam siebie, czy miłość nie chłodnie?
Lecz serce zawsze mówiło radośnie,
Że silniej bije, że uczuciem rośnie.
A on czy kochał? — dobrzem to wiedziała,
Inaczej wierząc grzeszyłabym srodze;
Wciąż jedną myślą jego głowa pała,
Wciąż w jego duszy nowy skarb znachodzę.
Ale my biedni — wśród mozolnej pracy
Nie sposób zawsze bywać przy kochanku,
Nie sposób być tam, gdzie się myśl obraca,
Nie sposób serce pieścić bez ustanku.
Potrzeba było grosza na wesele,
Na zapowiedzi i na zaręczyny;
Więc biedny Szymon, nie czekając wiele,
Przystąpił na flisa do dwornej wicyny.
Insi szli, pieśni śpiewając ohoce,
A on był smutny, jak jodła na grobie...

I ja nieszczęsna nie wierzyłam sobie,
Jak też potrafię przeżyć to półrocze...
Straszny był wieczór, gdyśmy się rozstali!
Jego wspomnienie aż dotąd mię męczy —
Gdyśmy słuchając szumu rzecznej fali,
Wsparli się, milcząc, na mostu poręczy,
I jakby jedną myślą ożywieni.
Błądzili wzrokiem po niebios przestrzeni...
Ojczy Tarasie! choć żyłeś lat wiele,
Takiego nieba nie widziałeś może:
Ciemne chmurzyska nad lasami ściele,
Tłoczy wierzchołki czarnych jodeł w borze,
Pokrywa mgłami i rzeczkę i błoto,
I serce jakąś naciska tęsknotą;
Z każdej mgły mara wysuwa się blada,
Złowrogi przestrach jakby z deszczem pada.
A tutaj boleść znęca się nad duszą,
Że się potrzeba rozłączyć na dłużej;
A takie niebo nie dobrze coś wróży,
A tam na Niemnie głębiny być muszą,
I pełno wiosek, pełno miast przy Niemnie,
A tam dziewczęta piękniejsze ode mnie...
Mówiłam pacierz do Aniołów Stróży,
Wzywałam rzewnie ich opieki świętej,
Aby go strzegli od fali, od burzy,
A jego serce od jakiej ponęty...
Szymon mi mówił: — Bądź zdrowa! bądź zdrowa!
Wrócę zdrów, wesół, przyspieszę wesele.
Przeklęty będzie, kto przysiąg nie chowa!
Półrocze czasu — och, jakże to wiele!
Sercu kobiety wielu się spodoba...
Och! to półrocze, jakaż długa próba! —
Uklękałam przed nim i złożyłam ręce:
— Niechaj sam Pan Bóg pokarze mnie biedną,
Gdy przez półrocze chociażby myśl jedną
Komu innemu, niż tobie, poświęcę!
Związek wieczysty, święty i niewinny,
Zanadto silnie serca nam skojarzył,
Aby ktoś inny jeszcze nam się marzył,
Aby nas zdołał zajmować ktoś inny.
Tu nawet żadnej nie będzie zasługi,
Bo mi do duszy nie przypadł nikt drugi,

Nikt nie przypadnie — mogę ręczyć śmiało,
 Bo gdy raz serce ciebie pokochało.
 To już nie znajdzie w całym świecie tłumie,
 Choćby się chciało przენiewierzyć zdradnie,
 Nikogo w świecie, co mię tak odgadnie,
 Co wszystkie moje dumki wyrozumie.
 Tyś mi zanadto po małej iskiecie
 Rozpalił głowę i rozpieścił serce. —

Takem mówiła... Uwierzył — uściśnął...
 Zapłakał tylko — i przyszło rozstanie...
 Księżyc coś dziko przyglądał się na nie
 I krwawem światłem nad nami zabłysnął:
 Raził mi oczy jego blask iskrzaty,
 Kiedy splakana wracałam do chaty.

XXIII.

Po takich chwilach jeszcze marzym w nocy,
 Miłą przeszłością słodzim stan sierocy.
 Ale poranek... to skończenie świata!
 Piekło na ziemi, gdy przymkniesz oczyma,
 A myśl najpierwsza w głowie zakolata:

„Już jego niema!“

Co począć z sobą?... z tym dniem — co natrętny
 Już bije w oczy promieniami, jak nożem?
 Z jutrem?... z Niedziłą?... a toż dzień pamiętny,
 Tośmy się w domu spotykali Bożym.
 To na cmentarzu, to w chacie sąsiada...
 Albo wieczorem — och! gdy wieczór pada.
 Czy iść nad rzekę? sięść na kamień znany
 I tam skamienieć? — Nie pójdę w tę stronę!
 Bo jeszcze przyjdzie szal niespodziewany,
 Zeskoczę z mostu i w rzece utonę...
 Czy iść na pole?... O! nie! tam przy gruszy
 Wiliśmy niegdyś wianki z polnych ziółek!...
 Może do ludzkiej przytulić się duszy?
 Straszno! nie lubię moich przyjaciółek!
 Bo przyjaciółka wie, czem mnie zatrzyma,
 O czem ja mówię, o czem marzyć rada;
 Najpierwsze słowo, co do mnie zagada:

„Już jego niema!“...

Dowodzą ludzie, że jest takie ziele,
 Co można łyżkę lub wiadro nawarzyć,
 Wypić i przespać dni, tygodni wiele —

Och! jak to błogo! byle spać i marzyć,
A w tem marzeniu miewać sny prorocze!
O! takbym spała przez całe półrocze!
Lecz takie ziółko rośnie za morzami —
Nam trzeba czuwać, żyć i śmiać się marnie...
Ojczy Tarasie! jakież to męczarnie,
Pierwszy poranek gdy zostaniem sami!
Serce ci pęka, z bólu nie wytrzyma,
Jeszcze się nieraz zapomnisz w tej chwili,
I myślisz sobie: on troski unili...
Lecz się ocykasz, że jego już niema!

XXIV.

Tak dzień upłynął na strasznej torturze —
Przyszła noc znowu — i znowu świtanie...
Któż te męczarnie wypowiedzieć w stanie?
Za nadto boli — ja ich nie powtórzę...
Przed jedną matką, w której pełna wiara,
Serce cierpiące całkiem się odsłania;
Lecz moja matka — ona nazbyt stara.
Gdzież jej zrozumieć boleści kochania?
Przeszło dni kilka, nawykłam z niedolą...
Chciało się płakać, lecz chciało się spółki:
Wezwałam k'sobie wierne przyjaciółki,
Te naśmieszyły, że aż boki bolą.
Nazajutrz ciężka zajęła mię praca,
Smutek złagodniał — i już nie powraca.
Lecz do snu dawne wspomnienie się ciśnie,
Bom jedną myślą zawsze uniesiona;
Czuję, że kocham, więc Szymona przyśnię.
Ale już mglisto śniłam twarz Szymona;
Potem w snach moich i twarz, i postawa
Już jakby obłok niewyraźnie stawa.
A jednak ogniem jednych uczuć pałam,
A jednak szczerze Szymona kochałam.
Tak, nim w połowie ubiegło półrocze.
Rozrywać smutek czułam się w potrzebie;
Już przyjaciółek zabawy ochocze
Coraz mię częściej nęciły do siebie.
Gorzkim przecuciem, jak gdyby chorobą,
Ciągle dręczona, czułam, jak to boli.
Pragnęłam smutek złagodzić powoli,
Uciec od myśli, nie być sama z sobą.

Kiedy lzy z oczu lały się gorącej,
Ja biegłam śmiać się do rówiennic rzeszy;
Ten memu sercu spodobał się więcej,
Kto najweselszy, najprędzej rozśmieszy...
Ojcze Tarasie! tak jak mnie widzicie,
Ja w duszy mojej tak niegdyś bogata.
Co dotąd rzewnie patrzałam na życie,
Poczęłam śmiać się z życia i ze świata;
Śmiałam się nawet, płocha uniesiona,
Z naszej miłości, z siebie i Szymona.

— Tak przeszły znowu dwa czy trzy tygodnie —
On zawsze w myślach, choć nie tak go cenię.
Czasem mi z cicha powiada sumienie,
Takiemi śmiechy że śmiać się niegodnie;
Że Szymon, we mnie taką widząc zmianę,
Gorzko zabołość w głębi duszy może;
Dziwne wyrzuty aż dotąd nieznane
Gryzły mię z rana, gdy oczy otworzę.
Gdy jakaś władza w głębi piersi skryta
O całodzienny rachunek zapyta...
Och! niepodobna być z sobą samą na sam!
Mówiłam, ręce łamiąc rozpaczliwie:
Idę do ludzi — pracuję we żniwie,
Albo na łące śmieję się i hasam.
Zwano mię pustą — a nikt i przez chwilę
Nie chciał odgadnąć, co ten śmiech porusza!
Miałam przyjaciół, przyjaciółek tyle,
Przecież nie zgadła ani żywa dusza:
Ani mój dziadek, co stawiać więcierze,
Często się chwalił, że zna świat nielada.
Ni moja matka, co modląc się szczerze,
Zawsze bywało o sumieniu gada;
Ni rówiennice — przecież są młodemi.
Młodego serca tajniki znać muszą...
O! gdzie tam! gdzie tam! dobrze śmiać się z niemi,
Lecz trudno duszy rozmówić się z duszą...
Jedenby Szymon zgadł w najprędszym czasie.
Ale go niemasz na nieszczęście moje.
A mówiąc szczerze — och, ojcie Tarasie!
Już jego przyjscia czułam, że się boję.
Że będzie cierpiał nad moją odmianą, —
Chciałam go widzieć, nie będąc widzianą.

— Zagłuszyć wyrzut, co dręczył kryjomu,
Nigdzie nie lepiej jak w równin kole;
Więc byle chwilka, wymykam się z domu,
Z towarzyszami śmieję się, swawolę.
A kiedy czasem, wracając z roboty,
Któryś parobczak zjawi się do grona.
To jeszcze więcej śmiechu i pustoty,
To jeszcze bardziej byłam ożywiona.
Z taką się myślą oswajałam co dnia:
By durzyć chłopców... tak sobie... bez celu...
Czy to, broń Boże, taka wielka zbrodnia
Kochać jednego a bwać się z wielu?
Wszak to miłości przeszkadzać nie może,
A mego serca żaden nie przebodzie;
Gdzie tam ich kochać? at, stworzenia Boże!
Dobrze się pośmiać, potańczyć w gospodzie.
Wszak kiedy Szymon powróci na końcu,
Już wieczny rozbrat ze światem uczynim;
Biedne chłopczyśka — oni zgasną przy nim,
Jak małe gwiazdki przy pogodnem słońcu.
A czyż to lepiej, gdy się głowa pali,
Od smutnych dumek kiedy serce wędnie?...
Tak sobie myśląc, wciąż dalej a dalej
Życie pustoty wiodłam nieogłędnie.

XXV.

Młody parobczak, syn strzelca z pod gaju,
Chłopiec wesół, piśmienny, bogaty,
Często a gęsto miewał we zwyczaju
Do mego dziadka zachodzić do chaty.
Czasem się zdarzy, kiedy niema dziada,
Muszę go przyjąć, rada czy nie rada.
O niczem mówić nie lubił poważnie,
Ale z nim śmiać się tak było wesóło,
Że myślę sobie: ot tego podrażnię,
Na tem coś wygra całe nasze sióło!
Bogaty, wesół — on w każdą niedzielę
Zamówi skrzypce i miodu zakupi.
Spogląda na mnie — trochę go ośmielę,
Niechże się kocha, kiedy taki głupi!
Jam siebie pewna: nie pokocham przecie
Oprócz Szymona nikogo na świecie.

I tak się stało... Bywało co święta
Aż drży gospoda od tańca i skrzypiec;
Wdzięczne mi były wioskowe dziewczęta,
Lało się zdrojem i piwo, i lipiec;
A ja, spokojna na mej drodze cnoty,
Śmiejąc się w duchu, przyjmuję załoty.

XXVI.

Jednej niedzieli szło gwarniej niż zawsze.
Poczęło zmierzchać i nastało ciemno;
Skrzypce głośniejsze, tańce były zwawsze,
A młody strzelec wciąż tańczył ze mną;
I w jego rękę trzymając me ręce,
Wiodłam ochotę i tańce złowieszcze;
W tańcu swawolę, wymykam się, kręcę,
A tak chichoć, że jak nigdy jeszcze...
Wtem, jak mi później ludzie powiadali,
Wszedł do gospody podróżny z tłomokiem,
Dokoła powiódł jakimś dziwnem okiem,
I w ciemnym kątku siadł sobie w oddali.
Tak patrzył na nas godzinę, czy więcej;
Już go poznali niektórzy sąsiedzi,
A ja, swawoląc coraz to goręcej,
Anim zważała, kto tam w kątku siedzi.
Wtem dał się słyszeć łoskot na podłodze,
Jakiś jęk głuchy przerwał skrzypiec tony;
Przypadli ludzie przerażeni srodze...
Podano ognia — to Szymon zemdlony!
Czyż trzeba mówić, żem zbladła, krzyknęła?
Że w serce moje uderzył grom Boży?...
Całą szkaradę mej płoczości dzieła
W jednym momencie uczułam najsrożej...
Ludzie podbiegli, po imieniu zową,
Twarz mu skropili i podali wody.
Szymon się ocknął, popatrzał grobowo,
Jeszcze się zachwiał i wyszedł z gospody.
Wybiegłam za nim. — Szymonie! Szymonie!
Zlituj się! przebacz! powitaj mię z drogi! —
Ale on spojrział jakby duch złowrogi,
I poszedł dalej — tu, ku lasu stronie.
Ja go dopędzam, ukłękłam na drodze;
Lecz mię odepchnął rękoma drżącemi;

— Zabiłaś, Marto! zabiłaś mię srodze!
Zabiłaś wiarę we wszystko na ziemi!
Przeklęte trzykroć to plemię człowiecze!
Ten świat nie dla mnie... Bywajcie już zdrowi! —

Znów zastąpiłam drogę Szymonowi,
Lecz znów odepchnął i słowa nie rzecze.
Poszedł do lasu — mnie zamrok uderzył,
Padłam i w ziemię uderzyłam głową;
A gdy chłód nocny nieco mię odświeżył,
Przyszłam do chaty, bredząc gorączkowo.

XXVII.

Przez dwa tygodnie leżałem w malignie,
Ze strasznej śmierci pasując się siłą...
A gdy mię Pan Bóg z choroby podźwignie,
Już w naszej wiosce Szymona nie było.
Mówili ludzie, że ledwie oddycha,
Że się zabłąkał w najciemniejsze knieje,
Że jakieś piosnki wyśpiewywa z cicha
I dzikim śmiechem szydersko się śmieje;
Że nigdy słowa nie mówi do czleka,
Że tak się błuka całe dni i noce,
Że dreszcz ogarnia, słuchając zdaleka.
Kiedy z nim leśne echo zachichocze...
A tutaj w wiosce, w zagrodniczej chacie,
Dogorywała jego matka w nędzy.
Chciałam ją cieszyć po syna utracie.
Lecz mię przekłęła — ucieklam co prędzej...
Przyszłam nazajutrz — i znowu przeklina...
Tylko już w samej ostatniej chorobie
Nie przeszkadzała czuwać mi przy sobie
I nie nazwała zabójczynią syna.
Spędzałam przy niej długie chwile czasu,
Czuwałam nad jej ostatnią godziną...
On się raz przywłókł pod chatę matczyną...
Ujrzał mię w oknie — i wrócił do lasu.
Matka umarła — a jego nie było;
A gdy ją gmina pogrzebla wioskowa,
Przyszł, zapłakał nad matki mogiłą,
Lecz do nikogo nie powiedział słowa...
Potem się zjawił — ale w jakim stanie!
Błady, odarty, upadły do tyła.
Że gdzie przed świtem, nim jutrznia powstanie,

Już on w gospodzie kielichy wychyla,
Dziwne piosenki bełkoce beładnie,
I znowu pije, póki z nóg nie spadnie.
Zadrzemie chwilkę, wstanie i znów woła:
— Dajcie mi czarę! precz z życiem przekłętym! —
Chciałam doń mówić — nie poznał mię zgoła...
A może poznał, bo spojrzał ze wstrętem,
Zgrzytnął zębami, odwrócił się zwawie,
Wychylił czarę i zasnął na ławie...
Tak stargał życie — i po krótkim czasie
Nieszczęśliwego nie było na świecie!...
Ojcze rodzony! ach, ojciec Tarasie!
Jak na spowiedzi teraz wszystko wiecie...
Dzisiaj w kościele — ot tak, słowo w słowo,
Odkryłam rany mojego sumienia.
Lecz że zabójstwo ciąży nad mą głową,
Pleban mi dzisiaj nie dał rozgrzeszenia,
I kazał tutaj modlić się w pokorze,
Aż się przebłaga miłosierdzie Boże! —
I tak dziewczyna, pasując się w męce,
Długo płakała, twarz ukrywszy w dłonie;
A stary Taras, załamawszy ręce,
Jęknął serdecznie i tak mówił do niej:

XXVIII.

— Późny żal przyszedł do twojego serca,
Za późno wracasz na poprawy drogę...
Ja ci okropną pociechę dać mogę,
Że jeszcze drugi jest jego morderca!
Tyś rozpoczęła nierozważnym szaleń,
Jaz przezie starzec — gdzież moja rozwaga?
Ja, com doświadczył tyle w życiu mojem, —
Ogień piekielny, co się w sercu wzmaga,
Jam mu podniecił gorącym napojem.
Słuchaj!

— On długo blakając się w lesie,
Wpół nieprzytomny, prawie wpół umarły,
Jakoś ku mojej przywędrował strzesie,
Do drzwi zapukał — drzwi mu się otwarły.
Poznał mię prędko — zapłakał boleśnie,
I całą siłą rzucił się na szyję:

— Ojciec — zawołał — znasz, jak serce bije,

Bo tyś mię uczył, jak się składa pieśnię!
Kłamstwo, mój ojcze, że jest cnota w świecie,
Że za ród ludzki żyć i umrzeć warto...
Ty znalazłeś Martę — och! to święte dziecię!
Ojcze, weź książkę! pomódl się nad Martą!
Już Marty niema — już śmierć w jej żrenicy —
Ona zginęła! stracone nadzieje!
Choć jeszcze żyje, choć jeszcze się śmieje,
To ziemny robak z śmiechem zalotnicy! —
Tak wpiwszy we mnie swe żrenice krwawe,
By zebrać oddech, całe piersi sili,
I wszystko w jednej wypowiedział chwili,
Zaśmiał się gorzko i upadł na ławę.
Łzy mi stanęły, żal ścisnął się w łonie...
Chciałem go cieszyć najprędzej, najprościej,
Rzekłem wesoło: — Żle czynisz, Szymonie,
Że z jednej sądzisz o całej ludzkości!
Ona zdradziła — ty cierpisz! ja wierzę;
Lecz śmiej się z tego — jedyny ratunek:
Potrzeba w inszej pokochać się szczerze,
Ale tymczasem — trunek na frasunek!
Mam tu miód stary — wypij, to pokrzepi!
— O nie, mój ojcze! — tak Szymon odpowie —
Jam niegdyś pijał, nadwreżył zdrowie,
Piłem w cierpieniu — nie było mi lepiej.
Niechaj ten pije, który rąbie drzewa,
Pracuje z pługiem, albo trzody pasie;
Lecz my próżniacy — ach, ojcze Tarasie!
Nas dostatecznie piosenka rozgrzewa,
Boleść rozpala, a myśl ogniem piecze,
Już i tak serce rozpęknąć się może! —
A jam nalegał: Człowiecze, człowiecze!
Zrozumiej życie, szanuj dary Boże.
Że dziś czy jutro ma cierpieć z nas który,
O tem już dawno przewidziano z góry.
Trunek, co duszę wpół martwą ożywi,
Co w stare kości wlewa siły młode,
Nie dla tych dany, którzy są szczęśliwi,
Lecz dla cierpiących — po łzach na osłodę! —
Tak nalegałem, bom kochał Szymona,
Sądząc, że w smutnym ulecze obłędzie,

Że gdy wstąpi pierwszy do czarki pokona,
To już weselszy i szczęśliwszy będzie.
Więc go zakląłem: jeśli jest kolegą,
Kocha mnie, ludzkość i Boga samego,
Niech pokosztuje.

Skosztował z kielicha,
Wypił aż do dna — nalał drugi, trzeci.
Chciałem go wstrzymać — już rękę odpycha,
Już dzikim ogniem jego oko świeci:
— Pić mi podajcie! tak zakrzyknął wściekle
Ogień piekielny niech pali się w piekle!
Nalej mi miodu, gorzalki czy smoły!...
Zdrowie zdrajczyni!... pij ze mną Tarasie! —
Pił i nalewał już martwy na poły,
I krzyknął: — Pijmy! teraz już po czasie!
Spełniona dola... Przekłety, przekłety,
Kto pierwszą kroplę w moje usta wsączył!...
Krew już do piersi nawala się wzdętej...
Nalałem czarę — do dna będę kończył:
Dopytam może, gdzie jest szczęścia meta...
Niech żyje ludzkość! niech żyje kobieta! —
Tak pierwszy puhar spełniwszy złowrogi,
Pobrnął do wioski lasami i jarem,
I tam do reszty zgubił się puharem,
I tu nieszczęsny spoczął wedle drogi...
To my, dziewczyno — myśmy go zabili,
I brama piekieł wspólnie nam otwarta...
Przyjaciół Taras i kochanka Marta
Do ostatecznej przywiedli go chwili,
Bo podbudzając niebacznie, zdaleka,
Rozplamienili namiętności człeka...
Ty z jego serca wypłeniłaś wiarę
W godność ludzkości, którą wyssał z mlekiem;
A ja ognistą podałem mu czarę,
Aby do reszty przestał być człowiekiem.
Kto z nas winniejszy — Bóg kiedyś rozważy:
Tyś go na duszy; jam zabił na ciele...
Nam się zdawało, że takich zbrodniarzy
Kapłan od razu rozgrzeszy w kościele.
Lecz nas odepchnął, wskazał za pokutę
Własne sumienie i modlitwę łzawą;
Aż w Dzień Zaduszny mieć będziemy prawo

Znów nasze myśli gorzkie i zatrute
 Otworzyć przed nim... Tu, u grobowiska,
 Krzepmy modlitwą serce, co usycha;
 Dosyć rozpaczy! niechaj modla cicha
 Uleczą boleść, co serce naciska.
 Męczennik serca, co leży w tym grobie,
 Może już przebył czyścowe otchłanie,
 I nam odpuścił winy przeciw sobie.
 I nas przed Bogiem uniewinnia za nie.
 Módlmy się tylko! —

Wsparł głowę na rękę
 I czytał psalmy pokutne ze łkaniem:
 Dziewczyna głosem bolesnego jęku
 Słowo za słowem powtarzała za nim.
 Wieczorne słońce z za góry, z za chmury,
 Rozlało uśmiech po ziemskim obszarze,
 Rzucając promień złotawej purpury
 Na las, na wioskę, na pokutne twarze;
 A w mgłach wilgotnych od wybrzeża rzeki
 Na Anioł Pański jęknął dzwon daleki...

EPILOG.

Och! gdyby życie było poematem,
 Jakżebym pięknie skończył moją powieść!
 Że Szymon wskrzeszał, aby szczerzej dowieść,
 Że się pojednał z ludzkością i światem;
 A przebaczywszy, że cierpiał tak wiele,
 Już swojej Marcie dałby rękę czułą;
 Pleban te ręce powiązałby stułą,
 Taras ze skrzypką przyszedł na wesele...
 Lub coś rzewnego obmyśliwszy raczej.
 Skreśliłbym obraz w całej pendzla sile,
 Że Marta, długo płacząc na mogile,
 Jednego ranka umarła z rozpaczy...

Ale ja prawdzie muszę być posłuszny,
 Muszę być wierny i w miejscu, i w czasie.
 Więc za półrocze przyszedł dzień Zaduszny,
 Ksiądz widział skrucę w Marcie i Tarasie,
 Dał rozgrzeszenie ze szczerego łona;
 Więc otrzymawszy miłosierdzie nieba,
 Czuli, że życiu wypłacić coś trzeba.
 I zaniechali mogiły Szymona.

Wiatr rozwiał piaski i — zielsko porosło,
Po zgniłych kościach oplata się żmija...
Taras odnowił pieśniarza rzemiosło,
Siedzi w gospodzie i miodek popija;
A co sam lubi, to i drugim radzi,
Że na frasunek trunek nie zawadzi.

Po dniach pokuty i ciężkiej spowiedzi,
Marta znów w tańcu wodziła orszaki.
Zjawił się chłopak — już nie wiem kto taki,
Prosił o rękę, dał na zapowiedzi,
Więc poszła za mąż — i co idzie za tem,
Pan Bóg dał dzieci, gospodarkę, zboże,
Wszystko jak trzeba... O Boże mój, Boże!
Czemu to życie nie jest poematem?!

23 marca 1856. Borejkowszczyzna.

GARŚĆ PSZENNA.

GAWĘDA LUDOWA.

I.

Stary Szczepan, wójt od wieka,
Był jedynym wójtem w świecie,
A takiego jak on człeka
I ze świecą nie znajdziecie.
Głowa tęga, dusza prawa.
Tak za swoją stał gromadę,
Że najkrętsza przyjdzie sprawa,
On najlepszą dawał radę;
I co w świecie rzecz nieznana
Lub należy do rzadkości,
Że lubiony był od pana
I lubiony w całej włości.
Tak wszystkiemu czyniąc zadość,
Był jak ojcem swojej wioski;
Ale starość to nie radość,
Przyszedł wkońcu wiek dziadowski.
Już o kiju suwa kroki,
Oko blaskiem już nie pała,
W plecach urósł garb szeroki,

Mądra broda pobieliała.
Więc przed swymi tak się biedzi:
Czas odpocząć mi nareszcie!
Rada w radę — i sąsiedzi,
Już innego wójta weźcie!
Moja głowa trzech nie zliczy,
Bo zwyczajnie stara, siwa.
A gromada jak zakrzyczy:
Dolaż nasza nieszczęśliwa!
Cóż to waści, panie bracie!
Przykro ojczyc w swej chudobie?
Czy nam zguby pożądacie?
Z taką mową idźcie sobie!
A dopóki ręka Boska
Trzyma waści w równej mierze,
Póty cała nasza wioska
Wójta sobie nie wybierze.

W prośby, w groźby on i oni;
Rzeczy wzięły rzewną postać, —
I dowiedli jak na dłoni,
Że on wójtem musi zostać.
Lecz starości gdy dogonim,
Życie ludzkie jak na włosku:
Więc im radził po ojcowsku,
By następcę wybrać po nim, —
Bo się potem swar obudzi,
Walka pocznie się złowroga,
I zgorszenie dobrych ludzi,
I obraza Pana Boga.

— Na to zgoda! — zawołali, —
Szczepan mówi święte słowa!
Ale na co szukać dalej?
Jest tu dziatwa Szczepanowa.
Ma trzech synów — dzielne chłopcy,
Każdy wart być na urzędzie,
Im wioskowy ład nie obcy,
Niech z nich jeden wójtem będzie.
Ale który?? — Ot i spory,
Już się teraz poważnili.
Jeden mówi, że Hrehory,
Drugi mówi, że Wasili,

Insi znowu z włości grona
Piszą karby na Szymona.
Ojciec widzi, że mozola,
Że do gwarnej przyjdzie zwady;
Siwe włosy zgarnął z czoła
I tak mówił do gromady:
— Jest tu lepszych gospodarzy.
I w wyborze ciężka bieda. —
Lecz jeżeli wam się marzy,
Że się który syn mój przyda.
Wasza łaska w tem widocznie.
Lecz do wójta droga długa!
Nim gromadzie służyć pocznie,
Niech pokaże, co za sługa:
Ot widzicie! właśnie pora
Poznać, jakie w którym czyny:
Pan na wiosnę śle Hrehora
Do Królewca na wiciny;
Wasil rusza w pańskiej sprawie
Aż w Krakowskie, panie bracie!
Szymon został przy mnie w chacie,
W Ukrainę śle Szymona,
Niechaj soli nam przystawi,
Bo w miasteczku nazbyt droga;
Wiem, że każdy z nich się sprawi,
W tem już łaska Pana Boga.
Ale który z cudzej strony
Większą korzyść nam przyniesie.
Będzie wójtem postawiony,
Będzie ojczył w naszej strzesie.
Za rok może o tej porze
Bóg mi życia nie odbierze.
Wszystkich trzech zbadamy szczerze,
Nie omylim się w wyborze! —
I gromada w serce bierze
Pana wójta złote słowa,
Nie wiesz, dziatwo Szymonowa,
Ze-ć gromadzkie oko strzeże!

II.

Jak raz za rok tejsze pory
Już z Królewca statki płyną.

I najstarszy syn Hrehory
Już powrócił z swą wiciną.
I zebrała się gromada,
Dano miodu, dano piwa;
I Hrehory opowiada
Troje cudów, troje dziwa:
Jaki był u Niemców miły,
Jaki przepych niesłychany,
A najbardziej mu się wbiły
Kapelusze i kaftany.

— Co tu mówić o siermiędze?
Krój dziwaczny, niesłychany,
Zaraz po niej znacznie nędzę;
Skrojmyż świty na kaftany!
A słomiane kapelusze,
Pańszczyźniany ubiór chłopa!
Już u Niemców — przyznać muszę.
Zaraz znaczna — Europa!
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,
I z westchnieniem rzekł do siebie:
Ten nie będzie wójtem po mnie!

III.

Wraca Wasil z pod Krakowa,
Opowiada tonem zucha,
A gromada wszystkie słowa
Najuważniej zdala słucha.
— Co to! — mówi — mowa jaka!
Proszę pana, jakie pieśni!
Każdy nuci krakowiaka,
Gdy my pijem tak boleśnie.
Gdzież tu piosnka brzmi swobodniej?
Każde słowo, każda nuta
Tak goryczy łąą zatruta,
Że aż echo wzdycha od niej!
Wiecie, bracia, co poradzę?
Rzućmy nasze piosnki stare,
W krakowiaka tańczmy miarę.
A ja rej wam poprowadzę.
Stary ojciec słucha skromnie,
Na kominku popiół grzebie,

I z westchnieniem rzekł do siebie:
Ten nie będzie wójtem po mnie!

IV.

Wraca Szymon z Ukrainy
Opowiada dziwne dziwy;
Lecz ze swymi tak szczęśliwy!
Ukraińca nie znać z miny!
— Dobrze — mówi — w tamtej stronie
Milę dojrzy, choćby ślepy,
Ciągłe stepy, ciągle stepy,
Niedojrzane okiem błonie!
A jak spojrzy w kraj daleki,
Aż zatęskni się wędrowiec,
Do swych sosen, do swej rzeki,
Do swych wzgórków, gdzie jałowiec,
Że chociażby w Ukrainie
Nasypano góry złota,
Popędziłaby tęsknota
Do swej wioski — ku rodzinie
Jedna tylko rzecz nie lada,
Czego sobie stamtąd życzę,
To pszenica! — z niebem gada!
A kłosiska gdyby bicze!
Więc tamiecznych plonów cuda
Uzbierałem mieszek spory;
Ej, spróbujmy! nuż się uda
Ukraińskie mieć nam zbiory!
A każdemu z was, sąsiedzi,
Dam po garści na początku... —
Ojciec słuchał w swym zakątku,
Westchnął, zamiast odpowiedzi;
W tem westchnieniu zamiast słowa
Wrzała chlubna myśl wójtowa,
Myśl ojcowska — znać ją z twarzy.
Syn mej wiosce korzyść zdarzy.

V.

I zawołał z uniesieniem:
— Z głupich ust głupia nowina!
Kto niemieckiem chce odzieniem
Pokryć ciało Słowianina;

Kto ku obcym skłonił duszę,
O pilścianej czapce marzy,
Kto słomiane kapelusze
Znalazł sobie nie do twarzy, —
W obce stroje niech się stroi,
Niechaj zdrów zakrywa oczy:
Latem czoło skwar uznoi,
A w jesieni deszcz przemoczy!
Głupi! jeszcze więcej głupi,
Kto rozumie, że szczęśliwy,
Że swojskiego ducha skupi
W jakiejś piosnce z cudzej niwy,
Kto pogardza grunt ojcowski,
Kto ku cudzym rzeczom skory!
Nie przyniosą nic dla wioski
Ni Wasili, ni Hrehory!
Lecz kto w obcej będąc ziemi,
Miał ku swoim chęć niemarną;
Kto pszeniczne zebrał ziarno,
By je krzewić między swemi;
Kto o świecie mówi skromnie,
Kto zataksnił po swej stronie, —
Ten zostanie wójtem po mnie:
Będiesz wójtem ty, Szymonie! —
A gromada ze słów rada,
Daje okrzyk, bije w dłonie,
Plon z pszenicy przepowiada:
Będiesz wójtem ty, Szymonie!

1856. Warszawa.

CIEŚLA.

GAWĘDA LUDOWA.

Na cmentarzu przy drodze
Budowano kaplicę.
Zmówić pacierz zachodzę,
Przejrzeć grobów tablice.
O południu skwar piecze;
Wytchnij nieco, człowiecze!
Robotnikom i cieśli
Z wioski strawę przynieśli;

Więc ucichły siekiery,
Czeladź na trawce siadła,
A spędzając znój szczery,
Szturm przypuszcza do jadła.

Stary cieśla co żywo
Zrównał postać pochyłą,
Dobyl lulkę, krzesiwo,
Pyknął dymkiem, aż miło!
Zadumał się — uśmiecha,
Poweselał na twarzy
I wyraźnie, choć z cicha,
Sam do siebie tak gwarzy:
„Kowal puka w kuzience,
Pali odzież i ręce,
Sierp naostrzy lub radło.
Zrobi topór, lemiesz,
Stuknie, puknie w kowadło
I zarobek wykrzesze;
A w gospodzie go czeka
Pogadanka, napitek,
Bo z takiego człowieka
Dobry wiosce pożytek.
Cieśla z niczem powraca
Od siekiery i pług,
Choć ciężka jego praca,
Choć i większa zasługa.

Młynarz puścił zastawki,
W kosze zsypuje zboże, —
I już dosyć zabawki,
Odpoczywać już może!
A jego trzódka syta,
Żona żyje w rozkoszy,
Dadzą mu miarkę żyta,
Dadzą mu kilka groszy;
Od dobrego człowieka
I podchmiele go czeka!
Cieśla z niczem powraca
Od siekiery i struga,

Choć jego cięższa praca,
Choć i większa zasługa!

* * *

Skrzypek piśnie na kwincie,
Zagra taniec lub drugi, —
Już on pełen zasługi,
Już podarki mu czynicie!
Ma pieszczoty dziewczęce,
Uścisk od chłopca zucha,
I grosz sypie się w ręce,
I szklanica nie sucha;
I co miłsze rozkosze,
Niż szklanica i grosze,
To, że serca człowiecze
Jakby dłonią zagarta!
Prawda... prawda, nie przeczę,
I skrzypica coś warta;
Lecz cieśli licha płaca,
Nikt nie ściska, nie mruga,
Choć jego ciężka praca,
Choć i większa zasługa.

* * *

Ot i dzieci, i młodzi,
I starcowie pochyli,
Wszystko i w każdej chwili
Przez me ręce przechodzi.
Czy się rodzą dzieciśka,
Ot i kłopot dla głowy!
Pracuj, cieślo wioskowy,
Bo potrzebna kołyska;
Ja nie proszę zapłaty,
Ja pracuję z rozkoszą, —
Ksiądz przyjeżdża do chaty,
Mnie na chrzciny nie proszą;
Dla chłopaka ladaca
Cieśla zabawkę struga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* * *

Chłopak rośnie w młodziana,
Już mu chce się zalotów...
„Oj danaż moja, dana!“
Ruszyć w swadźbę już gotów.
Czyż nie cieśla wyciosa
Nowy wózek chłopcowi?
Jak okują kolosa,
To bywajcie już zdrowi!
Już go dziewczę nie minie:
Na tym wózku zuch wielki!
Czy on miły dziewczynie?
Czy wóz mojej ciesielki?
Toż pytanie nie lada!
A gdy celu dolata,
Cieśli, starego dziada,
Nie zaprosi na swata;
Pieniędźmi się wypłaca,
Więc już zniewaga druga...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

Kiedy lato przeminie,
Dni dożynek nadbiega,
Stółu trzeba drużynie
Dębowego, równego.
Hejże, z heblem i piłą
Spiesz się, cieślo, do dzieła!
Ja stół ciosam aż miło,
Wdzięcznie bracia przyjęła;
Lecz gdy jadło przynieśli,
Kiedy napitek płynie,
Jakoś w bratniej drużynie
Zapomnieli o cieśli...
A on ich mozół skracą,
Wprawia sosznik do pługa...
Oj, lichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

Młodzian przeżył wiek długi,
Zstarzał i umarł wreszcie.

Spieszcie do cieśli, spieszcie,
Nie odmówi posługi.
On kolebkę mu zrobił
Wielce sztucznej roboty,
On mu cacka sposobił,
On go stroił w zaloty;
Dziś — nagrodzą niebios! —
Niech mu trumnę wyciosa.
Robię trumnę — jak caca,
Szeroka, kształtna, długa...
Oj, cichaż moja praca,
Ale dobra zasługa!

* * *

Te mnogie ulów kłody,
Co stoją wedle płota,
I te wioskowe wrota,
Co strzegą pól od szkody,
Krzyże na mogił rzędzie, —
Wszystko mój trud bez mała;
A teraz, Bogu chwała,
Ot i kapliczka będzie!
Niechaj wioska wychwała,
Niech nagradza kowala,
Niech młynarza opłaca;
Do mnie Anioł Stróż mruga,
Że cicha moja praca,
Ale dobra zasługa!

* * *

Jeszcze jedna myśl dumna
Dodaje mi ochoty:
Że będzie moja trumna
Nie partackiej roboty!
Bom wyuczył nielada
Kilku z wioskowej młodzi,
Jak się z sznurem obchodzi,
Jak się toporem włada.
Więc starca w każdym domu
Będzie zastąpić komu!
Gdy mi życie Bóg skraca,
Żałość będzie niedługa;

Pocziwa była praca,
Dobra będzie zasługa!

RYCERZ NA CZATACH

CZYLI PIEŚŃ RYCERSKA O HERBIE ŁŻAWA
Z PODANIA HERALDYCZNEGO.

I.

Kiedy panował w Polsce Biały Leszek,
W czasach niezgody i krwawych zamieszek,
Żył, jako stara kronika wspomina,
Rycerz Belina.

A herb miał dawny, jak świat zapamięta:
Na hełmie ręka rycerska ucięta,
Na tarczy zasię z krzyżem miecz stalowy
I trzy podkowy.

Zrodzon szlachcicem, choć miał miękkie serce,
Musiał rad nierad oddać się żołnierce,
Kędy się uczył, zręczniejsz niż my piszem,
Machać bardyszem.

Dodawszy k'temu żelazną kolczugę,
Pancerz kowany i kopję długą,
I hełm z wizyrem do okrycia powiek, —
Straszny był człowiek!

Swego rumaka, co wolałby paszę,
Strojno, rycersko zakowywał w blasze;
Czaprak, nagłównik, napierśnik i siodła
Blacha obwiodła.

Bo rycerz bywa w rozmaitej doli,
Lepiej się okryć bezpieczeńścią gwoli:
Bo ani strzała, ni miecza zamachy,
Nie ugną blachy.

Nieszczęście jeno, że gdy dusza trwożna,
To serca blachą zakować niemożna:
A choćby zakuł, to i w takiej zbroi
Jeszcze się boi.

Rycerska służba krwawego Gradywa,
Dobrze zważywszy, niewielce straszliwa:

Gdy inși niosą na szwank swoje zdrowie,
Ukryj się w rowie;

A gdy wygrana, gdy twierdza zdobyta,
Kiedy żołnierstwo do łupów się chwyta,
Wymknij się naprzód, a łupu dopadłszy,
Bierz co bogatszy.

A takim kształtem kierując swe życie,
Mieszek i chwała urosną sowicie,
Zwłaszcza gdy rycerz, wróciwszy z oddali,
Huczno się chwali.

Tak doświadczeniem własnem nauczony.
Sprawiał Belina rzemiosło Bellony,
Z chrobremi męże wielkich czynów chwała
I nań spływała.

A choć na wojnie krył się za rycerzy,
Chociaż się strachał, gdy trąbą uderzy,
Lecz, krzepiąc serce, a mówiąc pacierze,
Wawrzyny bierze.

II.

Pewnego razu, gdy z hufcy polskiem
Bojował Roman, kniaź Halickiej ziemi,
Kędyś nad Sanem w granicach sąsiada
Nocleg przypada.

Zwolniono, konie, puszczone na paszę,
Odjęto hełmy, odpięto pałasze,
I wedle ognisk družna szczęśliwa
Wczasu zażywa.

A jak rycerski obyczaj mieć każe,
Dokoła gęste postawione stráže,
A dalej czaty w krąg obozowiska
Stały z bliska.

Więc na pagórku, gdy się noc poczyną,
Przodową czatę sprawował Belina;
Takie hetmańskie było rozkazanie
(Odpuść mu Panie!).

Samemu... w polu... w pośród nocnej głuszy...
Toć i najśmielszy upadnie na duszy:
Wróg w każdej chwili, nie dopuszczaj Boże,
Uderzyć może.

A tutaj księżyc, jak na złość, na zdradę,
Ciska z za chmury swoje światło blade;
Przy jego blasku kamień, krzak lub trawa
Człkiem się zdawa.

A tu las bliski gałęzie rozpostrze,
Tu sterczą jodły, jakby włóczeń ostrze,
Wiatr je kołysa, chwieją się konary
Jak dzikie mary.

A szelest wiatru, co swe tony zmienia,
Wielce podobien do jazdy tętnienia;
Zgadnij kto mądry: czy to ruskie syny,
Czy krzak leszczyny?

Tak sobie w myślach rozważa Belina,
Niesprawiedliwość hetmańską przeklina,
Modli się, słucha, patrzy nadaremno,
Bo wszędy ciemno!

Jak ów syn puszczy, co zającem zową,
Uważnym słuchem, z podniesioną głową,
W jesienny wieczór rozważa i bada,
Jak liść opada;

Słupi się, staje i strzela oczyma,
Wprawdzie nie błędnie (bo rumieńca niema),
Lecz byle szelest posłyszał z daleka,
W pole ucieka:

Tak mąż Belina wśród nocnych straszydeł
Zazdrości orłom ich potężnych skrzydeł,
Chciałby od wiatru, księżycu i lasu
Uciec zawczasu.

I jak polityk każdą rzecz oblicza:
— Na co ta wojna z książętą Halicza?
Jakowa korzyść i w jakowym względzie
Polsce przybędzie?

A zresztą... nie wiem... i korzyść być może;
Lecz taki hetman, to pożał się Boże!
Poco na czaty, kędy pewno zgine,
Wysłał Belinę?

Zważywszy zresztą Opatrzności plany,
Zmrok ciemnej nocy na to został dany,
By szlachcic, sławny parentelą znaczną,
Wyspał się smaczno.

Jam przecie szlachcic i spałbym ochoczo...

A jak, broń Boże, Rusiny oskoczą?

Zabiją... zginie dostojność jedyna,

Mój herb Belina!

Więc patrzy, słucha, myśli po kolei;

Posłannik niebios — sen oczy mu klei;

I chrobry rycerz na swej chrobrej szkapie

Snem twardym chrapie.

We śnie rozważa najmańdrzej, najprościej,

Że sen jest tylko przedśionkiem wieczności,

I że Rusini wnet na śmierć złowrogą

Posłać go mogą.

Śpi ciało męża, ale czuwa dusza,

I oto marzy: że las się porusza,

Że nieprzyjaciół tysięcy tysiące

Skaczą po łące.

Że sam kniaź Roman już pali z kopyta

I chobrą ręką za gardło go chwyta...

— Ratuj, kto pocziw z sarmackich rycerzy!

Kto w Boga wierzy!

Tak ze snu krzyknął i w nogi od lasa,

Porywa trąbkę wiszącą u pasa,

I z całych piersi swój sygnał złowrogi

Zagrał do trwogi.

Wśród ciemnej nocy góry i doliny

Odpowiedziały na sygnał Beliny;

W obozie popłoch wywołało hasło,

Sto trąb zawrzęsło.

— Na koń, rycerstwo! — chrobry hetman woła,

Trwożliwy beład zakipiał dokoła,

Ów szuka zbroję, ów konia na dworze

Znaleźć nie może.

Gdyby zaprawdę wrogowie w tej chwili

Na potrwożone wojsko uderzyli,

Rycerstwo snadno w takowym beładzie

Trupem się kładzie.

Belina trąby obozowe słyszy,

Poznaje gwary swoich towarzyszy;

Gdzież nieprzyjaciół, co zda się szedł drogą?

Niemasz nikogo!

Żegna się krzyżem, przetarł oczy senne,
Patrzy w ciemności otchłanie bezdenne:
Zda się coś huczy, zda się coś porusza —
To polna grusza!

Tymczasem wojsko do szyku stanęło,
Już się gotuje na bojowe dzieło;
Gdzie i z kim zasię? niełatwe problema,
Gdy wrogów niema.

Harcują w polu i czaty i straże,
Ale dokoła nic się nie ukaże;
Belina wespół z drugimi harcerze
Zwija się szczerze.

Radośnie krzyczy, że niemasz nikogo,
Że towarzysze spać bezpiecznie mogą,
Że to nie Rusin, ale go napadło
Senne widziadło.

Lecz po obawie znów przyszła obawa!
Bo król był srogi, gdzie idzie o prawa:
Za marny popłoch nieuważne straże
Śmiercią się karze.

Więc przeczytano wojenne statuty,
Płacze Belina w kajdany okuty
Już kosa śmierci zawisła surowo
Nad chrobrą głową.

Król winowajcę osądzić poleca;
Zeszła się tedy sądownicza wieca,
Na której hetman i przyboczna rada
Belinę bada.

Może go czasem wrogi przekupili,
By dawszy sygnał w niestosownej chwili,
Sprowadził wojsko na swoją obronę
W przeciwną stronę.

Rycerz Belina, mąż prawego ducha,
Kiedy bolesnych zarzutów wysłucha,
Przejęty strachem pobledniał widocznie
I płakać pocznie.

I padłszy do nóg Białemu Leszkowi,
Wszystko jak było, całą prawdę mówi:
Jak lichy krzaczki wyobrażał z trwogi
Za hufiec mnogi.

Jak rozmarzony, stojący na zimnie,
Snem niewinności małą chwilkę zdrzemnie;
Jako przyśniwszy, że Rusin weń mierzył,
W trąbę uderzył.

Król Leszek Biały w dostojnej postaci
Słucha go, słucha — i powagę traci,
A usłyszawszy, jako śnił Belina,
Śmiać się poczyną.

Wojewodowie, hetmani, kanclerze,
Każdy serdecznie za boki się bierze,
Szczerego śmiechu nie powstrzymać mocą.
Wszyscy chichocą.

Po krotochwilnym śmiechu tylu osób,
Wyroku śmierci podpisać nie sposób;
Więc rada w radę, wydał król surowy
Wyrok takowy:

Aby mu z herbu podkowę odjęto,
A z hełmu rękę zbrojną i uciętą,
By się śmiesznemi nie wstydziło czyny
Gniazdo Beliny.

I już rycerskie odmieniając miano,
Łżą w y m Belinie zwać się rozkazano;
To znaczy: kłamcą — że swemi sygnały
Zwiódł obóz cały.

I herb ów nowy dziś Łżą w y m się' zowie,
Zostali z herbem starym Belinowie,
I stąd się wiodą w kolei wiadomej
Dwa różne domy.

A śpiący rycerz rozповідаł długo.
Że herb swój nabył wojenną zasługą;
Lecz nie oszukał kłamliwemi słowy
Karty dziejowej.

Stała się znana niedobra przygoda,
I wiek wiekowi ze śmiechem ją poda,
By poszła powieść z dziadów aż na wnuki
Dla ich nauki.

III.

My, potomkowie protoplastów owych,
Zeszliśmy z dawnych warunków dziejowych:

Zamiast, jak starzy, wywijać bardyszem,
 My książki piszem.
 Dziś mądra ludzkość, kiedy śpi po trudzie,
 Rozstawia czaty, a piśmienni ludzie
 Winni dać hasło: gdzie? u jakiej drogi
 Postępu wrogi?
 Biadaż ci, biada, piśmienny skrypcorze!
 Jeśli ze strachu kędyś w nocnej porze
 Dasz mylne hasło, wzbudzisz mylne czyny,
 Wzorem Beliny!
 I zamiast tego, co widzisz na straży,
 Będziesz nam bajał, co ci sen wymarzy,
 Gdy marną trwogą twój sygnał poruszy
 Nasz spokój duszy!
 Bo mszcząc się ludzkość za obłędu winę,
 Nazwie cię Ł z a w y m, jak męża Belinę,
 Z twojego kłamstwa przez wieków koleje
 Świat się naśmiej.

1856. Borejkwoszczyzna.

STARE WROTA.

POEMAT.

„Dowieść na mię nie mogą, abym co komu uprosił: bo się za tak u Króla Jegomości Pana mego wdzięcznego i udatnego nie mam, anim jest, ani być chcę. Jeden jednak na się grzech powiem: woźnicy Króla Jmści, który mię kilkanaście lat wozi i ze mną u dworu zstarzał, a nigdy mię nie przewrócił, uprosiłem wielką wakancyę w żupach, groszy 20 na tydzień, aby w starości głodem nie umarł. Jeślim tem zgrzeszył, proszę odpuszczenia.”

Ks. Piotr Skarga. Na artykuł „O Jezuitach” odpowiedź, rozdział I.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

W roku zbawienia tysięcznym pięćsetnym
 Dziewięćdziesiątym i dziewiątym pono,
 Zygmunt, którego Trzecim narzeczono,
 Panował w Polsce. Czy był królem świetnym?

O czym zamyślał? co czyni? jak żyje?
Czym dał ucho poszeptom zdradzieckim?
O tem szeroko piszą historye;
Jeśli chcesz wiedzieć, przeczytaj w Piaseckim.
My się nie wdajem w historyczne sprawy,
Bo strach rozbudzić krytyków z Warszawy.
W skromniejszej mierze trzymając się płota,
Tylko Zygmunta wspomniawszy nawiasem,
Chcę wam opisać staroświeckie wrota,
Przy starym dworku pod litewskim lasem.
Och! dawno chaty zwały się ściany,
I las wycięto, zorano na grunta,
I jeszcze większe nastały odmiany
Od owych czasów Trzeciego Zygmunta.

II.

Onego czasu zakon Jezusowy
Był panem serca i królewskiej głowy.
Próżno Zamojski zżyma się na sejmie,
Pacta conventa że monarcha targa, —
Król jezuitom serca nie odejmie,
Bo jego serca pilnował Piotr Skarga.
Święty Piotr Skarga! wśród synów Loyoli
Wyrósł, zestarzał, — i wierzył w ich cnotę;
Grzmiał z kazalnicy w słowa szczerzote,
Żył i pracował zakonowi gwoli.
W ręce obłudy dał się nieobłudnie,
I w piersiach uczuć niezgłębioną studnię,
I męską wolę, i rozumu siłę
Złożył Piotr Skarga na starszyny ręce.
Już posiwiały, już k'ziemi pochyły,
Przechował w duszy wierzenie dziecięce.
Z wesołą twarzą, w pokornej postaci
Kwapił się spełnić swych starszych rozkazy.
W świętych żrenicach sam nie mając skazy.
Nie mógł jej dojrzeć na sercu swych braci.
Czy w Sandomierzu, gdy szlachta zebrana
Na jezuitów wykrzykuje veto,
Czy trzeba wstydzić błędy Aryana,
Albo się scierać z uczonym Helwetą,
Czy to rycerstwo na koń się sadowi,
Czy idzie z wojny z bogatym obłowem,

Czy rokoszanin zagraża królowi,
Staje Piotr Skarga z piórem i ze słowem.
On broni świętych tajemnic ołtarzy,
Zasłania Kościół od błędnej szarańczy,
W bitnych pancerzach odwagę rozżarzy,
W togach senatu szczepi duch poddańczy.
Dwoi się Skarga, i kędyż go niema,
Gdzie woła Kościół lub ziemia rodzima?

Maż wielki sercem, potężny w wyrazy,
Nie dziw, że został filarem Kościoła,
Że pańskie serce u Zygmunta Wazy
Takiemu człeku odjąć się nie zdoła.
Gdy go królewskie zawiodą nadzieje,
Kiedy mu serce przepęlniają żale,
Czegoż się dziwić, że duszę wyleje
Przed Piotrem Skargą przy konfesjonale?
Że gdy, jak ojciec od swawolnych dziełek,
Doznał zniewagi szlachty czy magnata,
Już Zygmunt tęskni do spowiednich kratek
Skarżyć się Skardze na ból, co przygniata!
Że kiedy dworskie pochlebstwo owionie,
Gdy mu dworują koronni panowie,
Tęskliwem okiem patrzy ku ambonie.
Bo tam z ust Skargi o prawdzie się dowie.

A Skarga kochał Zygmunta Trzeciego,
Bo w jego sercu postrzegał grunt żyzny,
Bo w łzach pokutnych, co mu z oczu biega,
Widział deszcz hojny dla plonów ojczyzny.
Może ze strachem, z boleścią ukrytą
Popierał głowę króla słabowitą;
Może zwodniczym blaskiem nieomamion,
Znał, jak mu cięży pomazańców toga,
I może nieraz modlił się do Boga
O większą siłę dla Zygmunta ramion, —
A znając dobrze, skąd się krzepkość bierze,
Na drogach Pańskich umacniał go w wierze.
I grunt był żyzny, i siewca nielada,
A czemuż ziarna nie wyrosły Boże?
Ten chyba na to odpowiedzieć może,
Co losy plemion i wieków układa.

III.

Ledwie bywało dziewiąta godzina,
Wydzwoni ranek na zamkowej wieży,
Król z brewiarza jutrznię rozpoczyna,
(Bo się pilnował kapłańskich pacierzy),
A na pokojach u tronowej sali
Już się panowie i dworscy zebrali,
I szepcąc cicho prze królewskie zdrowie,
Czekali, rychło dzwonek się odzwowie.
Potem dworzanin, który pełnił strażę,
Otwiera pańskie komnaty i woła:

— Królestwo Ichmość zaraz się ukaze,
Tędy przechodzić będzie do kościoła.

I wchodził Zygmunt i obok królowa, —
Chyłą się czoła w cześć Królewskiej Mości;
Lecz król milczenie uroczyste chowa,
Jeno skinieniem pełnem uprzejmości
Powita dworzan i przez salę kroczy,
K'ziemi spuściwszy swe promienne oczy.
Wtedy i słowa wyszepnąć nie można;
Bo król rachunek przed spowiedzą czyni.
Wyszedł w krużganek — a ciżba pobożna
Już do zamkowej tłoczy się świątyni.
Wszyscy w milczeniu, a wszyscy po parze,
Senat za królem, a dworscy po przedzie,
Idą w krużganku kryte kurytarze,
Co z zamku prosto do kościoła wiedzie.
Pod baldachimem z bogatej purpury
Uklęknął Zygmunt lub krzyżem się ściele;
A tam kapelan, albo biskup który,
Czyta mszę świętą, — a w całym kościele
Szmer taki cichy, jak liści osiny,
Kiedy się trzęsą przy świetle księżyca;
Posłyszysz nawet, kiedy parsknie świeca.
Lub czyje serce z cierpienia lub winy
Jęknie westchnieniem.

Kiedy msza się czyta,
Czarny cień jakiś przesnuł się pomału:
Siwy jak gołąb stary jezuita,
Piotr Skarga, zasiadł do konfesjonatu.
A kiedy kapłan kreśli znamie krzyża

I ewangelji odczyta ostatek,
Król lub królowa powoli się zbliża,
A Skarga ucho nachyla do kratek.
Króla z kapłanem spowiedź w cztery oczy
Długa i rzewna — widać, jak łyzy leje!...
Och! tę rozmowę, którą z Bogiem toczy,
Gdyby raz jeden podsłuchały dzieje,
Może ich karty brzmiałyby inaczej;
Lecz insze ludzkie, — insze sądy Boże!
Kapłan dla skruchy grzesznemu przebaczy,
Ale historia przebaczyć nie może.

Znowu Msza święta. Wyspowsiadan szczerze,
Zygmunt Sakrament Przenajświętszy bierze
Z rąk księdza Skargi — a tak pokrzepiony
Na całodzienne dźwiganie korony,
Do panów radnych przybliża się śmielej,
Na swe dworzany pogląda weselej.
Opuszcza kościół, i święconą wodą
Krzyż na swem czole i na piersiach kładzie;
I znów krążgankiem panowie go wiodą,
Gdzie ma przodkować państwa wielkoradzie.
Przyjmować posły ościennych mocarzy,
Lub słuchać sejmu, który szumnie gwarzy.

Tak było codzień — a w każdą niedzielę
Król we świątyni bawił za południe.
Tam się lud mnogi na kolana ściele, —
A ojciec Skarga odzywa się cudnie:
O świętej Wierze, o bratniej miłości,
Słowami prawdy i kamień przebodzie,
Panów prowadzi ku braterskiej zgodzie,
Sędziów ku pracy i sprawiedliwości,
W żołnierstwie ducha pobożnego szczepi,
I nie przestaje powtarzać słów Pana,
Aż pojną głusi, aż obaczą ślepi,
Aż rzewny naród padnie na kolana.
Wtedy apostoł z promienistą twarzą,
Wesół na sercu, schodzi z kazalnicy.
Panowie tłumnie k'niemu się kojarzą,
Biją mu czołem dworscy urzędnicy;
Rycerstwo, jakby na widok hetmana,
Stawa do szyku, aby uczcić księdza;
Lud go pozdrawia — a bieda i nędza

Cisnie się przy nim, ściska za kolana.
A siwy starzec, zawstydzon jak panna,
Na wszystkie strony skromny pokłon dzieli;
Spieszy do swojej za klauzurą celi,
Kędy go czeka praca nieustanna,
Kędy go czeka swobodne zacisze,
Kędy się modli i swe księgi pisze.

IV.

Przez lat trzynaście pełniąc służby Boże,
Skarga pracował piórem, sercem, głową;
Ranek miał w zamku, cały dzień w klasztorze,
Chyba, że znowu do zamku pozową.
Król, który pragnął, aby starość święta
Na długie lata chowała się krzepko,
Codzień bywało najwierniej pamięta,
Aby go dworską odsyłać kolebką. *
Ale apostoł, pełen ducha mocy,
Brzydził się blaskiem wytwornej karocy,
I tak powiada: — Do czego te dziwy?
Królu i Panie Wielce Miłościwy!
Ścieżka do zamku z klasztoru mi znana,
Ani daleką, ni błędną mam drogę;
Staremu rzeźwiej przechodzić się zrana,
Więc chodzić pieszo i pragnę, i mogę.
Zhawiciel świata, większy pan niż Skarga.
A przecież wierną otoczony rzeszą,
Po piaskach judzkich święte stopy szarga,
Z miasta do miasta pzechodząc się pieszo. —

Ale król na to: — O mój księże miły!
W trzydziestu leciech Chrystus nie był stary;
Ale w te lata, z waścinami siły,
Nie porywaj się z Chrystusem do miary! —

Chciał Skarga mówić coś o świętym Piotrze,
Swoim Patronie — ale król nie słucha.
A że nastało zimniejsze powietrze,
Nastąpiła w mieście śnieżna zawierucha.
Więc wyszukano na królewskiej stajnie
Skarbniczek mały, wygodny, niekryty,
Co o godzinie szóstej jednostajnie
Szedł pod mieszkanie księdza jezuity,
Wiózł go co ranek pod świątynię dworną,
A o południu pod furte klasztorną.

V.

Od lat trzynastu już odtąd co rano
Ów niepoczesny skarbniczek widziano,
Zielonej barwy, z koły wysokiem,
Trząśł się po bruku czy po równej ziemi.
A stary konik, bułany, nie wielki,
Cichej natury, jak właśnie dla księdza,
Szedł sobie stępem zaprzężon w dyszelki, —
Stary woźnica lejcem go popędza.

Woźnica strojny ze złotem błękitno,
Miał pas wzorzysty i kołpaczek rysy;
Policzki jego jeszcze zdrowiem kwitną,
A wąs srebrzysty aż do pasa wisi.
Rodem był Litwin, nazwiskiem Szeliga.
Sługiwał dawniej na wojskowym żołdzie.
A gdy piątego krzyżyka dościga,
Był dojeżdżaczem przy panu Gasztołdzie.
Potem go bieda — na świecie zwyczajnie —
Wypchnęła z Litwy rodzinnego siola;
Został woźnicą przy królewskiej stajnie
I księdza Skargę woził do kościoła.
Ksiądz Skarga, wózek, i postać woźnicy,
I zasłużony koń bułanej maści,
Zwykli do siebie przez latek trzynaści,
I ludzie do nich zwykli na ulicy.
Gdy rankiem przemkną bywało przez miasto,
Stragarze wiedzą, że szósta godzina;
Kiedy wracają, to znaczy dwunasta;
Stary skarbniczek wskazówka jedyna.
Wtedy się cisną i wielcy i mali
Popatrzyć w oczy świętego człowieka:
Ów czołem bije, ów Chrystusa chwali,
A owa dziatwę prowadzi zdaleka,
Bo ma otuchę, że apostoł Boży
Błogosławieństwo na jej głowę włoży.

VI.

Stary Szeliga był chlubny nielada,
Takiego człeka że mu wieść wypada, —
I zazdroszczono jemu tych zaszczytów;
Ale on, z dworskich żartując poswarek.
Jeździł codziennie, wiernie jak zegarek,

Do jezuitów i od jezuitów.
Tak do swej służby ułożył się zdalnie,
Że woził Skargę jak żaden z czeladzi:
Na jednym miejscu bułanego zatnie,
Na jednym miejscu o kamień zawadzi;
Gdy wraca próżen w południowej chwili,
Z jednego miejsca przygląda się miastu,
W jednej gospodzie szklanicę wychyli, —
To był obyczaj już od lat trzynastu.
A gdy wychodzi i ociera wargi
Z szumiącej piany piwnej albo miodnej,
Znaczy, że w zamku niema księdza Skargi,
I że Szeliga cały dzień swobodny.

VII.

A iż czas ludzi najlepiej odslania,
I łącno poznać gdzie pocziwe lice,
Tedy wzajemny węzeł miłowania
Kojarzył Skargę i jego woźnicę.
Szeliga biedak — tym kluczem najprościej
Serce się Skargi otwarło Szelidze;
Steraj swe lata w wojennej fatydze —
Toć drugie prawo do jego miłości.
Jak na woźnicę miał talent nielada:
Konia nie chłoszcze, z przekleństwem nie fuknie,
Trzy razy tylko o kamień gdzieś stuknie,
W porę zamilczy, w porę coś zagada.
Dla świętych dumań, mając cześć i względy,
Nigdy się pierwszy ozwać nie odważył;
Lecz zmiarkowawszy, że ksiądzby pogwarzył,
Ochoczem sercem stanie do gawędy.
Wiedział, co mówić i do jakich osób,
Więc Skarga ucho dawał mu ochocze.
O czem gadali i w jaki to sposób?
Oto wam próbkę rozmowy przytoczę.

VIII.

— Mróz, miły bracie! czy waści nie chłodno?
— Ręce pokrzepły, miłościwy księżu!
Choć mam opończę ciepłą i wygodną,
Chłód i przez szubę do kości dosięże.
Krew już nie grzeje, to i cóż za dziwy?

Starość nie radość, księżu miłościwy!
Śmierć w oczy patrzy!

— Niepotrzebna trwoga:
Blżej do grobu, to blżej do Boga! —
Odpowie Skarga — zresztą miły bracie,
Tam w niebie ciepłej.

— Ciepłej, księżu miły,
Niżby naprzykład ot w tej starej chacie,
Co nad jej okny wiszą lodu bryły,
Szybki pobite od wczorajszej burzy,
A, jak uważam z pieca się nie kurzy.
Pokiwał głową i na chatę bliską
Skierował swoje woźnicze biczysko.

— A któż tu mieszka? — spytał Skarga rzewnie.

— Wdowa płatnerza... Pomnę ich przed laty:
Tu miał domostwo, tu stały warsztaty,
Dogadzał żonie, jak gdyby królownie,
Bo było z czego: w Batorowskie czasy
Pancerze, hełmy były bardzo w modzie;
Miał ich w sklepiku ogromne zapasy
Ku prześwietnego rycerstwa wygodzie.
A był to z dziadów, z pradziadów zbrojownik,
U nich rzemiosło szło z ojca na syna;
Bywało pancerz, czy koński nagłownik,
Z żelaznej blachy jak z wosku wyginał!
Później postarzał, oślepnął i ginie:
Robota rzadsza, a tu człowiek chory,
Król miłościwy, panujący ninie,
Już do pancerza nie to, co Batory!
Zresztą dziś szlachta bogaciej się stroi:
Wzdycha do lekkich weneckich pancerzy.
Już jej domowej nie pokazuj zbroi,
Radaby błyszczeć, jakby święty Jerzy!
A tu... jak Niemcy do miasta nalazą,
Jak poczną stawiać nowomodne kramy,
Sprowadzać szwedzkie z za morza żelazo, —
Gdzież my prostacy z nimi się zrównamy?
Holał nieborak od doby do doby,
I jego mieszek chorzał na suchoty,
A tu z kramkami wędrujące Szkoty
Dawaj go leczyć od ocznej choroby!

I wyleczyli... po trosze... po trosze
Zabrali oczy i życie, i grosze...
Została żona — pocziwa starucha,
I troje dziatwy — pacholęta jeszcze...
Patrz Wasza Miłość: ot i w ręce chucha!
Nędza nie puści, kogo porwie w kleszcze!
A tego roku drogi chleb i mięso,
I wiązki drzewa za szeląg nie dostać:
Nie dziw, że wdowy skurczyła się postać,
Nie dziw, że dzieci od głodu się trzęsą.
Ojciec kuł ludziom pancerze za młodu.
Chronił ich piersi od bojowej kuli,
A dzisiaj dziatwy ginącej od chłodu
Nikt nie ochroni — nikt nie da koszuli! —

Tak stary bajął jednego poranka...
Och! bo i jego był los taki samy!
Machnął biczyskiem i zaciął bułanka,
Stuknął o kamień i wjechał do bramy.
A ojciec Skarga, co zawsze przy sobie
Miał rzymski stylus i tabliczki z wosku, —
Co nieszczęśliwym w utrapienia dobie
Z rychłą pomocą spieszył po ojcowsku, —
Zapisał imię nieszczęśliwej wdowy,
Pożegnał starca i ruszył swą drogą:
I już nazajutrz pacholik zamkowy
Zaniósł jej wsparcie — Bóg-że wie od kogo!
A kiedy, pełniąc stare obyczaje,
Krzepił Szeliga w gospodzie swe zdrowie,
Bóg wie dlaczego coś mu się wydaje.
Że i miód słodszy, i weselej w głowie.

IX.

Tak często gęsto, niby nieumyślnie,
Jakieś słoweczko do rozmowy wciśnie;
Wiedział, z kim gada i wiedział, jak gadać.
Skarga, co ludzi przywykłał spowiadać,
Bywało zręcznie za słówka go chwyta.
Daje woźnicy wygadać się dłużej,
A z jego hajań zawsze się wynurzy
Jakaś niedola, gdzieś nędza ukryta.
Skarga dochodził po nitce pajęczej,
Gdzie jaki dłużnik, co go lichwiarz dręczy,

Kogo nękają bezbożni pieniacze,
Lub jakie bóle komu serce rania;
Gdzie biedne dziewczę rozpaczliwie płacze,
Stojąc nad grzechu straszliwą otchłanią;
Gdzie brat ku bratu oddycha niezgodą,
Gdzie z sąsiadami poswarki zawiodą:
A żadna powieść nie była napróżna:
Bo owdzie grosza, tam serca jałmużna
Rzucona zręczną dłonią apostoła,
Rozjaśnia serca, rozpogadza czoła,
Szeliga wszystko wygwarzył otwarcie;
Lecz była hardość w sercu tego dziada!
Kiedy dla innych kołatał o wsparcie,
Nigdy o własnej nędzy nie zagada!
Bystra żrenica księdza kaznodzieje
Rychło się wpila w skrytą pierś Litwina, —
Niby nieznacznie pytać go poczyną,
O dom rodzinny, o dawne koleje:
Jak to z Gasztoldem biło się niedźwiedzie?
Co go ze służby pancерnej wywiodło?
Czemu szlacheckie zaniechawszy godło,
Został stajennym? i jak mu się wiedzie?
Czy na swą Litwę wrócić kiedy życzy?
Czy jakich krewnych i przyjaciół nie ma?
Z czego żyć będzie, kiedy lejąc woźnicy
Już się w zgrzybiałych ręku nie utrzyma?
Gdyby go pytał głosem jałmużnika,
W politowania smutnego sposobie,
Pewnieby Litwin zaciął się sam w sobie
Bo on dla żalów piersi nie odynka,
Cierpi, gdy nędzę wypowiadać musi,
Chlebem jałmużny pewnie się zakrzusi;
Ale badany znienacka a zdatnie,
Niby gawędząc o deszczu i suszy,
Stary Szeliga wpadł w księdzowskie matnie,
Wysączył przed nim każdą kroplę duszy.
I kapłan przeznał Litwina odludka
Od pacholęcia, od pieluch bez mała;
Powieść to była i prosta i krótka,
A jednak Skardze łezkę wywołała.

X.

Ojciec Szeligi był szlachciec ubogi,
Mieszkał pod Wilnem na Litwie głębokiej;
Miał włókę gruntu i lasu trzy włoki,
Orał, polował i rąbał się z wrogi.
A jak wiadomo, w Jagiellońskie lata
Mniej było szlachty na żołdzie magnata;
Czy sejm, czy sejmik czy rycerskie koło,
Szlachta chowała złożne obyczaje,
I częściej panom stawia harde czoło,
Niżli im swoje sumienie sprzedaje.
Bywało wtedy u szlachty i braciej
Ubożej w domach, lecz w sercach bogaciej.
Swoboda była nie słowem lecz faktem,
Bo jej umiano strzec nie po pjanemu.
Jeśli kto ziemię trzymał za kontraktem,
To jeno groszem opłacał się panu;
Wypłacał czynsze po niedrogiej cenie
Na święty Marcin lub na święty Jerzy;
Lecz miał swobodne ramię i sumienie,
Bo to oboje do kraju należy.
Rzadko kto służył w nadwornej chorągwi
U kasztelana albo wojewody;
Doma sycono i piwa i miody,
Nie zaglądając do magnackiej stągwi.
Ojciec Szeligi ręką pracowitą
Karczował lasy i zasiewał żyto;
Miał swoje stada i po lasach barchie,
Miał pobożności i cnót w sercu wiele;
Pościł w sobotę, chmielił się w niedzielę
I świętą prawdę ciał ludziom otwarcie.
Łacińskich nauk nie zaszczepiał w synie,
Bo tylko Credo umiał po łacinie;
Lecz za to grzotnąc niedźwiedzia z półhaka,
Lub kosić trawę na zielonej błoni,
Karczować pole lub dosiadać koni
Dzielnie wyuczył swego jedynaka.
A kiedy wojna nadeszła z Wołoszą,
To na nią syna wyprawił sowito,
Kazał stać murem za Rzeczpospolitą,
Miecz mu do boku przypasał z rozkoszą. —

I dusza ojca była wielce rada,
Ze stary pancerz k'piersiom mu przypada.
Złożon do boju nasz młody Szeliga
Z radością oręż rodzicielski dźwiga.

Z pod Obertyna, gdzie zwijał się zwawo,
Powrócił zdrowy i okryty sławą;
Ale krom sławy nic więcej nie dopnie,
Bo łupów nie brał, na zyski nie patrzy;
Hetman rozdawał zaszczyty i stopnie,
Ale tam rękę przeciągał bogatszy,
A za bogatszym, jak obyczaj każe,
Byli rotmistrze i regimentarze.
O tamtych czynach dobrą pamięć chowa
I król, i hetman, i karta dziejowa.
A jego pracom któż uczynił zadość?
Własne sumienie i ojcowska radość.
Dosyć mu było: zwycięzca Wołoszy
Znów orze ziemię i niedźwiedzie płoszy;
A gdy pan Gasztołd wyprawił obławę,
Tak zręcznie dzika na oszczep przebodzie.
Ze przypadł k'sercu panu wojewodzie
I już porzucił gospodarską sprawę.
Sądząc, że czegoś dosłuży się może,
Został myśliwym w gieranońskim dworze.

Ojciec był nierad tej jego dworszczyźnie:
— Lepiejbyś poszedł Wołochom w niewolę!
Na jasnych dworach chcesz dopędzać dołę,
A tu się dola wioskowa wysłiznie.
Czy ci niemiła domowa zagroda?
Czy mało chleba? czy może zła woda?
Czy tu złe knieje? czy tu złe nadzieje?
Nad twoją strzechą słomianą i starą
Patrz, jak się niebo dobrotliwie śmieje?
Mierzyć ci hojną obiecuje miarą!
A tam na dworach, dokąd chętka wzywa,
Zyski niepewne, strata niewątpliwa:
Bo strata czasu na służebnym chlebie,
Dla Boga, kraju, dla samego siebie.
Tam twoja wola nietwoją się stanie;
Tam zaprzedałeś twój sen i czuwanie;
Tam każde słowo musisz mieć na wodzy.
Wiesz, jak bogatym hołdują ubodzy?

Służąc w ich barwie, nie dopuszczaj Boże,
Nawet myśl twoją zaprzedać się może!
Boś ty najemnik, i Bóg wie za kogo
Nieść twoją głowę rozkazać ci mogą!
Nie jedź, mój synu! lub jeśli ci mile,
Idź w dworską służbę — ja nie błogosławię,
Bo wiem, że do nas powrócisz za chwilę.
Może powołan ku godniejszej sprawie! —

Nie błogosławił — a młody Szeliga
Jechał do dworu i już barwę dźwiga,
Hasa po kniejach, jak dojeżdżacz lichy...
Poszedł swą drogą, bo w niebiesiech pono
Nad głową szlachty, za grzechy jej pychy.
Już służebnictwa klątwę wyrzeczono!

Ojciec umierał i przyzywał syna;
Syn nie mógł przybyć po błogosławieństwo,
Bo była zrzeczność popisu jedyna,
Obława sławna! Całe Wielkie Księstwo,
Wszystko co żyje, na wyścigi bieży
Polować z królem do puszczy Białowieży.
Sądził Szeliga w zamniemaniu płonem,
Że król, gdy zrzeczność łowiecką obaczy,
Weźmie go k'sobie i mianować raczy
Łowczym nadwornym, a potem koronnym;
A wtedy żywot rozpocznie szczęśliwszy
I pana ojca przekona, co umie...
Lecz król młodzieńca ani widział w tłumie,
A ojciec umarł, nie błogosławiwszy.

Odtąd dworszczyzny burzliwym oddechem
Płynął Szeliga, przykuty do łodzi.
Już ani pyta, jak mu się powodzi,
Bo krzyż ojcowski swym promieniem świętym
Już się nad głową jego nie migota,
Drogi nie oświeca błędnego żywota...
Przez nieuwagę popsował raz sieci,
Że wilk ścigany z ostępu wyskoczy:
Pan się rozgniewał, i groźno zaleci
Aby mu więcej nie stawał na oczy.

Wypchnięty z dworu, nie poszedł już doma,
Bo się płochoci sam przed sobą sronia.
Obliczył grosze — kwota ich zbyt mała;
Ubiegłe lata obrzucił oczyma —

Większa połowa marnie się sterała;
Obliczył zdrowie — to jeszcze się trzyma.
Więc dalej na świat poszedł zbierać plony
Po inszych dworach Litwy i Korony.

W dworach Kierzgajłów, Kisków, Chlebowiczy,
Terał swe zdrowie, wodząc pańskie psiarnie.
Chciał doznać w życiu rodzinnych słodocy,
Pojął małżonkę — wnet nędza ogarnie.
A kiedy insi zbierali wawrzyny
Z królem Batorym na inflanckiej wojnie,
On na niedźwiedzia ostrzył rohatyny,
Lub w pańskich waśniach walczył niedostojnie.
Gniotła go nędza, więc byle zapłaca,
Nadstawiał ramię, Bóg wie gdzie i za co!
Wziął ranę w czoło — nie gdzieś przy fortecy,
Lecz służąc świadkiem u sądowych kratek;
Niedźwiedź na łowach szarpnął go przez plecy
I wyrwał zdrowia krzepkiego ostatek.
A więc w Krakowie we szpitalu leży,
Żona bez chleba — on sam bez odzieży;
A syn, którego Niebo mu przysłało,
Rosnął bez nauk, jak istota podła,
Nie mógł ojcowską pocieszyć się chwałą,
Coby go kiedyś między ludzi wwiodła.
Cierpiał Szeliga — lecz się nie użala,
Bo nad swą strzechę wołał zamki cudze,
Po tyloletniej po dworach usłudze
Czuł, że sam winien, idąc do szpitala.

Szczęściem, Bobola, wielki podkomorzy.
Człek miłosierny, polubieniec króla,
Zwiedzając domy, gdzie jęczeli chorzy,
Nad jego losem rzewnie się rozczula.
Niepiśmiennemu, jak strzelec zwyczajnie,
Co nie miał zdrowia, co już był nie młody.
Jakież się mogły nastroczać zawody?
Wzięto Szeligę do królewskiej stajnie.
Zapłakał zrazu, mając barwę nosić;
Lecz gwoli żony i dziecka potrzebie
Zaparł się herbu i samego siebie. —
I tak niedoli doświadczył już dosyć.
Nowy chleb jego — zwyczajnie woźniczy,
Choć to u króla, lecz zawsze sromota,

Wśród upokorzeń, wśród ciągłych goryczy,
Boleść na sercu, chociaż barwa złota.
Ale ta świetność i hańba rzemiosła
Przez lat trzynaście do serca już wrosła. .
Tylko gdy Skarga k'wyznaniu zachęca
I tracił serca bolejącą strunę,
Szeliga ryknął płaczem potępieńca:
-- Czyż ja tu kości do grobu usunę?
Jaz, niegdyś szlachcic!... czyż mi Bóg przeznacza
Włożyć do trumny mój bicz poganiacza
Och! gdyby nieco grosza ku potrzebie,
Znówby woźnica wskrzesnął na szlachcica,
Szedłbym na Litwę o żebranym chlebie,
Tambym przebłągał mogiłę rodzica,
Wykupił dworek, com stracił z mej winy.
I zakopany w ustroniu dalekiem,
Kształciłbym syna pomiędzy Litwiny,
I tambym umarł niezależnym człkiem.
Dajcie mi, księżę, lekarstwo na ranę!
Zedrzyjcie ze mnie złocistą sukmanę!
Gdy znosić nędzę — niech tam znoszę nędzę!
Niechaj odżyję przed zawarciem powiek!
Z pługiem rolniczym i w szarej siermiędze,
Karczując grunta, przypomnę, żem człowiek! —

XI.

Takimi słowy dzieje swojej zguby
Gwarzy Szeliga, jadąc z Częstochowy,
Kędy składano uroczyste śluby
Za powrót króla szczęśliwy i zdrowy.
Bo powróciwszy ze szwedzkiej stolicy,
Przerwawszy morskie i wojenne burze,
Zygmunt uczynił ślub Bogarodzicy,
Uczcić Jej święty tron na Jasnej Górze.
Skarga, towarzysz nierozdzielny króla,
Jeździł go przywieść przed Pańskie ołtarze.
I rzewną mową słuchaczów rozczula.
Oddając wota, jak ślub święty każe.

Wzruszon woźnicy powieścią rzewliwą.

W głębi swej duszy rozmyślał człek Boży:
„Trzeba z pomocą pokwapić się żywo;
Ale podarek starca upokorzy.

Tu niestosownie jałmużna się poda,
Kędy za pracę należy nagroda.
W Polsce są grosze na takie potrzeby,
Dla sił steranych jest opieka prawa;
A po starostwach zasłużone chleby
Król szczodrobliwie swej szlachcie rozdawa.
Wprawdzie, na przekór zasłużeńszej braci,
Biorą starostwa młodzieńcy — magnaci,
Ale z nich słusznie należy coś starszym:
Szeliga walczył w swoje młode lata,
Potem wiek teraź przy dworze monarszym,
Niechże spokojnie życia dokołata.
Przecież starostwa nie można dlań prosić...
Lecz niechaj z głodu nie giną biedacy,
A kilka groszy dożywotniej płacy
Będzie mu dosyć — i aż nadto dosyć.
Zapomóżony, a wdzięczen królowi,
Niech rzuci służbę, gdzie nędza uciska,
Niechaj na Litwie dom przodków odnowi,
Niech utraconą dostojność odzyska.
Tu sprawiedliwość z miłosierdziem w parze —
Trzeba dopomóc, bo sumienie każe.

Tak pomyślawszy, w upatrzonej chwili
Skarga odważnie stawiał się przed tronem,
I serce króla tak rzewnie rozkwili,
Że pożądanym ucieszył się plonem.
Król zdzierzał słowo, bo nazajutrz rano
Już mieli mandat bocheńscy żupnicy,
Aby Szelidze, dworskiemu woźnicy,
Dwadzieścia groszy w tydzień wypłacono.
Ów dar Szeliga przyjął najszczęśliwszy,
I nic dziwnego, bo kwota nielada,
Bo na dzisiajszą wartość policzywszy,
Toć trzysta złotych do roku wypada!

A choć się Skarga nie przyznał otwarcie,
Że on wyprosił požądane wsparcie,
Jednak Szeliga wpadł na domysł skory,
Komu był winien swe dworskie fawory.
Nie szedł dziękować, bo do swego czynu,
Wiedział, że Skarga nie przyzna się za nic;
Ale swą wdzięczność bez końca, bez granic
Przekazał żonie i zaszczepił w synu.

I wszyscy troje następnej niedzieli,
Wiedząc, skąd przyszła niebieska opieka,
Szli do spowiedzi i krzyżem leżeli,
Modląc się z płaczem za dobrego człowieka.
A gdy Szelidze łzy pobożne biega,
Jednym był tylko skrupułem dotknięty,
Że to grzech może modlić się za niego,
Bo ojciec Skarga już za życia święty.

XII.

A z barwy dworskiej gdy się raz wyluszczy,
Gdy ze służalca przekształcił się w człowieka,
Poszedł Szeliga, gdzie Litwa daleka,
Gdzie dworek ojców pustoszał na puszczy.
Nielatwe tutaj czekały nań sprawy,
Lecz go wzmacniały szlachetne pochopy;
Grunta rodzinne wykupił z zastawy,
Sam zwałił w lesie bierwion cztery kopy,
Zwiózł je do domu, a coraz to zwawszy,
Sam ociosywał kłody ku budowie,
A dobrych ludzi na pomoc przyzwawszy,
Począł odnawiać ojczyste pustkowię.
Jak kiedy bocian z wędrówki powraca,
Ledwie powitał olszynę rodzimą.
Zaraz go czeka i nielekka praca,
Naprawić gniazdo uszkodzone zimą:
Tak i Szeliga, dworów wychowanek,
Razem z bocianem krzątać się nie leni;
A nim stąd bocian odleciał w jesieni,
Dworek Szeligi już stanął, jak wianek.
Pod ciemnym lasem, z wysokiego wzgórka
Domek podnosił swe łamane szczyty,
Ciosany z jodły a słomą posyty,
Otoczon gęstyną parkanem podwórka.
Z polnych kamieni, naprzeciw mieszkania,
Zmurował łanuz z dwóch pieter, jak wieżę;
Chorągiew z herbem jego dachu strzeże,
A kilka brzołek cudnie go osłania.
Zdobily chatę: ogródek wzorzysty,
Przyzba, i ganek, i kominy z cegły,
A stara jabłoń i klon gałęzisty
Sowitym cieniem pół dworku zaległy.

Wjazd stanowiły staroświeckie wrota,
O dwojgu słupach z furtką i przełazem,
Z dachem ze słomy, okute żelazem, —
Zajechać do nich aż brała ochota.
Bo dziwna sztuka u litewskich cieśli,
Że nasza brama zawsze gościa złowi;
Kogo bogowie pod wrota przynieśli,
Już jak magnesem ciągną ku dworkowi.
Wiejskiego cieśli zakłęta siekiera
Takim je wdzięcznym uśmiechem ubiera,
Myśl gospodarza tak wyżłabia zdradnie,
Że brama, krzepko na rygle zabita,
Ledwie podjeżdżasz — sama się rozpadnie,
Radosnym skrzypem przybyłego wita.
Skąd takie cuda? czy to z duszy szczerej,
Co rada gościom przychylić niebiosą?
Lub czarodziejstwo ciesielskiej siekiery
Jakieś nad bramą zakłęcie wyciosa?
Trudno odgadnąć — to tylko wiadomo,
Że w jednej Litwie stawiają takie wrota,
Z czubiatym daszkiem, uplecionym słomą,
Na którym świeci uśmiech i szczerota,
Co w dzień i w nocy, wśród lata i zimy,
Zdają się mówić: „Serdecznie prosimy!“

XIII.

Szeliga, wrócon do swojego świata,
Uprzejmem sercem z sąsiady się brata;
Jako myśliwy i rolnik z rzemiosła,
Oszczepu z sochą pilnował naprzemian,
Spraszał do siebie miłościwych ziemian,
A gęsta trawa nigdy nie wyrosła
Pod jego wroty. Jak ziemianin prawy,
Miłe z sąsiady prowadził zabawy.
W wonnym ogródku, pod ciemnymi klony
Zasiadał z gośćmi na dębowej kłodzie,
I miód pienisty, w sklepie ochłodzony,
Lał w sporą czarę: szły żarty przy miodzie,
A czasem rzewne i poważne słowa.
Albo piosenka jakaś obozowa,
Śmieszna, choć czasem niezbyt świątobliwa,
Jak stary nałóg z ust mu się wyrывa.

Takich piosenek nauczył się sporo
Przez swe żołnierskie i dworskie tułactwa;
Lecz myśli święte zawždy górę biorą:
Był sodalisem jezuitów bractwa,
Zwykle w niedzielę lub w dniu jakim świętym
Nosił baldachim ponad Sakramentem,
Sługiwał do mszy, wiódł księdza pod rękę,
Niósł na Asperges kropielnicę z wodą,
A Matce Bożej śpiewając piosenkę,
Ora pro nobis! grzmiał piersią tak młodą,
Że trudno zgadnąć, czy to człek ten samy,
Co w barwie dworskiej z chmurnemi oczyma,
Powoząc Skargę, u zamkowej bramy
Ledwie bywało lejc w rękę utrzyma.
Bo to powietrze rodowitej kniei
Wzmocniło piersi, jak zbawczą oliwą,
A myśl otuchy i lepszej nadziei
Otarła z czoła zmarszczkę kłopotliwą.
Wąs długi, siwy, co na piersi spada,
Wzniósł się do góry junacko a młodo;
Błękitne oczy iskrzą się pogodą,
Czerstwe policzki kraśniejają u dziada.

Każdego roku jeździł do Warszawy
Odebrać grosze, co miał z łaski króla;
A błogosławiąc kęs chleba łaskawy,
Ubogich wspiera, sieroty przytula.
Swojego rodu zapewniając dole,
Wykształcał syna w jezuickiej szkole;
A resztę chleba, co urodzi niwa,
Z dobrymi ludźmi wesoło spożywa.
A kiedy czasem zawieja, czy słota,
I nikt nie przyjdzie osłodzić mu życie,
On tęsknem okiem spoglądał na wrota,
Jakby ich błagał o gości przybycie.

XIV.

Tak żyjąc z ludźmi, albo czyniąc modły,
Starzec lat kilka doma gospodarzył,
Kiedy mu gościa niebiosą przywiodły,
O którym nawet i we śnie nie marzył.
Był to ksiądz Skarga, dla zakonnej sprawy
Jadący tędy do Wilna z Warszawy.

Przypomniął sobie woźnicę Litwina,
Rozpytał o nim u ludzi w podróży,
I — co dobremu sercu nie nowina, —
Przyszedł obaczyć, jak mu szczęście płuży.
Wesołem hasłem w szlacheckiej chudobie
Skrzypnęły wrota, kiedy je otworzy.
Szeliga szczęśliw, nie wierzył sam sobie,
Że jego chatę nawiedza mąż Boży.

XV.

Wyrocznia króla a Polski ozdoba,
Filar potężnej jezuitów rzeszy,
Skarga serdecznie z Szeligą się cieszy,
W szlacheckim dworku snadź wielce podoba.
Świętóż był wieczór i pełen radości,
Z dawnym woźnicą co przepędził społem,
A gdy wieczerzać siadł za jego stołem,
Niech mu kasztelan krakowski zazdrości!
Bo się senator żaden nie poszczyci,
Że kiedy Skargę przyjmował w gościnie,
By święte usta umoczył w węgrzynie,
Choć go prosili męże znakomici.
A tu bez prośby, bez żadnej odmowy,
Przy plastrze miodu i przy misie mleka,
Nie upokorzył biednego człowieka,
Wypił z nim miodu puharek cynowy.
A po wieczerzy, kiedy się krzątano
Zasłać mu łożę jak najmiękczej zda się,
Pod siwą głowę on sam posłał dla się
Ostre i twarde z błot litewskich siano.
Wszystkich domowych pobłogosławiwszy,
Kłęknał gdzie zimna ceglana podłoga,
W gorących modłach błogosławił Boga,
Że dzisiaj zesłał dzień mu najszczęśliwszy.
Za ciernie życia, co musimy przenosić,
Za ból codzienny, co nam serce targa,
Jednej nagrody byłoby już dosyć:
Przyśnić sen taki, jak miał ojciec Skarga.
Bo okiem duszy musiał widzieć żywo
Bóstwo promienne, a ludzkość szczęśliwą,
A najszczęśliwszy — to stary Szeliga;

A on sam klęczy pod niebiosów progiem,
Prawicą w piersi bije się przed Bogiem,
Lewicą ludzi z padołu podźwiga...
Takie sny święte, wolne od zakały,
Nad głową Skargi ulatać musiały.

XVI.

Nazajutrz ledwie do świtu się bierze,
Już Ojciec Skarga z brewiarzem w dłoni
Klęczy pod cieniem klonu i jabłoni
I cichym głosem odmawia pacierze.
Godzi się wierzyć, że niebo poruszy
Ten jego pacierz pokorny a święty,
Bo człowiek Boży, mąż potężnej duszy,
Nie tylko własnem zbawieniem zajęty.
Tam burza miota Chrystusa Kościołem.
Tam jego zakon szkalują potwarce,
Król z senatorskiem i rycerskiem kołem
W ciąglej niezgodzie, w ustawnej poswarce.
Jest nad czem płakać, jest modlić się o co!
Skarga pojmuje, czego Polsce trzeba:
Modli się rzewnie, aby Pan Bóg z nieba
Ku Kościołowi pospieszył z pomocą,
Ażeby króla uzbroił wytrwaniem.
Stan senatorski dobrej rady tchnieniem,
Rycerską szlachtę zgodnem przywiązaniem,
Pobożnem sercem i bitnem ramieniem;
I Panu Bogu w opiekę oddaje
Ubogich kmieci, którym tu najgorzej;
Wszystkie koronne i litewskie kraje
Serdecznie stawia przed Majestat Boży.
Płyną godziny, a Skarga nie baczy,
W modłach zapomniał swej ziemskiej istoty.
Już się przez klonu gałęziste sploty
Słoneczna siatka na trawie majaczy;
Już do obory, chroniąc się gorącą,
Z rosistej paszy powracają trzody;
Już i Szeliga, strzelec siwobrody,
W leśnym przesmyku ubiwszy zajaca,
Wsparty na strzelbę u płotu zdaleka,
Na koniec modłów niecierpliwie czeka.

XVII.

Skończone modły. Ksiądz Skarga wychodzi,
Pozdrowił starca przed chatniemi drzwiami.
Szeliga, widząc, że jego dobrodziej
Już nie zajęty modłą ni myślami,
Przystąpił k'niemu, ścisnął za kolana.
Sędziwą głowę nachylił ku ziemi,
I namaszczonej prawicę kapłana
Ze czcią całował usta życzliwemi.
Cały pokraśniał, jakby się zdawało,
Że jakiej prośby hamuje porywy;
Nareszcie oczy podniósłszy nieśmiało,
Rzecz do niego:

— Ojcze miłościwy!

Wiem, komum winien dziękować po Bogu
Za dobry byt mój, za dzisiejsze życie:
Wyście biedaka dźwignęli z barłogu,
Dzisiaj mię w dobrym dostatku haczyście.
Król miłościwy z waszej snadź namowy.
Dośmiertnej płacy przysłał mi nadanie:
Więc odkupiłem dworek pradziadowy,
Mam chleb i zdrowie, las i polowanie;
Mam przywrócone szlacheckie nazwisko,
Dobrych sąsiadów i kościół tak blisko!
Czegoż chcieć więcej? Tu od pierwszej chwili
Odżyły domu mego fundamenta;
Wyście ninie pewno pobłogosławili,
A wasza ręka — już ja wiem, że święta!
Przez was my tutaj szczęśliwi a zdrowi,
Więc nie odmówcie jeszcze jednej cześci:
Pobłogosławcież mojemu rodowi!
Mój syn niedawno skończył lat dwadzieści,
Już odbył szkołę księży jezuitów,
Skąd mu się nieco łaciny przyniosło;
Doma nie dojdzie wysokich zaszczytów,
Niech idzie sprawiać rycerskie rzemiosło.
Już dziś szablicą ręki nie skaleczy,
A strzela celno, a oszczepem władnie;
Niechaj tych darów używa przykładnie,
By kiedyś służyć Pospolitej-Rzeczy.

Tutaj na Litwie oświecone książę,
 Krzysztof Radziwiłł, wileński wojwoda,
 Zbiera chorągiew, — bieży szlachta młoda,
 Niech i mój chłopak z drugimi się wiąże.
 Już mu kupilem karacnę nową,
 Kopię lekką a składną do ręki,
 Runak szlachecki z domowej stajenki,
 Lecz pewnej cnoty — wszystko już gotowo.
 Gdy szczęsne losy was przyprowadziły;
 Więc przeżegnajcie, dajcie mu przestrogę,
 Przyjmijcie spowiedź, dobroczyńco miły!
 A jeśli żądań nie będzie za wiele,
 To jeszcze prosba... dzisiejszego rana -
 Pobłogosławcie miecz jego w kościele,
 Połóżcie ręce na czoło młodziana;
 A już ja wierzę w głębi mego ducha,
 Że stąd mu przyjdzie fortunna otucha. —

XVIII.

Skarga wysłuchał, podumał i rzecze:
 — Człowiek uradza, Bóg wyrok stanowi!
 Skądże wam przyszło, pobożny człowiecze,
 Oddawać syna księciu Krzysztofowi?
 Wszak to dysydent! na birżańskim dworze
 Z wiary praojców stroją sobie żarty:
 Młodzian wszystkiego nasłuchać się może,
 I będzie z łona Kościoła wydarty.
 Nie wódz tam syna!

— Już o tem myślałem, —

Rzecz Szeliga — lecz młodzieńcze łono,
 Choć silnie kipi rycerskim zapalem,
 Ale i wiarę dobrze mu wpojono.
 Przysiągł na Boga, na Najświętszą Matkę,
 Na swych rodziców, na zbawienie duszy,
 Że się w nowotną nie uwikła siatkę,
 Że wiary ojców nigdy nie naruszy.
 Znam jego serce — i śmiało wam ręcę,
 Że on, co przyrzekł, to dotrzyma szczerze! —
 Skarga pomyślał: — Już wierzę wam, wierzę,
 Nie tyle w głowę, co w serce młodzieńcze.
 Lecz mój Szeligo! wszak wiedzieć musicie,
 Że wojewoda wileński, Radziwiłł,
 Dawno do króla jakąś niechęć żywił,

Może i teraz zamyśla co skrycie.
A pewno, starcze, widziałbyś to nierad,
By twój potomek (uchowaj go Chryste!)
Wystąpił zbrojno, jako konfederat,
Zabijać braci, drzeć prawa ojczyste,
A gdy się ciżba swawolna rozhuła,
Za grosz magnacki targnąć się na króla! —
Aż drgnął Szeliga; podumał, zapłakał,
I z cicha jęknął: — To cóż, że my prości?
Za cóż, mój Ojczy, rzucasz taki zakał
Na dom doznanej krajowi wierności?
Jeżeli chłopca podły grosz spokusi,
Jeśli sumienie odstąpi wyrodka,
To o tem przecię zapamiętać musi,
Że go ojcowskie przekłństwo tu spotka.
Że chleb, na którym rozwinął swe siły,
Trochę nauki, co ma ku ozdobie,
I zdrowie ojca, co stał u mogiły,
To wszystko winien królowi i tobie —
Tobie, mój ojczy!... Ach! czyżem ja po to
Uczył go imię błogosławić Skargi,
By mój potomek, okryty sromotą,
W imię magnata miał z królem zatargi!
Ty kochasz króla — a my, szlachta stara,
My się przewrotną nie skazim przemianą.
Ojczy mój, ojczy! twój król, twoja wiara
Na wieki wieków naszymi zostaną! —
Skarga rozrzewnion prawicę mu poda
I z dobrotliwym uśmiechem zawoła:
— Kuisz mię, starczy! O, zgoda już, zgoda!
Pocziwi ludzie, jedźmy do kościoła! —

XIX.

Jak słowo mówić, gotowa kolaska;
Cug się cisawych rumaków wyściga;
Krakowskie czasy przypomniał Szeliga,
Siedzi na koźle i z biczyska trzaska.
Starego Skargę, ze czcią jak należy,
Młody Szeliga wsadza do kolaski:
Raz pierwszy błyska w rycerskiej odzieży,
Ma zbroję, pancerz, przyłbicę, przepaski;
Tylko rycerzem zwać się nie ma prawa,
Bo mu przy boku miecza nie dostawa.

Wsiadł na rumaka, co parską na stronie.
Ze strzałką na łbie, z jedną białą nogą;
Starzec zacmóknał, zaświsnął na konie,
I wóz wyruszył wywijaną drogą;
A za kolaską, gdzie siedzieli starce,
Leciał młodzieniec, wyprawiając harce.
Stary woźnica, jak za dawnej chwili,
Coś sobie dumał, popuściwszy wodze,
Stuknął trzy razy o kamień na drodze,
I pod kościelną dzwonnice przybyli.

Pleban już wiedział, jacy goście lecą.
I kazał kościół oświecić wspaniale.
Skarga wszedł, klęknął, pomodlił się nieco,
A potem zasiadł w konfesjonale.
Młody Szeliga zabrząknął wesoło
Strojem żelaznym, z którym tak mu pięknie,
Przyłbiczny wizyr uchylił na czoło
I przed kratkami pokuty uklęknie,
I drobne grzechy młodzieńczego ducha
Spowiednikowi wyszeptał do ucha.

XX.

Grzechów nie wiele w młodocianej duszy,
A spowiedź święta trwa nie jedną chwilę;
Bo tyle przestróg, bo rad było tyle,
Nim w drogę życia szczęśliwie wyruszy!
Starzec i kapłan, dobrze dróg tych świadom,
W młodym wędrowcu dobre chęci budzi,
Aby się pilno przypatrywał śladom
Chrobrych, i mądrych, i cnotliwych ludzi.
A znając Skargę, możem ręczyć śmieie,
Że w tej spowiedzi była treść obfita:
O wierze ojców, o Pańskim Kościele,
Król był na placu i Rzeczpospolita.
Czy pięknie mówił? tego nikt nie zgadnie.
Bo rzecz spowiedzi — tajemnica Boża...
Spłakany młodzian płoni się, to bladnie,
Gdy od pokuty odchodził podnoża.

XXI.

Kościelny dzwonnik cztery świeczki pali,
Skarga wziął ornat — i wyszła msza święta;
A Szeligowie, jak gdyby chłopięta,

Starzec i młodzian w komże się ubrali,
 W Ofierze Pańskiej świadomi posługi,
 Jeden do mszału, a do dzwonka drugi.
 Stary Szeliga, wnet po Agnus Dei,
 Uderzył w dzwonek i świeczkę rozżarza,
 Zmówił psalm wiary, miłości, nadziei,
 Młody Szeliga klęknął u ołtarza;
 A ojciec Skarga, jak Opatrzność święta,
 Czule przeżegnał głowę penitenta,
 A gdy lud wszystek ukłękął przykładnie,
 W usta młodziana Chleb Żywota kładnie.

XXII.

Wkrótce Ofiara kończy się bezkrwawa,
 A kapłan, święte zrzuciwszy ornaty
 W komży i stule przed ołtarzem stawa,
 Skinieniem woła młodzieńca przed kraty.
 Młody Szeliga u balasek klęka;
 Skarga poświęcił jego miecz stalowy,
 A gdy podawał, zadrżała mu ręka,
 I tak rzewnemi przemówił doń słowy:
 — Synu! w żołnierstwie najpierwsza otucha,
 Pancierzem wiary gdy umocnisz ducha!
 Siła złych rzeczy jest w sercu człowieczem,
 Z temi walcz naprzód — niech zawždy ci będzie
 Tarczą modlitwa, sprawiedliwość mieczem,
 To chrześcijańskie bojowe narzędzie.
 Na ten rynsztunek silnych bark potrzeba
 I silnej ręki i woli niełada;
 Lecz do tej zbroje znijdzie łaska nieba:
 Najwyższy Hetman — Chrystus ci ją wkłada.
 Wtenczas ci tylko będzie siła dana,
 Co nieprzyjaciół zgromi i popłoszy,
 Jeżeli w sobie zwyciężysz szatana,
 Ducha złej pomsty, łakomstwa, różkoszy!
 Nie zbierze łupów, kopje pokruszy
 Ten, kogo szatan obedrze na duszy!
 Nie stań się jako ulicznicy żołnierze,
 Co jeno straszą bezbronnych żelazem;
 Lecz pod chorągwią i króla rozkazem,
 Idź wojny pańskie odprawować szczerze.
 Zostaw w pokoju, rycerski człowiecze,

Cichego ziomka, co siedzi w swej chacie;
 Bóg będzie z wami, gdy gniewy i miecze
 Na nieprzyjaciół koronnych schowacie.
 Sprawuj się doma, jako owca cicha,
 W bitwie jak lwica, co męstwem oddycha!
 Trudny twój zawód! Nim z wrogiem się zetrze,
 Już cię tysiące niewygód otoczy:
 W głodzie, wśród deszczu i na zimnym wietrze,
 We krwi i ranach, ty miej duch ochoczy.
 A nie śmiej w duszy ostudzać zapалу,
 Nie śmiej folgować nic twojemu ciału;
 Bo ciało twoje — to jeno mur żywy,
 Którym się grodzą macierzyste niwy.
 Pomnąc, że w tobie twych ojców otucha,
 I miast, i wiosek, i świątyń Jehowy,
 Idź w Imię Ojca, i Syna, i Ducha,
 Spraw się rycersko i powracaj zdrowy!

XXIII.

Rzewnie splanani do domu wrócili,
 Kędy już skromna czekała biesiada.
 Skarga, dziś z postem, parę rybek zjada,
 Szklanice wody źródlanej wychyli,
 I już nasycen składa Bogu dzięki.
 Powstał, a wszyscy k'niemu przyskoczyli,
 Wszyscy się cisną do kapłańskiej ręki.
 Kapłan każdemu dał uścisk życzliwy,
 I błogosławi wszystkich gość dostojny.
 Stary Szeliga znowu niespokojny,
 Chce o coś prosić.

— Ojczy miłościwy!

Nim wasze konie miarkę owsa zjedzą,
 Raczcie poświęcić mój domek ubogi,
 Moją obórkę, moje sienne stogi,
 Moją pasiekę, co leży pod miedzą!

— Niech wam Bóg szczęści! — ksiądz Skarga od-
 Zwracając k'niemu swe spojrzenie czule; [powie,
 — Powiedzcie jeno memu pachółkowi,
 Niech tu przyniesie i komżę, i stulę.
 Jeśli mię Pan Bóg wybrał za narzędzie,
 Gdy grzesznych modłów wysłucha choć w części,
 Wierzaj mi, starcze, że ci dobrze będzie,
 Że ci się tutaj we wszystkim poszczęści.

Za to, żeś dźwignął ojcowskie zwaliska,
Kapłan cię żegna, przyjaciel uściska. —

XXIV.

Podano komżę, stulę i kropidło,
Skarga się ubrał i modlitwę czyta,
Pokropił domu zamieszkane skrzydło:

„Niech spokój Pański nad wami zaświta,
Niech wasze głowy Anioł Stróż osłania,
Niech błogosławi i sny, i czuwania!“

Wszedł do komory, gdzie się chowa jadło,
Pokropił wodą i dodał co prędzej:

„Bogdaj wam nigdy łaknąć nie wypadło;
Bogdaj tu było przytulisko nędzy!

Ty znasz co nędza, Szeligo mój drogi.
Dzisiaj dostatek widzę, dzięki Bogu;
Dajże mi słowo, że żaden ubogi

Nie wyjdzie głodny od twojego progu!“

Szeliga rękę przycisnął do piersi,
Świątą przysięgą jego oko gore.
Wszyscy rzewniejsi i ku bliźnim szczerši
Wyszli ze Skargą poświecić oborę.
Skarga się żegna i modlitwę czyta,
Pokropił ściany i znowu zawoła:

„Niech wam Bóg sporzy nabiału do syta:
Niech tu zaraza nie zawita zgoła.
Żyćcie szczęśliwi pod Boską opieką,
A bądźcie czyści i biali, jak mleko“.

Więc poszli dalej, by poświecić ule.
Kapłan się żegna i modlitwę czyta;
Potem, spojrzawszy na Szeligę czule,
Rzecz: „Niech korzyść mnoży się obfita,
Niech się wam zbożne zamiary powiodą.
Niech sporną pracą uwieńczą się ręce.
Żyćcie, jak pszczoły, miłością a zgodą.
Zapłońcie światłem, jak świece jarzące.
Niech w duszy waszej tak cnota się chowa,
Jak w plastrze miodu patoka miodowa! —

Tak poświeciwszy pola, łąki, płoty,
Wraca do dworku stary jezuita,
I tu stanąwszy przed nowemi wroty,
Skropił je wodą i modlitwę czyta;

A jego oko promieniem się żarzy,
Iskra zapalu migoce na twarzy:
„Wrota! — zawołał — ku szlacheckiej chacie
Wy, co radośnie wrota odmykacie,
Niechaj Stróż Anioł pilnuje was codzień
Od złego gościa lub złego sąsiada!
Niechaj się tedy nie przemyka zdrada;
Niech waszych skrzydeł nie odemknie zbrodzień.
Jeśli ktokolwiek z jaką myślą zradną
Zechce tu wkroczyć, łaską czy przemocą.
Niechaj te wrota na głowę mu spadną,
Niechaj mu głowę i piersi zgruchocą.“

XXV.

To były tylko słowa życliwości,
Które mąż zacny wypowiedział święcie;
Ale słuchacze wioskowi a prości
Jakieś w nich dziwne widzieli zakłęcie.
Skarga odjechał znów w koronne strony,
Błogosławiący i błogosławiony.
Stary Szeliga rozmyśla w ukryciu
Lub gwarzy o nim z chlubą co niedzieli.
Jego sąsiedzi, co pierwszy raz w życiu
Głośnego Skargę naocznie widzieli,
Długo i szczerze zjawiskiem zajęci,
Rozpowiadali — szlachcic szlachcicowi —
Jego życliwe dla Szeligi chęci,
Jak on wygląda, co czyni, co mówi.
Jako mu syna błogosławił w drogę,
Święcił domostwo, dobytek bogaty,
Jakiemi słowy udzielał przestrogę
I jako zaklął wrota jego chaty.
Wszyscy pobożni nieśmiało, z oddali,
Na tajemnicze wrota spoglądali;
Każda litewska bogobojna dusza,
Jeśli do jakich czuje się bezprawi,
Jeśli sumienie jakiś grzech zaprósza.
Już się do dworku Szeligi nie zjawi.

XXVI.

We starym dworku mniej już było gwarno;
Za to, kto przyszedł — przyjaciel i prawy,
Nikt nabożeństwa, spoczynku, zabawy

Nie zatrul w chacie jakąś zdradą czarną.
Mleka do syta, a pszczołki się roją,
Łąki do pasa, i krzewi się zboże, —
O! dzięki Skardze, że bytnością swoją
Błogosławieństwo sprowadził tu Boże!
Któż jasną radość na Szeligi czole,
Któż jego szczęście wypowiedzieć w stanie,
Gdy często gęsto birżańskie pachole
Wdzięczne od syna wiezie mu pisanie?
A w każdym liście kipi dusza młoda
Żądzą do bojów, do czynów, do sławy;
W każdym donosi, że ksiązę wojwoda
Zawsze ku niemu dobry i łaskawy;
Że chociaż dumny, oblicza nie cofa,
Lecz swoim drużbą poufale zowie,
(Bo jak z przed wieka jego pradziadowie,
Młody Szeliga miał inię Krzysztofa).

Aniele Strózu! niechże twoje oczy
Na długo starca pilnują i strzegą,
Niech twoich skrzydeł święty cień otoczy
I serce jego, i domostwo jego! —
I łaska niebios nie była odmienna:
Jednako wszystkie płynęły mu chwile,
Aż przyszła jutrznia zachodu promienna,
Zgrzybiałość, drzemka — i krzyż na mogile;
I jest otucha, że dla jego duszy
Pocziwej pracy złote gwiazdy świecą...
A jego dworek pochylił się nieco,
Uchły gałęzie na cienistej gruszy,
Klon poczał żółknąć, bo wszystkiemu pora,
Czas wiekuisty na wszystko się targa;
A tylko wrota, które zaklął Skarga,
Stoją tak krzepko, jak ciosane wczora.
Słomiany daszek choć kwitnie zielono,
Choć furtka nieco ku ziemi osiada,
Lecz wrota krzepkie, sto lat jeszcze pono
Wprowadzać będą dobrego sąsiada.
Niech sobie starcy wśród długiej gawędy
Uholewają, że ludzkość zepsuta:
Przecież pocziwe nie wałą się wrota,
Nikt ze złą myślą nie przechodził tędy,
Nikt nie szwankował, ani swój, ni cudzy...

Czyż w cnotę ludzką trzeba wierzyć święcie?
Albo nie wierzyć w księdzowskie zaklęcie,
Że ojciec Skarga tak bąbał, jak drudzy?
Co o tem trzymać — czy to, albo owo?
Przyszłość pokaże — dziś daremna praca.
Patrzmy na dalszą stronicę dziejową,
I gdzie się młody Szeliga obraca.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Przeszłości święta! pokój ci niech będzie
W twym wiekuistym, w twoim sennym grobie
Coś nagrzeszyła w niebacznym obłędzie,
Niech Bóg udzieli przebaczenia tobie,
A twoim cnotom swą łaską przyczyni
Plennego wzrostu, co ma ziarno w roli,
W naszych im sercach krzewić się dozwoli!...
Przeszłości święta! tyś nasza mistrzyni:
Nie dla zgorszenia, ale dla poprawy.
Pozwól w twój obraz przypatrzeć się mgławy,
I nie poczytuj nas za świętokradce,
Nie mniej za winnych synowskiej obrazy,
Jeśli się zdala przypatrując matce,
Na jej obliczu odkrywamy skazy.
My dobrze serce naszej matki znamy:
Ona tam w niebie jedną żądzę żywi.
By jej synowie byli od niej samej
Bardziej cnotliwi i bardziej szczęśliwi.
Nam dla przestrogi ona sama powie,
Co narobiła, kiedy była młoda.
Nie wiele grzechów liczy na swej głowie. —
Grzech jej najcięższy miał imię — Swoboda.

Nie ta swoboda, którą ma od Boga
I myśl człowiecza i niebieski ptaszek,
Co nie dla marnych stworzona igraszek,
Co wie, skąd idzie i dokąd jej droga.
Pilnując kręgu, jak słońce na niebie,
Ciepło i światło sieje wkoło siebie,
I zna to dobrze, że gdyby zakresie

Śmiała przekroczyć choć na jeden atom,
To zamiast szczęścia, które daje światom,
Straszliwe światu skończenie przyniesie.
Córka zniszczenia jest inna swoboda,
Czynem i słowem w karby nieujęta,
Do której hasło najpierwszy ten poda,
Kto chce narzucić niewolnicze pęta,
Co, aby snadniej zhołdować lud Boży,
Sam się poniży, sam się upokorzy.
Na nim się wesprzesz, jakby na opoce,
A on się śmieje w głębi swego ducha,
On weźmie pierwsze swawoli owoce,
A karę błędu — ten, kto go usłucha.
Tak niegdyś w Polsce miłościwe pany,
Mówiły szlachcie: Co te nasze prawa?
Ten król, choć przez nas swobodnie obrany,
Na naszą wolność nieżyczliw się zdawa.
Nasze statuta, choć własne pisanie,
Nie dobrze plują braterskiej swobodzie:
Wszakżeśmy szlachta — a szlachcic, mospanie,
Choć na zagrodzie, rówien wojewodzie.
Hej! kogo losy krajowe obchodzą,
Do mnie niech spieszy, co żywiej a sporzej!
Stanę na czele, a pod moją wodzą,
Król się poniży, prawo upokorzy!
Nic nie zważajcie, żem ja wojewoda,
A baczcie we mnie szlachcica i brata:
Mam chleb i wino, co to ust nie szkoda,
Przyjmę was chętnie, czem chata bogata!
A ślepa szlachta, krzycząc w niebogłosy
Na ucisk tronu i niesłuszność prawa,
Pod sztandarami wojewody stawia
I z jego gwiazdą łączy swe losy,
Z jego zachceniem łączy swoje modły,
Z jego orężem swe szable ochocze, —
Już się za kruszec zaprzeda podły,
Za stągiew miodu, za gruntu półwłocze
A do pańskiego rydwanu przykuta,
Już zapomniawszy co wolność prawdziwa,
Śni jeszcze szlachta, że swobód używa,
Obiera króla i pisze statuta.

Senne rojenia! nedorzeczne chęci!
Pomiędzy kilku władza się rozdziela;
Potężnych domów mnodzy są klienci,
Lecz trudno w kraju o obywatela.

II.

Krzysztof Szeliga na birżańskim dworze
Urastał w laskach książęcia Krzysztofa.
Postać miał dziarską, a spojrzenie hoże,
Dłoń, co się nigdy przed szablą nie cofa,
Umysł przytomny, a pocziwe serce. —
Czemuż tych darów na lepsze nie użył?
Gdyby krajowi poświęcił w żołnierce,
Jakby się pięknie wsławił i zasłużył!
Jeszcze za życia Zygmunta Trzeciego,
Zamek birżański gdy oblegli Szwedzi,
Młody Szeliga wraz z drugim kolegą,
Zebrawszy ciżbę zamkowej gawiedzi,
Sprawił wycieczkę i śmiałym obrotem
Nie małą klęskę napastnikom zadał;
A kiedy Birże poddały się potem,
On w różnych miejscach na Szwedów napadał.
Obok książęcia na bitwach niósł zdrowie,
I z chrobrem sercem do rozprawy staje;
Nadstawiał piersi, aby się wrogowie
W głębsze litewskie nie przedarli kraje.
Był to niedługi zawód wojowniczy.
Co w lat dwadzieścia znowu się ożywił:
Bo gdy po przodkach Birże odziedziczy
Książę koniuszy, Bogusław Radziwiłł,
Szeliga, zawsze Radziwiłłom wierny,
Podzielał księcia wyprawy bojowe,
Pod Beresteczkiem wiódł hufiec pancerny
I Kozaczyńnę poraził na głowę.
Już czoło jego siwizną się prószy
Ozdobne w laury ojczystej zasługi;
Lecz z owych laurów żartował w swej duszy,
Bo on krajowi nie służył, jak drugi,
Jeno zdobywał łaskę u magnata.
Co chciał krajowi dowodzić przemocą;
Poszedłby, zda się, i na koniec świata,

Bilby się zawždy, nie pytając o co;
I przy tureckim stanąłby sztandarze,
Jeżeli ksiązę koniuszy rozkaże.

Na świetnym dworze księcia Bogusława
Nie było mowy o Rzeczpospolitej:
Szlachta — narzędzie pańskiej myśli skrytej,
Gdzie jeno skinie, wszędy hurmem stawa,
Ani pytając tego, co na przedzie,
Czy dobrze wiedzie i dokąd zawiedzie?
Na zjazdach szlachty, Szeliga niebacznie.
Kierowan ręką, z której pragnął złota,
Rokosze w wojsku poszeptować zaczęły,
I na powagę królewską się miota,
I z owym mieczem, co poświęcił Skarga,
Na pomazańca Pańskiego się targa.
Skarga już nie żył, i ojciec już nie żył.
Otworem stały do swawoli drogi,
Nikt go nie ujął słowami przestrogi,
Nikt pogardliwym okiem go nie zmierzył.
A łaska pańska ku niemu się wdzięczy,
A przepych dworski tak nęci zdaleka,
Że, opłatany jak w siatce pajęczej,
Z rozkoszą własnej woli się wyrzeka.
I nie pojmował, jak szlachta wśród wioski
Może brać sochę lub siekierę w ręce,
Mieć inną barwę krom Radziwiłłowskiej,
Mieć inne myśli, niż myśli książęce.

III.

Tak go zajęły te względy łaskawe,
Że ani spojrzął na rodzinne ściany;
Ojcowski dworek wypuścił w dzierzawę.
A czynsze z niego — przegrywał z dworzany.
Domek, co niegdyś ojcowska siekiera
Wyciosywała ze skrzętnym mozołem,
Dziś drewnianemi szczudły się podpira,
Jak stary żebrak, jak dziad pod kościołem.
Słomiana strzecha pokryła się cała
Mchy zielonemi i plamy czarnemi;
W oknach gdzie niegdzie szyba pozostała,
Ganek i przyzba osiadły ku ziemi.
Gruszę cieniastą wycięto z przed chaty,

W ogródku chwasty wyrosły krzewiście,
A klon uwiędły, zeschły, rosochaty,
Ledwie niemnogie i żółte miał liście.
Pszczołki rzuciły opróchniałe barcie,
Gęste pokrzywy wyrosły u płota.
Stare, pocziwe i zakłète wrota
Zdają się prosić o lepsze podparcie.
A między ludźmi jeszcze jest podanie,
Jak ojciec Skarga poświęcał je nowo,
I swe zakłète jak położył na nie,
Aby runęły nad zdradziecką głową.
Lecz dzięki Bogu wrota nie runęły,
Choć niepodparty słup ledwie się trzyma:
Na starej Litwie, w dziedzinie Jagiełły,
Są grzeszni ludzie, ale zdrajców niema.

IV.

Wieczność nad światem krąży nieprzerwanie,
Zmienia się oracz, chociaż jedna niwa;
A na cmentarzach, na kościelnej ścianie,
Coraz to nowy nagrobek przybywa, —
I jeśli zważysz — w tejże samej chwili
W nowej kolebce nowy gość zakwili.
Przyszłość z przeszłości wyradza się starej
Tak pomalutku, tak niepostrzeżenie,
Jak drobnej brzozy lub dębu nasienie
Wyrasta listkiem, wystrzela w konary,
I jak najstarsi ludzie nie przypomną,
Latorośl marna, uboga, maleńka,
Już dzisiaj wiechą wieńczy się ogromną,
Jej pień starzeje, olbrzymieje, pęka,
Sieje dokoła krzewiste nasiona,
A żółte próchno wysypuje z łona.

W każdym niebieskiej jutrzzenki rozświecie
Kończy się życie i poczyyna życie:
Kwiat stugodzinny, i człowiek stuletni,
I historyczna tysięcy lat era,
Czy słońce świeci posepnie, czy świetnie,
Za każdą chwilą rodzi się — umiera.
Nie dojrzy żaden dar jasnowidzenia,
Jako świat Boży oblicze przemienia,
Jak rozwinięty w swych prawach swobodnie,
W jednej godzinie starzeje i młodnie.

V.

Niepostrzeżonym, nieznacznym obrotem
Przeszło nad Polską pół wieku z okładem.
Zmarł Zygmunt Trzeci, a w dziesięć lat potem
Władysław poszedł za ojcowskim śladem;
Korona Polska, jak wieńce cierniowe,
Przygmiotła Jana Kazimierza głowę.

Jak w losach człeka, tak w losach narodu,
Pan Bóg dopuszcza chwile ciężkiej doli,
Czy to za grzechy brojone za młodu,
Czy w dowód łaski, czy nauce gwoli.
Ojciec niebieski w gniewie, czy w rozwadze,
Różdkę Swej chłosty podnosi na dzieci,
Całe narody da klęskom pod władzę,
A chmura nieszczęść jak z wiatrem naleci.
Uderza w gromach piorun po piorunie,
Wszystko druzgoce, obala i pali;
Gdy jeden obłok zdaje się przesunie,
Patrzcie! horyzont już czernieje dalej,
A w nowych kłębach czarnego chmurzyska
Nowy grom huczy, nowy piorun błyska,
I nowy wichur zadyma z pod chmury —
Łamać, obalać, co zostało jeszcze...
Ojczy ludzkości! Strażniku natury!
Kiedyż te znaki ustaną złowieszcze?
Kiedyż się skończy burza, klęsk niesyta?
Kiedyż się skończy to serc naszych drżenie?
Kiedyż poranek radosny zaświta.
I błysną jutrzni różowej promienie?
Och! czas już światu poweseleć od niej!
Czas sercom ludzkim uderzyć swobodniej!

VI.

W doli narodów, nim burza Jehowy
O ściany kraju uderzy w zapędzie,
Bóg najprzód miesza stary ład domowy,
Żywiół bytu porozprzega wszędzie.
Ześle bezsilną niemoc na sternika,
Oczy czeladzi ślepotą zaciemni;
Ginie porządek, święta zgoda znika.
Stają się wszyscy wrogowie wzajemni.
A gdy się waśnią, gdy wstecz idzie praca,
Gdy fundamenta podkopali sami,

Uderza piorun i ściany wywraca,
I już społeczność jęczy pod gruzami.
I swe bolesne opatrując rany,
Każdy na drugich gdy swe winy zwała,
Grom, który został na pomstę przysłany,
Z niebaczonej ciżby śmieje się z oddala;
Wicher, co bije w nieszczęśliwe zgłiszcze,
Z urągowiskiem po ruderach świszcze.

VII.

Tak w owe czasy, nim w Polskę strzelili
Cztery pioruny ze czterech stron świata,
Pan porozdawał, pogmatwał jej siły,
Z gościńca przodków odbiegał Sarmata.
Bezrząd na wszystkim swoją pieczęć kładzie,
Nosi jej cechę już Rzeczpospolita,
A niegdyś baczny na wszystko Lechita
Stał się porządnym — jedynie w bezładzie,
Panowie radni oblegają króla
I za starostwa sprzedają swe wota;
Szlachta na sejmie po gospodach hula,
Pijanem słowem na wszystko się miota,
Rzuca na króla i na senat zakał,
Każdą myśl jego zabija w jutrzence.
Och! często, często boleśnie zapłakał,
Często załamał Jan Kazimierz ręce,
I tęskne myśli posyłał za morze,
Gdzie tron ojcowski posiadał mu kto inny,
Gdzie lud monarchom posłuszny, powinny,
Gdzie król poddanych uszczęśliwiać może.
A tutaj... tutaj gdzież jest tronu władza?
Naród do szczęścia sam sobie przeszkadza.
Tu groźna północ od Szwedów i Rusi
Dwiema chmurami z daleka się sroży;
Tutaj Chmielnicki, prawdziwy bicz Boży,
Kraj naddnieprowy oderwać się kusi,
Krwią lacką spluskał ukraińskie -stepy.
A niema środków postawić mu czoła,
Sejm tylko jeden uczynić to zdoła.
Ale sejm polski, gwarliwy a ślepy,
Gdzie dola kraju, gdzie obrona dziątek.
On się targuje z królem o podatek.

Jęczą na nędzę i szlachta. i pany,
Jednak tym jękom trudno dawać wiary,
Bo dzisiaj w ziemi, kopając kurhany,
Mnogie znajdujem grosze i talary.
Na których stemplem ówczesnych myncarzy
Odbite rysy Kazimierza twarzy.
Snadź w owe czasy chciwość, czy obawa,
Kryły przed sejmem, że grosza jest dosyć,
I trudno było o szeląg uprosić
W imieniu kraju lub w imieniu prawa.
Senator chowa swe grosze do skrzyni,
Mnich się bogaci, panoszy bez granic,
Szlachcic o zbytki dwór królewski wini,
A na pobory nie zgadza się za nic.
Każdy od nędzy rzekomo, się garbi,
W liczbie podatku niedoboru kreski;
Zakłopotany koronny podskarbi,
Zakłopotany podskarbi litewski.
Wojsko bez żołdu sztandary opuszcza.
Poborca grosze roztrwania bezładnie. —
A na sejmikach wykrzykiwa tłuszcza:
Że król niebaczny, że podskarbi kradnie,
Że wszystek zasób wyciągnięto z chatek,
Że przyjdzie z głodu umrzeć na ostatek.
A patrz po kraju, kędy grosz się trwoni
Za jedną szczyptę zamorskiego ziela!
Co sług! co potraw! co psów, a co koni!
Jak tryska wino! jak huczy kapela!
Patrz, ile kanak z diamentu warty
W stroju mężczyzny, białogłowy, dziecka!
Jakie sobole, tygrysy, lamparty!
Rzeczpospolita zbytkuje szlachecka.
Za dwie wieczerze nadwornej szarańczy
Można uzbroić chorągiew husarzy;
Lecz szlachta szumi, o swobodach gwarzy,
Na grobie kraju śmieje się i tańczy;
Ani chce wiedzieć, że tu wnet naskoczy:
Groźny Chmielnicki, Szwed albo Rakoczy.
Gdy się na głowę zwała Siedmiogrodzie,
Kozak i Rusin gdy do walki zowie,
Na wałach fortec jaśni starostowie
Sieją warzywa, jak gdyby w ogrodzie,

Mur z bastjonom rozbijając stary,
Budują z niego śpichrze i browary.
Rzadko gdzie w domu szlachcica-rycerza
Był koń, zbroica lub miecz w pogotowiu;
Żołnierz koronny, zbyt folgując zdrowiu,
Włókł z sobą łóżka i pościela z pierza.
Na wież obronnych niedawne zwałiska
Wspina się koza i ogryza chwasty;
Na straży żołnierz dziesiąty, dwunasty,
Bo reszta hula, albo lud uciska.

Czegoż nie działał ów motłoch, łakomy
Na cudze grosze, majątność i domy!
Na niewinnego potwarze wymiata,
Mówiąc: „Ten zdrajca, ten z wrogiem się brata,
Ten ranił sługę, co był pod moją władzą,
Ten ukradł konia, co do mnie należy!”
Wiec do hetmana niewinnych prowadzą,
A ich domostwa oddają łupieży;
Mordują, ranią, gdy rabować nie dasz,
Biorą co wola i niosą na sprzedaż.
Zamiast starszysznę mieć w zacnej powadze,
Szemrał na króla, rotmistrze, hetmany,
Skladał swe zjazdy żołdak zbuntowany
I groźny oręż podnosił na władzę.
Rzadko kto mawiał: „Dopomóż mi Boże!
Sławo! ja głowę dla ciebie położę!”
Częściej słyszałeś z ust rycerskiej braci:
„Służę i czartu, jeśli mi zapłaci!”

VIII.

Boleść rwie serce, gdy musimy w pieśni
Wspomnieć te czasy, kreślić te obrazy.
Patrząc na Polskę płakali współcześni:
„Piękna ziemico! zgubionaś sto razy!
Świetna wśród bitew, nieszczęśliwa doma,
Nie drżysz przed Szwedem ani Zaporozem,
Lecz sama własnym zabijasz się nożem,
Grób sobie kopiesz własnymi rękoma!
Nie winuj obcych, że z chciwym zapalem
Biegna ku tobie, czując twe niezdrawie:
Tylko narzędziem Pańskim są krukowie,
Co lecą martwem nasycić się ciałem.

Nie oni zgonu twojego przyczyną:
Kraje przez siebie, nie przez obcych giną“.

IX.

Poczęły trwożne szerzyć się pogłoski
O nieprzyjaznym dla Polski sąsiedzie;
Że podkanclerzy, zdrađny Radziejowski,
Na zgubę braci szwedzkie hufce wieđzie.
Tuż za pogłoską szedł i skutek spieszno:
Runęły w Polskę zastępy Wandali,
A gród poznański i Kalisz i Leszno
W ręce zwycięzców wodzowie oddali.
Wojewodowie i kasztelanowie,
Co w wolnym kraju i wyznać sromota,
W pokornem piśmie i w pokornej mowie
Królowi Szwedów składali swe wota.
Janusz Radziwiłł wnet przeszedł do Szweda,
Wiodąc za sobą szlachtę z Litwy całej,
I poszła dalej zwycięska czereda,
Wkrótce ją mury warszawskie ujrzały.
Uszedł król polski ze swojej stolicy,
Coraz po kraju tułając się dalej;
Pierzchli koronni niegdyś pochlebnicy,
Co jeno łaski u tronu szukali.
Opuszczał króla silny i bogaty,
Szedł i Szwedowi swą przychylność kłamał.
Biedny mieszkaniec zaściankowej chaty
Spojrzał dokoła — i ręce załamał;
A obcy pychy poszeptom zdradzieckim,
Przysięgł nie zdradzić króla i swej ziemi,
Naostrzył brzeszczot rękami chrobremi
I szedł do swoich, łączyć się z Czarnieckim.

Stefan Czarniecki, mąż kuty z żelaza,
Z niewielką garstką nie zdradził swej wiary:
W nim kraj rodzony, w nim Kazimierz Waza
Widzieli męża, co jak granit stary,
Zaległszy morza wściekłego wybrzeże,
Sam jeden ładu od powodzi strzeże.
A w tym niezłomnym wiekowym granicie,
Przy l'órym fala ściele się bezwładnie,
Jakież skry ognia! zaraz w nich ujrzycie,
Za lada starciem jak piorun wypadnie.

Ruś gości w Wilnie, Chmielnicki we Lwowie,
Szwed zajął Poznań, Warszawę i Kraków;
Już wszystkie grody stołeczne Polaków
W rękach zdobywców, jak nędzne pustkowie.
Trzy wielkie wichry w całej swojej sile
Kiedy na jedną budowę gruchnęły,
Zda się dziedzina Piasta i Jagielly
Będzie na troje rozdarta za chwilę.
Niemasz wyboru dla prawego męża,
Jeno polegnać pod domowem zgłiszczem;
Lecz mądrzy mówią: „Może coś uzyszczem,
Pójdźmy się kłaniać temu, co zwycięża”.

X.

Książę Radziwiłł, litewski koniuszy,
Dawno szwedzkiemu kłania się królowi;
Jego klienci, na wszystko gotowi,
Na stronę szwedzką przeszli z całej duszy.
Tylko gdzie niegdzie trzyma się na wodzy
Kupa mieszczanów lub szlachta ubodzy.
Pomimo pochlebstw, pomimo popłochu,
Gdzieś garstka z garstką jeszcze się sprzymierza,
Ostatni szeląg, ostatnią garść prochu
Niesie za sprawę Jana Kazimierza,
Ostatnie takty bolejącej piersi
Składa w modlitwę za Rzeczpospolitą.
Lecz tacy ludzie, biedniejsi im szczerśi,
Jakże się muszą opłacać sowito!
I szwedzki żołdak, i służba książęca
Ściga stronników sarmackiego króla,
Pod ich strzechami najbezkarnej hula,
Nad ich rodziną pastwi się i znęca;
A byle cienie, hyle powód marny,
Niesie miecz rzezi i ogień pożarny.

XI.

Ale po burzy znowu się rozwidni, —
Poczęła świtać jutrznia lepszej doli.
Szlachta od Szwedów cofa się powoli.
Przejrzeli ślepi — a zdrajcy ohydni,
Gdy nowe knować poczęli zasadzki,
Staął w Tyszowcach akt konfederacki.

A w Częstochowie jedno serce mnicha,
Które wpsierała Przenajświętsza Panna,
Tysiące szwedzkich zastępów odpycha,
Daje się słyszeć wesołe: Hosanna!
Z echem i z wiatrem rozwiął się dźwięk pieśni
Po całym kraju, jak dobra otucha;
Powiat z powiatem kojarzy się cieśniej,
Szwedzkich rozkazów już mało kto słucha.
Sandomierz, Lublin już w ręku Polaków,
Już głoszą powrót Jana Kazimierza,
Nazad zdobyte Warszawa i Kraków,
Czarnecki wszędy jak piorun uderza.
A ludzie dobrzy, łatwowierni, prości,
Co szli do Szweda w prostocie swej duszy,
Już się zrzekają ohydnych sojuszy,
Naród powraca do swej powinności.
Już tylko tacy przy wrogu zostali,
Co chcieli nękać swą ziemicę biedną:
Kilku magnatów i klienci mali,
Co z magnatami chcieli być za jedno.

XII.

Krzysztof Szeliga zanadto swą dołę
Skojarzył z losem księcia Bogusława;
Wspólne ich bojów, ich przewinień pole,
Dzielić im tylko wspólny los zostawa.
Już dziś nie poznać owego młodziana,
Któremu Skarga święcił miecz na boje;
Twarz jego dzisiaj zmarszczkami zorana,
Znać, że sumienia cierpi niepokoje.
Głos powinności ku matce swej ziemi,
Którego wszystka szlachta usłuchała,
Czyż w jego piersiach nieprawość oniemi?
Czyż w jego myślach nigdy nie zapala?
O! znacznie walkę we szlachetnej duszy!
Ciężka tam w głębi odbywa się próba,
On nieraz myśli: „Niech książę koniuszy
Trzyma ze Szwedem, czy z kim się podoba;
Moja powinność tam, gdzie mojej braci,
W szeregach króla, w obronie tej niwy,
Gdzie złożył głowę mój ojciec sędziwy,
Gdzie mię z narodem krew powinowaci“.

Przeciw tym myślom myśl zdradna a płocha
Stawiła czoło potężnie i srodze:

„Czyż rzucić księcia, który tak mię kocha,
Kiedy tu silną chorągwią dowodzę?
Ja tutaj mnogie skarby mam pod strażą,
Z łupów wojennych uzbierałem krocie;
Wrócić do swoich — to oddać je każą,
Oddać kmiotkowi, wdowie lub sierocie.
Rzucić dostojność, którą tutaj pieścić,
Pozbyć się grosza — toć cała ruina;
Zostać żołdakiem, potem słuchać jeszcze,
Gdy człek skrzywdzony łupieżcę przeklina...
Nie, już za późno... już pozostać wolę:
Po mojej drodze zaszedłem daleko;
Wypieszczonemu na książęcym stole,
Wracać do wioski — pić wodę i mleko...
Przy łasce księcia, przy wojennym łupie,
Nie taką wioskę ja wkrótce zakupię“.

Tak, by zagłuszyć sumienia zgryzoty,
Szeliga w swego namiotu ustroni
Przeglądał pilno swój strój szczerozłoty,
Srebrzysty oręż, suty rząd na konie;
A obliczając swe przyszłe rozkosze,
Przyszłe znaczenie — dodawał kryjomu:
„Zmienią się czasy, i króla przeproszę,
I jak bohater powrócę do domu“.

Błuźniercze myśli! bezrozumne cele!
Bo się w dziejową świątynię nie wdziera:
Nie dosyć męstwa albo ran na ciele,
Bo świętość sprawy czyni bohatera:
Imię męznego na nic się nie przyda,
Gdy czyje czoło piętnuje ohyda.

XIII.

Pod wioską Prostki, na pruskiej granicy,
Szwed, już z dziedziny sarmackiej wygnany,
Leżał obozem — a dwa polskie pany,
Dwaj macierzystej ziemi najeźdźnicy:
Książę koniuszy, Bogusław Radziwiłł,
I podkanclerzy polski, Radziejowski,
Nowe Szwedowi podawali wnioski,
By wrócił w Polskę i kraj uszczęśliwił,

Że tamta ziemia ku niemu stęskniona
Znowu poddańcze wyciągnie ramiona.
Elektor pruski, obecny naradzie,
Co swoje hufce ze Szwedem połączył,
Co radby z Polską na zawsze już skończył,
Przyrzeka pomoc i warunki kładzie.
Radzono długo... noc była już ciemna,
Były tam plany, i spory, i swary;
Wreszcie nastąpiła ugoda wzajemna,
Przybito dłonie, podano puhary, —
I cichy toast okrążył trzy razy:
„Niech żyje zguba Kazimierza Wazy!”

Szeliga z wartą księcia Bogusława
Stał przy namiocie tuż za samem płótnem,
Słyszał jak gwarna toczyła się wrzawa,
Słyszał toasty z ich prorocstwem smutnem;
Ale mu serce nie zadrgało zgrozą,
Zaśmiał się — szepnął: „Giń, Rzeczpospolita!
Gdy starą Polskę na marach powiozą,
Toć nowy w świecie porządek zaświta.
Szwedzkim stronnikom już zrećność się poda
Wypłynąć na wierzch, bo ich teraz pora...
Już nie starosta, jak marzyłem wczora,
Lecz będę hetman, kanclerz, wojewoda;
Wezmę urzędy, których nie dościga
Nawet Radziwiłł, nie tylko Szeliga.
A dusza ojca, stary duch woźniczy,
Co patrzy na mnie ze zgrozą rozpaczy,
Kiedy me wszystkie honory policzy,
Jakże mi chętnie odstępstwo przebaczy!
I w drugim świecie nagany mi nie da,
Że szlachcic polski był stronnikiem Szweda.

Ledwie to wyrzekł, aż oto z łoskotem
Trąbka zagrała przed samym namiotem,
I spieszny goniec zapytał u straży:
Czy tu król szwedzki? czy ucha udziela?
I czy z listami tu się wejść odważy?
A listy pilne od wojska Forgela.
(Ów zasię Forgel był szwedzki generał,
Który szedł kilku tysiącom na czele,
Był dwakroć jeńcem, ale teraz śmieje
Znów się do Polski za Wisłę przebierał).

Wpuszczono gońca, a na wielkiej radzie
Siła zapytań razem go osypie.
Niedobre wieści: bo przy wiosce Lipie
Czarniecki dopadł Wandalów w nieładzie;
Krwawemi strugi zalało się pole,
Trupem poległo Szwedów dwa tysiące;
Nim się poranne ukazało słońce,
Generał w polską dostał się niewolę.
Król szwedzki zgrzytnął i zatupał nogą,
Elektor pruski coś zamruknał z cicha,
Pan Radziejowski pogląda złowrogo,
Książę koniuszy błednieje i wzdycha.
Goniec zły wieści wymknął się z namiotu
I kędyś zniknął w obozowem kole.
Szeliga otarł wielką strugę potu,
Co mu gorąco płynęła po czole,
I dziecko Litwy niespokojne szczerze,
Że jego naród swe triumfy bierze.

XIV.

Cicho w namiocie — i król, i książęta
Zwiesili głowy pod myśli nawałeni.
Wtem cisza nocy znowu potrząśnięta,
Ale złowrogim na trwogę sygnałem.
Król wybiegł... słucha... to nuta nieswojska!
„Na koń. żołnierze! do zbroi! do broni!”
Lecz w tejże chwili nad uchem zadzwoni
„Bog a r o d z i c a” — hymn polskiego wojska.
Zaledwie szwedzka rusza się gromada,
Troisty hufiec na karki jej wpada.
Książę koniuszy wyskoczył z namiotu,
Dopadł rumaka — lecz go hufiec ściga,
Jeno zakrzyknął: „Hej, mości Szeliga!
Ze swą chorągwią zastaw się u płotu;
A jeśli napad podstąpi zdradziecki,
Pilnuj się waszmość na miejsca wyborze,
By miłościwy król jegomość szwedzki
W rece się polskie nie dostał broń Boże!”
Król szwedzki uszedł; lecz jego zamiary
Przeniknął hufiec pancerny litewski,
I wielki hetman, Wincenty Gosiewski,

Przyskoczył, mając najemne Tatary,
I w tejże chwili zręcznie oskrzydłili
Pancerne hufce księcia koniuszego.
Naprawdę pułki brandenburskie biegą.
Naprawdę szwedzkie rycerstwo się sili.
Już dzielne polskie i tatarskie zuchy
Rozbiły hufiec birżańskiego księcia.
Księżę z Szeligą, bojąc się ujęcia,
Na rącznych koniach szukają otuchy.
Hufiec Tatarów rącho ich dościga:
Pojmany księżę, pojmany Szeliga.

XV.

Chwała zwycięstwa, jak kronika pisze,
Na Gosiewskiego zaświtała głowie;
A korzyść walki dobrzy towarzysze
I perekopsy wzięli Tatarowie.
Sześć pułków szwedzkich, dwa pruskie szlondary,
Dwa hufce polskie i armat bez miary,
Bez miary jeńców okowywa pęty
Hetman litewski Gosiewski Wincenty, —
I dobrze pewien, że wiadomość miła,
Radosne gońce do króla posyła.

XVI.

Przy boku króla był Radziwiłł drugi,
A krewny księcia koniuszego bliski,
Mąż znakomity przez znaczne zasługi,
Michał Kazimierz, ordynat nieświeski.
Jego staraniem, choć z bronią pojmany,
Księżę koniuszy zgubie się wyśliznie;
A jego wojsko i wszystkie dworzany
Kazano wygnać, jak śmieci w ojczyźnie,
Ażeby żadne nie zostały ślady,
Że szlachcic polski był zdolny do zdrady.
Księżę koniuszy, choć swojej krainie,
Swemu królowi zawinił się srogo,
W Słucku, Nieświeżu, Mirze, Tykocinie,
Fortece szwedzką osadzał załogą,
Dobywał Brześćcia, — dziś zbity na głowę,
Jak buntownika Gosiewski go bierze;
Lecz potem z królem pojednał się szczerze
I sprawia różne urzędy krajowe.

(Czy urzędując nagrodił te straty,
Które krajowi poczynił tak świeżo?
To są wypadki już późniejszej daty,
Co do powieści naszej nie należą.)

XVII.

Szeliga tedy, występny banita,
Wygnan od ziomków za rodzinne płoty;
Lecz za to bogacz, a myśl jego skryta
Mało się troszczy tem piętnem sromoty.
A hetman, nieco łagodząc mu winę,
Nim się dopełni wygnanie złowieszcze,
Kilka dni czasu zostawił mu jeszcze,
Aby mógł przedać ojcowską wioszczyne.
Szczupły-ć to dworek — mało go obchodzi;
Jednak Szeliga skorzystał z pozorów,
Aby na Litwie, wśród tamecznej młodzie,
Jednać stronniki dla szwedzkiego dworu.
Pojechał tedy w rodowitą stronę,
Gdzie od młodości nie powstał i nogą;
Cztery rumaki, w karocę wprężone,
Pędzą ku Litwie pospiesznie, jak mogą.
I któżby poznał po tak długim czasie
Syna woźnicy w tej pańskiej kolasie?
Na pacholęciu przed dawnemi laty,
Gdy wyjeżdżało z ojcowskiego domu,
Nie świecił w oczy strój taki bogaty,
Twarz była młoda, a czoło bez sromu.
Za nim leciały, jako towarzysze,
Błogosławieństwa ojca i kapłana;
Dziś jego głowa z kraju wywołana.
Przeklęctwo ziomków nad nią się kołysze.
I kraj się zmienił, że poznać nie można:
Tak było pięknie, tak było zielono!
A teraz dymem wsi i miasta płoną;
Świątynie ręka odarła bezbożna;
Nie słychać w polu śpiewania żniwiarzy;
Kryje się w lasach trwożliwa drużyna;
A gdy człowieka napotkać się zdarzy,
Ten gorzko płacze i Szweda przeklina;
Zboża spalone, nagie świątyń mury,
Wszędy zniszczenie, gdzie oko dościga...

I gorzko, gorzko zaśmiał się Szeliga,
Dworek swych ojców gdy zobaczył z góry.
Runęły śpichrze, gołębnik, stodoła,
Dom pochylony do upadku gotów,
Klonów i gruszy nie było już zgoła,
Rosły badyle w ogródku bez płotów.
Znaczno, że wszędy przeszedł czas pożerczy,
Wszystko bolesne przypomnienia budzi;
Tylko przed wjazdem stara brama sterczy,
Zakłębem Skargi pamiętna u ludzi.
Westchnął Szeliga — a z dumnego oka
Trysnęła łezka, gość niespodziewany;
Lecz się opomniał i spojrzął z wysoka,
I począł nowe osnowywać plany.

XVIII.

„Ten, kto ma złoto, ma wszystko na świecie.
Co mi tam szkodzi wygnańca nazwisko?
Banita polski — nie zginiony przecie;
Na ziemi szwedzkiej znajdę przytulisko,
Tam kupię dobra — grosz popłaca wszędzie;
Ale nie żegnam mej rodzinnej włości:
Gdy się król szwedzki na siłę zdobędzie,
My znowu tutaj zawitamy w gości.
Odbiorę własność może w rok najdalej
I wygnam z kraju tych, co mnie wygnali.
Tu będzie pałac, na nim herb kamienny,
Gniazdo Szeligów odnowić potrzeba.
Stary mój ojciec, królewski stajenny,
Aż się uśmiechnie z wysokiego nieba.
Bo cóż za złoto okupić się nie da?
I cześć powróci, którą wyrok plami,
Bylebym tylko między Litwinami
Zjednał co więcej stronników dla Szweda...”

XIX.

Kiedy tak dumał, rumaki jak z procy
Leciały pędem na dworku zwaliska.
Oś czterokonnej wspaniałej karocy
Pod stare wrota z mozołem się wciska.
(A wrota wąskie, bo wtedy od wieka
Szedł prosty wózek, lub wjeżdżał gość konny,
Bo wiedział starzec, że się nie doczeka,

Iż go odwiedzi urzędnik koronny,
I nie dla karet szerokiej postaci
Budował wrota, lecz dla szlachty braci).
Za ciasno było synowskiej kolebce,
Uwięzły konie, woźnica je plaży.
Szeliga zadrżał pobledniał na twarzy,
Coś niedobrego przecucie mu szepce.
Konie zarwały, oś o słupy grzmoce,
Spróchniałe słupy pękły od zamachu, —
I cały ciężar dębowego dachu
Z głuchym łoskotem pada na karoce.
Przegniła słoma i krokwi gromada
Całkiem przykryły woźnicę i pana, —
Trzaska się w szczęty karoca złamana
I cug rumaków na kolana pada;
Nakoniec targnął i odrzucił w stronę
Dwa trupy ludzkie, na miazgę stłuczone...

XX.

Więc Stare wrota nad zdradziecką głową
Już dopełniły swojej powinności!
Tak sobie ludzie powiadali prości,
Przypominając księdza Skargi słowa:
Kto tędy przejdzie z jaką myślą zdra-
Niechaj te wrota na niego upadną! [na,
Czy prawdę mówią? niepodobna dociec:
Czy mało baśni nagada prostota?

Tutaj, jak zwykle, winien stary ojciec,
Że nazbyt wąskie wybudował wrota;
Winien woźnica, że źle konie leca,
Że zakierował i rady im nie da;
A może zresztą i syn winien nieco,
Że rzucił króla, a przeszedł do Szweda.

14 lipca 1856. Boreikowszczyzna.



SPIS RZECZY.

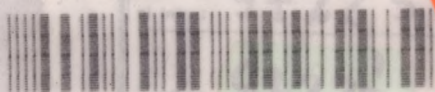
UTWORY EPICKIE.

Margier, poemat z dziejów Litwy.	Str.
Pieśń pierwsza	5
Pieśń druga	24
Pieśń trzecia	35
Pieśń czwarta	49
Pieśń piąta	67
Epilog	83
Kęs chleba	84
Fragmenta o Filipie z Konopi.	
Fragment I.	110
Fragment II.	112
Fragment III.	112
Fragment IV.	115
Fragment V.	116
Fragment VI.	119
Fragment VII.	121
Zakończenie	122
Żebrak z rzemiosła	123
Matysek	128
Kapral Terefera i kapitan Szerpentyna	130
Córka Piastów	140
Pieśń pochodu Litwinów	144
Epilog	160
Zgon Acerna	161
Dośpiewek	180
Tręzłowe	181
Wielki Czwartek	193
Epilog	221
Garść pszenna	222
Cieśla	227
Rycerz na czatach	232
Stare wrota.	
Część pierwsza	238
Część druga	269



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

9721/II S



001-009722-02-0